

ELIZABETH LOWELL

Zimowy ogień

1

Rok 1868. Zima na terytorium Utah

- Nie ruszaj się. Nawet nie oddychaj.

Cichy, beznamiętny głos obcego mężczyzny wystarczył, żeby Sara Kennedy zastygła bez ruchu. Nawet gdyby nie zmusił jej do posłuszeństwa tym groźnym rozkazem, to i tak nie mogłaby się ruszyć pod ogromnym ciężarem jego ciała.

Nie była w stanie ani się poruszyć, ani oddychać. Leżała na brzuchu, przyciśnięta przez niego do zimnej skały na skraju urwiska. Zakrywał ją całą.

„Jezu, co za olbrzym!” - pomyślała z przerażeniem. „W dodatku wcale nie otyły. Po prostu olbrzymi. Za wielki, żeby się bronić”.

Nawet jeśli nieznajomy mężczyzna dałby jej jakąś swobodę ruchu, to i tak nie miała żadnej szansy w walce. Pomimo swoich rozmiarów był szybki i cichy jak jastrząb.

Dopóki jej nie zaatakował, wcale nie zauważyła, że już nie jest sama pod skalnym nawisem, tworzącym sklepienie płytkiej pieczary.

Jego ciało było równie twarde jak zimna skała, która gniotła ją w piersi i biodra przez jej zimowy ubiór. Okryta skórzaną rękawicą prawa dłoń mężczyzny przyciskała jej usta z taką siłą, że gdyby nie wiadomo, jak się wykręcała i próbowała go ugryźć, to i tak by to nic nie dało.

Nie traciła siły na bezcelową szarpaninę. Lata nieudanego małżeństwa nauczyły ją, że nawet młoda, zdrowa dziewczyna nie ma większych szans w walce przeciwko staremu mężczyźnie równemu jej wzrostem i wagą. Mężczyzna, który teraz ją przytrzymywał, nie był jednak ani stary, ani nie miał jej wzrostu czy wagi.

W dodatku był uzbrojony. Pomimo mroźnego powietrza napastnik nie miał rękawicy na lewej dłoni, gdyż tkwił w niej wysłużony, sześcioprzętowy rewolwer.

Nieznajomy chyba zrozumiał, że Sara nie zamierza stawiać oporu, ponieważ zwolnił uścisk, umożliwiając jej oddychanie. Nadal jednak przyciskał jej usta zbyt mocno, by mogła wołać o pomoc.

- Nie skrzywdzę cię - szepnął jej wprost do ucha.

„Nie skrzywdzisz, do diabła” - zakłęta w duchu. „Mężczyźni nie potrafią robić niczego innego poza krzywdzeniem kobiet”.

Przełknęła ostrożnie ślinę, starając się opanować wypełniający ją strach i mdłości.

- Spokojnie, mała - mruknął mężczyzna. - Nie traktuję źle kobiet, koni i psów.

Nie słyszała tego powiedzenia od śmierci swojego ojca. Przestraszyła się tych słów, chociaż jednocześnie zapaliła się w niej iskierka nadziei.

- Ale jeżeli wpadniesz tam na dole w łapy Culpepperów - ciągnął – to będziesz się modliła o śmierć. Twoje modlitwy będą spełnione, ale nie tak szybko, jak byś chciała.

Zimny dreszcz, nie wywołany wcale przez chłód nocy czy zimno skały, na której leżała, przebiegł po ciele Sary.

- Skinij głową, jeżeli mnie rozumiesz - szepnął.

Mówił typowym dla wykształconego człowieka poprawnym językiem z lekkim południowym akcentem, lecz jego cichy, spokojny głos napawał ją przerażeniem.

Skinęła głową.

- A teraz kiwnij głową, jeżeli mi wierzysz - dodał sucho.

Poczuła nagle absurdalną ochotę, by się roześmiać.

„To histeria” - pomyślała. „Weź się w garść. Przechodziłaś już gorsze chwile i wychodziłaś z tego cało”.

Znowu skinęła głową.

- Mam nadzieję, że mnie nie oszukujesz, dziewczyno.

Pokręciła gwałtownie głową.

- Dobrze - mruknął. - Bo jakbyś tylko pisnęła, to pewne jak amen w pacierzu, że znaleźlibyśmy się po szyję w gorącym ołowiu.

Znowu poczuła szaloną ochotę, by się roześmiać. Z wielką trudnością zdołała się opanować.

Powoli nieznajomy odsunął dłoń z jej ust.

Zaczerpnęła głęboki, cichy oddech. Powietrze, które wpłynęło do jej płuc, niesło ze sobą zapach wyprawionej skóry i jeszcze jakiś inny intrygujący aromat.

„To zapach jabłka” - uświadomiła sobie. „Właśnie zjadł jabłko”.

Bolesne napięcie powoli ustępowało z jej ciała. Jej mąż domagał się seksu tylko wtedy, kiedy pił, a nie kiedy jadł.

W oddechu mężczyzny nie było nawet śladu zapachu whisky. Jego skóra i ubrania też nie wydzielały woni alkoholu. Nie czuła innych zapachów poza aromatem mydła i wyprawionej skóry oraz zapachem potu i... jabłek.

„To dlatego nie jestem tak bardzo przerażona” - pomyślała. „Może i jest bandytą, ale jest trzeźwy, pachnie czystością i lubi jabłka. Może nie jest złym człowiekiem, kiedy nic go do tego nie prowokuje”.

Odprężyła się stopniowo. Leżący na niej mężczyzna wyczuł to.

-Już lepiej - mruknął. - Trochę ci ulżę. Ale wcale się nie ruszaj. Ani odrobinę. Słyszysz mnie?

Potwierdziła skinieniem głowy.

Odsunął się tak cicho i szybko, że aż zakręciło się jej w głowie. Nie

czuła już ucisku twardej skały na piersiach i brzuchu. Teraz mężczyzna przygniatał jej prawy bok.

Nadal był czujny i gotowy. Gdyby chciał, to mógłby ją przykryć tak szybko i cicho jak poprzednio.

- Wszystko w porządku? - zapytał łagodnym tonem.

Skinęła głową.

Nie wiedziała, czy on zrozumie jej gest, skoro nie jest już tak blisko, by czuć każde uderzenie jej serca. W pieczarze pod zwisającą skałą było ciemno jak w kufrze.

- Grzeczna dziewczyna - mruknął.

„Musi mieć oczy jak sokół” - pomyślała Sara. „Boże, gdybym miała skrzydła jak jastrząb, tobym stąd odleciała”.

Na samą tę myśl zadrżała cała z tęsknoty za wolnością.

- Nie sprzeciwiaj mi się - szepnął nieznajomy. - Jeszcze się nie wydostaliśmy z tej pułapki.

„My?” - zapytała w duchu. „Jeszcze niedawno byłam sama i nie znajdowałam się w żadnej pułapce”.

Nagle z ciemności u podnóża skały nadleciał dźwięk męskich głosów, skrzypienie skórzanych siodeł i niecierpliwe parsknięcie konia.

W nocnej ciszy skalistej czerwonej pustym głos niósł się daleko.

„Ach tak” - pomyślała. „Byłam sama, kiedy coś się już zaczynało dziać wokół mnie. Teraz nie jestem sama. Niebezpieczeństwo czyha na wyciągnięcie ręki. I niesie ze sobą zapach jabłek”.

Usiłowała powstrzymać się od uśmiechu, ale się to jej nie udało.

Case Maxwell dojrzał błysk jej uśmiechu. Nie potrafił zrozumieć, co ta dziewczyna mogła dojrzeć zabawnego w tej piekielnej sytuacji.

Pomimo ciemności i ciężkich, męskich ubrań schwytej osoby Case nie miał wątpliwości, że ma pod sobą kobietę. Była delikatna, wiotka i pachniała letnimi różami.

„To musi być Sara Kennedy” - pomyślał. „Albo ona, albo Duża Lola.

Nie ma innych białych kobiet w promieniu kilku dni konnej jazdy”.

Wątpił jednak w to, że kobieta, którą zaskoczył w pieczarze, to Duża Lola. Słyszał, że Lola ma posturę mężczyzny, jest równie twarda jak mężczyzna i nie ustępuje żadnej awanturnicy, jaka kiedykolwiek ośmieliła się zapuścić na zachód od rzeki Missisipi.

Szczupła kobieta, która próbowała powstrzymać uśmiech, nie zachowywała się ani nie pachniała jak awanturnica.

„Sara Kennedy” - zdecydował w duchu. „To musi być ona”. Jego umysł pracował równie sprawnie jak w czasie minionej wojny, tylko że teraz analizował znane mu informacje na temat młodej kobiety o nazwisku Kennedy.

„Wdowa. Młoda. Unika mężczyzn. Cicha jak cień i trudna do okiełznania. Mieszka na ranczu Zagubionej Rzeki z młodszym bratem

o imieniu Conner, starym banitą, którego nazywają Ute, i z Dużą Lolą. Dlaczego nikt nie mówił, że Sara pachnie letnimi różami i ma uśmiech jak błyskawica? I z czego ona teraz się śmieje?"

Już otwierał usta, by ją o to zapytać, gdy z dołu, z czarnosrebrzystego pustkowia, nadleciał dźwięk zbliżających się koni. Jeźdźcy kierowali się ku urwisku, znajdującemu się zaledwie trzydzieści stóp od pieczary, w której się ukrył, by obserwować Aba Culpeppera i jego krwiożerczą kompanię.

Właśnie w tej pieczarze Case odkrył, że nie jest jedyną osobą, która chce posłuchać twardej pertraktacji pomiędzy Culpepperami i bandą znaną jako Mieszkańcy Moody'ego.

„Co za piekielne miejsce, w którym można znaleźć dziewczynę ubierającą się jak mężczyzna i pachnącą letnim deszczem i różami" - pomyślał.

„Co za piekielne miejsce dla dziewczyny!"

Zewnętrzny skraj pieczary, wyłobionej przez wodę w twardej skale, znajdował się tylko kilka cali od jego głowy, a jej wewnętrzna ściana była nie więcej niż dziesięć stóp od jego nóg.

Wąziutki strumyczek wody, wypływający ze szczeliny w skale, wił się po spągu pieczary zaledwie kilka cali od jego rewolweru. Potem woda przelewała się przez kamienną krawędź i znikła w ciemnościach nocy.

„Ten maleńki strumyczek nie zagłuszyłby nawet ćwierknięcia ptaszku" pomyślał ponuro. „Mam nadzieję, że Sara ma na tyle rozsądku i cierpliwości, na ile wygląda".

Każdy nieostrożny ruch któregośkolwiek z nich ujawniłby ich obecność w pieczarze.

„Wykazała przynajmniej na tyle rozsądku, żeby nie krzyknąć" - pocieszył się w duchu. „Jeszcze możemy się stąd wydostać cali i zdrowi".

W gruncie rzeczy jednak nie liczył na szczęśliwe rozwiązanie tej sytuacji.

Wojna i jej tragiczne konsekwencje nauczyły go, żeby nie spodziewać się żadnych innych okoliczności poza tymi, które mogą przynieść człowiekowi śmierć i zniszczyć wszystko, na czym mu zależy.

Bardzo powoli uniósł prawą dłoń i przytknął wskazujący palec do ust Sary, nakazując jej milczenie. Chociaż jego dotyk był delikatny, to poczuł, że dziewczyna się odsuwa.

Sara skinęła głową, pokazując, że rozumie, iż musi być bardzo cicho, i musnęła przy tym ustami jego rękę. Case drgnął. Mógłby przysiąc, że czuje ciepło jej oddechu nawet przez skórę rękawicy. Poczł się tak, jakby dotknął dłonią ognia. Wstrząsnął nim gorący dreszcz pożądania.

„A niech to piekło pochłonie, jak by powiedziała Elyssa" - pomyślał. Nie ma gorszego momentu, żeby poczuć ochotę na kobietę. Wcale nie wiedziałem, że mi się tak podoba zapach róż".

„Do cholery, to nie ma z tym niczego wspólnego i ty, do diabła, dobrze

o tym wiesz, cholera!”

Dobiegający z dołu głos odsunął myśli Case'a od zaskakującej reakcji na obecność leżącej obok niego kobiety.

- To Joe Moody - szepnął Case do ucha dziewczyny. - Jego ludzie nazywają go „Cholera”, ale tylko poza jego plecami.

Znowu w ciemnościach błysnął jej uśmiech.

- Dlatego, że jest za brzydki, by na niego patrzeć? - szepnęła tak samo cicho jak on.

Delikatna szorstkość jej głosu była dla Case'a jak łyk whisky. Wciągnął powolny, głęboki oddech, próbując się przekonać w duchu, że nie robi tego po to, aby się rozkoszować aromatem róż i kobiecego ciepła wśród zimowej pustyni.

Nagle przyspieszenie pulsu dowodziło jednak, że się okłamuje.

- Cholera, ten stary sęp znalazł srebro, cholera - warknął Moody.

- To dlaczego wdowa po nim nie żyje lepiej niż jakaś Indianka? - zripostował ktoś chłodno.

Dreszcz, który przeniknął ciało Case'a, trwał tylko moment, ale Sara go wyczuła. Tak samo jak wyczuła tę zmianę w jego ciele.

- To Ab Culpepper - szepnął jej do ucha.

Brzmienie jego głosu przeszło ją zimnym dreszczem. Był to taki sam beznamiętny ton, jakim się odezwał, kiedy ją przygwoździł do skalnego spągu. Głos mężczyzny, którego nic nie jest w stanie poruszyć: ani gorąco, ani zimno, ani ból, ani przyjemność.

Nawet śmierć.

- Cholera, skąd mam wiedzieć, czy ona nie śpi na całym tym srebrze? - podniósł głos Moody. - To w końcu, do cholery, kobieta!

- Nawet diabeł nie zna myśli kobiety - zgodził się spokojnie Ab. - One wszystkie to nic niewarte dziwki.

Sara jęknęła cicho, znowu się naprężając. Jej mąż mówił podobnie jak Ab. Był ciągle pijany, skory do zaczepki i bezmyślny. Nienawidził kobiet z wyjątkiem momentów, kiedy rządziła nim chuć.

Case wyczuł jej reakcję.

- Cisza - szepnął.

Skinęła głową nieznacznie, ale wiedział, że zrozumiała. Już nie próbowała się odzywać.

- O to mi chodzi, do cholery! - rzucił triumfującym tonem Moody. - Może siedzieć na tym całym srebrze jak kwoka na jajkach.

- Ale nie z Ute i Dużą Lolą - powiedział Ab. - Parnell mówił mi, że oboje napadali kiedyś na banki. Ute nie pozwoliłby, żeby jakaś dziewczynina stała pomiędzy nim i stertą hiszpańskiego srebra.

- Cholera, może on nie wie, do cholery!

Jakiś koń, a może muł niecierpliwie zadreptał w miejscu. Sara nie potrafiła tego odgadnąć. Wiedziała, że Culpepperowie jeżdżą na dużych,

gniadych mułach, szybkich jak błyskawice i umięśnionych jak mustangi.

- Moody - rzucił zniecierpliwionym tonem Ab. - Człowiek nie może jeść srebra.

- Cholera, my nie chodzimy głodni, moje chłopaki...

- ...kradną bydło za blisko domu - wtrącił Ab - Te krowy, które dwóch twoich chłopaków zarżnęło za obozem, były z rancza Circle A.

- No i co z tego? - rzucił zaczepnie Moody.

- To tylko dwa dni drogi od Źródlanego Kanionu - powiedział beznamiętnie Ab. - Mówiłem ci: trzy dni i ani trochę bliżej.

- To było trzy dni, do cholery!

- To na czym wy jeździecie? - wtrącił sarkastycznym tonem trzeci głos. - Na oposach?

Rozległy się głośne protesty i przekleństwa wśród ludzi Culpeppera i Moody'ego, spierających się na temat prędkości koni i mułów.

Case wsłuchiwał się uważnie w kłótnię, usiłując rozróżnić głosy. Z łatwością rozpoznał Parnella Culpeppera: miał wysoki, szorstki głos. Jego

kuzyn, Quincy, mówił pełniejszym głosem, ale nieprzyjemnym dla ucha.

Reginald Culpepper, który był zarówno kuzynem, jak i bratem dwóch poprzednich, prawie wcale się nie odzywał.

Kester Culpepper też nie był rozmowny. Natomiast gdy był pijany, nie zamykał ust, dopóki nie stracił przytomności albo ktoś nie miał dość jego gadaniny i nie pozbawiał go przytomności celnym ciosem.

Case'owi trudniej było rozpoznać ludzi Moody'ego, ponieważ spędził mniej czasu, śledząc ich bandę. Jeden z nich, który nazywał się Crip, nie miał lewej ręki. Mówiono, że nadrabiał swoje kalectwo siłą prawej i karabinem z obciętą lufą.

Kolejny mężczyzna nie na darmo był nazywany Whiskey Jim, gdyż był wielkim opojem. Na trzeźwo był fachowcem od dynamitu, bardzo cenionym przez rabusiów banków.

W bandzie Moody'ego było jeszcze przynajmniej pięciu ludzi, ale Case nie skojarzył ich twarzy czy głosów z imionami.

Tym razem chciał dołożyć wszelkich starań, by nikt z bandy Culpepperów nie uszedł z życiem. Banda miała na sumieniu wiele napadów, gwałtów i morderstw. Case postanowił, że jej szlak zakończy się na tym pokrytym czerwonymi skałami pustkowiu.

„Już nikt nie wróci do domu, aby zastać swoje ranczo w zgliszczach, a kobiety zamęczone na śmierć” - pomyślał. „Już nie będzie wzdłuż ich szlaku martwych dzieci rzuconych na ziemię jak puste butelki po whisky”.

Mężczyzna zamierzał dopilnować tego osobiście. Nie kierowała nim jednak żądza zemsty. Wojna wypaliła w nim wszelkie uczucia, z wyjątkiem poczucia bliskości ze starszym bratem, Hunterem, którego Case

zmobilizował do tej walki.

Po wojnie bracia wrócili do Teksasu, spodziewając się rozpocząć lepsze życie. Zamiast domu zastali tylko ruiny pozostawione przez bandę Culpepperów. O ile Case żywił od tego czasu jakiegokolwiek uczucia, to tylko w snach, ale wystrzegał się, by ich nie pamiętać.

Kierowało nim jedynie zimne poczucie sprawiedliwości. Jego zdaniem Bóg był zbyt zajęty, by doglądać w czasie wojny wszystkich swoich dzieci, ale szatan wspomagał swoje potomstwo.

Teraz Case zamierzał położyć kres tej niesprawiedliwości.

- Zamknąć się wszyscy!

Zimny głos Aba przeciął sprzeczkę. Cisza, jaka nastąpiła, gęstniała jak krew wypływająca z żył.

Sara pragnęła już tylko ucieczki. W najgorszych momentach Hal miał taki głos jak teraz Ab. Chwytała wtedy Connera i uciekała w labirynt czerwonych skalnych słupów i suchych kanionów. Tylko drapieżne ptaki były w stanie odnaleźć drogę przez to kamienne pustkowienie.

Obserwowała dzikie ptaki i uczyła się od nich. Przetrwiała ze swym młodszym bratem straszne momenty, kiedy jej mąż szalał pod wpływem alkoholu.

„Jak spróbujesz teraz uciec, to zginiesz” - napomniała się w myślach.

„Kto wtedy zajmie się Connerem? Ute jest lojalny tylko względem mnie, a Lola jest lojalna tylko względem Ute. Conner zostałby sam”.

Sara została bez opieki, kiedy jej rodzice zginęli w powodzi. To dlatego, mając czternaście lat, poślubiła obcego mężczyznę, który był trzy razy starszy od niej.

„Dzięki Bogu, że Hal nie żyje” - pomyślała nie po raz pierwszy w życiu.

Niegdyś czuła wyrzuty sumienia, że cieszy się ze śmierci swego okrutnego męża. Tak było kiedyś, ale teraz już nie. Teraz była po prostu wdzięczna Bogu za to, że ona i jej młodszy brat przeżyli Hala Kennedy'ego.

- Umówiliśmy się, że nie będzie napadów w pobliżu Źródlanego Kanionu

- powiedział głośno Ab. - Pamiętasz, Moody?

- Cholera, ja...

- Pamiętasz czy nie? - warknął Ab.

Case wyczuł, że ludzie Moody'ego przemieszczają się w ciemnościach, stając na wprost Culpepperów.

„Dobrze” - pomyślał. „Może Moody ich pozabija i oszczędzi mi kłopotów.

Wtedy będę mógł poszukać miejsca na moje własne ranczo”.

Nie miał jednak wielkiej nadziei, że szczęście dopisze mu aż tak bardzo.

Ab Culpepper był zbyt sprytny, aby dać się zabić typom pokroju Moody'ego.

- Cholera - powtórzył Moody.

Klął bez ustanku, ale bardziej nadrabiał głosem, niż starał się postawić

na swoim.

- Ranczo Circle A jest za blisko - powiedział Ab. - Chcesz wołowiny, to jedź dalej, chcesz zwierzyny, to poluj gdzie indziej. Jasne?

- Cholera, myślę...

- Ty nic nie myślisz - przerwał niecierpliwie Ab. - Myślenie to moja rola. Gdybyś cokolwiek myślał, to nie byłbyś splukany do nitki w środku zimy i nie latałbyś za własnym ogonem po tym czerwonym piekle.

- Ty robisz to samo, cholera.

- Ja mam dwadzieścia jankeskich dolarów, pełne sakwy naboju i za niczym nie latam.

- Cholera! Jak będziemy jeździć za mięsem do Nowego Meksyku, to, do cholery, nie będziemy mieli czasu na szukanie srebra, cholera.

- Możesz go szukać, jak już będziemy mieli mięso, żebyśmy na wiosnę nie jedli korzonków jak Indianie.

- A co z kobietami, cholera?

- Co, cholera, z kobietami? - powtórzył przedrzeźniająco Ab.

- Człowiek nie może przeżyć całej zimy bez kobiety, która ogrzałaby mu portki i nagotowała fasoli.

- Ukradnij sobie jakąś albo kup w Meksyku. Albo weź Indiankę.

- Chol...

- Tylko uważaj, żeby to nie była żona czy córka wodza, jasne? - znowu przerwał mu Ab. - Niektórzy z tych czerwonoskórych są gorsi od trucizny, jak im się nadeptnie na odcisk.

Gdyby Case potrafił się uśmiechać, to zrobiłby to, słysząc te słowa.

Wiedział, dlaczego Ab jest tak drażliwy, jeżeli chodzi o Indianki. Pewnego razu, jeszcze w Rubinowych Górach w Nevadzie, Ab i kilku jego kompanów wdali się w walkę z Indianami, którzy szukali porwanej dziewczyny.

Ab i Kester byli jedynymi członkami bandy, którzy pozostali przy życiu. Uciekli z pola walki i wrócili do Utah, żeby dołączyć do znajdujących się tam członków ich klanu.

- A te dwie białe kobiety na ranczu? - zapytał jakiś nowy głos. - Są blisko i nikt ich nie pilnuje, tylko dzieciak i ten stary. Dobra okazja.

- Mówią, że ta dziewczyna to niezły kąsek, cholera - dodał ochoczo Moody.

Inni mężczyźni przyłączyli się do chóru niewybrednych komentarzy o dziewczynie, którą do tej pory widywali tylko przez lunetę.

Słyszac ich słowa, Sara ledwie opanowała mdłości. Czuła, że jej żołądek skręca się jak wyżymana ścierka.

- Zamknijcie się - rzucił Ab. - Wbijcie sobie do łbów. Żadnych napadów blisko obozu

- Ale...

- Zamknąć się!

Przez chwilę słychać było tylko cichy szmer wody ściekającej w ciemność

po skale.

- Nic tak nie rozwściecza wojska jak wiadomość, że mieszkańcy dobrali się do białej kobiety - powiedział zimnym tonem Ab. - Jeżeli ja uznam, że trzeba się zająć wdową po Kennedym, to zrobię to osobiście i legalnie. Wezmę z nią ślub.

Moody i jego ludzie pomruczeli coś między sobą, ale otwarcie nie protestowali.

Kiedy obie bandy spotkały się po raz pierwszy, jeden z ludzi

Moody'ego postanowił wypróbować Aba. Zginął, zanim jeszcze zdążył wyciągnąć pistolet.

Ab był szybszym strzelcem niż jakikolwiek inny człowiek, jakiego spotkali ludzie Moody'ego. Jeszcze do niedawna wydawało im się, że znają wszystkich szybkich strzelców, dopóki nie spotkali Aba Culpeppera.

- Byłoby łatwiej przezimować na ranczu, cholera - zaczął Moody.

- To, co łatwe, nie zawsze jest najlepsze. Już czas, żebyś się tego nauczył. Zrobimy to, co zaplanowaliśmy.

- Zostaniemy w Źródlanym Kanionie? - zapytał jakiś inny głos. - *Por Dios*, ten wiatr jest zawsze taki zimny.

- Gdybyście ty i reszta tej bandy pozbyli się ołowiu z tyłków, to w obozie byłoby przytulnie jak u Pana Boga za piecem - powiedział Ab.

Ktoś zaklął pod nosem, ale nikt nie odezwał się głośno.

-Zabiję każdego, kto będzie kradł krowy z rancza Circle A – oznajmił Ab.

Nikt się nie odezwał ani słowem.

- Tak samo jak zabiję każdego, kto spróbuje zaczepić te białe kobiety - dodał.

- Nawet Dużą Lolę? - zapytał niedowierzając Moody.

- Słyszałem, że już porzuciła zawód.

- No pewnie, ale, cholera, i tak jest tylko starą dziwką, cholera.

- Zostaw ją w spokoju. Będziemy robili tak jak Apacze. Mieszkać spokojnie i napadać z dala od domu.

W bandzie Moody'ego nastąpiło poruszenie, ale nikt nie sprzeciwił się rzucanym spokojnym głosem rozkazom Aba Culpeppera.

- Za rok lub wcześniej - powiedział Ab - sami będziemy mieli tysiąc krów i dość kobiet, żeby obsłużyć pałac sułtana. Czy ktoś ma coś przeciwko temu?

Odpowiedziała mu cisza.

-W porządku. Zabierać się z powrotem do obozu! Pojadę z Kesterem drugim szlakiem, żeby zobaczyć, czy ktoś z rancza Circle A nie wpadł na pomysł, żeby nas odwiedzić. Jak macie jakieś pytania, to pytajcie Parnella.

Podkute kopyta mułów zastukały na kamieniach. Nie podkute kopyta koni, na których jeździli ludzie Moody'ego, czyniły mniej hałasu.

Kurz podniósł się aż do pieczary, w której leżeli bez ruchu Sara i Case.

Po kilku minutach ciszy Sara postanowiła wstać. Case natychmiast przydusił ją do skały, przyciskając dłoń do jej ust.

- Ab - szepnął Case.

Nie musiał mówić nic więcej. Sara znowu zastygła bez ruchu. Mijały długie minuty.

- Mówiłem ci - dobiegł ich w końcu głos Kestera.

- A ja ci mówię - odparł Ab - że ktoś tu jest.

- Duch.

- Duch - powtórzył ironicznie Ab - nie ma duchów, chłopcze. Ile razy mam ci to powtarzać?

- Widziałem duchy.

- Chyba na dnie butelki.

- Widziałem - powtórzył Kester.

- Jakbyś był dzieckiem, tobym ci tak skopał tyłek, że latałbyś z rykiem dookoła.

- A właśnie że widziałem.

- Pieprzysz. Zaraz będziesz jęczał, że depczą nam po piętach ci Teksykańczycy.

- A tych to nie widziałem.

- Pieprzysz - powtórzył Ab i zawróciwszy muła, odjechał w ciemność. Kester podążył za nim.

Case ani drgnął. Sara też się nie poruszyła, chociażby dlatego, że nadal przyciskał ją całym ciałem.

W końcu powoli zsunął się na bok. Nie zdążyła się jeszcze ruszyć, kiedy unieruchomił ją znowu, kładąc dłoń pomiędzy jej łopatkami. Leżeli razem bez ruchu, wsłuchując się w otaczającą ich ciszę.

Gdyby nie była przyzwyczajona do polowania, czy chociażby obserwowania dzikich zwierząt, to straciłaby cierpliwość o wiele wcześniej, nim

Case dał jej jakikolwiek sygnał, że już może się ruszać.

Jednak spędziła wiele lat z karabinem lub dubeltówką w ręku, żeby zapewnić jedzenie dla młodszego brata i polującego wiecznie na skarby męża - nicponia. Musiała dawać sobie z tym radę, ponieważ nie miała wyboru.

Jej cierpliwość i całkowity bezruch zaimponowały Case'owi. Znał niewielu ludzi, i to wyłącznie mężczyzn, którzy potrafili tkwić bez ruchu przez dłuższy czas. Wcześniej czy później większość ludzi zaczyna się wiercić.

Wcześniej czy później większość ludzi ginie.

„Boże, jak ta dziewczyna wspaniale pachnie!” - pomyślał. „A jakie ma ciało! Miękkie, ale nie ciastowate. Takie jak pączek róży, cały sprężysty i żywy. Ciekawe, czy smakuje jak deszcz, upał i róże razem wzięte.”

Przeklinając w duchu swe niesforne myśli i ciało, Case uwolnił Sarę, odsuwając dłoń z jej pleców.

- Mów cicho - szepnął. - Głos niesie się daleko po tych kamieniach.

- Wiem.

- Masz konia?

- Nie.

Nie powiedziała mu, że koń narobiłby za wiele hałasu i ostrzegł Connera, iż sama wybiera się dokądś w nocy. Robiła to ostatnio coraz częściej, powodowana jakimś niepokojem, którego sama nie rozumiała. Wiedziała tylko tyle, że znajduje ukojenie wśród przejrzystej, oblanej światłem księżycy ciszy pustkowia.

- Czy umie pani jeździć konno, pani Kennedy? - zapytał Case.

-Tak.

- Odwiozę panią do domu.

- To nie jest konieczne, panie...

- Mów mi: Case. Mój koń jest w porośniętym trawą wąwozie nieco bardziej na południe. Znasz to miejsce?

-Tak.

- Dobrze, pójdę za tobą.

Sara chciała się sprzeciwić, ale odwróciła się, wzruszając ramionami.

Nie było sensu się sprzeczać. Wiedziała, że jeżeli on chce odprowadzić ją do domu, to zrobi tak, czy jej się to spodoba czy nie.

Wcale nie słyszała jego kroków. Po kilku minutach ciekawość zwyciężyła.

Zatrzymała się i obróciła, żeby go poszukać.

Był tuż za nią. Westchnęła zaskoczona, widząc go tak blisko siebie. Reakcja

Case'a była jeszcze bardziej zaskakująca. W jego dłoni błyskawicznie

pojawił się gotowy do strzału rewolwer.

Zrobił jeden gładki krok i jeszcze jeden, aż zatrzymał się tak blisko, że mógł wyszeptać wprost do jej ucha:

- Co się dzieje?

- Nie słyszałam cię, więc obróciłam się, a ty byłeś tuż za moimi plecami

- wyszeptała. - To mnie zaskoczyło, to wszystko.

Broń zniknęła równie niepostrzeżenie, jak się pojawiła.

- Jak się hałasuje, to można zginać - powiedział takim tonem, jakby chodziło o coś oczywistego. - Szczególnie na wojnie.

Drżąc, wciągnęła oddech, obróciła się i ruszyła znowu przed siebie.

Koń czekał na końcu rozpadliny. Panowała niemal absolutna cisza. Jedynym

dźwiękiem było ciche trzaskanie trawy skubanej mocnymi zębami

zwierzęcia. Czując w swej maleńkiej oazie zapach Sary, wierzchowiec

uniósł szybko łeb i postawił uszy. Po zarysie jego sylwetki, widocznej

w świetle księżycy, Sara od razu rozpoznała, że nie jest to pospolity koń.

Czysta linia, prosty nos, rozdęte nozdrza i szeroko rozstawione oczy

dowodziły dobrej rasy.

-Zatrzymaj się - polecił jej Case. - Spokojnie, Świerszczu – odezwał się do konia. - To tylko ja.

Kiedy prześliznął się obok niej, zrozumiała, dlaczego chodzi tak cicho.

Miał na nogach sięgające kolan mokasyny, a nie buty, jakie nosiła większość białych mężczyzn.

Szybkimi, zdecydowanymi ruchami Case zaciągnął popręg, ujął wodze i podprowadził do niej konia. Wierzchowiec był olbrzymi.

- To największy świerszcz, jakiego kiedykolwiek widziałam – mruknęła.

- Założę się, że ma więcej niż cal wzrostu.

- Kiedy nadawałem mu to imię, nie był większy od świerszcza.

Wątpiła w to, ale nic nie powiedziała.

- Pozwól, niech cię obwącha. Nie bój się. To ogier, ale przy mnie jest dżentelmenem.

- Miałabym bać się konia? Coś takiego! - odparła.

Zmieniając ton głosu, zaczęła przemawiać do wierzchowca. Jej cichy głos brzmiał kojąco i melodyjnie, był tak czysty i spokojny jak szmer wody w strumyku.

Świerszczowi spodobały się te łagodne dźwięki. Case'owi również. Zaskakująco delikatny, aksamitny pysk zwierzęcia przesunął się po

kapeluszu Sary, musnął jej długie warkocze i dotknął wełnianej kurtki.

Potem wierzchowiec opuścił łeb i dotknął piersi dziewczyny w niemej prośbie o pieszczotę.

Zaśmiała się cicho. Case patrzył na nią bez słowa, czując, jak przeszywa go jakiś prąd. Zsunęła rękawice i zaczęła pieścić łeb i uszy wierzchowca.

Wsuwała palce pod uprząż w miejsca, w których rzemienie drażniły skórę zwierzęcia i które mogły podrapać tylko ludzkie ręce.

Świerszcz westchnął, trącił ją znowu nosem i oparł łeb na jej piersiach, zadowolony jak głaskany pies.

Case nie potrafił odpędzić z myśli pytania, jak by się sam czuł, gdyby te sprawne, delikatne dłonie dotykały jego włosów, jego ciała i gdyby słyszał, jak ona się śmieje, dostrzegając jego reakcję.

„A niech to piekło!” - zaklął w duchu. „Co się ze mną dzieje? Jak będę dalej tak myślał, to nie będzie mi się wygodnie jechało”.

- Pomóc przy wsiadaniu? - zapytał szorstko.

- To twój koń. Czy potrzebuję pomocy?

Case wykonał tak szybki ruch, że Sara nawet się nie spostrzegła, co się dzieje. Nie przerwała jeszcze pieścić wierzchowca, a już znalazła się w siodle. Zauważyła tylko, że Case uniósł ją, jakby ważyła tyle co piórko.

Zanim zdążyła się poprawić w siodle, Case wykonał kolejny błyskawiczny ruch. W mgnieniu oka znalazł się za nią i otoczył ją ramionami.

Napreżyła się, przypominając sobie zakodowany od dawna strach.

Świerszcz wyczuł to i poruszył się niespokojnie.

- Spokojnie - odezwał się cicho Case. - Zdawało mi się, że powiedziałaś, iż umiesz jeździć konno - dodał już mniej delikatnie.

- Umie - rzuciła przez zaciśnięte zęby.

- Więc nie siedź tak, jakbyś połknęła kij, bo to denerwuje konia.

Odetchnęła, uświadamiając sobie, że Case sięgał tylko po wodze, a nie próbował ją objąć.

- Jesteś bardzo szybki - mruknęła.

- Tak mówią.

Zawrócił ogiera i ruszył ku wylotowi wąwozu. Sara powoli się odprężała. Wierzchowiec szedł lekko kołyszącym się krokiem, bez trudności pokonując przeszkody.

- Dobry koń - powiedziała po chwili. - Naprawdę dobry.

- On i Bugle Boy to już ostatnie.

- Ostatnie z czego?

- Ostatnie z koni, które hodowałem z moim bratem. Wojna i bandyci zniszczyli resztę, rodzinę brata też.

Mówił spokojnym, pozbawionym emocji głosem, jakby opowiadał o czymś, co przydarzyło się innej osobie.

- Przynajmniej coś ci zostało - odparła Sara. - Mnie pozostała tylko sukienka, młodszy brat i tyle głodu, że gotowa byłam jeść trawę.

- Wojna?

- Powódź. Sześć lat temu.

Case poprawił się nieco w siodle. Zapach, ciepło i bliskość Sary Kennedy przyprawiały jego ciało o piekielne męki.

- Luizjana? - zapytał, starając się, żeby jego głos brzmiał normalnie.

- Wschodni Teksas.

Wciągnął głęboko powietrze i od razu tego pożałował, czując woń kobiecego ciała i róż.

- Sześć lat temu? Musiałaś być wtedy jeszcze dzieckiem?

- Szło mi na czternasty rok. Byłam wystarczająco dorosła.

- Do czego?

- Do małżeństwa.

Ton jej odpowiedzi nie zachęcał go do zadawania kolejnych pytań. Nie miał nic przeciwko temu, gdyż nieco szorstkawy, przepełniony kobiecością głos Sary nie pomagał mu uspokoić przyspieszonego pulsu. Wierzchowiec szybko pokonał kilka mil dzielących ich od domu Sary. Nie mówiła, dokąd jechać, a Case wcale jej nie pytał. Wiedział, dokąd ją odwieźć.

Kiedy to zrozumiała, myśl o tym zapadła tak głęboko w jej świadomość jak zapach jabłek, konia i skóry. A fakt, że ktoś obcy zna drogę do jej domu, zaintrygował ją jedynie.

„Co on tu może robić?” - zapytała się w duchu.

Nie powtórzyła tego pytania na głos. Nawet gdyby była na tyle nieokrzesana, żeby zapytać go, co robi na tym pustkowiu, to i tak nie musiałaby tego robić. Tylko ludzie wyjęci spod prawa, Indianie, poszukiwacze skarbów, kowboje i szaleni artyści przybywali na tę kamienną pustynię, która była jej domem.

Wątpiła w to, czy Case jest kowbojem. Świerszcz z pewnością nie był zwykłym kowbojskim koniem. Nie zauważyła też przy siodle wierzchowca

sprzętu używanego przez poszukiwaczy złota.

Nie wyglądał również na Indianina, pozostawał więc do wyboru bandyta wyjęty spod prawa lub zwariowany artysta.

Case mógł być jeszcze kimś innym, ale z pewnością nie szaleńcem.

Ściągnął wodze na opadającej stromo ścieżce, która prowadziła ku porośniętej krzewami bawełny doliny Kanionu Zagubionej Rzeki. Nie wychylał się z cienia, gdyż księżyc prześwitywał jasno przez płynące po niebie chmury.

Kilkaset stóp poniżej koron lip i platanów widać było światło lampy, wydobywające się przez szpary nieporadnie skleconej chaty. Tuż przy chacie znajdowała się zagroda z żerdzi, a w niej stóg siana i szałas z wikliny, służący jako schronienie dla zwierząt. Obok rozciągał się dobrze utrzymany ogród z nagimi drzewami owocowymi. Nieco dalej widać było indiański szałas i małą budkę.

- Kto jest na straży? - zapytał Case.

- Nikt.

Zmrużył oczy. Instynkt podpowiadał mu dwie rzeczy. Pierwszą, że ona mówi prawdę, a drugą, że ktoś jednak ich oczekuje. Szybkim ruchem zeskoczył na ziemię, kryjąc się za wierzchowcem.

- Nie powinienem niepokoić twoich ludzi - powiedział. - Będę patrzył stąd, czy dotrzesz do domu bezpiecznie.

Tym razem Sara nie była zaskoczona, kiedy podniósł ją z konia i postawił na ziemi. Zdumiało ją jednak to, że zaczyna jej się podobać siła Case'a, tak samo jak spodobał się jej zapach jabłek w jego oddechu.

„Ciekawe, jak on wygląda bez tego kapelusza. Jego oczy wydają się jasne, a włosy ciemne, nie golił się od jakiegoś tygodnia, a może dwóch, ale jest schludny. Czy smakowałby tak jak jabłka ogrzane na słońcu?”

Ta myśl zaskoczyła ją bardziej niż wszystko inne, co wydarzyło się tej nocy.

Case posłyszał jej urywany oddech i zobaczył, jak nagle rozszerzają się jej oczy. Wiedział z jakąś instynktowną pewnością, że ten sam ogień, który płonie w nim, dotknął również jej duszy.

- Nie oddalaj się z domu sama - powiedział spokojnym tonem. - Następnym razem może mnie nie być w pobliżu, żeby wydobyć cię z opresji.

- Nie byłam w żadnej opresji, dopóki mnie nie rozplaszczyleś pod sobą jak koszulę przed prasowaniem - odparła.

- Przepraszam, nie chciałem cię skrzywdzić.

- Nie chciałeś. Tylko że jesteś... mężczyzną.

Znowu lekka szorstkość jej głosu dotknęła go jak język ognia.

- Przestań patrzeć na mnie w ten sposób - powiedział.

- W jaki sposób?

- Jak dziewczyna, która myśli o miłości. We mnie nie ma już żadnej miłości. Wszystkim, co mam, jest to.

Pochylił się i nakrył jej usta swoimi. Chciał, żeby ten pocałunek był

twardy i szybki, żeby ostrzegł ją, by nie umieszczała go w swych marzeniach. Jednak, kiedy się pochylał, zapach róż wypełnił jego nozdrza. Nie mógł już naruszyć jej ust, tak samo jak nie mógłby zniszczyć pączka róży. Czubek jego języka przesunął się po jej ustach w delikatnej gorącej pieszczocie. W następnej chwili zniknął, zostawiając Sarę samą w środku nocy ze smakiem mężczyzny na ustach i dreszczem pierwszego w życiu pocałunku przeszywającym całe jej ciało.

2

Następnego ranka Case obudził się na długo przed świtem. Pustynna noc była zimna jak górski potok, ale nie dlatego obudził się tak wcześnie. To zapach ciała Sary wracał do niego akurat wtedy, kiedy zapadał w sen. Budził się wówczas tak podniecony, że nie mógł już zasnąć, dopóki krew nie uspokoiła mu się w żyłach. To dlatego wstał wcześniej niż słońce i mówił do swojego konia: -Widzisz, Świerszczu, miałem rację. Smakowała różami, gorącym i szczyptą soli. Akurat tak, żeby mężczyzna zrozumiał, iż jest cała kobietą. Wielki ogier zastrzygł uszami, nastawiając je w kierunku Case'a, ale nie przestał się paść. - A ja jestem cholernym głupcem, że chciałem to sprawdzić. Świerszcz parsknął, potarł pyskiem o przednią nogę i nadal skubał trawę. - Nie ma już co tego rozpamiętywać. Koń paść się spokojnie. - Sara nie wie, że Ab jest niecierpliwym człowiekiem. Jak tylko spadnie pierwszy prawdziwy śnieg, to będzie miał dość mieszkania w szałasie z chrustu. Zacznie myśleć o tej koślawej chacie i mieszkającej w niej ciepłej dziewczynie. Świerszcz podniósł łeb, postawił uszy i spojrzał ponad głowę swego pana. Case poderwał się na nogi, obracając się błyskawicznie. W jego lewej ręce błysnął sześcioprowadkowy rewolwer. Czekał spokojnie na to, co koń już odkrył. Skomliwe wycie kojota wzniosło się z wąwozu pod niebo, na którym żółtawy blask brzasku powoli przyćmiewał światło gwiazd. Po chwili Świerszcz zaczął znowu się paść. - Po prostu samotny wyjec, co? Schował rewolwer i znowu przysiadł na piętach. Ponieważ nie zamierzał tego dnia podkraść się do nikogo, na nogach miał nie mokasyny,

ale buty do konnej jazdy.

Nie rozpałił ogniska, żeby odegnać chłód zimowego świtu. Jego śniadanie było równie oszczędne jak jego obozowisko. Twarde suchary i woda z jaskini, w której znalazł kryjącą się Sarę Kennedy.

„Ab wie o niej” - pomyślał z niepokojem. „Wie, gdzie ona jest. Wie, że jest pod opieką tylko starego banity, dziwki i chłopca”.

- Może powinienem dać sobie spokój ze śledzeniem Aba i wyczekiwaniem na okazję, żeby dopaść wszystkich Culpepperów - powiedział do Świerszcza.

Jedyną odpowiedzią konia był trzask trawy zrywanej przez jego silne, białe zęby.

- Może powinienem zaczekać w tej małej osadzie za rzeką. To tam te chłopaki upuszczają sobie pary. Jak myślisz, Świerszczu?

Koń pasł się, nadal nie zdradzając swoich myśli.

- Mógłbym znowu zagrać w pokera - kontynuował monolog. - Wcześniej czy później jeden z nich wyzwie mnie na pojedynek, tak jak zrobili ich krewniacy Jeremiah i Ichabod koło Spanish Bottoms.

Case nie wspomniał o tym, że Ichabod był prawie tak szybki w obchodzeniu się z bronią jak on sam. Tamtej nocy śmierć zajrzała mu w oczy.

Wtedy nie miało to dla niego większego znaczenia.

Teraz nieco się tym martwił. Nie chodziło o samą obawę przed śmiercią, wojna wypaliła w nim to uczucie. Nie mógł jednak pozbyć się myśli o tym, że jest odpowiedzialny za Sarę.

Wiedział z bolesną pewnością, jak okrutny potrafi być Ab w stosunku do kobiet. Case widział rezultaty wyczynów Aba i jego klanu w różnych miejscach od Teksasu po Nevadę. Im bardziej bezbronna była ofiara, tym bardziej podobało się to Culpepperom.

Nawet dzieci nie były bezpieczne.

„Ted i mała Em” - pomyślał Case. „Nadal by żyli, gdybym nie namówił Huntera, żebyśmy pojechali na wojnę i walczyli za honor, szlachectwo i dumę Południa. Kiedy miałem piętnaście lat, byłem prawdziwym szaleńcem, gotowym zabijać Jankesów od świtu do zachodu słońca i znowu do świtu. Byłem wtedy prawdziwym...”

W jego myślach nie było emocji, tylko gorzka świadomość. Pociągnął Huntera na wojnę, odbierając go rodzinie. Małe dzieci brata zostały pod opieką matki - kobiety, która nie nadawała się do tego, żeby wychować szczenię, nie mówiąc już o dziecku.

Na ranczu nie było żadnego z nich, gdy banda Culpepperów dopadła Teda i małą Emily.

„Musi upłynąć jeszcze wiele wody w rzece, nim zapomnę” - powiedział sobie w duchu. „Ale wcześniej zasypię ziemią grób ostatniego z Culpepperów”.

- Im szybciej zacznę, tym szybciej skończę - powiedział głośno. -

Wtedy będę mógł przestać zajmować się zakopywaniem śmieci i zabrać

się do ważniejszych rzeczy. Poszukam odpowiedniego miejsca na ranczo.

Wypił reszkę wody z menażki, przytroczył ją do pasa i wstał.

Świt rozlewał się nad ziemią cichą, złotą falą. Skalne słupy, iglice, wzgórza i płaskowyże z twardego kamienia wylaniały się w świetle brzasku w odcieniach czerwieni i złota.

Pojawił się wiatr, jakby przywołany świtem. Czyste, zimne powietrze zawirowało wokół Case'a, targając mu czarne włosy i pieszcząc twarz jak czuła kochanka. Powietrze niesło w sobie zapach czasu i przestrzeni, skał i wschodów słońca sprzed wieków.

Kojot znowu zawył. Odpowiedział mu wiatr.

- Wybuduję swoje ranczo w miejscu takim, jak to - powiedział cicho. - Te skalne budowle były tutaj na długo przed przyjściem na świat Adama. Będą tutaj długo potem, gdy z ostatniego człowieka nie zostanie więcej niż garstka popiołu.

Jeszcze przez kilka chwil stał i patrzył, jak ziemia rodzi się z ciemności. Coś bliskiego uspokojenia, złagodziło zaciętą linię jego ust.

- Ziemia trwa - powiedział. - Niezależnie od tego, jak źli czy głupi są ludzie, ziemia codziennie odradza się czysta.

Kojot zawył jeszcze raz i zamilkł.

- Amen, bracie. Amen.

Zdecydował się już. Odwrócił oczy od oszałamiającego piękna świtu. Sprawnymi ruchami, które świadczyły o wielkim doświadczeniu w obozowaniu pod gołym niebem, zawinął swoje posłanie w pałatkę, związał je i odłożył na bok. Siodło leżało odwrócone, tak żeby wyschła podściółka z owczej skóry. Koczek z siodła, który służył mu jako dodatkowy element posłania, kiedy było zimno, też leżał odwrócony na lewą stronę.

Gdy tylko Case sięgnął po siodło, koń przyspieszył skubanie trawy.

Wiedział, że wkrótce będą na szlaku, a na kamiennej pustyni trudno było znaleźć trawę.

Ogier nie przerwał jedzenia nawet wtedy, gdy Case szybko go wyszczotkował, oczyścił kopyta i zaciągnął popręg.

Zanim dosiadł konia, jak zwykle sprawdził swój samopowtarzalny karabin i strzelbę. Tak jak zawsze były w stanie gotowym do użycia. Wsunął broń do przymocowanych u siodła olstrów.

Nie musiał sprawdzać rewolweru, gdyż zrobił to, gdy tylko się obudził.

Szybko założył na konia sakwy i zwinięte posłanie, wziął do ręki wodze i rozejrzał się, czy czegoś nie zapomniał. Na ziemi nie było nic poza śladami kopyt.

Kiedy podszedł do konia, ten skubał trawę, przeżuwał ją i połykał z zadziwiającą prędkością.

- Lubisz opychać się tą zieleniną, prawda?

Wierzchowiec podniósł łeb, żeby przyjąć wędzidło. Nitki zielonej śliny zwisały po obu stronach jego zgrabnego pyska. Case cmoknął z dezaprobatą.

- Wiem, że się ze mnie śmiejiesz, ty rozpuszczony diable.

Mimo tych słów delikatnie założył wędzidło. Nauczono go w młodości cenić dobrego konia, tak samo jak mądry mężczyzna ceni dobrą broń. Należy się o nie troszczyć, a wtedy one zatroszczą się też o swojego właściciela.

„Szkoda, że ludzie nie są tacy jak konie i broń” - pomyślał. „W ten sposób byłoby mniej wojen i nie byłoby ludzi takich jak Culpepperowie”.

Wskoczył na siodło szybkim, zgrabnym ruchem. Świerszcz nie kładł uszu ani nie garbił się zwyczajem wielu koni hodowanych na zachodzie. Akceptował jeźdźca, tak samo jak akceptował świt - jako normalną część życia.

- No, Świerszczu. Sprawdźmy ten szmatławy saloon. Zobaczymy, czy jednooki *padre* znaczy tym razem karty w sprytniejszy sposób.

Było już późne popołudnie, kiedy Case dotarł do osady ironicznie zwanej przez wszystkich Hiszpańskim Kościołem.

Nazwa ta wzięła się częściowo od tego, że wielka skała, która stanowiła tylną część miejscowego saloonu, wyglądała jak hiszpański kościół, o ile człowiek, który patrzył na nią, był wystarczająco pijany. Poza tym nazwa związana była z pierwszym właścicielem saloonu, który nazywał się Pader Gunther. Dość szybko przekreślono imię Pader na „padre”. Od tamtej pory każdy właściciel owego lokalu nazywany był „padre”.

Miano Hiszpański Kościół przyłgnęło do tej osady, tak samo jak jej zła sława.

Osada składała się z kilku byle jakich chat, rozrzuconych wzdłuż Bawełnianej Rzeki. Przez większą część roku rzeka była strumykiem, tak małym, że można było splunąć na jego drugi brzeg. Płynęła jednak przez cały rok, co było rzadkością w tym rejonie. Jej źródło znajdowało się w odległych górach, gdzie wiosenne roztopy spływały z pokrytych śniegiem szczytów przez skalistą krainę, a stamtąd w labirynt kamiennych kanionów, których nie spenetrował jeszcze żaden biały człowiek.

W osadzie nie było ulicy ani budynku, który zasługiwałby na to miano, ani żadnej prawdziwej stajni. Za poidło dla koni służyła ta sama sadzawka, z której czerpali wodę pitną ci spośród mieszkańców, którzy nie potrafili ugasić pragnienia miejscowym samogonem.

Case obserwował osadę przez lunetę ze szczytu wzgórza. Naliczył osiem wierzchowców przywiązanych nad strumykiem lub chodzących luzem w pobliżu. Pośród nich dostrzegł dwa gniade muły.

Uważnie przyjrzał się im, ale nie wiedział, który z Culpepperów jest wewnątrz skleconego z gałęzi i płótna szałas, w jakim mieścił się saloon.

- Dobrze, że pasłeś się przez noc - powiedział do Świerszcza. - W tym miejscu nie ma tak samo nic dla człowieka, jak i dla zwierzęcia.

Nad strumieniem nie było trawy. Wyjadły ją konie puszczone samopas, gdy ich właściciele pili i zabawiali się w saloonie.

- Może Ab przyjechał na jednym z tych mułów - mruknął do siebie Case. - Może po prostu odetną głowę węża i zostawię resztę, żeby zdychała w konwulsjach.

„Może...”

Zacisnął ponuro osłonięte przez czarny zarost usta.

„To niezbyt prawdopodobne” - pomyślał. „Ab mógł być tym, który sam osobiście zbeczczył Teda i Em, zanim sprzedał ich Comancheros, ale reszta jego kompanii nawet nie kiwnęła palcem, żeby go powstrzymać”.

Przez kilka minut Case rozważał korzyści i niebezpieczeństwa, jakie mogą wynikać z jego wizyty w osadzie. Jeżeli Ab tam był, to Case zostałby rozpoznany, ale nie jako jeden z Teksaszczyków, którzy podążali za Culpepperami z sakwami pełnymi plakatów z nadrukiem „Poszukiwany żywy lub martwy”.

Ab widziałby w nim rewolwerowca, wynajętego w Rubinowych Górach w Nevadzie przez zmarłego niedawno Gaylorda Culpeppera. Culpepperowie próbowali wówczas w prosty sposób zdobyć dobrą kryjówkę, przejmując rancza B Bar i Ladder S od ich prawnych właścicieli. Ich zamiary nie powiodły się, ale przez chwilę byli bliscy sukcesu.

Case nie wiedział, czy ktokolwiek w Nevadzie domyślił się, że on działa przeciwko Culpepperom. Gdyby Ab o tym wiedział, to teraz zastrzeliłby go bez wahania.

„Jest tylko jeden sposób, aby się tego dowiedzieć” - pomyślał Case.

Wyjął mechanicznym ruchem rewolwer, obrócił bębenek, sprawdzając mechanizm, wsunął broń do olstra i przytroczył ją rzemieniem z surowej skóry. Wydobył drugi bębenek z kieszeni kurtki, sprawdził, czy jest załadowany, i odłożył go z powrotem do kieszeni.

„Dobrze byłoby mieć ze sobą Huntera” - pomyślał.

Przypomniał sobie Elysę, która kochała Huntera tak bardzo, jak bardzo niewielu mężczyzn ma szczęście być kochanych przez kobietę.

„Lepiej dla Huntera, że został w Rubinowych Górach. Jeżeli ja zginę, żadna kobieta nie będzie nosiła żałoby i żadne dzieci nie będą chodziły głodne”.

Wsiadł na konia tak samo sprawnie, jak robił wszystko inne. Jego postura nie zadziwiła, dopóki nie widziało się go stojącego przy innych mężczyznach.

Gdy był sam wyglądał na spokojnego, zgrabnie poruszającego się mężczyznę, który czuje się dobrze w siodle.

Jak zwykle zbadał terytorium wroga, najpierw z pewnej odległości, następnie z bliska. Jechał łagodnie prowadzącą w dół ścieżką, która biegła wokół osady.

Nie spodziewał się trafić na strażę czy zasadzkę. Z drugiej strony jednak nie byłby nimi bardzo zaskoczony. Hiszpański Kościół nie był miejscowością dla chłopców ze szkółki niedzielnej.

Pierwszy człowiek, jakiego zobaczył, leżał na brzuchu obok wielkiej kępy zarośli. Był albo pijany, albo martwy. Trudno to było stwierdzić z odległości stu stóp, a Case nie zamierzał bardziej się do niego zbliżyć.

Koń zastrzygł uszami, parsknął i ostrożnie obszedł łukiem leżącego.

- Nie mam do ciebie pretensji, stary - powiedział Case. - Nieraz czułem przyjemniejszy zapach skunksów zostawionych na słońcu, żeby wyschły. Zatoczył koło, żeby obejrzeć pasące się konie i przestudiować wypalone na ich zadach znaki.

Ranczo Circle A, ranczo Rocking M - odcyfrowywał znamiona.

Od razu rozpoznał te znaki. Obydwa pochodziły z rancz położonych blisko domu Sary Kennedy. Nie były jednak zbyt blisko. Nazywanie ich sąsiadami byłoby przesadą.

Właściciele tych posiadłości osiedlili się na bogatych w wodę wyżynach, położonych o dobre dwa dni jazdy od kamiennej pustyni, na której zajął działkę Hal Kennedy.

Pozostałe konie miały znaki, które były albo zbyt niedbale wykonane, albo celowo wypalone na nowo, żeby zmienić ich pierwotny wygląd.

Błyszcząca sierść dwóch gniadych mułów nie nosiła żadnych znaków.

W zacienionym wąwozie stały jeszcze trzy konie. Przeszepowały z nogi na nogę i oganiały się przed muchami długimi ogonami. Jeden z nich był osiodłany. Dwa pozostałe miały na sobie pełne sakwy prowiantu, zszyte starannym ścięciem.

Były to mustangi, ale miały dobre nogi, dobrze rozwiniętą klatkę piersiową i muskularne zady. Chociaż widać było, że dobrze o nie dbano, to nie były podkute. Nie potrzebowały tego. Mustang, który rani sobie kopyta, biegając po kamienistym terenie, nie ma żadnych szans na długie życie.

„Wyborne sztuki” - pomyślał Case, patrząc na trzy mustangi. „Ktoś tutaj zna się na koniach”.

Podchodząc bliżej, dojrzał, że wszystkie mustangi noszą ten sam znak: S-C.

„Połączone S-C” - pomyślał. „Znak Sary Kennedy. Ciekawe, czy ona wie, że trzy jej konie zawędrowały do tego gniazda bandytów”.

Zbliżywszy się do wierzchowców, zobaczył, że u końca rozpadliny znajduje się mały strumyczek. Ostatniej jesieni i na początku zimy padało dużo deszczu i dlatego strumyk płynął mimo niedawnej letniej suszy.

Kopyta koni zostawiały głębokie ślady w czerwonej ziemi na brzegach Strumyka. Woda była czysta. Case pozwolił napić się swojemu wierzchowcowi, ale nie za dużo, żeby koń nie był ociążony, gdyby musieli w pośpiechu opuszczać osadę.

- Przykro mi, stary - powiedział, odciągając konia od wody. - Przez

pewien czas musisz być na służbie.

Nie zwalniając popręgu przywiązał ogiera do krzaka rosnącego po słonecznej stronie skały. Miejsce to było blisko drzwi saloonu, o ile poplamiony i porwany kawałek płótna można nazwać drzwiami. Wiedział, że najbardziej niebezpieczny moment nastąpi, kiedy pochyli się, żeby przekroczyć próg, i wprost ze słońca wejdzie do ponurego, wypełnionego dymem wnętrza. Nie zawahał się jednak. Przesunął jedynie ramię przytrzymujący rewolwer, gdy pochylił się w wejściu.

Już pierwsze spojrzenie wystarczyło mu, by zorientować się, że wewnątrz jest mniej ludzi niż wierzchowców na dworze.

Zaniepokoił go ten fakt.

„Może gdzieś odsypiają w krzakach po przepiciu” - pomyślał.

Ale nie liczył na to. Wybrał miejsce przy barze, skąd miał dobry widok na obskurne wnętrze i jedyne drzwi saloonu.

Nikt nie podszedł, aby go obsłużyć.

Nikt też nie spał w wąskiej niszy wykutej w skale za kontuarem. Odwrócił się plecami do baru i rozejrzał się po saloonie.

Czterech mężczyzn grało w karty. Dwóch z nich było z klanu Culpepperów, ale nie było wśród nich Aba. Chociaż fizyczne różnice pomiędzy Culpepperami były niewielkie - wszyscy byli raczej szczupli, nieco zezowaci i mieli jasnoblond włosy - to Case potrafił ich rozróżnić, ponieważ śledził swych wrogów już od dawna.

„Quincy i Reginald, ale nie ma Aba” - stwierdził zawiedziony. „Jego nigdy nie ma, kiedy nadchodzi pora umierać”.

Opanował swą irytację, przypominając sobie, że Quincy i Reginald nie są niewiniątkami. Ich nazwiska widniały na większości plakatów z napisem „Poszukiwany”, znajdujących się w sakwach Świerszcza. Znani byli ze sprawnego posługiwania się bronią i skłonności do wydobywania rewolwerów pod byle pozorem. Mówiono, że chociaż są szybkimi strzelcami, to wolą atakować swe ofiary z zasadzki.

Obydwaj cieszyli się złą sławą również z tego powodu, że strzelali w brzuch każdemu, kto im się nie podobał, a potem zakładali się o to, jak długo nieszczęśnik będzie umierał. Jedna z ich ofiar cierpiała trzy tygodnie.

Zakładali się też o to, jak często ofiara będzie krzyczeć, zanim skona.

Piąty mężczyzna leżał, chrapiąc, koło ognia. Obok niego spoczywał rozciągnięty na ziemi, chudy pies ze skudlonym włosiem. Case uważnie przyjrzał się wnętrzu. Nie było ono niczym więcej niż naturalnym zagłębieniem w skale, z trzech stron ograniczonym ścianami z chrustu i okrytym płótnem, które mogło pochodzić z czasów, kiedy Łazarz został wskrzeszony spośród zmarłych. W obłożonym kamieniami palenisku płonął ogień, ale saloon nie miał komina. Dym z ogniska wypełniał wnętrze, a po drodze dołączały do niego smugi dymu z papierosów i cygar. Kiedy zawiął mocniejszy wiatr, powietrze nieco się przejaśniało i zimny przeciąg wypełniał saloon.

Hiszpański Kościół nie był lokalem, w którym gość mógłby przyjemnie spędzić czas przy barze z czereśniowego drewna, opierając nogi na mosiężnych prętach i spoglądając w lustro. Kontuar w saloonie był wykonany z desek położonych luźno na pustych beczkach po whisky. Stoliki wykonano w podobny sposób, z wyjątkiem jednego, który zrobiono z dna wozu Padera Gunthera.

Przecięte na pół i odwrócone do góry dnem beczułki po whisky pełniły funkcję krzeseł. Były też krzesła zrobione z gałęzi krzewów bawełnianych, z siedzeniami z kawałów krowiej skóry, na której nadal można było dostrzec sierść w różnych odcieniach czerni, brązu i bieli.

Na skórach były wypalone różne znamiona. Od czasów, gdy ktoś założył tę osadę nad źródłem wody pitnej wśród suchego pustkowia, Hiszpański Kościół był miejscem handlu dla ludzi wyjętych spod prawa i złodziei bydła.

- Czy ktoś widział *padrel* - zapytał Case swobodnym tonem.

- Co ci tak pilno? - mruknął Quincy, nie podnosząc oczu znad wytartych kart. - Ucina sobie cacy drzemkę.

Case spojrzał na barmana i psa.

- To jego żona?

Jeden z mężczyzn parsknął krótkim śmiechem. Miał szpakowate włosy, przycięte nożem na wysokości ramion i przewiązane w indiańskim stylu przepaską na czole. Opaska nie była zrobiona z kawałka szmaty ani z paska surowej skóry, lecz była utkana w jakiś specyficzny, nie indiański i nie europejski sposób. Mężczyzna był mieszańcem, nie należał jednak do bandy Moody'ego.

„To ten stary, którego nazywają Ute” - pomyślał Case. „Musiał tu przyjechać po rzeczy dla Sary. Albo dla samego siebie. Nie pierwszy człowiek, który okrada wdowę i dziecko”.

Ute spojrzał na śpiącego mężczyznę i psa, a potem rzucił okiem na Case'a.

Nagle jego oczy zwężyły się, jakby w jakiś sposób go rozpoznawał.

Nawet jeśli tak było, to nie powiedział ani nie zrobił nic, co zwróciłoby na niego uwagę pozostałych.

- No, stary. Wchodzisz czy się wycofujesz? - warknął Reginald pod adresem Ute.

Ton jego głosu zdradzał, że w tej partii należy do przegranych. Ute zgarnął ze stołu garść srebrnych monet i wsunął je do kieszeni.

Uśmiechając się do Reginalda, rzekł po hiszpańsku, że jego matka jest dziwką, a siostra chodzi na czterech łapach. Mężczyzna siedzący na lewo od Reginalda uśmiechnął się ukradkiem, ale żaden z Culpepperów nie znał na tyle hiszpańskiego, żeby zrozumieć obraźliwe słowa.

- Hej, nie zabierzesz mi pieniędzy, jak nie dasz mi szansy odegrać się - zaprotestował Reginald.

- Przyjdź tu, jak będzie nów - odparł Ute.

- Ale...

Nikt nie wiedział, co Reginald chciał powiedzieć, gdyż Ute przerwał, mu, przewracając kopniakiem stolik i podrywając się na równe nogi z zaskakującą u człowieka w jego wieku prędkością.

Zanim pozostali gracze otrząsnęli się z wrażenia, Ute już stał gotów do walki. W rękach trzymał odbezpieczoną dubeltówkę. Jeden z jego grubych, pokrytych bliznami palców spoczywał na językach spustowych.

- Jak będzie nów - powtórzył.

Case przezornie nie ruszył się. Trzymał obie ręce na widoku. Jego gest został doceniony: Ute wyszczerzył do niego zęby i wycofał się z pomieszczenia, zanim Culpepperowie spróbowali go powstrzymać.

- Wpakuję temu sukinsynowi kulę w brzuch - warknął ponuro Reginald.

- Nie dzisiaj - powiedział Quincy. - Dzisiaj gramy w karty. Rozdawaj, Beaver.

Mężczyzna zwany Beaverem wziął karty do ręki i zajął się rozdawaniem. Barman nadal chrapał.

Case podszedł do ognia i wymierzył barmanowi szybkiego kopniaka czubkiem buta w zad. Jednak *padre* nie obudził się.

- Jestem splukany - odezwał się Reginald. - Daj mi kredyt, Quincy.

- Nie zapłaciłeś mi jeszcze za ostatni raz.

- Och, do cholery. Jestem twoim bratem!

- Przyrodnim bratem.

- Do cholery.

Reginald odwrócił się z wściekłością plecami do stołu. Jego wzrok spoczął na pierwszym obiekcie, jaki dojrzał. Był nim Case.

- Czy ja ciebie gdzieś nie widziałem? - rzucił Reginald.

- Bywałem tu i tam.

- Gdzie byłeś ostatnio?

Beaver posłał nad kartami spłoszone spojrzenie w ich kierunku. Pytanie człowieka, skąd jest, było nie tylko niegrzeczne, ale mogło być też niebezpieczne. Reginald mógł być zbyt rozdrażniony, żeby zauważyć spokój i pewność siebie przybysza, ale nie Beaver. Instynktownie zaczął więc rozglądać się za kryjówką. Nie miał ochoty pomagać Reginaldowi.

Uważał, że wokół jest za dużo Culpepperów. Dobrze byłoby eliminować ich po kolei.

- Tam - odparł Case.

- Co?

- Pytałeś mnie, gdzie byłem - odparł spokojnie Case - więc ci powiedziałem

- Tam? - powtórzył Reginald. - Cholera, co to za odpowiedź?

- Nie dostaniesz żadnej innej.

Quincy poderwał się na nogi, a Beaver skoczył w kąt, w którym, jak miał nadzieję, był niewidoczny.

- Mamy przewagę, stary - powiedział Quincy. - A może nie umiesz liczyć do dwóch?

- Umiem liczyć, ale nie liczę gnid.
- Mówisz na nas: gnidy? - oburzył się Reginald.
- Na was? Nie chcę obrażać gnid.

Z prędkością atakujących węży Culpepperowie sięgnęli do pasów po broń.

„Ale szybcy!” - przeleciało przez myśl Case'owi. Wyszarpnął broń i pociągnął raz za razem za spust. Huk jego wystrzałów zlał się w jeden grzmot, który nie ustał, dopóki nie wyczerpały się naboje. Bez wahania wymienił bębenek na pełny.

Ruszył do przodu, ale szedł niepewnie.

- Ja nie mam z tym niczego wspólnego! - zawołał Beaver ze swego kąta.

- I tak trzymaj. - Tak, proszę pana.

Padre usiadł, zamrugał oczami i rozejrzał się.

- Co to za hałasy? - zapytał ochrypłym głosem.

- Śpij dalej - powiedział Case.

- Czuć prochem - rzekł *padre*. - Ktoś oberwał?

- Tylko gnidy, nikt więcej. Tylko gnidy.

- Do diabła! Jak się strzela do gnid, to się marnuje proch. Lepiej rozduszać między paznokciami - powiedział *padre* i znowu osunął się na podłogę. Po drugim oddechu znowu chrapał donośnie.

Nie zważając na cieknącą mu po lewym boku i nodze krew, Case obszedł leżących na klepisku Culpepperów. Odsunął nogą broń od ich zwiotczonych palców, a potem pochylił się, żeby sprawdzić ich stan.

Obydwaj żyli, ale nie mieli powodów do radości. Widać było, że wraz z upływem czasu będą przeżywać katusze. Wszystkie rany były poniżej pasa.

- Przepraszam, chłopaki - powiedział Case. - Gdybyście się tak nie spieszyli z wyciąganiem broni, to zrobiłbym was na czysto. Te wasze kule przeszkodziły mi w celowaniu.

Wyprostował się powoli, odwiązał z szyi chustę, owinał ją wokół prawego uda i mocno zacisnął. Żyły napęczniały mu od krwi. Rana na lewej ręce coraz bardziej krwawiła.

- Niedobrze z tobą, *hombre* - powiedział Beaver.

Ignorując go, Case włożył dłoń pod koszulę, wydobył plakat z napisem: „Po-szukiwany żywy lub martwy” i przyciskając papier do brzucha, rozwinął go. Używając własnej krwi zamiast atramentu, przekreślił nazwiska Quincy'ego i Reginalda Culpepperów. Na plakacie widniało wiele linii, przekreślających nazwiska zabitych członków klanu. Były tam też nazwiska, których jeszcze nie wykreślił. Było ich dużo, za dużo.

- Lepiej ruszaj stąd - poradził mu Beaver. - Te chłopaki mają krewnych i upieką ci mózg na wolnym ogniu, tak jak to robią Apacze.

Case upuścił plakat pomiędzy obydwu Culpepperów i rzucił na ziemię garść monet.

-To twój kredyt - powiedział do Reginalda. - Teraz możecie się zakładać o to, który umrze pierwszy.

Powoli ruszył tyłem ku drzwiom. Nie spuszczał z oka Beavera. Choć był ranny, to lufa jego rewolweru ani na chwilę nie odchyliła się od piersi mężczyzny. Gdy dotarł do drzwi, zagwizdał przenikliwie melodyjnym tonem, przypominającym wołanie lecącego jastrzębia.

„Szybko!” - ponaglił w myślach wierzchowca. „Muszę znaleźć kryjówkę, zanim zemdleję”.

Rozległ się trzask chrustu i trzepot zasłony u wejścia do saloonu. Koń, uwolniwszy się z uwięzi, podbiegł do swego pana. Case chwycił za lęk i wciągnął się na siodło. Z każdym uderzeniem serca czuł rozlewającą się wewnątrz ciała falę bólu i mdłości. Zaciskając zęby, przywiązał się do siodła. Jego ręce były przerażająco niezdarne.

„Muszę dostać się domu” - pomyślał jak przez sen.

Jednak nie miał domu. Ostatkiem sił ponaglił wierzchowca do biegu w kierunku skalistego pustkowia.

3

- Coś ci przywiozłem - powiedział Ute.

Sara podniosła wzrok znad jastrzębia, którego właśnie opatrywała.

Jeden z bandytów obozujących w Źródlanym Kanionie obrał sobie ptaka za cel do ćwiczebnego strzelania. Na szczęście skrzydło jastrzębia nie było złamane. Widać było, że się zagoi. Jednak do momentu wyleczenia ptak musiał być opatrywany i karmiony, bo inaczej zagłodziłby się na śmierć.

- Książki? - zapytała z ciekawością.

Jastrząb szarpnął się z otwartym dziobem, usiłując wyrwać się z rąk dziewczyny. Sara przycisnęła go do piersi, mrużąc uspokajająco.

- Parę książek też.

- Co jeszcze?

Ute wskazał głową w kierunku wejścia do chaty.

- Lepiej się pośpiesz. On długo nie pociągnie.

Posłała mu zdziwione spojrzenie, ale już nie pytała o więcej. Wsunęła na głowę jastrzębia kaptur z miękkiej skóry, przywiązała mu nogę do drążka i pośpieszyła na dwór. Najpierw zobaczyła tylko krew jeźdźca. Zasnęła i świeżą. Zestrupiała i ciekącą. Krew na całym ciele

człowieka, który leżał na równie zakrwawionym siodle. Nagle rozpoznała konia.

- Boże, Case! - szepnęła.

- Znalazłem go w tym stanie, więc przywiozłem go do ciebie, jak wszystkie inne ranne stworzenia.

- Zdejmij go - poleciła suchym tonem i zaczęła wydawać głośne rozkazy.

- Conner! Conner! Chodź szybko i pomóż Ute! Lola, przynieś gojące zioła!

Ute wyciągnął nóż długości swego przedramienia, aby poprzecinać rzemień przytrzymujący Case'a w siodle. Przecinał właśnie ostatni węzeł, kiedy znad strumienia nadbiegł Conner. Był to dobrze zbudowany, wysmukły piętnastolatek, który jeszcze nie zdołał wyrosnąć na mężczyznę.

- Co się dzieje, siostrze?

- Popatrz - wskazała ręką na zakrwawionego jeźdźcę. - Musieli go dopaść Culpepperowie.

Case zaczął zsuwać się z siodła. Conner stęknął, pomagając Ute podtrzymać bezwładne ciało.

- Do diabła, kawał chłopca z niego - mruknął chłopiec.

- Nie przeklinaj - zwróciła mu uwagę Sara.

- Masz zamiar uczyć mnie manier czy pomóc temu człowiekowi? - odciął się Conner.

- Mogę zrobić jedno i drugie. Wnieście Case'a do środka i połóżcie go na moim łóżku.

- Case? Tak? - mruknął Conner.

Ujął ciężkie, zakrwawione buty rannego i wyprostował się, podnosząc ciężar. Ute pomagał mu, niosąc Case'a pod ramiona. Wnieśli go do chaty.

- To ten sam *hombre*, który podprowadził cię do domu przedwczorajszej nocy?

- Tak - odparła. - Skąd wiesz? - zdziwiła się nagle.

- Widziałem go.

- Co robiłeś na dworze tak późno w nocy?

- Kiedy Ute wychodzi, to śpię czujnie - odparł Conner.

Sara odwróciła twarz, żeby ukryć przed nim nagle zaróżowione policzki.

„Czy Conner widział, jak Case mnie całuje?” - pytała się w duchu.

- Lola! - zawołała. - Gdzie jesteś, do diabła?

- Idę, dziewczyno. Niektórzy z nas już nie są tak szybcy jak inni.

Głos nadbiegł od strony szafasu, w którym Ute i Lola urządzili sobie dom.

- Połóżcie go na moim łóżku - poleciła Sara.

Conner spojrział z powątpiewaniem, przenosząc wzrok

z zakrwawionego mężczyzny na nieskazitelnie czystą pościel na posłaniu

siostry.

- Kładźcie go ! - rzuciła.

Położyli rannego na pościeli okrywającej trzcinowy materac.

- Przynieś wody ze strumienia - poleciła Connerowi. - Ute, podaj czyste ścierki, ze sznura.

Obydwoj w pośpiechu wykonali jej rozkazy. Kiedy miała w oczach ten gorący płomień, bezpieczniej było bez protestów spełniać jej polecenia. Przykłękała przy rannym i z największą ostrożnością zdjęła mu buty i skarpety. Chociaż nie wydał żadnego dźwięku, wiedziała, że żyje, ponieważ krew nadal płynęła z jego ran. Wiedziała, że krwawienie ustaje, kiedy serce człowieka przestaje bić.

„Za wiele krwi” - pomyślała z przestachem, czując pod palcami, jak mokre są jego buty. „Do diabła, o wiele za dużo”.

Rozwiązała rzemień jego kapelusza i rzuciła go na kufer z wikliny.

Szybkimi ruchami rozpięła koszulę rannego, zdjęła ją z jego bezwładnego ciała, po czym zajęła się podkoszulkiem. Kiedy był nagi, dojrzała na jego ciele trójkąt ciemnych, przesiąkniętych krwią włosów, ciągnący się od obojczyków aż do pasa.

Delikatnie przesunęła palcami po klatce piersiowej rannego, szukając pod krwią ran. Nie znalazła żadnej oprócz tej, którą już wcześniej zauważyła, na wewnętrznej stronie jego ramienia.

„Płytką rana”-pomyślała z ulgą. „Bardzo krwawi, ale nie jest zbyt niebezpieczna”.

Rozpięła mu pas i zaczęła obsuwać spodnie i bieliznę, bojąc się z każdym centymetrem odsłanianego ciała tego, co może zobaczyć.

„Proszę, Boże. Żeby tylko nie był ranny w brzuch”.

Krew, która była na jego brzuchu, pochodziła z rany na ręce. Odetchnęła z ulgą i ostrożnie ściągnęła mu spodnie z nóg.

Na widok ran na jego udzie ścisnęło ją w żołądku.

- Jezuniu, ale kawał chłopa! - zauważyła Lola zza pleców Sary.

- Jezuniu, tylko że teraz wygląda jak kotlet - odparła Sara. - Przynieś, proszę, przybory medyczne.

Śmiejąc się, Lola podeszła do kufra i wydobyla z niego walizeczkę z czarnej skóry, która niegdyś należała do wuja Sary.

- Co ci trzeba?

- Cudu - odparła Sara.

- Nie wiedziałam, że masz w tej walizce cuda.

- Ja też nie.

Zapadła cisza, przerywana tylko pluskiem wody, którą Sara przemywała rany Case'a. Zaczęła od ręki. Tak jak myślała, rana niezbyt groźna, chociaż bardzo krwawiła.

- Tego nie warto zszywać - zauważyła Lola.

- Gorąca woda. Mydło. Więcej ścierek. Ależ jest posiekany! - powtarzała Sara.

- Ute! - krzyknęła Lola.

- Przecież słyszę - odpowiedział ponurym tonem. - Dlaczego zajmujesz się tym szorowaniem, kiedy...

- Przestań zrzędzić - przerwała mu Lola. - Ona kiedyś uratowała twoją skórę.

Mrucząc coś, Ute podłożył chrustu do ognia i zajął do wiszącego na trójnogu kociołka.

- Zaraz się zagotuje - oznajmił.

- Dziękuję - odpowiedziała Sara, nie podnosząc oczu znad rannego.

Ute przypatrywał się Sarze z wyrazem podziwu w swych czarnych oczach. Gdzieś głęboko w duszy był przekonany, że Sara jest aniołem o cynamonowych włosach, zesłanym na ziemię, by pomagać ludziom, którzy nie są w stanie pomóc sobie sami.

Rzadko o tym mówił, ale wierzył w to tak bardzo jak w niewiele innych rzeczy na świecie.

Czekając na gorącą wodę, Sara delikatnie obmywała krew z ciała Case'a. Skończywszy, popatrzyła na swoje dzieło.

„Lola ma rację” - spostrzegła w duchu. „To kawał chłopca”.

Ta bezsensowna myśl zaskoczyła ją samą. Od czasu swojej przykrewnej inicjacji w małżeńskie obowiązki Sara nie czuła fizycznego pociągu do mężczyzn.

Pospiesznie nakryła Case'a czystą tkaniną, by zachować chociaż resztki skromności.

Jednak wiedziała, że długo nie zapomni tego, co zobaczyła.

„W każdym szczególe jest większy, niż był Hal” - pomyślała z wewnętrznym drżeniem.

Drżała, gdyż w przeszłości doznała wystarczająco wiele bólu od swego niepozornie zbudowanego męża. Nie mogła sobie wyobrazić, że mogłaby leżeć z zaciśniętymi zębami, gdy mężczyzna postury Case'a przesuwałby, się pomiędzy jej nogami.

- Przyniosłem - powiedział Ute, podając jej garnek z gorącą wodą.

- Dziękuję.

Wzięła garnek i spojrzała w przymrużone, czarne oczy Ute.

-Wuj Wiliam mówił mi, że czysta rana goi się lepiej niż brudna i że każda kobieta wie, iż gorąca woda i mydło lepiej obmywa brud niż sama zimna woda.

Skinienie głowy Ute wyglądało niemal jak pokłon.

- Nie chciałem powiedzieć nic przeciwko tobie - odezwał się zakłopotany.

Dotknęła jego twardej, pokrytej bliznami ręki.

- Wiem - powiedziała. - Po prostu chciałam, żebyś to wiedział. Żebyś wiedział, co robić, jeśli kiedyś zostanę ranna.

- Bóg nie pozwoli na to, żebyś została ranna.

- Bóg jest bardzo zajęty - odparła.

- Ale nie dla swoich aniołów.

Ze smutnym uśmiechem odwróciła się do Case'a. Nie miała złudzeń co do tego, że mogłaby zajmować jakieś szczególne miejsce w czyichkolwiek oczach, a tym bardziej w oczach Boga.

Delikatnie i dokładnie oczyściła rany, aż widać było tylko odsłoniętą tkankę i świeżą krew. Jedna z ran znajdowała się wysoko po wewnętrznej stronie uda. Dotknęła tego miejsca delikatnie, ale nie poczuła pod palcami zgrubienia świadczącego o obecności kuli. Pocisk po prostu wyrwał kawałek ciała i poleciał dalej. Druga rana na nodze była głębsza i bardziej groźna. Krwawiła nieprzerwanie, ale nie w ten gwałtowny sposób, o którym jej wuj mówił, że często oznacza śmierć.

- Ma w sobie ołów? - zapytała Lola.

- Tak - odparła zmartwionym głosem Sara. - Z kąta, pod jakim weszła kula, widać, że jest w tylnej części uda, o ile ominęła kość.

Pewnym ruchem Lola wsunęła dłoń pod udo rannego i przesuwałając czubki palców po jego skórze, zaczęła szukać kuli. Case jęknął, ale Lola nawet nie drgnęła. Sara natomiast nie potrafiła się opanować.

- Ma szczęście - oznajmiła Lola. - Kula nie naruszyła kości.

- Jesteś pewna?

- Tak. Ute, daj mi swój nóż. Wyjmę mu kulę raz-dwa.

- Poczekaj - zatrzymała ją Sara.

Lola spojrzała na nią zdziwiona.

- Lepiej się goi bez ołowiu.

- Wiem. Po prostu... - głos zamarł jej w gardle. Nie wiedziała, jak wyjaśnić Loli, że sama myśl o cięciu gładkiego muskularnego ciała Case'a napędza ją jednocześnie obawą, smutkiem i gniewem.

- Nic ci nie jest, siostrze? Wyglądasz jakoś blado - zaniepokoił się Conner.

- Może lepiej zostaw to nam.

- Czuję się dobrze - odparła. - Ute był o wiele gorzej postrzelany, kiedy go znaleźliśmy. Cięłam i zszywałam go jak kołdrę z resztek.

Pamiętacie?

- Pamiętam, że potem zwymiotowałaś - mruknął Conner.

- I co z tego? - wtrąciła Lola, zanim Sara zdążyła odpowiedzieć. - Najpierw zrobiła, co trzeba, i to się liczy. Ty też nieźle rzygałeś, chłopcze. Nie zapominaj o tym.

Conner zmrużył swe zielone oczy, dusząc w zębach słowo, które, jak wiedział, wywołałoby kazanie ze strony siostry.

- Ute - odezwała się pośpiesznie Sara. - Odwróć Case' a na bok. Wyjmę kulę skalpelem.

- Ja go odwrócę - zaoferował Conner.

Podniosła głowę zdziwiona. Myślała ciągle o nim jako o dziewięcioletnim dziecku łkającym na grobie swych rodziców. Teraz jednak jej młodszy brat był wyrosniętym, kościstym młodym mężczyzną. Był już o głowę wyższy od niej

i co najmniej dwa razy silniejszy.

„Za szybko dorasta” - pomyślała z nagłym przestraszaniem. „Jeżeli nie znajdę szybko tego hiszpańskiego skarbu, to wkrótce będzie za późno. Wyjedź stąd i przypadnie gdzieś jak każdy inny włóczykij, podążając ku ślepej uliczce, która na niego czeka.

On zasługuje na coś lepszego. Jest mądry, inteligentny. Mógłby być lekarzem czy sędzią albo nauczycielem, tak jak nasz ojciec”.

Kiedy Conner zaczął odwracać Case'a, ten jęknął znowu.

- Ostrożnie! - wyrwało się Sarze.

- On jest nieprzytomny.

- I myślisz, że teraz śpiewa tobie pochwalne hymny? - zirytowała się Sara.

- Boli go, nawet jeżeli nie jest całkiem tego świadomy.

- Racja - odezwał się Ute. - Jakby był przytomny, to nawet by nie pisnął.

- Skąd wiesz? - zapytał Conner.

- Widziałem go w Hiszpańskim Kościele. Taki opanowany i spokojny. Nie chciałbym nastąpić mu na odcisk.

Conner całkiem obrócił już rannego.. Zrobił to bardzo delikatnie. Zobaczyli na muskularnym udzie rannego zgrubienie, kryjące tkwiącą tuż pod skórą kulę.

- A nie mówiłam! - mruknęła Lola.

Sara nic nie powiedziała. Wzięła tylko czysty skalpel i ukradkiem zaczerpnęła głęboki oddech, powtarzając sobie w duchu, że przetnie teraz po prostu kawałek tkanki.

Wystarczyło jedno sprawne cięcie. Kula wyskoczyła z mięśnia i spadła na udeptaną ziemię, pełniącą w chacie funkcję podłogi.

Conner podniósł pocisk ruchem, który był jednocześnie gładki i dziwnie niezgrabny. Nadal miał trudności z przyzwyczajeniem się do swojego, gwałtownie zmieniającego się, ciała.

- No, łap - powiedział, rzucając pocisk do Ute. - Jeszcze jedna do przetopienia.

Ute chwycił kulę, mruknął coś i włożył ją do kieszeni.

- Szkoda, że nie pozbierał łusek - dodał Conner. - Przydałyby się nam.

- Rany boskie! - westchnęła Sara. - Tylko idiota zbierałby łuski, wykrwawiając się przy tym na śmierć.

- Tylko idiota dałby się postrzelić - odparł jej brat.

- Chłopcze - wtrącił się Ute - nie jesteś jakimś cholernym durniem, więc nie zachowuj się tak, jakbyś nim był. Ten *hombre* wyciągnął broń przeciwko dwu Culpepperom i wyszedł z tego, a oni nie.

Ręce Sary zastygły w bezruchu.

- Co?

- Culpepperowie - potwierdził Ute. - Reginald i Quincy.

- No to diabeł będzie miał na kolację dwie dusze więcej - orzekła Lola. -

Nie mogę powiedzieć, że jest mi przykro.

Ute chrząknął potakująco.

- Lepiej przygotujmy się na wizytę gości - odezwał się spokojnym głosem.

- Beaver nie wytrzyma długo, jak Ab weźmie go na spytki.

Sara obejrzała się gwałtownie na Ute. Wzruszył ramionami.

- Próbowałem zatrzeć ślady, ale on za mocno krwawił. Mówią, że Culpepperowie są dobrymi tropicielami. Będą wiedzieli, że tu jest.

Lola zaklęła cicho pod nosem. Sara miała nadzieję, że jej brat tego nie usłyszał.

- Jakby nie było już dość kłopotów jak na jeden dzień. Wystarczy nam amunicji? - zapytała Sara.

- Tak - potwierdził Ute.

- Wystarczy? - zapytała ponownie.

- Mamy więcej amunicji, niż możemy wystrzelać z całej naszej broni.

- Więc ty pierwszy obejmij straż na górze.

Ute zniknął, zanim jeszcze skończyła zdanie.

- Conner, ty będziesz następny. Ja...

- Ty zostaniesz tutaj i zaopiekujesz się tym *hombre* - przerwała jej Lola, Nie mam takich delikatnych rąk jak ty, a on tego potrzebuje. Będę zamiast ciebie stała na straży.

- Ale twoje biodro...

- Nic mi nie będzie - znowu przerwała jej Lola. - Zaczynij łątać tego chłopaka, zanim wykrwawi się na śmierć.

Sara już nie protestowała. Nawlekła cieniutką jedwabną nitkę na specjalną igłę i zabrała się do zszywania nacięcia na ciele rannego.

Włosy na udach Case'a były tak ciemne i delikatne jak nić, której używała, a jego skóra była ciepła, zaskakująco gładka i sprężysta.

- Obróć go na plecy - poleciła szorstkim, gorączkowym tonem.

- Już! - ponagliła brata niecierpliwie.

Conner posłał jej zdziwione spojrzenie, nim pochylił się i obrócił Case'a na plecy.

- Masz teraz zakrwawione prześcieradła - zauważył.

- Nie pierwszy raz - mruknęła Lola.

- Co?

- Kobieta ma to co miesiąc, chłopcze. Używaj głowy nie tylko jako wieszaka na kapelusze.

Conner zaczerwienił się. Wiedział, że nie należy wdawać się w sprzeczki z Dużą Lolą. Znała takie słowa, które mogłyby przepalić kamień, i używała ich, kiedy ktoś ją sprowokował. Sara pochyliła głowę, aby ukryć uśmiech, wywołany przez zmieszanie brata. Lola była twarda jak krzemień, ale nie była okrutna. Po prostu nie miała cierpliwości do męskiej głupoty. Sara też nie.

Szybko zwinęła czysty kawałek ścierki w tampon i przycisnęła go do rany. Case jęknął, gdy zwiększyła nacisk. Zagryzając wargi, naciskała coraz mocniej. Po chwili uniosła róg tamponu. Krew płynęła nadal, ale już

wolniej.

- Jeszcze - powiedziała Lola. - Jeszcze się nie zatrzymała.

Sara powtórzyła to samo z nowym tamponem. Zacisnęła usta, słysząc jęk Case'a i widząc drżenie jego ciała.

- Nie przejmuj się - pocieszyła ją Lola. - Tak naprawdę to on tego nie czuje.

- Myślę, że masz rację.

- Do diabła, dziewczyno. To jest człowiek wyjęty spod prawa, a nie jakaś wydelikaccona, omdlewająca damulka.

- To nie znaczy, że on nie czuje bólu.

- Zrobię maść - zmieniła temat Lola.

Krwawienie zmalowało na tyle, że Sara mogła dokończyć zakładania opatrunku.

Lola podała jej słoiczek wydzielającej intensywną woń maści.

Wstrzymując oddech, Sara rozsmarowała mieszaninę oleju, ziół i pleśniejącego chleba na czystym bandażu, opatrzyła nim obie rany

i pozwoliła Loli zrobić to samo z raną na tylnej części uda Case'a. Potem szybko owinęła jego nogę czystymi pasami płótna, które nadal pachniały słonecznym zimowym dniem.

-Skończone - powiedziała Lola. - Nakryj go, włóż do łóżka parę rozgrzanych cegieł i zostaw go w spokoju.

Nie skończyła jeszcze mówić, kiedy Sara już zdejmowała najwyższą warstwę cegieł z paleniska. Były gorące. Syknęła, zawijając cegły w stare worki po mące. Potem ułożyła je przy stopach Case'a i wzdłuż jego nóg.

- Ma gorączkę? - zapytała Lola.

- Jeszcze nie.

- To będzie miał.

Sara zagryzła wargi, ale nic nie powiedziała. Lola była bardziej od niej doświadczona w sprawach ran postrzałowych.

- Czy on... wyjdzie z tego? - zapytała Sara.

- Mam nadzieję, że tak. Szkoda byłoby stracić porządnego chłopca. Nie ma takich za dużo.

Sara podciągnęła okrywające Case'a koce i utknęła je wokół jego ramion. Podobnie jak wszystko inne w tej chacie pościel była tak czysta, na ile można to było osiągnąć dzięki ciężkiej pracy i mydłu.

Lola podniosła się, stękając, i podeszła do drzwi. Przy każdym kroku fałdy jej spódnicy z grubego płótna kołysały się nad sięgającymi kolan mokasynami.

Miała na sobie bluzkę w kolorze nie wybielonego perkalu, utkanego domowym sposobem. Czoło przepasała opaską z delikatnej kolorowej tkaniny z włosia kóz, które hodowała dla mięsa, mleka i jedwabistej wełny.

-Sprawdź karabiny i dubeltówki - poleciła Sara bratu, nie odwracając wzroku od Case'a. - Jest jeszcze świeża woda?

- Przyniosę - powiedział Conner.

- Jak myślisz, wyjdzie z tego? - zapytał jakby wbrew sobie.

- Nie wiem - odparła, przymykając oczy. - Nie wiem. Jeżeli rany się nie zainfekują...

- Ale wyratowałaś Ute.

- Udało mi się. Jemu też.

- Może ten też będzie miał szczęście.

- Mam nadzieję, że tak.

Rozejrzała się po chacie i zaczęła wydawać polecenia:

- Trzeba jeszcze przynieść wody ze strumienia i drewna na opał. Przyda mi się jakieś posłanie, żebym spała przy nim. Loli pewnie trzeba będzie pomóc przy jej ziołach.

- Już idę - powiedział Conner.

Sara uśmiechnęła się, patrząc za wychodzącym bratem. Był dobrym chłopcem pomimo różnych dzikich ciągot, które sprawiały, że budziła się po nocach ze zmartwienia.

„Conner potrzebuje kogoś więcej do naśladowania niż samych banitów” - pomyślała. „Muszę znaleźć ten skarb. Po prostu muszę”.

Case jęknął cicho i poruszył się, usiłując się podnieść. Sara uklękła przy łóżku i przytrzymała go za ramiona.

Odsunął ją, jakby ważyła tyle co unoszone wiatrem piórko. Usiadł i potrząsnął głową, próbując dojść do siebie.

Położyła rękę na jego gęstych włosach, by go uspokoić jak rannego sokoła.

- Case - powiedziała wyraźnie. - Case, słyszysz mnie?

Powoli otworzył oczy i spojrzał na nią.

„Co za dziwny szaroniebieskozielony kolor!” - pomyślała. „Nie piwne, ale raczej jasnozielone. Jasne jak zimowy dzień i dwa razy głębsze. Także dwa razy zimniejsze”.

- Sara? - zapytał chrapliwym głosem. - Sara Kennedy?

- Tak, to ja - potwierdziła. - Połóż się, Case.

Znowu przytrzymała go za ramiona. Tym razem poczuła pod dłońmi napinające się mięśnie, męską siłę drzemiacą pod jego nagą skórą. I ciepło. Nie gorączkę, ale po prostu ciepło życia.

- Co się stało? - zapytał.

- Zostałeś postrzelony. Ute cię znalazł i przywiózł tutaj.

- A Culpepperowie?

- To byli Reginald i Quincy.

- Muszę wstawać. Ścigają mnie.

- Wątpię w to. Z tego, co mówił Ute, wiem, że ci dwaj poszli prosto do piekła.

Case zamrugał oczami i przetarł je ręką.

- Inni Culpepperowie – wyjaśnił.

Poruszył jedną ręką, jakby sięgał po broń. Jego palce nie natrafiły jednak na nic poza nagą skórą.

- Rewolwer - wychrypiał. - Gdzie?

- Połóż się. W twoim stanie nie mógłbyś walczyć nawet z kurczakiem.

Odsunął ją, usiłując wstać, lecz natychmiast przeszła go fala bólu. Dusząc w gardle jęk, opadł na posłanie.

- Muszę... wstać - wykrztusił.

- Przyniosę ci broń, jeżeli się położysz - obiecała pośpiesznie. - Proszę, Case. Jeżeli będziesz się ruszał, to znowu zaczniesz krwawić i umrzesz.

Przekonał go ton jej głosu. Przestał się natężyć i pozwolił, by go znowu nakryła. Wpatrywał się w nią oczyma przepelnionymi bólem, gdy wstała i poszła po jego rewolwer. Zgodnie ze swoim przyzwyczajeniem miała na sobie męski strój. Spódnice i fartuszki były co najmniej nieprzydatne, kiedy wspinała się w skalistych kanionach, poszukując skarbu, lub zajmowała się rannymi zwierzętami, albo też jeździła na jednym z płochliwych mustangów, które Conner i Ute chwyтали, by zrobić z nich wierzchowce.

- Męskie ubranie - powiedział bełkotliwym głosem.

- Co?

- Spodnie.

- Ja, hm, to znaczy... - zaczęła czerwieniąc się.

Głos jej zamarł w gardle, kiedy przypomniała sobie widok rozebranego Case'a. Mimo że był wtedy zakrwawiony i na wpół martwy, to i tak wystarczyło, żeby jej serce zabiło żywiej.

„Dziewczyno” - napomniała się w duchu. „Samo to, że cię delikatnie pocałował, nie znaczy, że cię nie skrzywdzi dla swej własnej przyjemności. Przecież jest mężczyzną. Potężnym mężczyzną”.

- Przyniosę ci koszulę, gdy tylko spiorę z niej krew - powiedziała. -

Ale przez jakiś czas nie powinieneś nakładać ani koszuli, ani spodni. Będą się ocierały o ciało i rany się nie zagoją.

- Mówiłem o twoich ubraniach, nie moich - wyjaśnił ze zdziwioną miną.

- To dobrze, bo ty na razie nie będziesz nosił żadnych ubrań.

Chciał coś odpowiedzieć, ale zawroty głowy męczyły go jak długa śnieżyca. Zamknął oczy i zacisnął zęby, walcząc z ogarniającym go omdleniem.

Wiedział jednak, że przegra tę walkę.

- Proszę - powiedziała. - Usunęłam nabój z pierwszej komory.

Poczuł w lewej dłoni zimny, dobrze mu znany kształt sześciostrzałowego rewolweru.

- Teraz się połóż - poleciała.

Pozwolił, aby ułożyła go na nowo na posłaniu. Kiedy pochyliła się, żeby okryć mu ramiona, jeden z jej warkoczy musnął go po policzku jak jedwabisty sznur.

- Róże - powiedział.

- Co?

Podniósł powieki i spojrzał wprost w oczy koloru mgły i srebra. Współczujące i czujne, a jednocześnie pełne podziwu.

- Róże i słońce - powiedział. - Pocałowałem cię.

- Tak - szepnęła. - Pocałowałeś mnie.

- To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem.

- Co?

Nie odpowiedział. Stracił przytomność.

4

Sara siedziała po turecku przy posłaniu, na którym spał Case, targany przez ból i gorączkę. Prawie nie odstępowała od niego przez ostatnie trzy dni, z wyjątkiem chwil, gdy zajmowała się rannym jastrzębiem.

- Em... - wychrypiał. - Emily.

Sara poczuła, jak gardło zaciska się jej od łez, których nie potrafiła już ronić, słysząc ból w jego głosie. Nie wiedziała, kim jest Emily. Wiedziała tylko, że Case ją kocha. Przywoływał też inne imiona: Ted, Belinda, Hunter i Morgan. Jednak tylko imię Emily wypowiadał z takim bólem.

- Case - odezwała się tonem, jakiego używała, mówiąc do przestraszonych zwierząt. - Jesteś bezpieczny, Case. Proszę, wypij to. To złagodzi gorączkę i ból.

Przemawiając uspokajającym tonem, podparła mu głowę dłonią i przytknęła kubek do jego ust. Połykał płyn bez sprzeciwu. Wiedział w jakiś instynktowny sposób, że ten łagodny głos i dłonie raczej mu pomogą, niż go skrzywdzą.

- Róże - wychrypiał i westchnął.

Uśmiech Sary był równie smutny jak jej przymglone, szare oczy, którymi wpatrywała się w jego rozpaloną twarz. Opiekowała się w życiu wieloma rannymi stworzeniami, ale nigdy w ten sposób nie odczuwała ich bólu.

- Śpij - szepnęła. - Śpij i nie śnij o niczym, Case. Twoje sny są... zbyt bolesne.

Po kilku minutach westchnął i znowu osunął się w półmroczny świat, który nie był ani snem, ani jawą.

Niemal bała się oddychać, żeby mu nie przeszkadzać. Jego gorączka była mniejsza niż poprzedniego dnia czy dwa dni wcześniej, a infekcja w ranach ustępowała, lecz był jeszcze daleki od wyzdrowienia.

Poruszając się powoli i bezgłośnie, przycięła knot w lampie, zapaliła go i obejrzała skrzydło jastrzębia. Ptak szarpał się pod jej dotykiem, ale,

podobnie jak Case, nie walczył już z nią, kiedy przystąpiła do przykładania maści. Jej delikatne ręce i głos ułagodziły dzikiego ptaka tak bardzo, że już nie musiała zakładać mu kaptura, by pokonać jego strach.

- Goi się ładnie - mruknęła. - Znowu będziesz latał pod niebem, mój dziki przyjacielu. Już niedługo.

Postawiła lampę obok posłania Case'a i usiadła przy nim. Wzięła na kolana porcję koziej wełny i zaczęła ją prząść. Palce dziewczyny błyskawicznie przemieniały bezkształtną masę koziej sierści w miękką włóczkę.

Jakby zaczarowany, zwój włóczki powiększał się, a kupka wełny topniała.

Drzwi do chaty otworzyły się i zamknęły szybko. Nie podnosząc głowy, Sara poznała po krokach, że wszedł jej brat.

- No i co z nim?

- Lepiej. Ma mniejszą gorączkę.

- Mówiłem ci, że wyjdzie z tego.

Uśmiechnęła się blado.

- Wyglądasz na zmęczoną. Dlaczego nie pójdziesz spać? Ja go będę pilnował.

Pokręciła głową. Chciał ją jeszcze przekonywać, ale ugryzł się w język.

Lola miała rację - nikt nie miał takich rąk jak Sara. W jakiś sposób potrafiła uspokoić wszystkie stworzenia, od jastrzębi po mustangi, i przekonać je, że są bezpieczne w jej rękach.

- Coś się dzieje na górze? - zapytała.

- Nie ma ani śladu Culpepperów, jeśli o to ci chodzi - odparł.

- Ute musiał zatrzeć ślady lepiej, niż mu się wydawało - zauważyła Sara.

- Być może. Albo oni czekają.

- Na co?

- A skąd mam to wiedzieć? Nie jestem Culpepperem. Zostało jeszcze trochę fasoli?

- Przecież dopiero co jadłeś.

- To było dwie godziny temu.

- Godzinę - poprawiła.

- I tak jestem głodny.

- Zjedz resztę fasoli, umyj garnek i nałóż nowej fasoli do garnka, żeby...

-...żeby się namoczyła - dokończył za nią, powtarzając znane mu na pamięć słowa. - Do licha, chyba ci się zdaje, że jeszcze chodzę w pieluchach. Wiem, jak przyrządzać fasolę.

- Naprawdę? - zapytała. - Więc myślisz, że się ją robi w brudnym naczyniu. Ostatnio musiałam w środku nocy myć garnek, żeby zrobić jedzenie na dzisiaj.

Conner milczał. Sara pożałowała swych ostrych słów, gdy tylko je wypowiedziała.

„W jaki sposób rodzice potrafią opanować swoje emocje?” - pomyślała, wzdychając.

Conner potrafił zachowywać się jak dorosły mężczyzna, by już po chwili zmienić się w dwuletniego dzieciaka, a jej rozpaczliwie zależało na tym, by móc na nim polegać.

„To niezbyt sprawiedliwe w stosunku do niego” - napomniała się w myślach. „On jest tylko chłopcem”.

- Przepraszam - powiedziała. - Byłeś przez pół nocy na straży.

Nic nie mówiąc, Conner wyskrobał resztki fasoli na talerz. Wiedział, że to nie jest żadne usprawiedliwienie. Powinien był umyć garnek i namoczyć fasolę, nawet mimo to, że oczy zamykały mu się same z braku snu. Po prostu zapomniał.

- Już więcej tak nie zrobię - wymamrotał.

- Wszystko w porządku.

- Właśnie że nie w porządku.

- Mówi się „porządku”, a nie „porządku” - poprawiła go automatycznie.

- Do diabła, co to za różnica? I tak nie pojedę do żadnej... żadnej cacanej szkoły na Wschodzie.

- Właśnie że pojedziesz. Niech tylko znajdę skarb.

- Zanim go znajdziesz, to już będzie dawno po nas. Poza tym nie chcę jechać.

- Znajdę to srebro. A ty pojedziesz.

Słyszając determinację w głosie siostry, Conner postanowił zmienić temat. Klócili się za każdym razem, kiedy była mowa o jego braku wykształcenia. Im był starszy, tym ich kłótnie miały gwałtowniejszy przebieg.

Nie chciał sprawiać przykrości siostrze, ale nie chciał również wracać do szkoły, zostawiając ją na łasce losu. Nigdy nie przyznałaby się, że jest jej potrzebny, ale tak było.

Wyszedł na zewnątrz, żeby umyć garnek w potoku.

Łagodny szelest koziej sierści, przemieniającej się we włóczkę, wypełniał ciszę. Sara pracowała szybko i sprawnie, starając się nie myśleć o przyszłości.

Jednak to było niemożliwe.

„Conner dorasta za szybko”.

Chociaż wolałaby raczej umrzeć niż się do tego przyznać, to z przerażeniem myślała o tym, że nie znajdzie hiszpańskiego srebra na czas, by uratować brata przed życiem bez domu, jakie wiodło tak wielu, zbyt wielu mężczyzn na Zachodzie.

„A teraz muszę się martwić z powodu tych band” - myślała.

Zagryzła dolną wargę, nie przerywając pracy.

„Będę spędzała tak wiele czasu, oglądając się za siebie, że znajdę srebro dopiero wtedy, gdy potknę się o nie w drodze do wychodka.

Następnym razem sprawdzę teren na północ i na zachód od rancza. Ci

bandyci nie zapuszczają się tam często. Nie mają po co. W większości z tych kanionów nie ma ani wody, ani paszy, ani zwierzyny.

Nie ma tam też srebra. Jeszcze nie. Ale będzie. Musi być".

Pomimo tych ponurych myśli Sara sprawnie wykonywała pracę. Rękawy kurtki, którą Lola utkała dla Connera, były już dla niego za krótkie, a nie mieli pieniędzy na kupno nowej.

„Przędzenie i tkanie, przedzenie i tkanie" - pomyślała. „O Boże, jak bym chciała, żeby całe życie było równie proste".

Było jednak inaczej. Przędzenie i tkanie przynajmniej dawało coś konkretnego. Natomiast całe to poszukiwanie skarbów sprawiało jedynie, że niszczyła mokasyny równie prędko, jak Ute robił dla niej nowe.

Conner wrócił, wnosząc ze sobą powiew zimnego powietrza. Chociaż śnieg jeszcze nie spadł, to ziemia nocami pokryta była szronem.

Bez słowa nałożył do garnka fasoli, by się namoczyła, a potem położył się na swojej leżance koło ognia. Zasnął momentalnie.

Sara westchnęła lekko, rozprostowała plecy i przeciągnęła palcami przez świeżo umyte włosy. Zapach dzikich róż uniósł się od jej dłoni. Wykorzystała wcześniejszą nieobecność brata, żeby się dokładnie wykapać. Robiła to tak często, że Ute zaklinał się, iż w końcu wyrosną jej łuski i pletwy.

Sięgające do pasa włosy były chłodne i nadal nieco wilgotne pod dotykiem dziewczęcej dłoni.

„Nie są jeszcze wystarczająco suche, żeby zapleść warkocze" - uznała.

„Mogę jeszcze poczekać ze spaniem, aż do czasu, kiedy trzeba będzie zmienić bandażę i namówić Case'a, żeby wypił trochę wody".

Znowu zajęła się pracą. Spędziła przy łóżku chorego jeszcze kilka godzin, przędąc, doglądając Case'a i martwiąc się przyszłością Connera.

Kiedy gorączka wypuściła Case'a ze swoich uścisków, pierwszą rzeczą, jaką usłyszał, był melodyjny szepc. Przeciętny człowiek otworzyłby w tej sytuacji oczy, żeby zobaczyć, gdzie jest, albowiem się poruszył czy wydał jakiś dźwięk.

On jednak nie dał poznać, że odzyskał przytomność. Instynkt podpowiadał mu, że nie jest sam. Ponieważ jedyna osoba, którą darzył zaufaniem, była daleko od niego, w Rubinowych Górach w Nevadzie, to obecność innej istoty była równoznaczna z niebezpieczeństwem.

Przesunął ukrytą pod kocami lewą rękę, szukając broni, którą zawsze miał przy sobie, nawet podczas snu. Rewolwer był na swoim miejscu. Natomiast on był nagi. Bardzo ostrożnie zamknął pałce na kolbie broni. Przygotowywał się do walki.

Poruszył prawą nogą i, pomimo swej żelaznej samodyscypliny, omal nie krzyknął z bólu. Nagle wróciły do niego wspomnienia. Niektóre były tak ostre jak ból przez nie wywołany, inne tak niewyraźne jak sen.

Jednym z wyraźnych obrazów była strzelanina w Hiszpańskim Kościele.

„Czyżby Ab Culpepper mnie wytropił?"

Od razu odrzucił tę myśl.

„Gdyby Ab mnie znalazł, to wcale bym się teraz nie obudził, a poza tym jest pewne jak diabli, że nie miałbym w ręce rewolweru”.

„Zostałem ranny” - przypomniał sobie. „Przywiązałem się do siodła, popędziłem konia do biegu i...”

Wspomnienie kończyło się wirem bólu i ciemności.

Wysłuchiwał się uważnie, ale nie słyszał żadnego dźwięku, który by mu podpowiedział, że jego koń pasie się w pobliżu. Wszystkim, co słyszał, był łagodny, kojący dźwięk, tak jakby szelest oddechu.

Ale to nie był odgłos oddechu, niezupełnie.

„Przedzenie” - zrozumiał nagle. „Ktoś siedzi obok mnie i przedzie”.

Wróciły kolejne wspomnienia: aromat róż i ciepła, łagodny dotyk uspokajających go rąk, woda wlewająca się pomiędzy jego wargi, żeby ugasić piekielne pragnienie, które go pożerało. Długie kobiece włosy w świetle lampy.

„Sara?”

Fragmenty wspomnień przepływały przez jego mózg jak kawałki kolorowego szkła, ostre, a zarazem piękne.

„Szare oczy i włosy koloru cynamonu. Smakuje nawet wspanialej, niż pachnie. Nigdy nie powinienem był jej pocałować. To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem. Naprawdę głupia”.

Otworzył nieznacznie oczy, na tyle tylko, by widzieć, lecz nie zdradzić, że jest przytomny.

Sara siedziała przy nim na odległość ręki. Poruszała dłońmi w zwinnym, spokojnym rytmie, przędąc włóczkę z kupki czarnej wełny. Włosy opadały jej na ramiona jedwabistymi, błyszczącymi falami, które aż wołały o pieszczotę męskiej dłoni. Jej oczy odbijały złotawe światło lampy.

Patrzyła na niego.

- Jak się czujesz? - zapytała łagodnym głosem.

- Głupio.

Nie zapytała, dlaczego. Obawiała się, że już to wie.

„Ten pocałunek”.

Nawet wspomnienie tej słodkiej pieszczoty wystarczało, żeby jej palce zaczynały drżeć.

- Nie masz za co się obwiniać - powiedziała spokojnym tonem. - Nie jesteś pierwszym człowiekiem, który został postrzelony.

„Ani też pierwszym, który pocałował dziewczynę” - pomyślał Case.

„No cóż, przynajmniej dobrze, że jest wdową. Nie pomyli męskiego głodu z obietnicą na teraz i zawsze i aż do śmierci”.

- Czy to bardzo poważne? - zapytał.

- Rany?

Skinał głową.

-Jedna kula przeszła pomiędzy wewnętrzną stroną prawej ręki i klatką

piersiową.

Mówiąc, pochyliła się i dotknęła delikatnie jego prawego ramienia.

- Dostałeś też dwie kule w prawe udo - ciągnęła.

- Zakażenie? - zapytał spokojnym głosem.

Odłożyła swoją robótkę.

- Możesz sam zobaczyć. Pora zmienić opatrunek.

Patrzył uważnie, kiedy szykowała czyste tampony, ciepłą wodę i słoik czegoś aromatycznego, czego nie mógł rozpoznać.

- Chcesz coś przeciwko bólowi? Ute ma trochę whisky domowej roboty, która....

- Nie, chcę mieć jasny umysł.

Nie była zaskoczona. Mimo że był blady, wyraźnie cierpiał i nie był w stanie podnieść się na nogi, to miał w sobie jakąś zwierzęcą czujność.

Był człowiekiem przywykłym do życia w niebezpieczeństwie.

Ute był taki sam, kiedy po raz pierwszy pojawił się na ranchu Zagubionej Rzeki. Nawet teraz często był taki.

- Jak się tu dostałem? - zapytał Case.

- Ute cię znalazł.

Spokojnym ruchem odsunęła okrycia aż do jego pasa. Kiedy nachyliła się i zaczęła odwijać mu bandaż z prawej ręki, jej włosy osunęły się miękką kaskadą na jego klatkę piersiową.

Były chłodne, ale paliły go żywym ogniem. Syknął przez zęby, wciągając oddech i czując, jak podwaja się rytm jego serca.

- Przepraszam - powiedziała Sara, odsuwając spiesznie dłonie. -

Jesteś pewien, że niczego nie chcesz na złagodzenie bólu?

- Tak - mruknął.

Zamrugła oczami, ale nic nie powiedziała. Odwinęła do końca bandaż i przesunęła delikatnie palcami wokół rany. Znowu syknął cicho.

- Tak boli? - zapytała, marszcząc czoło.

- Nie.

- Na pewno?

- Na pewno - odparł, zaciskając zęby.

Spojrzała na niego uważnie i znowu przystąpiła do badania skóry wokół płytkiej rany.

Mimo gorąca w jego żyłach, które wywołał ten zwykły, profesjonalny dotyk, Case tym razem nie wydał żadnego dźwięku.

„Nigdy nie powinienem był jej całować” - napomniał się ostro w myślach.

„To głupota. Nie pożałowałem w ten sposób kobiety od czasu...”

Znowu poczuł zamęt w głowie. Nigdy nie pożałował żadnej kobiety w ten sposób, w jaki pożałował Sary Kennedy.

Jeszcze przez kilka sekund doświadczał delikatnej, wspaniałej tortury jej dotyku. Po chwili cofnęła ręce.

- Skóra wokół rany jest zimna - oznajmiła. - Nie ma zakażenia, ale

będziesz miał bliznę.

- Nie pierwszą.

Ani nie ostatnią- powiedziała, myśląc o jego ranach na udzie. - Skoro się obudziłeś, to nie będę zawijała ręki. Szybciej się zagoi.

Case przyglądał się jej twarzy, kiedy okrywała mu kocami naga pierś.

Nagle odrzuciła okrycie z jego nóg, odsłaniając go aż po pępek.

- Jezu Chryste! - zawołał zaskoczony.

Jedną ręką naciągnął z powrotem koce na siebie. Sara była zbyt zdziwiona, aby mu przeszkodzić.

- Siostró? - zawołał sennym głosem Conner.

- Śpij dalej - odpowiedziała. - To tylko Case się miota.

- Potrzeba ci pomocy? Mogę go przytrzymać, kiedy będziesz zmieniała bandaż.

Uniosła swe rude brwi w niemym zapytaniu pod adresem Case'a.

- Potrzeba? - powiedziała bezgłośnie.

Jego oczy rozszerzyły się, gdyż właśnie w tej chwili zrozumiał, że nie było ani cala na jego ciele, którego Sara Kennedy jeszcze nie знаła.

Widziała go absolutnie nagiego.

Rumieniec wypłynął na jego policzki, pokryte wielotygodniowym zarostem.

Odsunął ręce od koców.

- Dam sobie radę, Conner - powiedziała spokojnym głosem. - Spij dalej.

Za kilka godzin będziesz musiał zmienić Ute.

Conner mruknął coś, odwrócił się na drugi bok i pogrążył w śnie, którego tak potrzebowało jego młode ciało.

- Daj mi, proszę, coś na biodra - powiedział Case.

Bez słowa wstała, podeszła do kosza w rogu chaty i wyciągnęła z niego ostatnią koszulę, którą Conner podarł na strzępy, zanim całkiem z niej wyrósł. Zamierzała wykorzystać pozostałe z niej resztki jako materiał na dywanik. Teraz uznała, że nic złego się nie stanie, jeśli użyje ich do innego celu.

- To wystarczy? - zapytała.

- Tak.

Wyciągnął prawą dłoń, najwyraźniej zamierzając samodzielnie założyć sobie przepaskę.

- Jeżeli się ruszysz, to rany mogą się otworzyć. Pozwól mi owinać...

- Nie! - przerwał ostro.

Jedno spojrzenie na jego twarz wystarczyło, żeby Sara zrozumiała, iż go nie przekona. Mogła albo oddać mu tkaninę albo zacząć z nim walczyć.

-Nie bądź niemądry. Wychowałam Connera, miałam męża i pielęgnowałam Ute, aż wyzdrowiał, chociaż był w gorszym stanie niż ty. Nie zemdleję na twój widok... To znaczy...

Ku swemu przerażeniu poczuła, że rumieniec oblewa jej policzki. Rzuciła mu materiał i odwróciła się plecami.

- Proszę bardzo - powiedziała przez zęby. - Ale jeśli otworzysz sobie rany, to nie płacz przede mną, że boli.

- Będę płakał, jak słońce zajdzie na wschodzie.

Nie wątpiła w to. Nie był mężczyzną skorym do okazywania emocji.

Zdejmując ramię z surowej skóry, którym była przewiązana w pasie, i związując z tyłu swe długie włosy, pomyślała, że jego twarz ma ciągle ponury wyraz.

- A co ze śmianiem się? - zapytała bez zastanowienia.

- To znaczy co?

- Robisz to?

- Czy się śmieję? - zapytał Case.

- Tak.

- Kiedy coś jest dla mnie śmieszne.

- Kiedy to było ostatnim razem?

Stęknął z bólu, gdy uniósł biodra, żeby obwinąć się tkaniną.

- No więc? - nie ustawała.

- Nie pamiętam. Dlaczego pytasz?

- A jak z uśmiechaniem się?

- Co to? Spowiedź? - zapytał. - Myślisz, że masz przed sobą podziurawionego kulami Robina Goodfellowa, który dowcipkuje, żeby ci sprawić przyjemność?

Sara roześmiała się cicho.

- Robina Goodfellowa. O Boże, od dawna już nie myślałam o Szekspirze.

Podobał ci się *Sen nocy letniej*.

- Kiedyś tak.

- A teraz już nie?

- Od czasów wojny gustuję raczej w *Hamlecie* - odparł.

W jego głosie było coś takiego, że dreszcz przeniknął ciało Sary.

- Zemsta - powiedziała.

- Gotowe - oznajmił, zawiązując sobie przepaskę. - Możesz teraz robić, co chcesz, z moją nogą.

Odwróciła się do niego i od razu dostrzegła, że odwinął sobie częściowo bandaż na udzie.

Zauważyła również, że zakładanie przepaski na biodra bardzo nadwyrężyło jego siły. Twarz w miejscach, których nie osłaniał zarost, stała się blada. Na czoło wystąpiły mu rzęsiste krople potu. Usta zacisnął tak mocno, że prawie ich nie było widać.

- Powinieneś pozwolić, żebym ja to zrobiła - powiedziała Sara. - Musisz być silny, żeby wyzdrowieć.

- Zmieniasz mi ten bandaż czy nie? Pospiesz się.

Gdyby głos Case'a nie był przepełniony bólem, to dalej by go pouczała, tak jakby był jej młodszym bratem.

- Nie śmiejemy się - mruknęła, klękając obok niego. - Nie płaczemy, nie

uśmiechamy się. Ale mamy humory, prawda?

Już miał odpowiedzieć coś ostrego, ale powstrzymał się.

Był zaskoczony tym, jak wiele siły kosztowało go trzymanie języka za zębami. Jego, który zaprzysiągł nie poddawać się żadnym emocjom po śmierci Teda i Emily. Nawet gniewowi.

„To musi być gorączka” - pomyślał ponuro.

Przypuszczał jednak, że prawdziwym powodem był ten o ostrym języku, pachnący różami anioł miłosierdzia, który klęczał przy nim.

Zacisnęła zęby, poddając się delikatnemu dotykowi rąk Sary, gdy przystąpiła do rozwijania bandaża z jego uda. Czuł, jak jej koszula ociera się o jego nagie nogi.

Dwa razy poczuł delikatne dotknięcie jej piersi.

Ból powinien był zapobiec jego podnieceniu, ale tak się nie stało.

Opaska na biodrach, którą dopiero co zawiązał, unosiła się szybko, przegrywając w walce pomiędzy skromnością a żywym męskim głodem.

- Do diabła !. - syknął.

Sara drgnęła. Za każdym razem, kiedy rozwijała zwój bandaża, musiała otrzeć rękę o jego krocze. Wybrzuszenie, które pokazało się pod przepaską, działało na nią onieśmielająco.

- Przepraszam - powiedziała. - Staram się uważać.

- Dość tej delikatności. Odwiń to w końcu.

Powstrzymała się od odpowiedzi i skończyła zdejmowanie bandaża.

Nie protestowała nawet wtedy, gdy uniósł się na łokciach, żeby obejrzeć rany.

Jedna rana była zestrupiała i goiła się dobrze. Druga była czerwoną, obrzmiałą wyrwą w górnej części uda. Maść błyszczała na jego skórze jak ciemny deszcz.

- Mam kulę? - zapytał.

Spojrzała ukradkiem na jego przepaskę.

„Z tego, co widzę, cały załadowany” - pomyślała z jakąś mieszanką przestachu i czegoś jeszcze. Czegoś dziwnego, czego nie potrafiła zdefiniować.

- Nie - powiedziała. - Wycięłam kulę z drugiej strony. Ominęła kość.

- Tak myślałem. Nie rzuciła mnie na ziemię. Jednak zepsuła mi celowanie.

- Ale nie za bardzo. Ute powiedział, że byłeś jedynym, który z tego wyszedł żywy.

- Tam skąd przyjechało tych dwóch, jest jeszcze dużo Culpepperów.

Case podniósł się na tyle, żeby pomacać tylną część uda. Pod opuszkami palców napotkał zgrabny szew. Pochylił się nad otwartą raną na przedniej części uda i wciągnął głęboki oddech. Fale bólu przenikały go z każdym uderzeniem serca, ale nie wyprostował się, dopóki nie znalazł odpowiedzi. W ranie nie było widać żadnej oznaki zakażenia, nie czuł też jego zapachu.

„Dzięki Bogu” - pomyślał.

Nie bał się zbytnio śmierci, ale były pewne rodzaje umierania, których wolałby uniknąć. Z tego, co widział w czasie wojny domowej, gangrena była jeszcze gorszym rodzajem umierania niż śmierć od postrzału w brzuch.

Chrząknął chrapliwie i, ciężko dysząc, opadł z powrotem na posłanie.

- Dobrze leczenie - wychrypiał. - Dziękuję.

- Możesz mi podziękować, nie naciągając szwów i nie otwierając sobie ran. Przestań się kręcić na posłaniu.

- Postaram się tego nie robić.

- Dobrze by było.

Pomimo jej oschłego tonu dotknięcia jej rąk były bardzo delikatne.

Rozprowadzała gojącą maść na świeżym bandażu i opatrywała nim otwartą ranę. Martwiła ją barwa jego skóry i jego urywany oddech.

- Dobrze się czujesz?

- Czuję się zdrowy jak ryba.

- Zawsze byłem ciekawa, na czym polega takie zdrowie.

- Jest wspaniałe, ale nie tak wspaniałe jak twoje włosy.

Sara spojrzała na niego zaskoczona. Miał zamknięte oczy, ale widać było, że walczy, aby nie pokazać, jak cierpi z bólu.

„Pewnie nawet nie wie, co mówi” - pomyślała.

- Grzeję na ogniu rosół - odezwała się żywo. - Powinieneś trochę wypić, o ile twój żołądek jest na tyle zdrowy, żeby to znieść.

Case nie odpowiedział. Spał.

Bardzo delikatnie odsunęła mu włosy z oczu, otuliła go dokładnie kocami i położyła mu dłoń na czole. Starła małe kropelki potu wywołane przez ból, ale nie wyczuła gorączki. Uśmiechnęła się i przesunęła palce po jego szerokim, zarośniętym policzku.

- Dobranoc, dobry książę - szepnęła, myśląc o jego upodobaniu do *Hamleta*, i od razu zastygła w przerażeniu. Przypomniała sobie zakończenie dramatu: śmierć „dobrego księcia”.

Owinęła się kocem i podciągając nogi pod brodę, położyła się obok Case'a. Nawet kiedy spała, czubki jej palców spoczywały na jego przegubie, w miejscu, gdzie wyczuwa się puls, tak jakby chciała upewnić się, że on nadal żyje.

5

Stojąc na podwórzu, Sara wyławiała bandaże z kociołka z wrzącą wodą i rozwieszała je na sznurze do prania, który był rozpięty pomiędzy kępami

wielkich bylic.

Bandaże parowały lekko w świeżym powietrzu wczesnego poranka. Słońce, złote błogosławieństwo tej ziemi, oświetlało czerwone urwiska, które ograniczały dolinę z dwóch stron.

Wysoko nad jej głową na niewidzialnych prądach powietrznych wznosił się orzeł. Przeszywające wołanie ptaka było tak piękne, że wywoływało gęsią skórę na ramionach Sary.

„Trzymaj się z dala od Źródlanego Kanionu” - ostrzegła w myślach ptaka. „Jest pewne, jak amen w pacierzu, że ci bandyci będą do ciebie strzelać, tylko dlatego, że mają do tego okazję”.

- Jak będziesz tak nadal gotowała te szmaty, to zostaną z nich same nici! - zawołała do niej Lola.

Sara przewiesiła ostatni bandaż przez sznur i obróciła się z uśmiechem do Loli.

- Dzień dobry.

- Ale jesteś wesoła! Pewnie twój ulubiony bandyta dochodzi do siebie,

- Przecież nie wiesz, czy Case jest bandytą.

- Hm, dziewczyno, tu nie ma żadnych innych ludzi poza skończonymi durniami, a ten tam *hombre*, za cholere, nie jest żadnym durniem.

- Może być szeryfem.

- Nie ma gwiazdy - orzekła powątpiewającym tonem Lola.

- Skąd wiesz?

- Przejrzałam jego rzeczy.

- Lola! Nie miałaś prawa tego robić.

Czarne oczy Loli wzniosły się ku niebu, jakby tylko tam można było znaleźć lekarstwo na głupotę Sary.

- Ma całe naręczce listów gończych z Teksasu - powiedziała Lola - zapasowy rewolwer i dwie strzelby, dobre strzelby, i tyle nabojów, że wystarczyłoby na porządną bitwę, ubrania na zmianę, mydło, brzytwę, lunetę i ze trzysta dolarów w złocie. Po jego płaszczu widać, że był w armii Południa, i ma filiżaneczkę i spodeczek, jak dla lalki, wszystko elegancko opakowane.

- Żadna z tych rzeczy nie świadczy, że jest bandytą.

- Nie ma wielkiej różnicy między bandytą, a łowcą nagród – parsknęła Lola.

- Czy Ute był wymieniony na którymś z tych plakatów?

- Nie. Tylko sami Culpepperowie.

Sara przypomniała sobie podsłuchaną rozmowę między Abem i Kesterem Culpepperami:

„Pieprzysz. Zaraz będziesz jęczał, że depczą nam po piętach ci Teksykańczycy”. Sara przypuszczała, że zna przynajmniej jednego z tych „Teksykańczyków”, którzy deptali po piętach Culpepperom.

- Nie rób takiej smutnej miny - powiedziała Lola. - Nie ma powodu, żeby płakać nad takimi typami jak Culpepperowie. Jeśli nawet połowa tego,

co jest napisane na tych plakatach, jest prawdą, to już wystarczy na nich wszystkich. A najgorszy z całej tej bandy jest Ab.

Nie wątpię w to - odparła Sara, przypominając sobie fragmenty rozmowy Aba Culpeppera z Moodym.

„Nawet diabeł nie zna myśli kobiety. One wszystkie to nic niewarte dziwki. Ukradnij sobie jakąś albo kup w Meksyku. Albo weź Indiankę”.

„Jeżeli ja uznam, że trzeba się zająć wdową po Kennedym, to zrobię to osobiście...”

- Co Culpepperowie robili w Teksasie? - zapytała niespokojnie.

- Napadali na banki, gwałcili i mordowali.

Sara skrzywiła się.

- I sprzedawali dzieciaki Comancheros - dodała Lola. - A przedtem robili im takie rzeczy, że zawstydziliby to samego diabła.

Sara nie prosiła już o więcej szczegółów. Przełknęła tylko ślinę i zajęła się wykręcaniem ostygłych już bandaży. Gwałtowność jej ruchów mówiła więcej niż słowa.

- Wygląda na to, że Case może mieć jakiś osobisty powód, żeby polować na Culpepperów - odezwała się po chwili milczenia.

- Być może - zgodziła się Lola. - Mam nadzieję, że szybko stanie na nogi.

- Dlaczego?

- Bo będziemy go potrzebowali.

- Co masz na myśli?

- Culpepperowie weszli w okolice.

Sara poczuła ściskanie w żołądku.

- Jesteś pewna?

- Ute widział ślady ich koni przy śladach jego i Case'a.

Sara w milczeniu wyjęła kolejny kawałek materiału i rozwiesiła go na sznurze. Nie pytała, czy Ute jest pewien, kto pozostawił te ślady. Zanim został człowiekiem wyjętym spod prawa, Ute był najlepszym zwiadowcą w armii na zachód od Gór Skalistych.

- Conner wie o tym?

- Sama mu o tym powiedziałam.

Sara przymknęła oczy. Jak długo pięcioro ludzi, w tym jeden ciężko ranny, mogłoby się bronić, gdyby bandy Culpepperów i Moody'ego napadły na ich małe ranczo? Jedyne cieniem nadziei były ostre rozkazy Aba, zabraniające wszelkich awantur w odległości mniejszej niż trzy dni konnej jazdy od Źródlanego Kanionu.

- A wojsko?

- Och, może wpadną na taki pomysł i przyjadą w te strony, ale wątpię, żeby zdążyli i żeby nam to pomogło. Te chłopaki z wojska mają dość roboty z czerwonoskórymi.

- No cóż - westchnęła Sara, energicznie roztrzepując bandaże. - Po prostu

będziemy musieli zrobić, co się da. Będę stawała na straży na krawędzi kanionu.

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Nie strzelałabyś do nich bez ostrzeżenia.

- Conner też nie.

Lola podniosła twarz i spojrzała na nią zmrużonymi czarnymi oczami.

- Nie znasz dobrze tego chłopaka. On zrobi wszystko, co trzeba, żebyś była bezpieczna.

- Ja zrobię to samo dla niego.

Lola uśmiechnęła się z zaskakującą u niej łagodnością.

- To prawda. Sprzedałaś się dla brata staremu wariatowi.

Cśś - Sara rozejrzała się pośpiesznie. - Nigdy nie mów czegoś takiego przy Connerze.

- Myślisz, że on tego jeszcze nie wie?

- Nie ma potrzeby o tym mówić. Wcale nie żartuję.

Wzdychając, Lola splotła ręce na piersiach. Chociaż miała niewiele mniej niż sześć stóp wzrostu i prawie trzy stopy szerokości, to na jej potężnym ciele nie było ani śladu tłuszczu. Na prawym biodrze jak zwykle miała rewolwer.

- Gadanie nie zmieni tego, co było i co jest - powiedziała. - Conner, Ute i ja już się dogadaliśmy. Ty będziesz tutaj. My będziemy stali na zmianę na straży.

- To śmieszne.

- Wcale nie. Jesteś za miękka, żeby zastrzelić człowieka z zasadzki.

Nawet Culpeppera. Jestem pewna, jak cholera, że byś się przejęła i nie nacisnęła spustu.

- Ja...

Długi, przenikliwy gwizd z urwiska nad ranczem przerwał Sarze.

Obydwie kobiety obróciły się i pobiegły do swych strzelb opartych o ścianę chaty.

Po pierwszym sygnale nastąpiły jeszcze trzy krótkie gwizdnięcia.

- Jedzie tylko trzech - powiedziała Sara, chwytając broń.

- To znaczy, że chcą gadać.

Lola przełożyła pasek jednej dubeltówki przez głowę zawieszając broń na lewym ramieniu. Potem podniosła drugą dubeltówkę i odciągnęła kurki w obydwu strzelbach.

Patrząc na nią, Sara gotowa była uwierzyć w to, że Ute i Lola napadali niegdyś wspólnie na banki.

- Dlaczego mieliby tracić czas na rozmowy z nami?

- Wolałabyś iść na niedźwiedzia na ślepo czy najpierw rozejrzeć się po jego rewirze? - odparła Lola.

- Nie sądzę, żeby Moody był taki bystry.

- Bo nie jest, ale Ab Culpepper jest cwany jak kojot i dwa razy bardziej okrutny.

Cichy gwizd z bawełnianych zarośli, ciągnących się wzdłuż potoku, powiedział im, że Conner jest na posterunku.

- Ute zejdzie w dół na skróty - powiedziała Lola. - Będzie tu raz-dwa.

Mając za plecami chatę, Connera po lewej stronie i Ute po prawej, były gotowe do walki, gdyby to okazało się konieczne.

Sara miała nadzieję, że do tego nie dojdzie.

- Nie - powiedziała Lola, mrużąc oczy pod słońce. - Pewne, jak diabli, że to nie napad.

- Dlaczego jesteś taka pewna?

- Ute nie czekałaby na zaproszenie, żeby zacząć bal. Strzelałby tak szybko, jak tylko zdążyłby przeładowywać i pociągać za spust. Jak jeszcze nie strzela, to znaczy, że nie ma potrzeby.

Mimo słów Loli ręce Sary zacisnęły się na broni aż do bólu. Wiedziała, że od czasu, kiedy Ute przybył bardziej martwy niż żywy do ich doliny i podjął u niej służbę, nie mieli żadnych problemów z Indianami przechodzącymi przez ranczo Zagubionej Rzeki w drodze na swoje odwieczne tereny łowieckie. Lecz trzech mężczyzn zjeżdżający w tej chwili ze zbocza byli bandytami, jakich Sara nie widziała od lat.

„O Boże, mam nadzieję, że Connerowi nic się nie stanie” - pomyślała.

Jednak nie okazywała strachu. Stojąc nieruchomo, obserwowała dwóch wysokich, chudych mężczyzn, wjeżdżających na jej teren na gniadych mułach, które były tak smukłe i muskularne jak zające.

- Jest ich tylko dwóch - zauważyła Sara.

- Umiem liczyć - burknęła Lola.

- To gdzie jest trzeci?

- Najpewniej gdzieś się kryje z tyłu - odparła Lola, szczerząc do Sary swe rzadkie zęby. - Obserwuje nas.

Sara uśmiechnęła się bez przekonania. Myśl o tym, że ktoś się może podkraść do niej od tyłu, nie była przyjemna.

Tak jak nauczył ją Ute, odsunęła się nieco od Loli, żeby ich pola ostrzału nie nakładały się na siebie. Lola zrobiła to samo.

„Przynajmniej mamy za plecami chatę” - pomyślała ponuro Sara.

Wyschnięte na słońcu, byle jak cięte deski nie były zbyt dobrą ochroną, ale były lepsze niż nic.

- No, to są Culpepperowie - odezwała się Lola.

- Skąd wiesz?

- Te chłopaki lubią duże muły.

Patrzyły na jeźdźców przesuwających się na tle czerwonej skały urwiska, na skraju doliny. Z odległości ćwierci mili jeźdźcy wyglądali na równie zakurzonych i wyblakłych jak zarośla w środku lata.

- Ciekawe, którzy to z nich - rzuciła Sara.

- Trudno stąd odróżnić. Ute mówi, że w Źródlanym Kanionie obozuje pięciu tych drani.

Sara wzięła głęboki oddech i pochyliła się do przodu, wpatrując się w podstawę zbocza. Nadal widziała tylko dwóch jeźdźców.

- Widzisz gdzieś tego trzeciego? - zapytała Lola.

- Nie.

- Szkoda, że tak bardzo nie lubisz tytoniu. Dobra prymka byłaby akurat w sam raz.

- Więc żuj. Teraz nie pora na salonowe maniery.

Lola wyciągnęła zwitek tytoniu, odgryzła kawałek trzonowymi zębami, a resztę wetknęła do kieszeni koszuli.

- Dziękuję bardzo - powiedziała.

- Proszę bardzo. Tylko nie pluj na pranie.

Lola roześmiała się, wypychając policzek tytoniem, ale ani na moment nie spuściła oczu ze zbliżających się mężczyzn.

Sara wpatrywała się w obydwu jeźdźców, modląc się, żeby udało się jej wypatrzeć tego trzeciego.

„Oby Ab był tym, który został z tyłu” - pomyślała.

Nie chciała już nigdy znaleźć się tak blisko Aba Culpeppera jak wtedy, gdy kryła się w pieczarze, podsłuchując rozmowę bandytów. Nuta agresji w jego głosie, którą wtedy słyszała, gdy kazał Moody'emu zaprzestać napadów w pobliżu obozowiska, nawet teraz przeszywała ją dreszczem.

- Dobrze, że Culpepperowie nie ufają Moody'emu - powiedziała. - Idę o zakład, że Ab został z tyłu, by się przed nim zabezpieczyć.

Lola mruknęła coś pod nosem. Nie był to dźwięk aprobaty.

- Nawet półgłówek nie wierzyłyby Moody'emu - odparła. - Ukradłby swojej babci ostatnie grosze i tańczyłby na grobie własnej matki.

- Tak mówisz, jakbyś go znała.

- Raz wykiwał mnie w Nowym Meksyku. Nie zapłacił mi za całą noc.

Byłam wtedy znacznie młodsza i nie miałam zielonego pojęcia o tym, jak mężczyźni potrafią oszukiwać.

Sara uśmiechnęła się lekko. Nie potrafiła sobie wyobrazić, by ktokolwiek, mężczyzna czy kobieta, mógł oszukać Lolę.

Obydwa muły były już niecałe sto jardów od nich. Wydawało się, że idą powolnym krokiem, ale jednak zbliżały się do nich bardzo szybko.

- Ty będziesz gadać - powiedziała Lola. - Jak dojdzie do strzelaniny, to skacz do chaty i zostaw ich mnie.

- Ja nie będę...

- No pewnie, do cholery, że nie - przerwała jej gwałtownie. - Ute i ja wiemy, jak to się robi. Nie będziemy tu stać razem, żeby się nawzajem podziurawić.

Sara nie miała już czasu na protesty. Culpepperowie zatrzymali się trzydzieści stóp od nich. Pył spod kopyt mułów zawisł na chwilę w powietrzu

i odpłynął, przegoniony wiatrem.

Z pustego, błękitnego nieba znowu nadbiegł krzyk orła: piękne wołanie wolności. Jakże teraz zazdrościła ptakowi!

-Jestem Ab Culpepper - rzekł pierwszy jeździec. - To Kester, mój krewniak. Nie gada dużo.

Przybysze nie patrzyli wprost na kobiety. Rozglądali się wokół, lustrując obejście.

-Dzień dobry obydwu panom - powiedziała Sara ze ściśniętym gardłem.

- Nazywam się Kennedy.

Kester poprawił się w siodle, jego niebieskie, wyblakłe oczy przesuwają się po zabudowaniach.

„Lola ma rację” - pomyślała Sara z mieszaniną ulgi i gniewu. „Oni po prostu sprawdzają naszą obronę. Sukinsyny”.

Podniosła głowę. Chociaż żadna z nich nie skierowała broni ku jeźdźcom, to wystarczyłby niewielki ruch, by obydwie wzięły ich na ceł.

- Szanowanie - mruknął Kester i, jakby sobie coś niespodziewanie przypomniał, dotknął róna swego znoszonego kapelusza.

- Poprawne maniery - mruknęła Lola. - Tak dawno ich nie używał, że aż trzeszczy mu w stawach.

Sara uśmiechnęła się ponuro.

Lola strzyknęła przez szczerbę w zębach strumieniem brązowej śliny wprost pod kopyta muła. Plunęła na odległość ponad sześciu stóp. Kester spojrział na nią z podziwem.

- Możecie nam dać trochę gorącej kawy? - zapytał bez ogródek Ab.

„Po to, żebyście się mogli rozejrzeć wewnątrz chaty” - pomyślała Sara.

„Nie, Ab. Nie pomogę ci aż tak bardzo”.

- Przykro mi, ale nie mamy kawy. Jest za droga.

- No to herbaty po mormońsku. Cokolwiek gorącego.

- Zgasiliśmy ogień o świcie i potem pracowałyśmy na dworze. Robiliśmy pranie.

Wyraz twarzy Aba świadczył o tym, że jej nie wierzy.

Patrząc na stan ubrań Culpepperów, Sara była w stanie zrozumieć jego nieufność. Spodnie Aba wyglądały tak, jakby nie były prane od lat.

Prawdopodobnie zapomniał, jakie to pracochłonne zajęcie. Być może nigdy nawet tego nie wiedział.

-Nie mamy też sucharów - dodała Sara spokojnym głosem - ani fasoli, ani bekonu, ani nawet wołowiny. Przykro mi, ale nie spodziewałam się gości.

Ab poprawił się nieco w siodle, odsunął do tyłu kapelusz i spojrział wprost na nią. Musiała się przemóc, by nie cofnąć się o krok do tyłu. W jego oczach dostrzegła coś takiego, że aż ścisnęło ją w żołądku. Przypomniała sobie, co Lola powiedziała o Abie i jego kompanach.

„Sprzedawali dzieciaki Comancheros. A przedtem robili im takich rzeczy, że zawstydziłoby to samego diabła”.

- Jeśli wasze muły są spragnione - powiedziała niechętnym tonem - to możecie je napoić w potoku.

- Nie chce im się pić - odparł Ab.

Nastała absolutna cisza, której nie przerwał nawet krzyk orła.

- Nie jesteś za bardzo życzliwa, co?

- Mam życzliwych mi przyjaciół.

Powiedziała to takim tonem, aby było jasne, że nie są jej potrzebni nowi przyjaciele, a szczególnie Culpepperowie.

- Taka samotna dziewczyna nie ma nigdy za dużo przyjaciół.

- Nie jestem sama.

Ab spojrział na Lolę i znowu obrócił wzrok ku Sarze.

- Mówię o mężczyznach.

- Nie interesują mnie mężczyźni, panie Culpepper. Ani trochę.

- No cóż, panienko. Jak tak, to zdaje mi się, że nie będziesz miała nic przeciwko oddaniu mi mojego człowieka.

- Gdybym miała jednego z pana ludzi, to mógłby go pan sobie zabrać od razu. Ale go nie mam, więc niech lepiej poszuka pan swojej zguby gdzie indziej. Natychmiast.

Twarz Aba zastygła. Jego wodniście niebieskie oczy nabrały jakiegoś dziwnego blasku.

- Wolnego, panienko. Nie jestem jakimś śmieciem, żeby mogły mnie przegonić taka jak ty i stara dziwka.

Zrezygnował z wszelkich pozorów grzeczności. Już ich nie potrzebował.

Mówił tym samym zimnym tonem, jaki słyszała, gdy wypowiadał sąd, że wszystkie kobiety to nic niewarte dziwki. Bardziej jednak niż jego głos przeraziły ją oczy Aba. Nigdy wcześniej nie widziała w niczyich oczach tak jawnej nienawiści.

- Nie przestraszy mnie pan swoim słownictwem, panie Culpepper. Proszę odjechać z rancza.

- Przyjeżdżam po tego skunksa, który zamordował moich krewniaków. Oddaj go.

- Nie wiem, o czym pan mówi. Na ranczu nie ma żadnego mordercy.

Muś Kestera ruszył nieco w lewo. Jednocześnie lufa dubeltówki Loli podniosła się w wyraźnym ostrzeżeniu. Odciągnęła obydwie kurki, patrząc na Kestera jak na grzechotnika.

- On tu jest - powiedział Ab. - Szliśmy śladem tego mordercy od Hiszpańskiego Kościoła.

- Czy pana krewniacy mieli przy sobie broń?

- Jasne. To Culpepperowie.

- Czy zostali postrzeleni w plecy?

- Culpepperowie nie są tchórzami - odparł. - Nie uciekali przed nim.

- Więc nie było morderstwa, prawda? - rzekła Sara. - Pana krewniacy po prostu wyciągnęli broń przeciwko niewłaściwemu człowiekowi. Zapłacili życiem za swój błąd.

Twarz Aba pokryła się rumieńcem i zaraz zbladła.

- Człowiek, który zabił moich krewniaków, jest w tej chacie - powiedział zimnym tonem. - Przyrowadź go.

- Nie. On sam ledwie żyje.

- A kogo to obchodzi? Przyrowadź go!

- Jeżeli wyzdrowieje, to możecie szukać go gdzie indziej. Do tego czasu jest moim gościem.

Ab patrzył na nią w taki sposób, jakby nie wierzył własnym uszom.

Sara wpatrywała się w niego, mimo że zimny pot spływał jej po plecach.

Lufa jej dubeltówki mierzyła wprost w brzuch Aba.

- Nie spuszczaaj z niego oczu. I nie patrz, co się dzieje gdzie indziej - poleciła Lola.

- Dobrze! - głos Sary brzmiał cicho, lecz pewnie. - Do widzenia, panie Culpepper. Proszę tu nie wracać. Nie lubimy niespodziewanych gości.

Lola splunęła strumieniem soku tytoniowego na ziemię.

- Jej chodzi o to - odezwała się - że strzelamy do takich, jak tylko ich zobaczymy, i zakopujemy tam, gdzie padną. Jasne?

Ab nie potrzebował, by mu to powtarzano dwa razy. Słowa Sary i Loli były tak jednoznaczne, jak i wycelowana w jego brzuch lufa dubeltówki.

Nagle z chaty dobiegł odgłos wystrzału. I jeszcze dwa. Sara drgnęła, ale nie odwróciła wzroku od Aba ani nie przesunęła lufy z obranego celu. Lola nawet nie drgnęła.

Spoza chaty nie dobiegły żadne strzały.

-Wygląda na to, że trzeba będzie kogoś zakopać. Wy, chłopaki, albo łapcie za broń, albo się wynoście.

Żaden z intruzów nie sięgnął po broń. Obydwaj patrzyli wprost w podwójne lufy załadowanych i gotowych do strzału dubeltówek. To, że broń znajdowała się w ręku kobiet, nie było dla nich żadnym pocieszeniem. Wiedzieli, że nie trzeba szczególnej siły, by pociągnąć za spust.

- Parnell! - wrzasnął Ab.

Nikt nie odpowiedział.

- Jeszcze jeden krewniak? - zapytała Lola. - Wygląda na to, chłopaki, że nie jesteście ostrożni.

Ab ani na chwilę nie oderwał wzroku od Sary. Wbijał sobie w pamięć obraz jej twarzy, ciała i trzymających broń rąk.

- Twój czas nadejdzie i ja będę tym, który ci to zrobi. Tak samo temu szczeniakowi, który teraz się chowa w zaroślach. Trzymaj go na smyczy, bo jak nie, to nie będzie miał co pokazywać dziewczuchom.

Szarpnął wodze. Jego muł obrócił się na tylnych kopytach i ruszył

truchtem. Wierzchowiec Kestera podążył za nim.
Żaden z nich nie obejrzał się za siebie.

6

- Obserwuj ich - poleciła Sara.

Lola znowu splunęła strumieniem brązowej śliny.

- Nie urodziłam się wczoraj.

Bez słowa Sara zabezpieczyła broń i wbiegła do chaty. Rzuciła przelotne spojrzenie na rannego sokoła, który siedział na grzędzie w rogu pomieszczenia. Był rozdrażniony i wystraszony hałasem, ale nic złego mu się nie stało.

Nie można było tego jednak powiedzieć o jej drugim podopiecznym.

Case leżał na podłodze w głębi chaty, nagi, jeśli nie liczyć opaski na biodrach.

Czoło miał oparte o ścianę, a w dłoni trzymał rewolwer. Lufa broni tkwiła w szparze między deskami. W nieruchomym powietrzu unosił się gorzki zapach prochu.

- Case?! - zawołała,

Jego jedyną odpowiedzią było niezrozumiałe mruknięcie. Nie odwrócił się ku niej.

Podbiegła do niego i opadła przy nim na kolana. Oparła strzelbę o ścianę i zaczęła pośpiesznie przesuwać rękoma po jego plecach i nogach, szukając nowej rany. Łagodne dotknięcia rąk Sary przeszły go jak błyskawica. Syknął, dusząc w gardle przekleństwo. Podniósł rozczochraną głowę i zwrócił na nią swe błyszczące, szarozielone oczy.

- Wszystko w porządku? - wyszeptwała.

- Nie.

Jęknęła cicho i pogłaskała go po plecach, jakby był wystraszoną jastrzębiem.

- Gdzie cię boli? Znowu dostałeś? Plecy wyglądają w porządku. Odwróć się, to sprawdzę z przodu.

Myśl o tym, że delikatne, zwinne ręce będą badały każdy cal jego ciała, sprawiła, że przeszył go kolejny dreszcz.

- Nie kuś mnie.

- Co?

Mruknął coś pod nosem. Jej dotyk przemienił strach o nią, jaki czuł, gdy zbliżali się Culpepperowie, w żywiołowe, niepowstrzymane pożądanie.

- Nic mi nie jest. Z wyjątkiem tego, że chybiłem tego sukinsyna, Parnella.

To jego wołał Ab. Do diabła z tym!

- Gdzie on był?

- Widzisz tamtą kupkę kamieni?

Sara pochyliła się i wyjrzała przez szparę. Jedyna kupka kamieni, jaką mogła dojrzeć, znajdowała się o wiele dalej niż sto jardów od chaty. Spojrzała na rewolwer Case'a.

- O Boże, nic dziwnego, że chybiłeś. Przecież nie miałeś nic poza rewolwerem.

- To powinno wystarczyć.

Chciała zaprotestować, ale zrezygnowała, widząc wyraz jego oczu.

- Pozwól, żebym położyła cię z powrotem do łóżka - powiedziała.

- Wracaj na dwór obserwować Culpepperów. Dobrze mi tu, gdzie jestem.

- Lola ich obserwuje, a Ute idzie ich tropem. Conner jest na stanowisku w zaroślach, żeby nas ostrzec, gdyby ktoś jeszcze się pokazał.

Case w milczeniu spoglądał przez szparę w ścianie. Nic nie poruszyło się na zewnątrz, nawet cień przelatującego ptaka.

W panującej ciszy metaliczny szcęk spuszczonego kurka rewolweru Case'a zabrzmiał niemal jak huk wystrzału.

- Wygląda na to, że robiliście już wcześniej takie rzeczy - zauważył.

- Ute mówi, że lepiej jest najpierw coś zaplanować niż umierać z powodu swojej niedbałości.

- Całkiem jak Hunter - mruknął Case.

- Hunter?

Mój brat. Był pułkownikiem w czasach, kiedy Południe miało własne mundury i głupców, którzy umierali za to, żeby je nosić. Ale wcale nie uważam, że Hunter był głupcem. To ja byłem jedynym głupcem w rodzinie.

- Wątpię w to.

- Ja nie.

Słyszac smutek w jego głosie, Sara poczuła nagłe ściskanie w gardle.

Odruchowo pogłaskała znowu jego plecy długimi, delikatnymi ruchami.

- Pozwól mi odprowadzić się do łóżka - powiedziała po chwili.

- Mogę wrócić tak samo, jak dostałem się tutaj.

- Ale jesteś ranny.

Poczuł obsuwającą się po jego plecach dłoń. Ledwie się powstrzymał, żeby jej nie odtrącić. Równie dobrze był gotów porwać ją w objęcia.

- Case?

- Jak nie przestaniesz pieścić mnie jak kocura - powiedział spokojnym głosem - to cię złapię i pokażę ci, jak zdrowo się czuję.

- Jak kocura? - roześmiała się. - Bardziej przypominasz kuguara niż domowego kota.

Zaczął obracać się na zdrowy bok, odsłaniając to, co go wprawiało w takie zakłopotanie. Jednak nawet sama próba ruchu przyprawiła go o taki ból, że znieruchomiał.

„No, to powinno mnie wyleczyć” - pomyślał.

Jednak nie wyleczyło. Nie całkiem.

„Kolejna dawka powinna wystarczyć” - uznał i z ponurą determinacją oparł się na zdrowej nodze. Ignorując protesty Sary, zawlókł się z powrotem na posłanie, bardziej czołgając się niż idąc.

- No i? - zapytał, kładąc się. - Zadowolona?

Spojrzała na popielaty odcień jego skóry, poznaczone kroplami potu czoło i zwężone od bólu bladozielone oczy.

- Mógłbyś nauczać uporą muły Culpepperów - rzuciła ze złością.

- Nie wątpię.

- Lubisz dodawać mi pracy?

Zamrugnął oczami.

- Słucham?

- Spójrz na siebie. Jesteś brudny od stóp do głowy. Będę musiała cię wyprać razem z bandażami i tą twoją przepaską.

Case usiłował zaprotestować, ale wyczerpanie ogarnęło go jak wir wsysający pływaka pod wodę. Był wstrząśnięty swą własną słabością.

- Zbyt... zmęczony - wykrztusił.

- A ja nie jestem. Będiesz czysty, zanim się spostrzeżesz.

Próbował oponować, ale wir wciągał go coraz głębiej. Zamiast słów z jego ust dobyło się tylko jakieś niezrozumiałe mamrotanie. Przez chwilę Sara patrzyła, jak jego powieki drgają i zamykają się powoli. Westchnęła z ulgą, gdy wreszcie zamknęły się na dobre. Wątpiła, czy byłaby w stanie przymusić go do zrobienia czegokolwiek, nawet w momentach, kiedy był tak wyczerpany bólem.

- Co za uparty człowiek! - mruknęła.

Case leżał z zamkniętymi oczami. Jego czarne, podwinięte ku górze rzęsy wyglądały jak gęste, długie wachlarze. Nadawało mu to zadziwiająco delikatny wygląd.

- Każda dziewczyna pozazdrościłaby ci takich rzęs - powiedziała. -

Ale Bóg dał je człowiekowi, który jest tak twardy, że mógłby jeść stal i wypluwać brzytwy.

Jeśli nawet Case ją słyszał, to i tak nie można było tego po nim poznać.

- Dziękuję ci, Case. Nieważne, kim jesteś i skąd przybyłeś - powiedziała.

Case ani drgnął.

- Zawsze wiedzieliśmy, że tył chaty jest naszym słabym punktem -

ciągnęła, podchodząc do jego posłania. - Conner nie widzi tego miejsca z zarośli i Ute też go nie widzi, kiedy zejdzie z urwiska, żeby chronić naszą drugą flankę.

Oddech Case'a pogłębiał się wraz z tym, jak wyczerpanie wciągało go w kojący sen.

Uklękła przy nim i przyłożyła dłoń do jego czoła. Było chłodne, gładkie i jeszcze wilgotne od szybko wysychającego potu.

- No cóż. Zobaczmy, jak bardzo się poraniłeś, broniąc naszych tyłów.

Pośpiesznymi ruchami rozwinęła bandaż na jego udzie. Nie dostrzegła ani kropli świeżej krwi, nawet na głębokiej ranie.

- Dzięki Bogu - szepnęła. - Jesteś równie twardy, jak uparty.

Z dwóra dobiegł przeciągły gwizd; wszystko w porządku. Sara poczuła taką ulgę, że aż zakręciło się jej w głowie. Wciągnęła głęboki oddech, usiłując wziąć się w garść, i przystąpiła do przygotowywania kąpieli.

Wbrew temu, co powiedziała bandytom, w chacie nadal płonął niewielki ogień. Wystarczał, żeby złagodzić chłód powietrza i podgrzać kociołek z wodą.

- Wszystko w porządku tam w środku?! - rozległo się wołanie Loli.

- Nie otworzyły mu się rany, jeśli to cię interesuje. - zawołała w odpowiedzi.

- Odjechali?

- Aż się za nimi kurzyło.

- A gdzie jest Conner?

- Pilnuje chaty od tyłu. Ute szuka tego trzeciego sukinsyna.

- Zajmę się Case'em i wyjdę, kiedy tylko będę mogła.

- Nie trzeba. Jak na razie stoję tu tak samo niepotrzebna jak cycki u byka.

Pomóc ci?

- Nie - odparła pośpiesznie Sara. - Poradzę sobie sama.

Dopiero powiedziawszy to, uświadomiła sobie, że nie chce, by ktokolwiek widział Case'a nagiego. Co innego, kiedy był ciężko chory. Teraz, gdy był na tyle zdrowy, żeby pełzać po wnętrzu chaty, było inaczej. W jakiś sposób było to bardziej intymne.

„Głupia jestem” - napomniała się w myślach. „Lola widziała więcej nagich mężczyzn niż ja ubranych”.

Nawet przypominając sobie o tym, Sara nie chciała dopuścić do siebie myśli, że jakaś inna kobieta mogłaby zajmować się zgrabnym, muskularnym ciałem Case'a.

- Kiedy będziesz mogła, to przynieś jeszcze wody! - zawołała.

- Dobrze, dziewczyno. Co będziesz robiła z tą wodą? Będziesz prała skały i wywieszała je na chmurach, żeby wyschły?

Sara roześmiała się. Nikomu nie podobało się, że zużywa tak dużo wody i mydła, piorąc i myjąc wszystko, co nawinęło jej się pod rękę.

- Żadnych skał. Tylko mężczyznę. Wielkiego mężczyznę - mruknęła.

Poczuła jakieś dziwne ukłucie w żołądku, kiedy pomyślała o Casie jako o mężczyźnie, a nie po prostu stworzeniu potrzebującym jej pomocy.

Nie był to strach, ani nawet obawa, chociaż miało to w sobie coś z obydwu tych uczuć.

-Coś jest z tobą nie tak, Saro Jane Lawson - powiedziała cicho, naśladowując sposób mówienia i słownictwo swej nieżyjącej od dawna babci. -

Można by pomyśleć, że pozbyłaś się tej resztki rozsądku, jaką dał ci Bóg.

Ogarnął ją taki smutek, że niespodziewanie poczuła ścisnięcie w gardle.

Od dawna nie myślała o nieżyjących członkach swojej rodziny. Początkowo

po prostu nie była w stanie znieść takiej myśli. Potem przywykła do tej sytuacji.

- Przyszłość, nie przeszłość - napomniała się. - Conner jest moją przyszłością. Jediną przyszłością.

Postanowiła nigdy nie dopuścić do tego, żeby zdała się na łaskę mężczyzny, wychodząc za niego za męża. Wszystkie jej nadzieje i tęsknota za rodziną związane były z jej młodszym bratem. Tym samym, któremu Ab groził kilka minut temu.

„Trzymaj go na smyczy, bo jak nie, to nie będzie miał co pokazywać dziewczuchom”.

Case poruszył się i zapadł w jeszcze głębszy sen.

Odpychając od siebie wszystkie inne myśli, Sara pochyliła się nad nim i rozpoczęła dobrze już jej znany rytuał rozwijania bandaży, nakładania maści i opatrywania ran czystymi bandażami.

Nie przerywając pracy, mówiła cichym głosem, opisując to, co robi.

Mówiła na głos, gdyż doświadczenie nauczyło ją, że dzikie stworzenia boją się mniej, jeżeli wiedzą dokładnie, gdzie ona jest, dzięki nieprzerwanemu potokowi łagodnych słów. Pod pewnymi względami Case przypominał Sarze dzikie stworzenie - silne, samotne i samowystarczalne. Takie były dzikie zwierzęta, dopóki człowiek i jego broń palna nie zakłócili naturalnego porządku świata. Jediną zmianą w rutynowym wykonywaniu zabiegów nastąpiła, gdy uniosła nieco jego nogę, by obejrzeć szew na tylnej części uda. Skóra wokół rany była nabrzmiąta i naciągnięta pod naciskiem.

-Jezu, jak szybko się goi! - powiedziała cicho. - Zdrowy jak koń, jak powiedziałby wuj William.

Znowu poczuła niespodziewane ukłucie żalu. Rzadko pozwalała sobie na myślenie o swym wuju lekarzu. Był starym kawalerem, po którym została na tym świecie jedynie czarna walizeczka z przyborami jego profesji.

- Dobrze wykorzystałam twoją walizeczkę - wyszeptła. - Utrzymuję przybory w takiej czystości, że aż lśnią. Czy wiesz o tym tam, gdziekolwiek jesteś? Czy jest to wystarczającym zadośćuczynieniem za te wszystkie razy, kiedy włóczyłam się za tobą i gnębiłam pytaniami, dopóki nie nauczyłeś mnie wszystkiego, co sam wiedziałeś?

Żadna odpowiedź nie zakłóciła ciszy. Nie spodziewała się jej. Przywykła już do zadawania pytań, na które nie było odpowiedzi. Za pomocą błyszczących, specyficznym uformowanych nożyczek przecięła szwy na udzie Case'a. Kiedy wyciągała je szczypcami, Case poruszył się nieco.

- Wszystko w porządku - mruknęła uspokajająco. - Tylko wyciągam szwy, których nie potrzebujesz. Nie masz powodu, żeby się budzić.

Nie spodziewała się od niego odpowiedzi bardziej, niż spodziewała się jej od swego wuja czy od zwierząt, którymi się opiekowała. Ponieważ Case nie sprzeciwiał się jej w żaden sposób, uznała, że nadal śpi.

- Proszę - mruknęła - to ostatni szew. Teraz znowu cię zabandażuję.
Nie będzie bolało. Ani trochę.
Podniósł, na mgnienie oka, powieki, odsłaniając szczeliny bladych oczu.
Chciał powiedzieć, że nie zadaje mu bólu, ale było to dla niego zbyt wielkim wysiłkiem.
Łatwiej było mu po prostu leżeć spokojnie i pozwalać dziewczynie, by koła jego ból dotykiem i słowami.
- Lola przysięga, że ta cuchnąca maść zapobiega infekcji lepiej niż mydło.
Nie wiem, co powiedziała by na to wuj, ale ta maść z pewnością pomogła Ute, tobie i wszystkim innym dzikim stworzeniom.
Odstawiła słoiczek z maścią. Spadł ze stukiem na klepisko obok ramienia Case'a. Zmieszane aromaty jałowca, szałwii i innych ziół, których nie potrafił zidentyfikować, wypełniały jego płuca za każdym razem, kiedy wciągał oddech. Bardziej mu się podobał przypominający słońce i płatki róż zapach skóry Sary, ale nie miał dość siły, aby jej to powiedzieć.
- No właśnie - ciągnęła. - Śpij dalej. Założę nowy bandaż.
Poczuł znany mu już dotyk rąk Sary, tak samo znajomy jak delikatny dotyk jej piersi, kiedy bandażowała mu udo.
Reakcja jego ciała też nie była dla niego nowością. Nie próbował zwalczać podniecenia, które nieodparcie nadchodziło. Miał tylko nadzieję, że przepaska na biodrach okrywa go dostatecznie.
- Teraz tylko wyprostujemy tę nogę - mruknęła. - Nie powinno boleć dłużej niż przez chwilę.
Wsunęła ręce pod kolano i piętę jego rannej nogi. Delikatnie ułożyła ją w bardziej naturalnej pozycji.
- Dobrze, że muszę przesuwac tylko część ciebie - powiedziała cicho.
- Jesteś ciężki, nawet jak leżysz.
Łagodnie przesunęła dłonią po jego zdrowej nodze, czując przyjemne ciepło i sprężystość ciała mężczyzny.
- Taka siła. To wspaniałe - być takim silnym.
Case nie odezwał się tylko dlatego, że nie chciał przerwać tych delikatnych pieszczot. Nie doznał niczego równie rozkosznego od wielu lat.
- Wybrudziłeś się - szepnęła i roześmiała się. - W jaki sposób dzieci bawiące się na klepisku są czyste?
Ciągłe mówiąc, przesuwała delikatnie ręką po jego nodze. Wiedział, że ten dotyk ma łagodzić ból. Obserwował ją, kiedy łagodnie przemawiając, pieściła w ten sam powolny sposób rannego jastrzębia. Uśmierzała niepokój ptaka, żeby móc opatrzyć mu skrzydło.
- Dobrze by było, gdyby Conner i Ute mogli pojechać na tydzień w góry, żeby naciąć desek na podłogę - powiedziała cicho. - Ale nie zanoszą się na to. Tyle jest pracy, a tak mało czasu...
Odstawiła słoiczek z maścią, okryła Case'a flanelowym prześcieradłem

i odsunęła się od niego. Westchnął lekko, trochę zawiedziony, a trochę z ulgą. Jej pieszczoty były podniecające i zarazem w dziwny sposób drażniące.

„Byłaby dobrą matką - pomyślał - ale najpierw będzie musiała znaleźć mężczyznę wystarczająco młodego i dzielnego albo głupiego na to, by poprosić Boga o dzieci, których nie będzie potrafił ochronić”.

Case nie był już tak młody. Nie był młody od czasu, kiedy wrócił do domu z wojny i znalazł krwawe szczątki rodziny brata.

„Zostało pięciu Culpepperów” - powiedział sobie w myślach. „Potem będzie po wszystkim.”

Nie rozmyślał nad tym, co zostało zrobione, czy nad tym, co pozostało jeszcze do zrobienia. Nikt nie lubi grzebania się w nieczystościach, ale też żaden mężczyzna godny tego miana nie unika swego obowiązku, kiedy wyciąga pechowy los.

Koniecznien trzeba było powstrzymać Culpepperów. Case był tym, który wyciągnął krótką słomkę.

Nieznaczne poruszenie powietrza i delikatny zapach róż powiedziały mu, że Sara wróciła.

- Mam nadzieję, że to cię nie obudzi - wyszeptwała. - To tylko ciepły mokry ręcznik i mydło. Nic takiego, co mogłoby przeszkadzać tak silnemu mężczyźnie jak ty.

Szczupłe palce przesunęły się przez włosy Case'a, odgarniając mu je z czoła. Z jakąś nierealną przyjemnością odbierał te pieszczoty, jakby odczuwał je w wywołanym przez gorączkę śnie.

Namydlona i pachnąca różami tkanina przesunęła się po jego twarzy.

Przypominała mu wielki, ciepły i nieco szorstki język.

- Jutro umyję ci włosy. Jutro będziesz mniej zmęczony - szepnęła. -

Kiedy pierwszy raz dotknęłam twoich włosów, to wyczułam, że utrzymujesz je w czystości. Podoba mi się to u mężczyzny.

Jej mruczący głos pieścił Case'a równie delikatnie jak ręcznik. Unosił się w czymś, co nie było ani snem, ani jawą, wchłaniając te delikatne słowa i dotknięcia, jak gleba na pustyni chłonie wodę po długiej suszy.

- Masz takie czarne i gładkie włosy jak grzywa konia, tylko o wiele bardziej miękkie. Są tak samo ładne jak twoje rzęsy.

Słyszając, jak Sara nazywa go ładnym, poczuł rozbawienie, ale wcale nie zdradził swej reakcji. Śmiech opuścił go po wojnie podobnie jak młodość.

Delikatne, melodyjne dźwięki przesuwającej się po jego ciele i wyżymanej tkaniny brzmiały równie pięknie jak głos Sary. Uspokajająco i podniecająco, realnie i nierealnie. Blisko, a zarazem poza jego zasięgiem.

- Może cię ogolę za kilka dni - ciągnęła cichym głosem. - Ale zostawię wąsy. Są dłuższe niż ten nowy zarost, więc musiałeś je mieć cały czas.

Ciepła tkanina i łagodne słowa pieściły jego ciało. Z tak ogromną ufnością zapadał coraz bardziej w tak prawdziwy sen, że byłby do głębi zaskoczony, gdyby to sobie uświadomił. Był tak samo zadowolony z zabiegów

Sary jak każde inne podejrzliwe, dzikie stworzenie, jakie znalazło się pod opieką jej rąk.

Flanelowe prześcieradło obsunęło się do jego bioder. Mruknął coś w proteście i poruszył prawą ręką, jakby chciał podciągnąć nakrycie.

- Cśś - wyszeptała. - Wszystko w porządku, Case. Po prostu zmywam z ciebie brud. Potem cię zostawię.

Jego ręka odprężyla się. Odetchnął głęboko.

- No właśnie - wyszeptała. - Właśnie tak. Śpij i zdrowiej, dopóki nie będziesz na tyle silny, żeby znowu latać. Ale ty nie będziesz latał, prawda? Po prostu wsiądziesz na Świerszcza i odjedziesz...

Plusk wody i głos Sary mieszały się w uszach Case'a. Osunął się znowu ku światu, który nie był ni snem, ni jawą. Ciepła, wilgotna, nieco szorstka tkanina lizała jego ramiona i klatkę piersiową, usuwając ślady po bolesnej drodze, po klepisku chaty.

- Culpepper... Podkrada się. Od tyłu - wymamrotał.

Case nie zdawał sobie sprawy z tego, że powiedział coś na głos, dopóki nie odpowiedziała mu słowami i delikatnymi ruchami tkaniny po jego klatce piersiowej.

- Jesteś bezpieczny na naszym ranchu - wymruczała. - Jesteś bezpieczny przy mnie. Spij, Case. Nie pozwolę nikomu, żeby cię skrzywdził.

Uświadomił sobie, że słyszał już różne warianty tych słów, kiedy gorączka i ból trzymały go w takim uścisku, że myślał, iż skończy się to tylko wraz z jego śmiercią.

„Bezpieczny na ranchu. Śpij, Case. Jesteś bezpieczny przy mnie”.

Jego oddech pogłębił się i spowolnił, zrównując się z delikatnymi ruchami rąk, które tak wspaniale się nim zajmowały. Odprężony, pomimo że gwałtownie pragnął kobiety, pozwolił, żeby otuliło go pachnące różami marzenie o spokoju.

Nie zaprotestował, kiedy poczuł, że rozluźnia się jego przepaska na biodrach. Pragnął tylko tego, żeby ta słodycz nie ustawała. Uspokojony i podniecony, prawie śpiący, lecz całkiem ożywiony, wiedział jedynie, że dotyka go wilgotne ciepło. Poddał się mu, ponieważ potrzebował go bardziej niż powietrza.

Przeniknęły go dreszcze rozkoszy, pulsujące jak spokojnie bijące serce i przenoszące go z powrotem w krainę snu.

Z westchnieniem, które zabrzmiało prawie jak jęk, Case osunął się w sen, zostawiając na jawie zaskoczoną Sarę.

- Co to, na Boga? - wykrztusiła.

Coś takiego nie zdarzyło się nigdy, kiedy pielęgnowała Ute, który przecież był podziurawiony kulami bardziej niż Case.

- Infekcja? - wyszeptała.

Nachyliła się nad jego torsem i wciągnęła trudny do określenia zapach mieszanki soli i deszczu, męczyzny i różanego mydła.

- Dzięki Bogu - powiedziała cicho.

To, co się wydarzyło, nie było wynikiem infekcji. Zauważyła, że jego podniecenie powoli ustępuje. Jej mąż wyglądał podobnie, kiedy w końcu osiągał zadowolenie na swej milczącej i nieruchomej żonie.

Kiedy to zrozumiała, jej policzki pokrył rumieniec zakłopotania i czegoś jeszcze, czegoś co sprawiło, że znowu poczuła dziwne skurcze w żołądku.

- No, wyraźnie dochodzisz do zdrowia - szepnęła i roześmiała się niespodziewanie. - Człowiek się uczy czegoś nowego każdego dnia - mruknęła, przystępując znowu do mycia. - Wcale nie wiedziałam, że mężczyzna może osiągnąć przyjemność bez zadawania bólu kobiecie.

Nagle przypomniała sobie łagodny, palący pocałunek, jakim obdarzył ją Case. Poczowała prąd w nerwach, o których istnieniu do tej pory nawet nie wiedziała, przepelniający ją falą przyjemności.

- Skąd to się wzięło? - mruknęła. - Czy to jest zaraźliwe?

Myśl o tym, że satysfakcja mężczyzny może być zaraźliwa, była dla niej jeszcze bardziej wstrząsająca niż jej pierwszy pocałunek. Szybkimi ruchami dokończyła mycie Case'a i okryła go. Jej podopieczny już nie zareagował na te czynności w żaden niespodziewany sposób. Jej brzuch też nie.

7

- Co ty wyprawiasz?! - zawołała Sara, wchodząc do chaty.

- A na co to wygląda? - zapytał oschłym tonem Case.

Zamknęła za sobą drzwi, wygaszając prostokąt jasnego zimowego słońca.

- Z tego miejsca wygląda na to, że jakiś cholerny głupiec kuśtyka na jednej nodze, z karabinem zamiast laski i nabojem w miejscu mózgu.

- Masz rację, jeśli chodzi o karabin.

Uśmiechnęła się pomimo swej irytacji. Bystrość umysłu Case'a urozmaicała jej codzienne życie. Conner też był bystry, ale to nie było to samo. Nie lubiła, kiedy młodszy brat jej się odcinał.

Patrząc spod przymrużonych powiek na Case'a, obserwowała jego niezdarne ruchy. Kiedy pierwszy raz zastała go, gdy w pełni ubrany usiłował chodzić po chacie, odczekała, żeby zasnął, i schowała mu ubrania.

Popelniła jednak błąd, myśląc, że fakt, iż ma tylko przepaskę na biodrach, powstrzyma go przed chodzeniem. On i tak chodził. Wyglądał imponująco.

- Po co ten pośpiech? - zapytała, próbując go podejść w inny sposób.

- Dziesięć dni leżenia na plecach sprawiło, że jestem słaby jak kocię.

Sara spojrzała na jego muskularne ciało i roześmiała się głośno.

- Kocię? Case, nawet młode lwy nie są takie jak ty.

Mruknął coś pod nosem w odpowiedzi.

- Czy zechciałbyś to powtórzyć? - zapytała niewinnym tonem.

- Zechciałbym, ale ty nie chciałybyś tego usłyszeć.

Kolba karabinu pośliznęła się na klepisku. Przechylił się i upadłby, gdyby nie podskoczyła do niego i nie podtrzymała go ramieniem.

- Spokojnie - szepnęła, pomagając mu odzyskać równowagę.

- Zostaw tę słodycz w głosie dla swojego jastrzębia. Jest wystarczająco ślepy, żeby się na nią nabrać.

- W tej chwili jest zakapturzony.

- Tak właśnie powiedziałem. Ślepy.

Uśmiechnęła się do niego. Nie odwzajemnił jej uśmiechu.

Nie była ani zaskoczona, ani zdenerwowana. Już wiedziała, że chociaż Case nie śmieje się ani nie uśmiecha, to posiada poczucie humoru, które z pewnością brało się stąd, że spędził młodość wśród kochającej się i lubiącej żarty rodziny.

Na początku przypuszczała, że to ból powstrzymuje go od uśmiechu.

Ale wraz z tym, jak dochodził do zdrowia, uświadomiła sobie, że nic tak normalnego jak rany od postrzałów nie pozbawiłoby go śmiechu.

Nie wiedziała, co się stało, co zabiło w nim wszelką radość. Podejrzewała, że miało to coś wspólnego z ludźmi, których imiona wykrzykiwał w gorączce: Emily i Ted, Belinda i Hunter.

Ale przede wszystkim Emily. Case wykrzykiwał jej imię z gniewem, smutkiem i rozpaczą, które paraliżowały Sarę.

Wiedziała zbyt dobrze, jak się człowiek czuje, kiedy wszystko straci i zostaje pozbawiony ciepła i miłości, kiedy zostaje drżący i samotny, jeśli nie liczyć dziecka, którego przetrwanie jest od niego zależne.

- Zostaniesz w łóżku, jeżeli ciebie zakapturzę? - zapytała swobodnym tonem.

- Jak będziesz chciała podejść do mnie z kapturem, to lepiej by było, żeby Ute trzymał mnie wtedy na muszce.

Spojrzała mu wprost w oczy. Nie mrużył ich ani odrobinę, więc domyśliła się, że wcale się z nią nie przekomarza.

- Conner wystrugał dla ciebie kulę. Przyniosę ci ją.

- Przynieś też ubrania.

- Nie.

Case zacisnął usta i spojrzał z góry na jej zdeterminowaną twarz. Tak jak działał się już nieraz, zaintrygował go tajemniczy kolor jej oczu – szarość, która w zależności od jej nastroju potrafiła błyskać błękitnymi refleksami, lśnić srebrzystym ogniem lub ciemnieć jak gradowe chmury.

- Chcesz, żebym paradował przed tobą nago? Niech więc tak będzie.

Jego głos nie zabrzmiał jednak tak ostro, jak tego chciał. Myśl o tym,

że mógłby stanąć nago przed tą obdarzoną ostrym językiem, dzielną wdówką, była dla niego zbyt atrakcyjna.

- Nie jesteś nagi - odparła.

- Jesteś tego pewna? Może więc spójrz niżej niż moja szyja. Nigdy nie wiadomo, co się może odwiązać, kiedy się tu będę miotać.

Policzki Sary zapłonęły rumieńcem, ale nie opuściła wzroku poniżej jego twarzy.

- Chodzi o to - odezwała się pojedynczym tonem - że jesteś nadal zbyt słaby, żeby tu spacerować, czy to nago, czy ubrany jak lord na Wielkanoc.

- Chodzi o to, moja piękna wdówko, że nie będziesz bezpieczna ze strony Aba Culpeppera, dopóki ja stąd nie odjadę.

- Nie jestem ładna i wcale nie będę bezpieczniejsza, kiedy odjedziesz.

- Słyszałem, co powiedział Ab. Przyjechał na ranczo po mnie, a nie po ciebie.

- Nie słyszałeś wszystkiego - odparła wprost. - Zagroził, że wykastuje Connera.

Case wciągnął głęboki oddech.

- Boże, dlaczego?

- Nie wiem, ale mogę się domyślić.

- Więc słucham.

- Mój brat jest... niesforny.

Case czekał w milczeniu.

- Zdaje się, że Conner zakradł się do ich obozu w Źródlanym Kanio- nie, zmieszał sól z cukrem, nawrzucał do fasoli krowiego nawozu i wypuścił ich konie, by zatrzeć swoje ślady.

- Byłoby, do cholery, o wiele bardziej rozsądne, gdyby podciął parę gardeł, skoro już tam był.

Sara wzdrygnęła się.

- Nie! Nie chcę, żeby Conner musiał tak żyć.

- Więc mieszkasz w nieodpowiednim miejscu.

- Ja nie. Ale on tak. Dlatego wysyłam go na Wschód do szkoły.

Case, bez słowa, rozejrzał się po chacie. Jej ubogie wyposażenie i klepisko świadczyły o tym, że pieniądze są rzadkim zjawiskiem na ranczu Zagubionej Rzeki.

- To prawie dorosły mężczyzna - powiedział neutralnym tonem. - Może chciałby mieć coś do powiedzenia na temat tego, czy jedzie na Wschód, czy nie.

- Na świecie są inne rzeczy niż tylko rzeka płynąca przez czerwoną pustynię - powiedziała ze ściśniętym gardłem.

- Czy to mówisz ty, czy twój brat?

- To ranczo jest wszystkim, czego chcę od świata. Życie tutaj uszczęśliwia mnie do głębi duszy.

Żar w jej głosie współgrał z wyrazem jej oczu. Dosłownie płonęły srebrzystym

ogniem..

- Ale Conner jest inny - rzuciła gwałtownie. - Mógłby podróżować za morza i spotykać królów, mógłby być każdym!

- Czy on tego chce?

- Skąd Conner może wiedzieć, czego chce? - zaprotestowała podniesionym głosem. - Ten kanion jest wszystkim, co tak naprawdę zna.

Jeżeli rozejrzy się po świecie i będzie chciał tu wrócić, to co innego.

Ale postaram się, żeby miał szansę się rozejrzeć. Tak mi dopomóż

Bóg.

Nadal podpierала Case'a, więc czuł napięcie wstrząsające jej ciałem.

Była jak za mocno naciągnięta, drżąca struna. Tak mocno napięte struny czasami pękają.

- Spokojnie, maleńka - mruknął, obracając ją ku sobie. - Te ostatnie dziesięć dni były dla ciebie ciężką próbą.

- Do diabła z tymi dziesięcioma dniami. Ja tylko chcę... Ja tylko...

Stała z twarzą tuż przy jego klatce piersiowej. Z łagodnością, zaskakującą u tak potężnego mężczyzny, pogładził ją po włosach i plecach, uspokajając jej napięte ciało. Odprężyła się powoli.

- Ile miałaś lat, kiedy zginęli twoi rodzice?

- Trzyście.

Zamknął oczy. Widział w czasie wojny osierocone dziewczęta. Niektóre z nich, te co miały więcej szczęścia, odnajdywały swych krewnych, którzy brali je pod opiekę. Inne sieroty usiłowały przeżyć na wszelkie sposoby, walcząc z psami o resztki żywności. Z jakiegoś powodu nie wierzył w to, że Sara była jedną z tych sierot, które znalazły schronienie u krewnych.

- A ile lat miał Conner?

- Dziewięć.

- Najmłodszy w rodzinie?

- Tak.

- Pewnie rozpuszczony z tego powodu?

- Conner wcale nie jest rozpuszczony.

-Hm... ma taki uśmiech, którym mógłby przekabacić samego szatana, a co dopiero rozkochaną w nim siostrę!

Sara podniosła głowę i spojrzała w jasne oczy Case'a. Była blada, ale na jej twarzy nie było ani śladu łez.

-Byłam drugą z pięciorga rodzeństwa - powiedziała. -I byłam jedyną dziewczyną. Nasza mama długo nie mogła dojść do zdrowia po urodzeniu Connera. Kołysałam go, karmiłam, śpiewałam mu i całowałam jego bolące miejsca...

Nie mogła już znieść jego wzroku. Patrzył na nią przenikliwie, wprost w głąb jej duszy. Odwróciła twarz.

Bardzo delikatnie przyciągnął jej policzek do swojej piersi. Zawahała się przez moment, lecz wnet poddała się tej pieśczości.

Nie pamiętała już takiej chwili, kiedy była w stanie odczuwać, że może się na kimś oprzeć. Od śmierci rodziców to ona zawsze była tą silną osobą, tą, która wie, co musi być zrobione, i robi to bez względu na przeciwności losu.

- Byłaś praktycznie matką Connera - zauważył Case.

Skinęła głową.

- Reszta rodziny zginęła w powodzi. Kiedy dom zaczął się walić, chwyciłam Connera i trzymałam go w objęciach, aż udało nam się trafić na wystarczająco duże drzewo, by się utrzymać nad wodą.

- Twój brat ma szczęście. Jest wystarczająco zepsuty, by wiedzieć, że jest kochany, ale nie jest aż tak bardzo zepsuty, żeby był nic niewart.

- On wcale nie jest zepsuty - powtórzyła z uporem.

- Mhm. To dlatego wczoraj darłaś z niego pasy za to, że tropił jelenia i przez to zapomniał przynieść chrustu na opał.

Chciała odchylić głowę i posłać mu gniewne spojrzenie, ale nie była w stanie tego zrobić. Ręka, która nadal gładziła jej włosy, była tak twarda jak skalna ściana. Mogła albo walczyć z tą delikatnością, albo sycić się nią, tak samo jak syciła się niespodziewanym letnim deszczem.

Westchnęła głęboko i oparła się o niego. Aromat mydła i mężczyzny wypełnił jej nozdrza. Ciepło jego ciała i poduszka kędzierzawych czarnych włosów pod jej policzkiem przypominały Sarze, że Case jest prawie nagi.

Nigdy nie była tak blisko mężczyzny z obnażonym torsem. Kiedy Hal domagał się swych mężowskich praw, to zawsze był ubrany w długą bieliznę i cuchnął alkoholem oraz nieświeżym potem.

- Pachniesz jak róże - powiedziała po chwili. - Tylko... inaczej.

Jego wielkie dłonie zatrzymały się na chwilę i znowu zaczęły gładzić jej włosy.

- To wina twojego mydła.

- Wina?

Potrząsnęła energicznie głową, aż jej długie warkocze uderzyły miękko o jego tors.

- Podoba mi się ten zapach - powiedziała. - Czy on ci przeszkadza?

- Świerszcz mógłby się zastanawiać, co się ze mną stało, ale nie, nie przeszkadza mi to.

- Dobrze. Mamy jeszcze mydło ługowe, ale ono mogłoby zedrzeć korę z drzewa.

Westchnęła znowu i przytuliła się do niego z taką ufnością jak kociak.

Gorąca fala przepłynęła przez ciało Case'a, chociaż wiedział, że w jej zachowaniu nie ma niczego uwodzicielskiego. Po prostu przyjmowała ukojenie, jakie jej oferował.

Pragnął ciągle dotykać jej cynamonowych włosów. Było tak zawsze, odkąd po raz pierwszy ujrzał je rozpuszczone w całej ich wspaniałości.

„Może nie będzie się sprzeciwiała” - pomyślał. „Nie chodzi o to, że

chcę ją uwieść. Ja tylko chcę dotykać tych pięknych włosów, żeby było jej dobrze. To wszystko. Żeby nam obojgu było dobrze".

Podpierając się jedną ręką na karabinie, drugą rozwiązał rzemienie, które przytrzymały jej warkocze. Palcami delikatnie rozczesał długie pasma włosów. Całkowicie uwolnione, rozlały się po jego dłoni. Zanurzył palce w tej pachnącej kaskadzie. Uniósł pasmo włosów do twarzy i, oddychając głęboko, zaczął wypuszczać z dłoni tę jedwabistą masę.

- Mnie też podoba się twój zapach, Saro.

Pociągała ją barwa głosu Case'a. Był tak łagodny, a jednocześnie męski, jak dłoń, która znowu gładziła jej włosy.

- Teraz wiem, jak czują się moje jastrzębie – powiedziała.

Mruknął pytająco, aż zadudniło mu w piersiach.

- Czują się pieszczone - szepnęła, wzdychając. - To jest bardzo przyjemne.

Przesunął ustami po jej włosach, tak delikatnie, że nawet tego nie dostrzegła.

Nie potrafił zrozumieć tej niemal bolesnej czułości, którą teraz odczuwał ku niej. Czy brała się ona z tego, że widział w czasie wojny wiele kobiet i dzieci, których życie uległo całkowitemu zniszczeniu?

Nie był wtedy w stanie nic zrobić, aby ulżyć ich bólowi, niezależnie od tego, jak bardzo się starał.

Tak samo jak nie był w stanie ocalić dzieci swego brata.

- Conner ma szczęście, że ma taką siostrę jak ty.

- A ja chciałabym mieć starszego brata takiego jak ty - powiedziała

Sara z lekkim uśmiechem. - Zechcesz mnie adoptować?

Bolesny skurcz przemknął po jego twarzy, ale ani na moment nie przestał łagodnie gładzić jej włosów.

- Dzieci potrzebują miłości - odparł spokojnym tonem. - Ja już nie mam w sobie miłości.

- Oczywiście, że masz. Jesteś delikatny i dobry.

- Dla Culpepperów takie twierdzenie byłoby niespodzianką.

- Wiele rzeczy byłoby dla nich niespodzianką. Mają mniej ogłady niż ich muły.

Case wsunął palec pod jej podbródek i uniósł jej głowę tak, że musiała spojrzeć mu prosto w oczy.

- Nie okłamuj się, Saro Kennedy. Nie zostało we mnie żadnej miłości.

Nie chcę jej. Już nigdy nie będę kochał niczego, co może umrzeć.

Chciała odwrócić wzrok, by uciec od spokojnego przekonania ukrytego w jego oczach, a jednak nie zrobiła tego. Pozwoliła, by ta prawda o nim wniknęła w nią jak niewidoczne stalowe szpony, raniąc ją głęboko i boleśnie.

Była zaskoczona swoją reakcją. Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy z tego, jak wiele z siebie oddała Case'owi - człowiekowi, który niczego od niej nie chciał.

Był jak te drapieżne ptaki, które nie chciały być w jej niewoli nawet po to, by dożyć do zdrowia.

„Jastrzębie są takie, bo taka jest ich natura” - powiedziała sobie w duchu.

„Ale Case nie był taki od zawsze. Co doprowadziło do tego, że unika miłości?”

Nie zapytała go na głos. Nie było sensu. Rozjątrzyłaby tylko jego ból.

- Wierzysz mi - powiedział.

To nie było pytanie. Widział, że mu wierzy. Widział to w jej pociemniałych oczach i w całkowitym znieruchomieniu jej ciała. Tak jakby przestało jej bić serce.

- Wierzę ci - wyszeptała.

Skinął głową.

- To dobrze. Nie chcę, żebyśmy się oszukiwali.

- A jakie to ma znaczenie? - zapytała nieco gniewnym tonem. - Jesteś tylko jeszcze jednym dzikim stworzeniem, które ranne przekroczyło mój próg i które odejdzie, jak tylko odzyska siły.

- Ute nie odszedł.

- Mówisz tak, jakby to cię martwiło.

- Powinno. Leczenie to coś jak... czary.

Przez kilka sekund wpatrywała się wprost w jego oczy. Oczy, które miały teraz kolor pierwszej delikatnej wiosennej zieleni. Jednak była to wiosna, która miała nigdy do niego nie przyjść. Nie chciał jej. Unikał życia, tak samo jak większość ludzi unika śmierci.

Posłała mu uśmiech, który był równie smutny jak jej myśli.

- Nie martw się tym - powiedziała. - Nie jestem wiedźmą, która mamrocze zaklęcia nad kotłem pełnym ropuch, tylko wdową, którą ciężkie życie nauczyło, jak opatrywać rany od noża i od kuli oraz złamania.

Jego twarz złagodniała. Niewielu ludzi byłoby w stanie to zauważyć.

Jeszcze mniej domyśliłoby się, że jest to jego wersja uśmiechu.

- Żadnych ropuch, co? - powiedział.

- Ani jednej.

- Och, to mi ulżyło.

Nadal pragnął jej dotykać, jednak przestał gładzić jej włosy i niechętnie obrócił się, zbierając w sobie siły, żeby podjąć swój bolesny spacer o kuli.

Sara obróciła się również, podpierając go z drugiej strony. Zawahał się, ale przyjął jej pomoc.

- Bądź ostrożny, bo ja nie mówiłam o maściach Loli - powiedziała, starając się mówić swobodnym tonem. - Czasami w jej lekarstwach może się zdarzyć jakiś wąż. Albo nawet i w jej sosach.

- Duża Lola - pokręcił głową. - Jak doszło do tego, że związałaś się z tą starą dziw... ee... rozrywkową damą?

- Pojawiła się tutaj jakiś miesiąc po znalezieniu przeze mnie Ute postrzelanego niemal na śmierć w Kamiennych Palcach.

- Nigdy nie słyszałem o takim miejscu.

Wzruszyła ramionami.

- Nie ma go na żadnej wojskowej mapie. To ja je tak nazywałam. Jest tu wokół tyle różnych skał, iż muszę je nazywać, żeby zapamiętała, gdzie już szukałam skarbu, a gdzie jeszcze nie.

Case brnął niezdarnie przed siebie, zmuszając się do tego, żeby słuchać, co mówi Sara. Pomagało mu to odciągnąć myśli od pulsującego w jego krwi gorąca.

- Wydaje mi się, że masz dość - zauważyła. - Wyglądasz na przemęczonego. Pokręcił tylko głową. Wiedział, że zaciska usta nie z powodu bólu, ale z powodu przejmującego głodu.

Obejmował ją w talii prawą ręką, a jej palce zaciskały się na jego nagiej skórze ponad przepaską. Jej prawy bok, pierś, biodro i udo przyciskały się do niego przy każdym kroku, kiedy podpierała go, by nie stracił równowagi.

Każdy ruch jej ciała przypominał mu o zadziwiająco miękkich krągłościach ukrytych pod prostym ubiorem Sary.

„Czy ona to robi celowo?” - zapytał się w duchu ze złością.

Pospieszne spojrzenie na jej twarz powiedziało mu, że ona nie ma nawet pojęcia o tym, jak działa na niego jej bliskość.

„Jak na wdowę jest cholernie naiwna. A może mówiła to poważnie: chce starszego brata, a nie kochanka”.

- Ostrożnie - powiedziała.

- Skąd Lola wiedziała, że Ute tu jest? - zapytał Case, pragnąc zająć swe myśli czymś innym.

- Wędrowała, kierując się plotkami o jego śmierci, aż doszła tutaj.

Wtedy dowiedziała się, że on nie umarł, i została tu już na zawsze.

- Dlatego, że Ute został?

Sara skinęła głową. Jej rozpuszczone włosy przesunęły się po jego nagiej skórze jak pieśczoła kochanki.

- Znasz reputację Ute? - mruknął, z trudem opanowując rozgorączkowany oddech.

- Domyślam się - odparła. - Prawdopodobnie nie był mnichem.

- Możesz się o to założyć.

- Polujesz na niego? - zapytała wprost.

- Dlaczego miałbym to robić?

- Dla nagrody.

- Czy tak właśnie myślisz? - zapytał chłodnym tonem. - Że przyjechałem tutaj polować na ludzi, aby otrzymać nagrodę?

- Na Ute? Nie.

Case mruknął potakująco.

- To jest kolejna prawda, o którą byś się mogła założyć - dodał.

- Ale za głowy Culpepperów wyznaczono wysokie nagrody - powiedziała.

- Jestem gotów polować na nich za darmo.

- Dlaczego?

Nie odpowiedział, a ona nie ponowiła pytania. W ciszy obeszli jeszcze kilka razy chatę.

- Nie sądzisz, że powinieneś teraz odpocząć? - zapytała niespokojnie, czując pod ręką ciepło jego ciała. - Przegrzewasz się.

„Przegrzewam” - pomyślał ponuro. „Można to i tak ująć. Albo można by powiedzieć, że jestem cały rozgrzany i podniecony, a jeszcze lepiej, że jestem tak rozgrzany jak jeleń na rykowisku”.

Nie podobało mu się to. Wcale. Gdyby pożądanie miało znowu być obecne w jego życiu, byłoby to dla niego bardzo niedogodne, tym bardziej że teraz miał tak blisko przy sobie tę czułą, lecz obdarzoną ostrym językiem, wdowę.

- Puść mnie - wycedził przez zęby. - Potrafię chodzić sam.

- Nie mów głupstw.

- Nie mówię.

- A właśnie że tak - odparła. - Jeżeli upadniesz, to znowu będę musiała cię myć. Mógłbyś się przeziębic albo wyrzucić sobie jakąś inną krzywdę.

Case zerknął na nią z ukosa. Zauważył, że jej policzki są różowe nie tylko od wysiłku. Sen o wspaniałej ekstazie, który nawiedzał go przez ostatni tydzień o różnych porach dnia i nocy, znowu pojawił się przed jego oczami.

„A może to nie był sen”.

- Uważaj! - zawołała, usiłując go podtrzymać.

Case wypuścił karabin i, dusząc w ustach przekleństwo, podparł się obydwoma dłońmi o ścianę chaty. Sara znalazła się pomiędzy nim a twardymi deskami.

- Uff, ale jesteś ciężki! - powiedziała.

- A ty jesteś delikatna, zbyt delikatna. Do cholery, nie chciałem tego!

Opuścił twarz i ochryple mruknął. Usta dziewczyny były zaczerwienione i błyszczące. Rozchyłała je z tym samym wyrazem zaskoczenia, z jakim unosiła powieki.

Pocałował ją. Nie był to przelotny pocałunek, jak podczas ich pierwszego spotkania, ale głęboki, zniewalający i pełen żaru. Nie mogła oddychać, gdyż przygniatał ją do ściany całym ciężarem swego ciała. Nie mogła mówić, gdyż jego język napierał na jej język, wypełniając jej usta. Nie mogła się nawet poruszyć, żeby go odepchnąć. Z ponurą rezygnacją postanowiła znieść to tak samo, jak nauczyła się znosić zabiegi swojego męża.

Gdyby tylko Case nie był tam tak duży, to nie byłoby to takie złe. I gdyby był delikatny...

Ze stłumionym pomrukiem Case przemógł swe gwałtowne, niespodziewane pożądanie. Uniósłszy głowę, zobaczył, że Sara ma bladą twarz i zaczerwienione od pocałunku usta. Źrenice rozszerzyły się jej tak bardzo,

że w jej oczach nie było nic poza czernią obramowaną przez srebro. Wyglądała jak przerażona dziewczynka, a nie jak kobieta przepelniona pożądaniem.

- Przepraszam - powiedział, zły na samego siebie. - Zaskoczyłaś mnie.

- Ja... ja zaskoczyłam ciebie?! - zawołała, nie wierząc własnym uszom. - Przecież nic, do diabła, nie zrobiłam!

Przymknął powieki, żeby nie widzieć gniewu i oskarżenia w jej oczach.

- Zgniotłem ci usta - powiedział cicho. - To mi się nigdy wcześniej nie zdarzyło. Nigdy nie byłem gwałtowny wobec kobiet, nawet wtedy, kiedy ich pożałowałem.

Otworzył oczy: już nie błyszczały od pożądania. Powoli znowu opuścił głowę.

Sara zaczerpnęła płytki oddech i westchnęła zaskoczona, poczuwszy delikatny dotyk czubka jego języka, przesuwającego się wokół jej ust. To był ten delikatny pocałunek, który pamiętała. Ten, od którego poczuła ściskanie w żołądku i prąd w nerwach.

- Case? - wyszeptała.

- Już nic. To tylko przeprosiny. Nic więcej...

Chwytał delikatnie zębami jej skórę w tych samych miejscach, których dotykał językiem.

- Czy to sprawia ci ból?

Pokręciła głową, przesuwając przy tym ustami po jego wargach. Czując, że Case reaguje na to napięciem całego ciała, cofnęła się tak szybko, że uderzyła głową o ścianę chaty.

- Spokojnie - szepnął. - Nie skrzywdzę cię.

- Ale ja... - Przerwała, widząc burzę w jego jasnych oczach. - Case?

Ja... ja nie...

- Do diabła, wiem, że mnie nie chcesz. Nie winię ciebie. Też nie chciałbym kochać kogoś, kto nie ma lepszych manier od niedźwiedzia.

Odsunął ją od siebie.

Oszołomiona i zagubiona, uwięziona pomiędzy czułością i bólem, patrzyła, jak Case chwieje się, opierając jedną rękę o ścianę. Niezgrabnym ruchem podniósł karabin i obrócił się ku niej.

Dała krok do przodu, chcąc pomóc mu wrócić do łóżka, ale zatrzymał ją spojrzeniem. Łagodność, żal i pożądanie zniknęły z jego oczu. Zostało tylko zimno, przy którym nawet lód wydawałby się cieplejszy.

- Od końca wojny ani razu nawet nie pragnąłem kobiety – powiedział.

- Ale pragnę ciebie, Saro Kennedy.

- Ja... ja...

- Nie martw się, nie będę się narzucał. Nie będę. Masz na to moje słowo.

Skinęła głową. Gdyby był tego rodzaju mężczyzną, to już by to zrobił.

- Wierzę - powiedziała cicho.

- Więc uwierz w jeszcze jedno - kontynuował głosem równie odległym jak jego oczy. - Nie mogę znieść myśli o tym, że cię pragnę. Bo znaczy to, że nie umarło we mnie wszystko, co chciałem, żeby umarło.

8

-Dobrze mu to zrobi, jak się wypoci - powiedział Ute - To zawsze pomaga, jak coś gnębi człowieka.

Sara w milczeniu rzuciła kolejną garść ziarna kurom, które przepychały się i gdakały u jej stóp. Wolały ziarno od resztek z kolacji, wyrzuconych obok kępy wierzbowych zarośli. Duch, na wpół dziki pies pasterski, który opiekował się drobiem, kiedy nie pilnował kóz Loli, spoczywał pod wierzbami. Podobnie jak większość stworzeń żyjących na ranchu Zagubionej Rzeki pies pojawił się tam ledwie żywy i gdy wyzdrowiał, tak jak i Ute, postanowił już tam zostać.

- Saro? - odezwał się Conner.

- Zastanawiam się.

Naprawdę jednak wcale się nie zastanawiała. Patrzyła ponad stadkiem kur na zbocze, gdzie Zagubiona Rzeką obmywała występ z litej rdzawoczerwonej skały.

Kury lubiły przebywać nad porośniętym przez bawełniane i wierzbowe zarośla brzegiem rzeki. Co roku traciła kilka kurczaków, a nawet dorosłych kur, które padały łupem kojotów i jastrzębi. Straty byłyby o wiele większe, gdyby nie Duch.

„Kiedyś będę miała wystarczająco dużo pieniędzy, żeby zbudować porządny kurnik” - pomyślała.

Włożyła rękę do wiadra po kolejną garść karmy. Ziarna były gładkie, twarde i zimne, jak małe kamyczki z dna rzeki. W jasnym świetle słońca świeciły odcieniami czerwieni i błękitu, bieli i złota. Kukurydza siana na żyznym rozlewisku rzeki.

Rosły tam też dynie i fasola, ale tego roku najlepiej obrodziła kukurydza. Przydawała się teraz do dokarmiania kur przed nadejściem zimowych chłódów.

- No więc jak? - odezwał się znowu Conner.

Nic nie mówiąc, rzuciła kolejną garść kukurydzy.

- Nie możesz bez końca trzymać Case'a w zamknięciu. Te kury mają więcej wolności niż on.

- Mają też więcej ubrań - mruknął Ute.

- Na ziemi jest szron - powiedziała z przesadnym spokojem.
- Jak zwykle o tej porze roku - rzekł Ute.
- Jeszcze nie minęły trzy tygodnie, odkąd go tu przywiozłeś - dodała.
- Ale już wygląda na cholernie zdrowego - odparł Ute. - Ruchliwy jak pchła. Ma domową chorobę, nie ma o czym mówić.
- Posłuchaj, sestro. Lola trzyma straż na górze, a Culpepperowie nie weszli koło farmy od czasu, kiedy Case postrzelił Parnella w du... w zad.
- Świetny strzał - powiedział Ute jakby do siebie. - Naprawdę świetny. Przydałby mi się taki chłopak w moich młodych latach.
Sara skrzywiła się, na co Ute zareagował uśmiechem, odsłaniającym mocne, poplamione od tytoniu zęby.
- Nie martw swojej ładnej główki. Żaden śmieć ze Źródlanego Kanionu nie przyjedzie tu, żeby ci się naprzykrzać. Boją się wychodzić ze swojego obozu.

- Wątpię w to - odparła.
- Za każdym razem, kiedy opuszczają obóz, to coś im się przydarza - powiedział Conner, spoglądając w niebo.
- Nawet kiedy nie opuszczają obozu, to i tak mają pecha - dodał Ute. - Słyszałem, że te chłopaki straciły skrzynkę naboju. Gdzieś same poszły i przepadły.

Conner parsknął krótkim śmiechem.

Sara spojrzała na Ute z ukosa. Jego proste, siwiejące włosy, wąskie, ciemne oczy i wysokie kości policzkowe mogłyby należeć do jakiegoś proroka czy kapłana. W rzeczywistości jednak należały do starego banity, który chętnie przewróciłby kopniakiem ul z pszczołami tylko dla przyjemności obserwowania chaosu, jaki tym wywoła.

Jak już musisz drażnić Culpepperów - zwróciła się do niego – to przynajmniej nie bierz ze sobą Connera.

Ute opuścił wzrok na swe zakurzone mokasyny. Tylko Sara potrafiła przyprawić go o zakłopotanie. Był przekonany, że ten szarooki anioł miłosierdzia został zesłany na ziemię, by przypominać takim jak on grzesznikom, na czym polega dobro. Nie wyobrażał sobie, że mógłby istnieć jakikolwiek inny powód, dla którego ktoś miałby uratować jego nic niewarte życie.

- Dobrze - powiedział.

- Mówię poważnie, Ute.

- Dobrze.

- Ale, sestro, oni są... - zaczął Conner.

- Cisz! - przerwała mu. - Posłuchajcie mnie obydwaj. Macie trzymać się z dala od Źródlanego Kanionu.

- Ale oni szukają skarbu Hala - zaprotestował Conner. - Naprawdę szukają. Widać to po tym, jak biwakują w różnych kanionach.

Zimny dreszcz przeszył ciało Sary.

„To srebro to przyszłość Connera” - pomyślała. „Muszę je znaleźć pierwsza”.

Pośpiesznie rozrzuciła resztę ziarna, odwróciła się od stadka kur i ruszyła dużymi krokami do chaty.

Obydwaj mężczyźni pośpieszyli za nią.

- Siostró?

- Niech sobie szukają - powiedziała. - I tak nie znajdą skarbu. Nie znają kanionów tak dobrze jak ja.

W jej głosie słyhać było bardziej nadzieję niż pewność. Odkąd bandyci pojawili się na tym pełnym skalistych pagórków i pociętym labiryntem kanionów pustkowiu, Sara mogła poszukiwać skarbu tylko ukradkiem.

Kiedy z kolei Case trafił pod jej opiekę, już wcale nie znajdowała czasu na poszukiwania. Wykonywała pracę trzech kobiet, doglądając Case'a, pilnując Connera i Ute oraz zajmując się codziennymi obowiązkami domowymi.

- Są jajka? - zapytała brata.

- Sześć świeżych. Z reszty będą kurczęta.

- Nie przeżyją zimy. Powinieneś był zbierać jajka, a nie bawić się w robienie kawałów bandytom.

- Duch zaopiekuje się tymi kurczakami lepiej niż kwoka - odrzekł Conner.

Spojrzała na niego z przyganą, ale on wcale się tym nie przejął.

- No i co z tym? - zapytał ją po chwili milczenia.

- Co z czym?

- Z Case'em - zirytował się Conner. - To mu dobrze zrobi.

- Nie.

- Och, przestań, nie bądź...

- Nie - przerwała mu obcesowo.

- A może byś mnie zapytała o zdanie. Jestem już dorosły.

Podniosła głowę zaskoczona. Case stał całkowicie ubrany w drzwiach chaty. Miał nawet kapelusz i buty. U opinającego jego smukłą talię pasa wisiał sześciopalcowy rewolwer. Sprawiał groźne wrażenie.

- Znalazłeś ubranie - powiedziała cicho, gdyż żadne inne słowa nie przychodziły jej do głowy.

- Dziękuję za jego wypranie i pocerowanie spodni - powiedział. - Prawie nie widać, w których miejscach były dziury po kulach.

- Proszę bardzo, ale jeżeli zrobisz to, co chcą Conner i Ute, to już ich nie będziesz potrzebował.

- Nikt nie potrzebuje dziur po kulach - powiedział Case.

Conner zaśmiał się i od razu zakaszał, próbując ukryć rozbawienie.

Rumieniec pokrył policzki Sary. Case traktował ją tak, jakby rzeczywiście był jej krewniakiem. Było tak od momentu, gdy przycisnął dziewczynę do ściany chaty, przerażając ją swym męskim pożądaniem, a polem

przepraszył w taki sposób, że nadal drżała na samo wspomnienie.

Pamiętała swoje słowa: „A ja chciałabym mieć starszego brata takiego jak ty. Zechcesz mnie adoptować?”

Były takie chwile, kiedy była mu wdzięczna za takie traktowanie. Częściej jednak irytowało ją to, chociaż sama nie rozumiała, dlaczego.

Nieraz paliły ją policzki od skrytego spojrzenia, jakie jej posyłał, gdy myślał, że ona jest zbyt zajęta zmienianiem jego opatrunków, żeby to zauważyć.

Tak samo jak paliły ją teraz.

„Co się ze mną dzieje?” - zapytała się w duchu ze złością. „Prosiłam o starszego brata, więc go mam”.

Jednak ta świadomość wcale nie wywoływała jej radości.

- Mówiłam o twoich ubraniach - odparła - a nie o dziurach.

- Zamierzasz znowu mi je ukraść? - zapytał Case z obojętną miną. -

Jeżeli tak, to muszę cię ostrzec, że nie będę z tego zadowolony.

- Gdzie jest twoja kula?

- W ogniu.

- Na rany boskie! - zawołała, wznosząc ręce. - Doskonale. Idź do łaźni z Connerem i Ute. Spiecz się jak rak, a potem padnij prosto na swoją kudłatą twarz!

Case przesunął dłonią po policzkach, próbując sobie przypomnieć, kiedy się ostatnio golił.

„To musiało być przed ślubem Huntera i Elisy” - pomyślał.

- Rozbiło mi się lustro - odparł, spoglądając na Ute i Connera.

Niestety nie mógł oczekiwać od nich pomocy. Żaden z nich nie miał takiego zarostu, żeby posługiwać się brzytwą, a w chacie nie było żadnych oszklonych okien, które mogłyby wykorzystać zamiast lustra.

Bezradnie spojrział na Sarę.

- Nie mam lusterka - powiedziała - Lola też nie.

- Więc jak ci się udaje tak dobrze zaplatać włosy?

- Praktyka - odparła krótko.

Nie pytał nawet o Lolę. Był pewien, że zaplata włosy tylko po umyciu, co nie zdarzało się zbyt często.

- A jak sobie radził twój mąż?

- Ona go goliła - powiedział Conner.

Sara spojrziała krytycznie na gęsty zarost Case'a.

- Stępi mi się brzytwa na tej twojej brodzie - powiedziała.

- Więc ją naostrzę.

Wzruszyła ramionami.

- Jak chcesz, to twoja skóra.

- Nie boję się. Połatasz mnie wszędzie, gdzie mnie pokaleczysz, a potem będziesz trzęsła się nade mną jak kwoka nad kurczętami.

Jakaś nuta w jego głosie wskazywała na to, że podoba mu się, gdy Sara

się nad nim trzęsie.

Odwróciła wzrok od niego, bojąc się, że znowu się czerwieni.

„Najpierw mówi, że nie cierpi myśli o tym, iż mnie pożąda” - pomyślała.

„A potem zachowuje się tak, jakby nie mógł się doczekać chwili, gdy znowu go dotknę. A może on po prostu znowu gra przekomarzającego się starszego brata? Mężczyźni są tak denerwującymi i nieprzewidywalnymi istotami. Dziwne, że matki nie topią ich od razu po urodzeniu”.

- Przepuść mnie, proszę - odezwała się ze ściśniętym gardłem. -

Muszę wypuścić jastrzębia, dawno powinnam była to zrobić.

Ruszyła w kierunku wejścia. Case odsunął się na bok, ale wolniej, niż się spodziewała. Zderzyła się z nim mocno.

- Przepraszam - powiedziała, próbując się precyzyjnie, ale zaczęła ramieniem o futrynę. Przycisnęła ją tak, że ledwie mogła oddychać.

- O Boże, ile ty zajmujesz miejsca! - mruknęła.

Zmrużywszy odrobinę kąciki oczu, niespodziewanie uniósł ją do góry i wstawił do wnętrza chaty. Gdy ją podnosił, instynktownie oparła się dłońmi o jego ramiona. Dotyk naprężonych mięśni Case'a sprawił, że znowu poczuła to coś w żołądku i w nerwach.

To nie był strach. Była tego pewna. Wiedziała przecież, czym jest strach przed mężczyzną.

- A ty jesteś w sam raz - powiedział tak cicho, że nikt inny go nie usłyszał. Zwolnił powoli uścisk, silny, ale pieszczotliwy, i obrócił się do pozostałej dwójki.

- Sara ma rację - powiedział. - Nie jestem jeszcze gotowy na wizytę w łaźni i skok do zimnego strumienia.

Conner otworzył usta, żeby się sprzeciwić, ale Ute był szybszy.

- Dobrze - zgodził się. - Pilnuj Sary. Kiedy patrzy na lecącego jastrzębia, to ma mniej rozsądku niż kurczak.

- Cały oddział żołnierzy z orkiestrą mógłby przemaszerować za jej plecami, a ona by tego nawet nie zauważyła - dodał Conner.

- To nieprawda - zaprotestowała.

- Hm - chrząknął Ute, a Conner roześmiał się.

- Jechałem w jej kierunku na ledwie ujeżdżonym mustangu, który wierzgał i łomotał kopytami tak głośno, że umarli by powstałi z grobu - powiedział - ale kiedy odwróciła oczy od jastrzębia, to podskoczyła tak, jakbym wyrósł spod ziemi.

- Masz szczęście, że cię nie zastrzeliła - zauważył Case.

- To było kiedyś, jeszcze zanim te sukin... - zaczął Conner.

Sara zeszywniała.

-Yy... zanim ci dranie wprowadzili się do Źródlanego Kanionu - poprawił się. - Wtedy nie chodziliśmy z bronią.

Case spojrział na chłopca. Conner miał przy pasie wielkiego, starego

sześciostrzałowego colta typu „Dragoon”. Case zauważył, że broń została przerobiona tak, by można było używać naboju z metalowymi łuskami. Nie miał wątpliwości, że to Ute był tym rusznikarzem, który przerobił rewolwer.

„Mam nadzieję, że Conner jest przynajmniej w połowie tak dobry w posługiwaniu się rewolwerem, jak mu się wydaje” - pomyślał Case. „Bo jak nie, to ugryzie większy kawałek Culpeppera, niż on sam i Ute dadzą radę przełknąć”.

- Zaopiekuję się twoją siostrą - powiedział, patrząc nad głową Sary.

Conner spojrział na nią bez entuzjazmu.

- Co na to powiesz, siostrze?

- Idź i wypoć się - odparła. - Nic mi nie będzie.

Conner jednak nadal się wahał. Zlustrował Case'a zaskakująco dorosłym spojrzeniem.

- Będzie bezpieczna - zapewnił Case spokojnym tonem. - Masz na to moje słowo.

Conner znowu popatrzył na niego i skinął głową. Razem z Ute skierowali się do łaźni, która znajdowała się w małej budce, oddalonej o dwieście jardów od chaty. Obok łaźni była głęboka sadzawka, wypłukana w skale przez wiosenne powodzie.

Idąc do łaźni, Conner kilkakrotnie oglądał się przez ramię. Za każdym razem Sara machała mu ręką.

W końcu zniknął za zakrętem strumienia.

- Jest bardzo opiekuńczy w stosunku do ciebie - odezwał się Case.

Jej wyraz twarzy zmienił się. Nie chciała myśleć o tym, dlaczego Conner podchodzi do niej w tak dorosły sposób; dwa razy znalazł ją skuloną w kłębek po pijackich wyczynach Hala. Trzeci raz nigdy nie nastąpił.

- To dobry chłopak - powiedziała.

- Jest wzrostu dorosłego mężczyzny.

- Ma piętnaście lat.

- Wystarczająco dorosły, żeby zabijać.

Spojrzała na niego, lecz kiedy dojrzała wyraz jego oczu, od razu pożałowała, że nie patrzy dalej za bratem.

- Czy byłeś w jego wieku, kiedy poszedłeś na wojnę? - zapytała bez zastanowienia, czując, że nie jest to zbyt mądre pytanie.

- Tak.

Nic w jego postawie nie zachęcało ją do kontynuowania tego tematu, jednak nie potrafiła go przerwać.

- Sam?

- Nie. Pociągnąłem za sobą mojego starszego brata, Huntera.

- Czy on... czy on...

- Hunter przeżył - odparł sucho Case. - Jego rodzina nie.

Tak mówisz, jakbyś się za to obwiniał.

- Bo tak jest.

- Byłeś tylko chłopcem.

Popatrzył na nią oczami, które były starsze niż świat i o wiele mniej życzliwe.

- Mam osiodłać Świerszcza na tę ekspedycję? - zapytał. - Czy po prostu wypuścisz tego drapieżnika gdzieś tutaj?

- Zwykle wspinam się na południową ścianę i odchodzę milę od domu. Wtedy moje kury nie stanowią pierwszej zdobyczy jastrzębia.

- Osiodłam konia.

- Nie musisz jechać. Jestem pewna, że to bezpieczne. Nie widzieliśmy śladów ludzi Moody'ego czy Culpepperów od...

Westchnęła i zamknęła usta. Dopiero teraz spostrzegła, że mówi do samej siebie.

Case szedł już w kierunku szałasu, gdzie składowali uprzęż, siodła i wszelkie inne drobne rzeczy przydatne na ranchu.

„Conner jest taki sam, kiedy nie chce słuchać rozsądnych rad” - pomyślała.

„Co za denerwujące istoty!”

- Mężczyźni - powiedziała pod nosem, zamykając drzwi chaty. - O czym Bóg myślał, kiedy was tworzył?

Zacząła podchodzić do jastrzębia, przemawiając do niego łagodnie.

Ptaka rozłożył skrzydła i zatrzepotał nimi gwałtownie. Nie mógł latać, ponieważ jego łapy były przywiązane do grzędę skórzanymi rzemieniami. Po prostu wypróbował swe skrzydła i temperament na każdym, kto się do niego zbliżył.

- Witam, dzika pierzasta bestio - powiedziała. - Ćwiczysz skrzydła tak często, więc jestem pewna, że wzbijesz się od razu pod niebo.

Jastrząb szarpnął się gwałtownie, jakby wyczuwał nadchodzącą wolność.

- Tak, tak - powiedziała uspokajająco. - Następna mysz czy wąż, jakie zjesz, będą złapane przez ciebie samego. Już nikt nie będzie ci na siłę wpychał kawałków mięsa do gardła.

Nie przestając mówić, nasunęła skórzany kaptur na głowę jastrzębia. Nic nie widząc, ptak natychmiast zastygł bez ruchu.

Zanim zdążyła nałożyć kurtkę, kapelusz i skórzaną rękawicę, które uszył dla niej Ute, Case podjechał truchtem do drzwi chaty.

- Sara?! - zawołał. - Lepiej się pośpiesz, bo słońce zajdzie, zanim dojedziemy na górę.

- Już idę - odparła, sięgając po jastrzębia.

Ani w jej głosie, ani w ruchach nie było jednak pośpiechu. Wiedziała, że drapieżne ptaki są bardzo wrażliwe na jej nastroje. Delikatnie zdjęła jastrzębia z grzędę i posadziła go sobie na przedramieniu.

- Spokojnie, spokojnie, nie musisz się denerwować - wymruczała. -

Już kiedyś siedziałeś mi na ręce.

Przeniosła ptaka przez drzwi. Nawet w kapturze jastrząb wyczuwał

różnicę pomiędzy wnętrzem chaty a rozległą przestrzenią. Otworzył szeroko żółty dziób i wydał wysoki, dziki okrzyk.

Świerszcz parsknął i cofnął się.

-Spokojnie, głupku - powiedział Case. - Jesteś za duży, żeby jastrząb cię zjadł na kolację.

Sara z wyrazem powątpiewania na twarzy spojrzała na wielkiego ogiera.

Case zsiadł z konia. Z wyjątkiem delikatniejszego nacisku ciała na zranioną nogę nie widać było po nim innych symptomów trzytygodniowej walki ze śmiercią

- Będziesz jechała z przodu - powiedział. - Gotowa?

- Do czego? - zapytała.

- Do podniesienia ręki. Prawdę mówiąc, dwóch rąk. Połóż lewą rękę na łąku, a lewą nogę postaw na moich dłoniach.

- Ale twoja rana - zaprotestowała, spełniając mimo to jego polecenie.

- I hoop! - zawołał, umieszczając Sarę w siodle tak gładko, że jastrząb nawet nie rozłożył skrzydeł.

- Teraz trzymaj nogę z dala od strzemienia - powiedział łagodnym głosem.

- Sięgnę ręką poza tobą i wskoczę za siodłem. Gotowa?

Zanim jeszcze otrząsnęła się ze zdziwienia, że ten pieśzczośliwy, aksamitny głos należy do Case'a, on już poprawiał się za nią na koniu.

- Możesz jechać bez strzemion? - zapytał, nadal tym samym łagodnym tonem.

- Zwykle jeżdżę nawet bez siodła.

- Dobrze - mruknął. - Mojej nodze lepiej będzie w strzemieniu.

- Kiedy się nauczyłeś mówić w ten sposób?

- W jaki sposób?

- Taki słodziutki.

- Kiedy ujeżdżałem konie. Zdaje się, że to je uspokaja.

- Ptaki też.

- A ludzi?

- Jeszcze nie zasnęłam - odparła rozmyślnie aksamitnym tonem. -

Ale już niewiele brakuje.

Case zmrużył nieco oczy i zaczerpnął głęboki oddech. Poczłł aromat róż, słońca i świeżego powietrza, unoszący się z jej ciała. Był to bardziej subtelny i fascynujący zapach niż jakikolwiek aromat, który miał okazję dotąd poczuć z wyrafinowanej kryształowej buteleczki perfum.

„Ona chce starszego brata, a nie kochanka” - napomniał się. „Ja też chcę być dla niej bratem.

Do diabła, szkoda, że nie potrafię o tym przekonać mojego głupiego ciała. Nie byłem taki podniecony od czasu, kiedy po raz pierwszy odkryłem, że mogę tym nie tylko sikać”.

Poprawił się na koniu, żeby nie przeszkadzało mu narastające pobudzenie. Usiłował zapomnieć, jak podatne i jednocześnie sprężyste było pod jego dłońmi ciało Sary, kiedy prznosił ją przez próg chaty.

„Jest w sam raz” - pomyślał. „Nie jest aż tak mała, żeby się zgubić człowiekowi w łóżku, ani nie ma takich rozmiarów jak Lola, która jest tak wielka jak drzwi do stodoły. Z Loli można by zrobić dwóch takich jak Ute. Noce w tym ich szałasie muszą być ciekawe”.

- Widzisz ten wyłom w skale na prawo? - zapytała Sara.

- Tak.

- Jedź w tym kierunku. Tam jest ścieżka, która prowadzi na drugą stronę. Pociągnął wodze, kierując wierzchowca we wskazane miejsce. Grunt zaczął się powoli podnosić. Im bardziej koń oddalał się od rzeki, tym suchszy był grunt pod jego kopytami. Melodyjny szmer potoku i śpiew ptaków w wierzbowych zaroślach cichły powoli, a w ich miejsce słychać było tylko sporadyczne szuranie strzemion, zaczepiających o poszycie. Gęste zarośla bawełniane szybko ustąpiły rachitycznym wąskolistnym krzewom. Od czasu do czasu, w miejscach, gdzie ziemia była zbyt sucha lub zbyt uboga, aby rosła na niej trawa, pojawiały się kolczaste kaktusy. Ich kontury błyszczały złoto w promieniach zachodzącego słońca.

Zimne powietrze spływało ze szczytu mesy, owiewając ich w drodze do doliny. Wiatr niósł ze sobą aromat nadchodzącej nocy, chłodnej i tajemniczej. Skrzypienie skóry i jednostajne sapanie ogiera były jedynymi dźwiękami zakłócającymi ciszę późnego popołudnia.

Jak zwykle Case obserwował teren, wypatrując niebezpieczeństwa.

Tym razem nie było niebezpieczeństwa, tylko nagie, niesamowite piękno krajobrazu, w którym kamienie przybierały kolory tęczy i kształty najdzikszych ludzkich wyobrażeń.

Poza skalnym grzbietem, na odcinku około mili, ścieżka wyrównała się nieco. Potem pojawiła się ściana rdzawych urwisk i przyprawiających o zawroty głowy, czerwonych skalnych kolumn. Wyschłe łożyska potoków odznaczały się jasnymi pasmami na glebie i ciemnymi smugami na skalistym podłożu.

- Daleko jeszcze? - zapytał Case.

- Widzisz tamten skalisty pagórek po lewej stronie? Na jego szczycie jest dobry wiatr.

Koń kluczył pomiędzy głazami i wdrapywał się na pokryte kamieniami zbocza. Mimo że niósł podwójny ciężar, nie pocił się ani nie sapał.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmiła Sara.

Case zsunął się z siodła. Gdy pomagał Sarze zsiąść z konia, słońce odbiło się w jej oczach złotoszarą blaskiem, jakby dwie identyczne świece zapłonęły we mgle. To samo światło przemieniło cynamonowy kolor jej włosów w płomień, lśniący i pełen zachęty.

Ledwie opanował pragnienie, by ściągnąć jej z głowy kapelusz, rozwiązać warkocze i zatopić palce w tym jedwabistym płomieniu.

Znowu poczuł puls pożądania. Zły sam na siebie, podniósł Sarę z siodła, postawił na ziemi i szybko się odsunął. Fakt, że kuśtykał, wcale nie poprawiał mu humoru.

- Wiesz, że ten jastrząb złapie parę twoich kur - powiedział, starając się mówić obojętnym tonem.

Spojrzała na niego z ukosa. Chociaż sprawiał wrażenie opanowanego, niemalże zimnego, to wyczuwała, że targają nim uczucia, które przed nią skrywa.

- Gdyby nie to, że Conner zbiera jajka na chybił - trafił, to byłoby więcej kur.

Case wzruszył ramionami.

-Czekaj tutaj, aż go wypuszczę - powiedziała. - Potrzebuję miejsca, żeby wziąć zamach.

Przemawiając delikatnie do drapieżnika, podeszła na miejsce, gdzie poziomy blok skalny wystawał ze stromego zbocza.

Pomimo zimnego powietrza spływającego z odległych gór, ziemia w dolinie zmagazynowała wystarczająco dużo ciepła, żeby posyłać na wzgórze ciepłe prądy. Łagodny wiatr podnosił się z dna kanionu i jak niewidzialna fala załamywał na skalnej krawędzi, na której stała Sara. Minąwszy gzyms, ciepłe powietrze wznosiło się wprost do nieba.

Jastrząb zatrzepotał skrzydłami i wychylił się w kierunku wiatru wiejącego z kanionu. Sara uspokajała ptaka, gładząc go i powtarzając pieszczotliwe słowa.

- No, ćśś, masz pełne wole jedzenia. Wyleczyłam ci skrzydło. W okolicy jest mnóstwo bezpiecznych kryjówek. Potrzebujesz tylko trochę pomocy, żeby ruszyć przed siebie.

Po chwili jastrząb zrezygnował z prób poderwania się do lotu. Jednak dreszcze nadal wstrząsały jego ciałem, jakby wiedział, że wolność jest tuż-tuż.

To, co wydarzyło się potem, było tak błyskawiczne, że Case ledwie zdołał zarejestrować ruchy Sary. Ściągnęła szybkim ruchem lewej ręki kaptur z głowy jastrzębia i natychmiast zamachem prawego ramienia wyrzuciła ptaka w górę.

Silne skrzydła zatrzepotały w złotopomarańczowym świetle zachodzącego słońca. Ptak opadł poniżej skalnego gzymsu i zniknął im z oczu.

Przez chwilę Case obawiał się, że jastrząb nie może latać. Lecz nagle ptak wyprysnął ponad krawędź skały niczym czarna kometa. Wznosił się coraz wyżej z każdym uderzeniem skrzydeł, aż zniknął na tle rozświetlonego nieba.

Wspaniałym, dzikim krzykiem pożegnał dwoje ludzi stojących z oczyma utkwionymi w niebo.

Utykając nieco, Case podszedł do krawędzi. Nie zwracał uwagi na ból w ranach. W przeszłości znosił już o wiele gorszy. Nie miał też wątpliwości, że w przyszłości spotka go jeszcze większe cierpienie.

Jednak w tej chwili nie liczyło się dla niego nic poza srebrnym błyskiem smutku, który dostrzegł w oczach Sary. Podszedł cicho i zatrzymał się u jej boku.

- Da sobie radę - powiedział. - Pięknie lata.

- Wiem - odparła półszeptem. - Ja tylko...

- Co?

- Oddałabym duszę za to, żebyś mogła z nim polecieć.

Tęsknota w jej głosie ukłuła go jak igła. Czuł taką bliskość z nią, że aż sprawiało mu to ból.

Poczucie wspólnoty z Sarą było dla Case'a jeszcze bardziej niebezpieczne niż fizyczne pożądanie, gdyż przebijało jego pancerz obojętności.

Nie pozwalało mu odgrodzić się od wszelkich pozytywnych uczuć.

Odwrócił się gwałtownie i spojrzał na pustą, tajemniczą krainę.

Na północnym zachodzie żółtokremowe, miękkie światło słońca rozjaśniało ośnieżone szczyty odległego pasma górskiego, oddzielonego od pustyni przez masę płaskowyży. Tylko najwyższe partie gór nie były przesłonięte przez owe poszarpane, zorane erozją płaskowyże, które widać było wszędzie, gdziekolwiek człowiek spojrzał.

Zachodzące słońce zawisło tuż nad horyzontem. Nadchodziła ciemność.

Wśród tej krainy wzgórze, na którym stali Case i Sara, było równie nieistotne jak ziarno piasku.

„Czas jechać” - pomyślał z niechęcią.

Obróciwszy się, ujrzał, że połyskliwe pomarańczowe światło rozlało się po mesach i skałach, aż zapłonęły karmazynowym ogniem. Języki ciemności zaczęły wysuwać się z głębokich kanionów i rozpadlin. Ciemność wzbierała i podnosiła się cichą, niepowstrzymaną falą. Skalne iglice przemieniały się w płomieniste kolumny na tle nadchodzącej nocy. Nigdzie wokół nie było widać ani śladu człowieka. Żadnych dróg czy stałych ścieżek. Żadnego blasku latarni. Nawet dym nie wznosił się na tle nieskazitelnie czystego nieba.

„Można by tu żyć” - pomyślał Case. „Naprawdę żyć. Żadnych wścibskich sąsiadów. Żadnych ludzi, jak w mieście, którzy sięgają człowiekowi oburącz do kieszeni z fałszywym uśmiechem na ustach. Żadnych wspomnień.

Nigdzie indziej nie ma takiego miejsca jak to. Niech inni ludzie zajmują zielone wzgórza i szerokie, zielone doliny. Tu jest miejsce dla mnie.

Czyste, dzikie i wolne od przeszłości”.

Niespodziewanie poczuł się związany z tym miejscem. Było to dla niego nowe doznanie. Zaczerpnął głęboki, powolny oddech, potem jeszcze jeden i jeszcze kolejny, napawając się surowym, wiecznym pięknem tej krainy.

Daleko w dole, wzdłuż dna największego kanionu, widniały łukowate, postrzępione linie bawełnianych i wierzbowych zarośli, odcinające się zielenią od tła czarnego gruntu.

„Zagubiona Rzeka” - pomyślał. „Kanion Zagubionej Rzeki. Woda”. Sięgnął do kieszeni tego, co było kiedyś konfederackim płaszczem, ale od dawna zostało pozbawione wszystkich świecących guzików i obszyć. Poczł w dłoni dobrze mu znajomy, chłodny kształt lunety. Przyłożył okular do lewego oka i poczał przyglądać się leżącemu poniżej terenowi. Patrzył uważnie, ale odkrył niewiele znaków obecności wody. W niektórych skalistych rozpadlinach rosły samotne krzewy bawełny, ale był w stanie dostrzec tylko jedno pasmo drzew i zarośli ciągnących się wzdłuż koryta rzeki.

„Ranczo Zaginionej Rzeki jest jedynym miejscem, w promieniu wielu mil, które ma wodę” - uświadomił sobie. „Bez wody nie ma rancza”.

Jest ono już zajęte. A jednak Case wiedział, że jego miejsce jest tutaj, na tej ziemi. Nigdy jeszcze w życiu nie był pewien niczego tak bardzo.

„Coś mnie przyzywa, czekając, kiedy skończę z Culpepperami” - pomyślał.

„To ta ziemia. Ziemia, która nie może być okaleczona ani zamordowana przez ludzi. Ziemia, gdzie jest dość miejsca, aby oddychać, przeciągać się, zbudować ranczo. Nowa ziemia, wolna od wspomnień.

Ziemia, ale nie woda.

Woda jest tylko na ranczu Zagubionej Rzeki”.

Właścicielką tego rancza była Sara Kennedy. Złożył lunetę i schował ją do kieszeni płaszcza.

„Chyba mógłbym ją poślubić dla tego rancza”.

Zaledwie ta myśl przyszła mu do głowy, lodowata czerń przeniknęła jego duszę, zrywając delikatną nitkę nadziei na przyszłość.

Małżeństwo oznaczało dzieci. Dzieci oznaczały koszmar bezradnych okaleczonych ciał.

„Nie” - pomyślał z gniewem. „Nigdy więcej. Nigdy!”

Musiał być jakiś inny sposób, żeby zdobyć ranczo Zagubionej Rzeki.

Bezpieczny sposób. Sposób bez żadnych uczuć.

Milczał przez całą powrotną drogę. Nawet srebrny uśmiech księżycy nie przeniknął nocy, która wypełniła jego duszę.

Następnego dnia Case obudził się na długo przed świtem. Jak zwykle leżał bez ruchu, aby zorientować się w sytuacji.

„Co mnie obudziło?”

Odpowiedzią był lekki szelest tkaniny, którą ktoś okrywał mu ramiona.

„Sara” - pomyślał. „Nadal mnie dogląda”.

Przepłynęła przez niego fala ciepła, która tylko częściowo wywołana była pożądaniem. Osuwając się z powrotem w sen, postanowił, że rano odejdzie z rancza. Musi to zrobić, ponieważ, gdy zostanie, jego nieokiełznane męskie pragnienie weźmie górę nad zdrowym rozsądkiem.

„Nie byłbym pierwszym mężczyzną, którego ciało zaprowadziło w ślepą uliczką” - pomyślał przez sen. „Hunterowi przydarzyło się to już za pierwszym razem. Tak bardzo rozpałała mu się krew w żyłach, że poślubił niewłaściwą dziewczynę”.

Łagodny oddech musnął ciało Case'a. Usiłował zignorować pachnące różami ciepło Sary, ale nie potrafił tego zrobić, tak samo jak nie potrafił zignorować swego uporczywego pragnienia jej ciała. Jednak ona nie odwzajemniała tego uczucia.

„Chce, żebym był jej starszym bratem” - przypomniał sobie, czując jednocześnie rozbawienie, irytację i ulgę.

Nie wiedział, jak może delikatnie powiedzieć Sarze, że nie chce z nią żadnego pokrewieństwa. Nie chce być ani bratem, ani kuzynem, ani wujem. W szczególności nie wujem.

To, czego nie zniszczyła w nim wojna, zniszczyło odkrycie ciała dzieci brata.

Potrzebował potem wiele czasu, zanim znowu się nauczył, jak należy spać i jeść, jak żyć bez odczuwania jakichkolwiek emocji. Nawet gniewu.

Sara była bardziej niebezpieczna dla jego z trudem zdobytej odporności na uczucia niż załadowany i odbezpieczony rewolwer, skierowany wprost w jego twarz.

Powietrze drgnęło, gdy po cichu odsunęła się od jego boku. W chwilę później rozległy się ciche szelesty: układała się kilka stóp od niego. Wkrótce jej oddech spowolniał i pogłębił się.

„Ciekawe, ile razy wstawiała w środku nocy, żeby doglądać jakiegoś rannego stworzenia” - pomyślał.

Myśl o tym, że Sara chodzi boso po zimnym klepisku, żeby go doglądać, była dla niego nie do zniesienia.

„To niepotrzebne. Czuję się dobrze. Czy nigdy nie słyszała o tym, że

nie należy budzić licha?"

Spoza chaty dobiegło wołanie sowy.

Case wysunął się spod koców szybkim, cichym ruchem. Chwycił jedną ręką strzelbę, która była oparta o ścianę. Ciężar broni powiedział mu, że jest w pełni załadowana.

Kiedy odciągnął kurek dubeltówki, Sara i Conner obudzili się jednocześnie.

- Co się... - zaczął Conner.

- Cicho - przerwał mu Case.

Chociaż powiedział to bardzo cicho, to Conner zamilkł natychmiast.

- Słyszałem z tyłu krzyk sowy - wyjaśnił szeptem Case.

- No i co z tego? - wyszeptał Conner. - Mamy tutaj dużo sów.

- Nigdy nie słyszałem, żeby sowa wołała w ten sposób. Masz swoją dubeltówkę?

- Mam ją przy sobie.

- Dobrze. Pilnuj Sary.

- Potrafię się sama obronić - powiedziała cicho.

Jakby chcąc udowodnić prawdziwość swych słów, odciągnęła kurek trzymanej w rękach strzelby.

- I tak zostaniesz tutaj - oświadczył Case.

- Ale... - zaczął Conner.

- Im mniej ludzi stąd wyjdzie - powiedział Case, pokonując protesty chłopca - tym mniejsza szansa, że postrzelamy się nawzajem przez pomyłkę. Bądź czujny.

- Rób to, co on mówi - nakazała Sara bratu.

- Kto jest teraz na górze? - zapytał Case.

- Ute - odparł Conner.

- Dobrze. Żaden z tych Culpepperów nie jest zbudowany jak Lola. Nawet w ciemnościach będę wiedział, że nie strzelam do niej.

Conner zachichotał cicho.

Case przykłąkł i wyjrzał na tyły chaty przez jedną z wielu szpar w niezbyt dopasowanych deskach. Wąziutki sierp księżycy nie rozświetlał ciemności, ale wisząca na niebie rzeka gwiazd rozsiewała nieco upiornego światła.

Na dworze nie poruszył się żaden cień ani nie zaszleścił żaden krzak.

Nie słychać było najmniejszego chrobotu kamyków. Żadne ptaki nie odei zwały się sennym tonem, spłoszone przez przechodzącego człowieka.

Nawet kojot nie zaśpiewał w ciemności.

Case ubrał się pośpiesznie. Czarne wełniane spodnie i koszula, które nałożył, sprawiły, że stał się niewidoczny w ciemności. Zamiast butów włożył sięgające kolana mokasyny. Poza rewolwerem przytroczył do pasa nóż o długim na osiem cali ostrzu. Przewiesił przez lewe ramię dubeltówkę, tak że lufa zwisała mu przy prawym boku. Dzięki temu broń była pod ręką, a jednocześnie nie przeszkadzała.

- Nie strzelaj, dopóki nie będziesz pewien, kogo widzisz - polecił

Case. - Zanim wejdę z powrotem, będę wołał jak jastrząb.

- Case - szepnęła Sara.

Obrócił się bezbłędnie wprost do niej, choć widział ją tylko jako nikłą plamę w ciemności.

- Tak?

- Ja... uważaj.

- Nie martw się. Robiłem często takie rzeczy w czasie wojny. Gdybym był nieostrożny, to już bym nie żył.

- Pozwól mi, żebym ochraniał cię od tyłu - poprosił Conner.

Case obrócił się do stojącego z dubeltówką w rękach chłopca.

„Sara nie zepsuła zbytnio brata” - pomyślał. „Jest jak mężczyzna, nie tylko jeżeli chodzi o rozmiary ciała”.

- Najbardziej mi pomożesz, nie rozmawiając ani się nie ruszając. Będę nasłuchiwał na zewnątrz. Jeżeli zaczniesz się strzelanina, to trzymaj siostre w chacie, nawet gdybyś musiał na niej usiąść. Słyszysz mnie?

- Nie podoba mi się to, ale masz rację.

Sara mruknęła coś, na co żaden z nich nie zareagował.

Drzwi skrzypnęły, kiedy Case otworzył je i wysunął się w ciemność.

Zamknął je za sobą i stanął bez ruchu tyłem do chaty, nasłuchując i badając sytuację innymi, o wiele bardziej wrażliwymi zmysłami.

Cisza była tak przytłaczająca jak bezgłośna wieczność przepływająca w górze. Jak gwiazdy, które były ciemne, choć świeciły. Nad ziemią zawisła jakaś lodowata nieruchomość, w której można było wyczuć czas, dał i powoli zaciskający się uścisk zimy.

Panowała absolutna cisza.

„Ktoś tam jest” - pomyślał. „Noc nigdy nie jest tak cicha, chyba że się skradają jacyś ludzie”.

Schylony, podszedł do rogu chaty i wyjrzał na otwartą przestrzeń. Nie dostrzegł żadnych poruszających się cieni. Przykucnął przy ścianie i znowu zaczął nasłuchiwać.

Cisza. Czekał, licząc w myślach sekundy. Minęło ponad cztery minuty.

Z ciemności zaczęły dochodzić cichutkie dźwięki. Nocne zwierzęta gromadziły żywność, przynaglone przez chłód nadchodzącej zimy.

Przez szeroki na dziewięć stóp przesmyk między wysokim krzewem bylicy i grupą mniejszych krzewinek przebiegł szczur. Jednocześnie górą przepłynął bezgłośnie cień sowy i zaraz rozległ się cichutki pisk przerażenia i łopot skrzydeł o ziemię.

Sowa wzbiła się w niebo. Na tle gwiazd widać było szczura, zwisającego bezwładnie w jej szponach.

Z zarośli na tyłach chaty znowu dobiegło wołanie sowy. Odpowiedział mu podobny okrzyk drugiego ptaka.

I znowu nastała cisza, równie głęboka jak sama noc.

„Zwierzęta, tak jak i ja, nie dają się nabrać na te sowe wołania” - pomyślał

Case.

Oceniał, że głosy dobiegły z miejsca około dziesięciu jardów bliżej chaty niż pierwsze fałszywe nawoływanie sowy.

Nagle na tle gwiazd dostrzegł sylwetkę mężczyzny. Pokazał się tylko na mgnienie oka, ale to wystarczyło Case'owi, żeby dostrzec jego kryjówkę. Sto stóp dalej poruszył się kolejny cień.

„Jest ich dwóch” - pomyślał Case. „To nie Culpepperowie, chyba że zaczęli nosić meksykańskie kapelusze. Ciekawe, gdzie zostawili swoje konie”.

W promieniu tysiąca jardów od chaty było tylko kilka miejsc, które były odpowiednio osłonięte, żeby ukryć w nich konie.

„Na pewno zeszli w dół tej rozpadliny, która ciągnie się kilkaset stóp za wychodkiem” - pomyślał. „Są za leniwi, żeby iść chociaż jeden krok dalej, niż muszą.”

Pochylony, przemknął cicho przez pustą przestrzeń otaczającą chatę, a potem przesunął się gładko jak wąż przez zarośla i trawy, aż znalazł się za wychodkiem.

Oddalwszy się dostatecznie od miejsca, w którym widział cienie intruzów, wyprostował się i pośpiesznie ruszył w kierunku rozpadliny, która wychodziła wprost na kolejną otwartą przestrzeń.

W wąwozie pasły się trzy konie, przywiązane do uschniętego jałowca.

„Do diabła! Konie” - zaklął w duchu.

Miał nadzieję zobaczyć muły. Niestety, intruzami nie byli Culpepperowie, a wiedział, że ma większe szanse, eliminując ich pojedynczo w ciemności niż w otwartej strzelaninie, takiej jak w Hiszpańskim Kościele.

Działanie przez zaskoczenie było mniej ryzykowne.

„Ab najwyraźniej jest teraz bardziej cierpliwy niż kiedyś. To niedobrze. Jest przez to bardziej niebezpieczny”.

Pośpieszna, chociaż dokładna obserwacja wlotu rozpadliny ujawniła, że nikt nie pilnuje wierzchowców.

Pusta butelka po whisky lśniła w świetle gwiazd pod pokręconymi gałęziami martwego jałowca. Obok niej leżały poobgryzane kości królika.

„Musieli tu na kogoś czekać” - pomyślał. „Mam nadzieję, że na tyle długo, by się zacząć niecierpliwić”.

Wiedział, że niecierpliwi ludzie popełniają błędy.

Kilka minut łagodnego przemawiania i powolnych ruchów przekonały konie, że Case nie chce im zrobić krzywdy.

Wierzchowce stały spokojnie, kiedy przecinał ich wodze. Spętał zwierzęta przeciętymi rzemieniami, poluzował im popręgi i zdjął uzdy. Gdyby którykolwiek z napastników zdołał wrócić, byłoby mu bardzo trudno uciekać konno.

„Teraz nadszedł czas, żeby sprawdzić, na ile są pijani” - postanowił.

Cicho wracał w stronę chaty. Poruszał się tak bezszelestnie, że niemalże potknął się o pierwszego bandytę.

- Rusty? - wyszeptał nieznajomy. - Co tu, do cholery, robisz? Będziesz następny w kolejce do tej dziewczuchy, jak już ją ujeżdżę...

Cios nożem przerwał jego słowa. Case podtrzymał zabitego i położył go powoli na ziemi.

Przysiadł, nasłuchując. Noc była o wiele za cicha.

Wywoływało to za dużo wspomnień, czarniejszych niż sama noc.

„Powietrze jest tu bardzo suche” - pomyślał. „Nie szeleszczą żadne drzewa. Nie ma zieleni. Nie palą się w pobliżu żadne obozowe ogniska”.

Ale jedna rzecz nie zmieniła się. Śmierć miała nadal ten sam zapach, jak w czasie wojny pomiędzy Północą a Południem.

Z lewej strony rozległo się znowu pohukiwanie. Nikt na nie nie odpowiedział.

Case milczał. Kiedy usłyszał po raz pierwszy nawołujących się napastników, od razu odkrył ich system: jedno zawołanie i taka sama odpowiedź.

Miał nadzieję, że zabity bandyta nie był jednym z tych, którzy się nawoływali.

Z lewej strony jeszcze raz rozległo się pohukiwanie.

„Cholera” - pomyślał. „Muszę odpowiedzieć”.

Nie było to łatwe, ale postarał się zniekształcić nawoływanie sowy, tak jak robili to ludzie Moody'ego.

Z lewej strony rozległ się nieznaczący szelest.

„To gałęzie ocierają się o skórzaną kurtkę” - pomyślał. „Musi być w tej dużej kępie po lewej stronie”.

Powoli i nieubłaganie Case przybliżał się do miejsca, skąd dobiegł krzyk sowy.

Jakiś kształt, który tylko dla doświadczonego w nocnej walce zwiadowcy był rozpoznawalny jako sylwetka człowieka, przesunął się przez wysokie krzaki i zatrzymał na ich obrzeżu.

Case natychmiast go zauważył.

„Widzisz go, Conner?” - zapytał w duchu. „Jeżeli go nie dopadnę, to dostanie się na tyły chaty”.

Case skoncentrował się maksymalnie. Wciąż dźwięczały mu w uszach słowa, które wypowiedział, tuż przed śmiercią, pierwszy napastnik:

„Będziesz następny w kolejce do tej dziewczuchy, jak już ją ujeżdżę”.

Maxwell był pewien, że bandyta nie miał na myśli Dużej Loli.

„Ciekawe, gdzie jest ten trzeci. Dlaczego jest taki cichy?”

Martwił go fakt, że nie może zlokalizować trzeciego napastnika, ale w tej chwili nic nie mógł na to poradzić. Mężczyzna ukryty w zaroślach poruszył się. Case cicho skradał się ku bandycie, który zaczął się przemieszczać w kierunku chaty.

„Mam nadzieję że Conner wypełni moje polecenia. Jeżeli strzeli do tego bandyty, to trafi i mnie”.

Był osiem stóp od intruza, gdy ten wyczuł zagrożenie. Obrócił się, wyciągając broń, ale w tej samej chwili kolba dubeltówki uderzyła go z siłą spadającego głazu. Zgiął się z charkotem i osunął na ziemię.

Case zniknął w kępie zarośli równie szybko, jak wcześniej wyszedł z ciemności na otwartą przestrzeń.

Bandyta pozostał tam, gdzie upadł.

Nadal panowała cisza.

Oddychając głęboko, lecz bardzo cicho, Case wyteżył słuch, starając się namierzyć trzeciego napastnika. Nie słyszał jednak nic.

„Pewnie ten trzeci nie pali się tak bardzo do Sary jak ci dwaj” - pomyślał.

Po pięciu minutach znowu zaczęły rozbrzmiewać naturalne odgłosy nocy. Case przygotował się na długie czekanie. W przeszłości wiele razy brał udział w tej śmiertelnej grze. Ten, kto pierwszy traci cierpliwość, jest zazwyczaj tym, co ginie.

Nagle szmery nocy ustały za jego plecami. Zapadła cisza. Case poczuł, jak włosy podnoszą mu się na karku. Rzucił się błyskawicznie w bok, a za jego plecami rozległy się dwa strzały z rewolweru, po których nastąpił jeszcze jeden.

Ołów zagwizdał w zaroślach, w miejscu, gdzie przed chwilą była jego głowa. Mając osłonę z krzaków, obrócił się i skierował strzelbę w stronę strzałów.

Pociągnął za spust tak szybko, że odgłos jego strzału zlał się z hukiem czwartego wystrzału z rewolweru bandyty. Ołowiany śrut przeleciał przez zarośla i pomknął śmiertelnie deszczem w ciemność.

Intruz stęknął dwa razy.

Być może wydał jeszcze jakieś inne dźwięki, ale Case ich nie usłyszał, gdyż z szelestem przetoczył się w inne miejsce. Zdawał sobie sprawę z tego, że rozbłysk ognia z lufy dubeltówki zdradził przeciwnikowi jego stanowisko.

Tocząc się po ziemi, wiedział, że nie ma gdzie się ukryć. Bandyta był zbyt blisko, żeby dało się go długo zwodzić.

Piąta kula szarpnęła rękaw kurtki Case'a. Kolejna obsypała mu twarz pyłem i kawałkami kory, kiedy znowu zmieniał pozycję.

Z ciemności dobiegł wyraźny odgłos odbezpieczanego rewolweru.

Case strzelił w kierunku tego dźwięku, a sam rzucił się w przeciwną stronę.

Jeszcze zanim padł na ziemię, w jego lewej ręce pojawił się rewolwer.

Przypadł do ziemi, przymuszając się do cichego oddechu. Z ciemności nie wytrysnęły już w jego kierunku nowe języki ognia, za to postyszał jęk i łomot, jakby jakieś wielkie zwierzę miało się w zaroślach, a potem odgłos padającego ciała... Nic więcej. Czekał.

Zimny pot ściekał mu po czole i bokach. Jego płuca tęskniły do głębokich oddechów, a nie urywanych małych łyków powietrza, na jakie sobie jedynie pozwalał.

Z ciemności nie dobiegały już żadne dźwięki.

Case czekał. Ciągłe czekał.

Leżał w całkowitym bezruchu, z przymrużonymi oczami, długo po tym,

kiedy każdy inny człowiek wykonałby już jakiś ruch. Czekał z rewolwerem w rękę, tego nauczyła go wojna.

Czekał tak, jak czeka śmierć. Cierpliwie. Nieubłaganie.

Wtem rozległ się szelest i trzask gałązek. Niepewne kroki zbliżały się ku jego kryjówce. Case ani drgnął.

Bandyta nie starał się zachowywać cizy. Chciał tylko uzyskać potwierdzenie, że jego przeciwnik nie żyje. Gdy dojrzał ciemny, nieruchomy kształt na tle jaśniejszego poszycia, uniósł rewolwer i położył palec na spuście.

Trzy strzały rozdarły ciszę nocy. Wszystkie trzy kule trafiły napastnika.

Osunął się na ziemię, ale tym razem obyło się bez teatralnego miotania się i jęków. Padł po prostu twarzą w dół i zastygł bez ruchu. Trzymając

w rękę gotowy do strzału rewolwer, Case podniósł się i podszedł do leżącego mężczyzny. Odwrócił go nogą na plecy.

Chociaż zabity miał na głowie sombrero, a nie wytartą konfederacką czapkę, to nawet w bladym świetle gwiazd widać było jego wysmukłe ciało, pociągłą twarz i słomianoblond włosy.

„Do cholery!” - pomyślał Case zaskoczony. „Dlaczego nie przyjechał na swoim mule? Który to Culpepper? A zresztą jakie to ma znaczenie?

Każdy z tych łajdaków jest wart wszystkich pozostałych”.

„Z wyjątkiem Aba” - poprawił się w myślach. „Ten stary mógłby uczyć zła samego diabła”.

Znowu ukrył się w cieniu wysokich zarośli i załadował powtórnie rewolwer i dubeltówkę. Naboje wchodziły do komór gładko, niemal bezgłośnie. Zastygł w oczekiwaniu. Chociaż długo wsłuchiwał się w dźwięki nocy, to nie usłyszał już niczego podejrzanego.

Powoli wypuścił długi oddech. Po raz pierwszy zauważył, że jest zmarznięty, czuje pulsujący ból w zranionej nodze i że piecze go czoło w miejscu, gdzie uderzyły go okruchy kory odłupane przez kule.

Musiał dwa razy polizać usta, zanim były na tyle wilgotne, by mógł posłać w ciemność melodyjne zawołanie jastrzębia.

Z wnętrza chaty odpowiedziało takie samo wołanie.

Kulejąc, ruszył do chaty. Chociaż nie spodziewał się spotkać żadnych więcej bandytów, czających się w zaroślach, to nie zapominał o ostrożności.

Wykorzystywał każdą odrobinę cienia, by się w nim ukryć.

Zanim dotknął drzwi wejściowych, jeszcze raz odezwał się głosem jastrzębia.

Ze środka, tuż zza nieheblowanych desek, odpowiedział mu podobny dźwięk. Otworzył drzwi i ujrzał stojącego tuż za nimi Connera. Lufa trzymanej przez chłopca dubeltówki mierzyła wprost w brzuch Case'a.

- Widzisz? - powiedział do siostry Conner, zabezpieczając broń i ustępując mu z drogi. - Mówiłem ci, że nic mu nie będzie.

Sara pośpiesznie wyszła z za brata.

- Case? Jesteś ranny? - zapytała drżącym głosem.

Ręce jej się trzęsły, gdy go dotknęła, szukając ran.

- Zmęczony, brudny i trochę potłuczony - powiedział, zamykając za sobą drzwi. - Nie ma czym się przejmować.

- Zapal lampę - poleciała Sara bratu.

Conner spojrział pytająco na Case'a, a ten skinął głową.

- Co się stało? - zapytał Conner.

- Jak wstanie słońce, będziemy mieli trochę kopania.

Potarta o żelazny trójnóg zapalka zabłysła pomarańczowym płomieniem i już po chwili wnętrze chaty wypełniło łagodne światło lampy naftowej.

Szklana osłona zadzwoniła delikatnie o metalową podstawę, kiedy

Conner osłaniał nią knot.

- Kopanie, tak? - powiedział, patrząc na Case'a.

- Były jakieś problemy na górze? - zapytał Case.

- Ilu zabiłeś? - nalegał chłopiec. - Jak ich znalazłeś, zanim oni znaleźli ciebie? Gdzie...

- Dość tego - przerwała mu ostro Sara. - Case o mało nie umarł trzy tygodnie temu i teraz walczył w ciemnościach o nasze życie, a ty go zamęczysz pytaniami.

- Ale...

Srebrzyste spojrzenie siostry uciszyło Connera.

- Do diabła - mruknął - tobie się zdaje, że ja dalej chodzę w pielu chach.

Sara już nie zwracała uwagi na brata.

- Siadaj - powiedziała do Case'a. - Krwawisz.

- Nie ma się czym... - próbował oponować, ale Sara już nie wytrzymała.

- Zamknij się i siadaj - rzuciła. - Niedobrze mi się robi od słuchania mężczyzn, którzy są tacy mądrzy, bo już wyrosli z krótkich spodenek.

Case posłał jej niepewne spojrzenie i usiadł na jednym z dwóch krzeseł, w które wyposażona była chata. Drewniany sprzęt zatrzeszczał pod jego ciężarem.

Sara obrzuciła taksującym wzrokiem brata, wyraźnie szukając kolejnego obiektu, na którym mogłaby wylądować swój gniew.

- Hm - mruknął Conner - chyba pora, żebym zmienił Ute na górze.

- Idź - powiedział Case - ale miej oczy szeroko otwarte.

- Jest ich więcej? - zapytał Conner, usiłując stłumić podniecenie.

- Nie ma. Chyba żeby siedzieli po dwóch na jednym koniu, ale wątpię, żeby te mustangi potrafiły nieść taki ciężar.

- Ute będzie pytał o tę strzelaninę. Co mu powiedzieć?

- Żeby przyniósł łopatę - rzuciła ostrym tonem Sara.

Conner otworzył drzwi i wyszedł bez słowa.

- Dziękuję ci za to, że przytrzymałeś siostrę w chacie! - zawołał za nim Case.

- Nie ma za co! - odkrzyknął Conner z ciemności i zaśmiał się. - Szkoda,

że jej nie słyszałeś, kiedy na niej siedziałem. Nie wiedziałem, że ona zna tyle przekleństw. Do diabła, idę o zakład, że nawet Duża Lola nie potrafiłaby...

- Conner! - zawołała Sara groźnym tonem.

Odpowiedział jej śmiech brata, który jeszcze bardziej ją rozgniewał.

- Pewnie było czego posłuchać - powiedział spokojnie Case.

Błada twarz Sary pokryła się rumieńcem. Kiedy jednak zobaczyła, że Case unosi do góry kącik ust, też wybuchła niepohamowanym śmiechem. Nieomal omdlewała z ulgi, że jest cały i zdrowy, że Connerowi nic się nie stało i że wszystko jest w porządku.

Byli bezpieczni, przynajmniej tej nocy.

- Ja też nie wiedziałam, że znam tyle przekleństw – przyznała.

W kącikach oczu Case'a pojawiły się maleńkie zmarszczki.

Sara uśmiechnęła się.

- To musiał być niezły widok - przyznała. - Klęłam jak szewc, kiedy ten przerośnięty chłopak na mnie siedział.

- Kiedy ktoś wykonuje męską robotę, to nie jest już chłopcem.

Jej uśmiech zgasł natychmiast. Pomyślała o tym, jak Case musiał się czuć, kiedy został piętnastoletnim żołnierzem i tej nocy, kiedy w ciemnościach prowadził innego rodzaju wojnę.

„Jak wstanie słońce, będziemy mieli trochę kopania”.

Jego oczy mówiły jednak więcej niż te słowa. Mówiły o tym, że śmierć niszczy nawet tych, którzy wychodzą z walki zwycięsko.

Sara odeszła na bok, nabrała blaszanym kubkiem wody z wiadra i naląła ją do poobijanej cynowej miski. Potem wzięła czystą ścierkę z trzciniowego koszyka i namoczyła ją w wodzie. Wyżęła ścierkę i podeszła do Case'a.

W świetle lampy jego oczy zamieniły się w przeniknięte cieniem złotawozielone klejnoty. Krew powoli ściekała z płytkiego skaleczenia na jego czole. Błyszczące, jaskrawe kropelki gromadziły się na lewej brwi, spływały obok oka i dalej po policzku jak szkarłatne łyzy.

- Nie trzeba... - zaczął.

- Trzeba, jak najbardziej - sprzeciwiła się od razu.

Najłatwiej byłoby mu odwrócić się i odrzucić oferowaną przez nią przysługę.

Nie zrobił jednak tego. Siedział, pozwalając się pielęgnować, tak jakby to był jego przywilej. I jej też.

Bez słowa obmywała mu twarz chłodną wodą, usuwając z niej brud i zakrzepłą krew. Jego oczy nadal były pełne cienia.

„Czy cokolwiek zdoła je przemyć?” - pomyślała ze smutkiem.

- Jesteś pewien, że nie zostałeś ranny? - szepnęła.

- Tak.

- Tak się bałam o ciebie, kiedy usłyszałam drugą i trzecią wymianę strzałów. A potem ciszę. Trwała bez końca. Jak śmierć.

- Saro...

Nie potrafił znaleźć słów, które pomogłyby mu wymazać z jej oczu wspomnienie przeraźliwego strachu.

Bała się wtedy o niego tak, jakby był kimś z jej rodziny, a nie chwilowo u niej goszczącym rannym nieznajomym.

Delikatnie posadził ją sobie na kolanach.

- Twoja rana - zaprotestowała.

Usadził ją tak, że znalazła się na jego prawym udzie. Objął ją, gładząc jej rozpuszczone włosy.

Westchnęła przerywanie i oparła się o niego. Przez chwilę usiłowała zwalczyć narastające w sobie uczucie, od którego ścisnęło ją w gardle i paliło w oczach. Potem zaczęła płakać, uwalniając się od emocji, które były w niej zamknięte od tak wielu lat.

Czubkami palców wycierał jej łzy. Pył, który zgromadził mu się na dłoniach, kiedy walczył w zaroślach o życie, znaczył czerwone smugi na jej twarzy.

Wziął ścierkę, którą go obmyła, potrząsnął nią i znajdując jeden czysty róg, zaczął wycierać czerwony pył z jej twarzy.

Łzy Sary płynęły szybciej, niż je wycierał.

- Przepraszam - powiedziała w końcu.

- Za co?

- Ja... nie mogę... przestać płakać.

- Nikt cię o to nie prosi.

- Ale... Ale ja... Nie płaczę... Nigdy...

- Nie powiem nikomu, jeżeli ty też nie powiesz.

Wydała jakiś dźwięk, który mógł być śmiechem lub łkaniem albo jednym i drugim naraz. Nadal płakała.

- To nie w porządku.

- Co nie jest w porządku?

- Że ty musiałeś tam wyjść i... i...

- Lepiej ja niż Conner. On jeszcze nie ma tej cierpliwości.

- Cierpliwości?

- To dlatego było tak cicho. Jeden z Culpepperów chciał wypróbować moją cierpliwość.

- Czy to był Ab? - Sara usiłowała ukryć nadzieję w głosie, ale niezbyt jej się to udało.

- Nie. Ale był sprytny. Ci Culpepperowie nie są wiele warci, jeżeli chodzi o uprzejmość czy uczciwość, ale w walce są dobrzy jak diabli.

- Conner - wyszeptala, drżąc. - Ab go zabije. Mój Boże, co robić?

- Weź go i wyjedź stąd.

- Ja nie mam... - Przerwała.

Minęła dobra chwila, zanim odzyskała głos.

- Nie mam pieniędzy, żeby wysłać Connera - powiedziała z bólem w

głosie.

- Jest wystarczająco duży, żeby zarobić na sobie.

Łzy spływały jej po twarzy. Pokręciła głową z mieszaniną zmęczenia i rezygnacji. Kiedy zaczęła mówić, jej głos płynął równie nieprzerwanie jak potok jej łez.

- Conner nie pojedzie. Nie zostawi mnie samej. Już próbowałam.

- Więc jedź z nim.

- I co robić? Pójść za przykładem Loli?

Zamrugał powiekami.

- Są inne rodzaje pracy.

Sara zaśmiała się smutno.

- Nie dla dziewczyny, która nie ma nic poza ubraniami.

- Mogłabyś wyjść za mąż za...

- Nie - przerwała gwałtownie. - Nigdy nie zniosłabym kolejnego męża.

Nigdy.

Case chciał powiedzieć, że nie wszyscy mężczyźni są tacy jak jej nieżyjący mąż, ale uznał, że to nie ma sensu.

Byłoby tak, jakby ktoś radził jemu samemu, żeby się ożenił i miał dzieci, ponieważ nie wszystkie dzieci zostają okaleczone i zamordowane przez bandytów.

- Więc w porządku. Po prostu wyrzuć Connera z rancza.

- Nie mogę tego zrobić.

- To znaczy, że nie chcesz tego zrobić.

Potarła czoło świadczącym o zmęczeniu gestem. Nie czuła się na siłach, wyjaśniać, że dała połowę rancza Connerowi, kiedy skończył trzynaście lat. Case dopytywałby się, dlaczego to zrobiła. Jednak ona nigdy o tym nie rozmawiała. Nigdy i z nikim.

„Dobry Boże” - pomyślała. „Co za sytuacja! Dlaczego ci przekłęci bandyci musieli się tu osiedlić?”

Jej pytanie pozostawało bez odpowiedzi. Tak jak i nie było odpowiedzi na pytanie, dlaczego ona i Conner przeżyli powódź, która zabiła resztę ich rodziny.

„Nie ma sensu pytać, dlaczego” - powiedziała sobie w duchu, jak już wielokrotnie czyniła to w przeszłości. „Liczy się tylko to, co jest tutaj i teraz, a nie co było czy co mogłoby być”.

- Kocham to ranczo bardziej niż cokolwiek na ziemi, z wyjątkiem mojego brata - powiedziała spokojnym tonem. - Wszystko będzie dobrze, kiedy tylko znajdę hiszpańskie srebro i odeślę Connera do szkoły na Wschodzie.

Przez chwilę Case nie wiedział, co jej odpowiedzieć. Trudno mu było wyobrazić sobie tego gorącogłowego chłopaka wkuwającego w szkole łacińskie koniugacje i tabliczkę mnożenia.

- A co o tym myśli Conner?

- To nie ma znaczenia. I tak pojedzie.

Otwierał już usta, by powiedzieć, iż jej brat jest na tyle dorosły, żeby sam decydował o sobie, ale tylko wzruszył ramionami. Wiedział, że Sara zrozumie to, kiedy spróbuje przymusić Connera do zrobienia tego, czego on nie chce zrobić.

- A co będzie, jeśli nie znajdziesz tego srebra? - zapytał.

- Znajdę.

Upór malujący się na jej twarzy mówił mu, że mógłby sprzeczać się z nią na ten temat od świtu do nocy, a i tak nic to by nie zmieniło. Westchnął, kręcąc głową, i przesunął dłonią po jej jedwabistych cyrkonowych włosach.

- Gdyby Conner i Ute nie prowokowali tych bandytów, to może zostawiliby nas w spokoju.

- Może, ale wątpię w to.

- Dlaczego?

- Chłopaki Moody'ego są zbyt leniwi, żeby napadać daleko od obozu.

- A Culpepperowie?

- Byli kiedyś tak samo leniwi, ale wygląda na to, że większość z nich nauczyła się nie kopać wychodka za blisko źródła wody.

- Niech piekło pochłonie tych bandytów!

- Amen.

Sara zacisnęła powieki i zastygła w bezruchu. Kiedy po chwili otworzyła oczy, zaczęła pośpiesznie przedstawiać pewien pomysł, który od jakiegoś czasu dojrzywał w jej głowie. Mówiła szybko, bo tak naprawdę nie chciała Case'a o to prosić.

Nie miała jednak wyboru. Mogłaby jedynie załamywać ręce, kiedy bandyci zabiliby Connera.

- Jeżeli będziesz osłaniał mnie przed tymi bandytami, gdy ja będę szukała srebra, to dam ci połowę z tego, co znajdę - zaproponowała pośpiesznie.

Dopiero po chwili Case zrozumiał, o czym ona mówi. Pokręcił głową.

- Nie - odparł krótko.

- Myślisz, że nie znajdę srebra.

- Nawet gdybyś znalazła, to nie będzie to miało znaczenia. Srebro, złoto, papierowe pieniądze. Nic z tego nie jest warte ryzykowania życia.

- A co jest tego warte? - zapytała z goryczą.

- Połowa twojego rancza.

Sara poczuła, jak krew odpływa jej z żył. Pobladła jak papier.

„Połowa rancza”.

Znowu pomyślała o bracie wciągającym gdzieś w zasadzkę i zabijanym przez bandytów. Próbowała coś powiedzieć, ale nie była w stanie. Przełknęła z trudem ślinę.

- Zgoda, połowa rancza - powtórzyła zduszonym głosem - ale musisz obiecać, że nie powiesz Connerowi. Obiecuj mi.

- Obiecuję.

Siedziała w milczeniu, rozpamiętując zawartą umowę. Była zadowolona, że przedtem wypłakała wszystkie łzy.

Tylko ona wiedziała, jak wielkim smutkiem napelnia ją utrata ukochanego rancza.

10

Para buchająca z końskich nozdrzy zawisała w powietrzu jak srebrny dym. Chociaż niebo było we wszelkich odcieniach różu i jasnego błękitu znanych człowiekowi, to świt jeszcze nie nadszedł.

- Nadal marudzisz ze swoim koniem? - rzuciła niecierpliwie Sara.

Case podniósł głowę znad popręgu, który właśnie dopinał. Sara siedziała już na klaczy. Do siodła przytroczyła sakwy. Klacz była jednym z mustangów, które Case widział w Hiszpańskim Kościele.

Zazwyczaj Sara jeździła na niej na oklep, ale tego ranka Case uparł się, żeby wzięła jedno z siodeł zdobytych na bandytach. Jego zdaniem jazda na oklep w nierównym terenie była zbyt niebezpieczna. Mustangi bandytów pasły się teraz nad potokiem wraz z końmi Sary. Zadomowiły się szybko na ranczu Kennedych.

- Pospiesz się - nalegała.

- To srebro zaginęło przed wiekami - odparł spokojnym tonem. - Poczekaj jeszcze trochę, kiedy będę poprawiał uprząż.

Miała chęć odpowiedzieć ostro, ale ugryzła się w język. Z zaciśniętymi ustami spojrzała w kierunku urwiska. Nie widziała Loli, ale wiedziała, że ona gdzieś tam siedzi z załadowaną dubeltówką na kolanach.

Ute i Conner jeszcze spali po nocnej warcie.

Cały czas ktoś był na posterunku. Bandyci nie pojawili się już od czterech dni, kiedy to przekonali się, że podkradanie się do małej chaty od tyłu jest pewnym sposobem na śmierć.

Case wsunął nogę w strzemię i sprawnie wsiadł na konia.

- Jesteś pewien, iż tak dobrze już się czujesz, żeby jeździć konno i wspinać się na szczyty? - zapytała po raz trzeci. - Czasami to jest naprawdę męczące.

- Jestem pewien - powtórzył również po raz trzeci. - I jestem pewien, jak diabli, że powinniśmy zbierać raczej drewno na opał niż tracić czas na szukanie skarbu.

- Zbieraj sobie tyle drewna, ile chcesz - odpaliła. - Ja szukam srebra.

Zawróciła mustanga i ruszyła kłusem ku odległemu ujściu Kanionu Zagubionej

Rzeki.

- Spokojnie, Świerszczu - mruknął Case, ściągnając wodze ogiera. -
W takim zimnie nie trzeba się śpieszyć.

Poprawił sobie kapelusz, a następnie sprawdził dubeltówkę i karabin,
umieszczone w osobnych pokrowcach przy siodle.

Nie musiał sprawdzać broni, ale potrzebował jakiegoś pretekstu, żeby
opanować emocje.

„Sara już za długo chodzi własnymi ścieżkami” rozmyślał. „Jest bardzo
dobra w wydawaniu rozkazów, ale nie potrafi ich przyjmować. Dziwne, że
Conner nie usiadł na niej wcześniej i mocniej”.

Szybkim ruchem umieścił dubeltówkę w pokrowcu. Uniósł wodze i jego
wierzchowiec skoczył do przodu, pragnąc dopędzić niewielką klacz.

- Spokojnie, ty głupku - mruknął Case. Ona wcale nie potrafi biegać
szybciej od ciebie.

Ogier skrócił krok, ale nie za wiele. Nie znosił przed sobą widoku innego
konia.

Mały kasztanowaty mustang biegł wzdłuż Zagubionej Rzeki ledwie widoczną
ścieżką, wydeptaną przez dziką zwierzynę i indiańskich myśliwych
na długo przedtem, nim Hal Kennedy zbudował swoją chatę i rozpoczął
poszukiwanie hiszpańskiego srebra.

Czasami nisko zwisająca gałąź zmuszała Sarę do pochylania się nad
szyją konia. W innych miejscach ścieżkę przegradzały przewrócone drzewa.

Klacz przeskakiwała przez kłody bez wahania, co oznaczało, że ta niemal
niewidoczna ścieżka jest jej znana. Tempo biegu też nic było jej obce.

Co jakiś czas Sara spoglądała na wschód. Sprawdzała, czy słońce wyłoniło
się zza krawędzi kanionu.

„Powinniśmy wyruszyć przed godziną” - pomyślała z irytacją.

Case nie zgadzał się na wyprawę w ciemnościach, nawet gdy miał jechać
razem z nią. Próbowala go przekonywać, namawiała, aby się
zgodził na wcześniejszy wyjazd. Nic nie wskórała.

Kiedy Case raz czegoś odmówił, to nie było na to rady.

„Co za uparty i nieznośny człowiek!” - pomyślała.

Pokonywali milę za milą, a mała klacz nawet się nie zasapała. Mogła
biec w tym tempie cały dzień.

Od czasu do czasu Sara oglądała się przez ramię, aby zobaczyć, gdzie
jest Case. Za każdym razem jego wierzchowiec był w tej samej odległości:
około stu stóp za nią. Ogier nie zdradzał oznak zmęczenia, chociaż jego obciążenie
było dwa razy większe niż obciążenie klaczy.

„Denerwujące samce” - pomyślała ze złością. „Silne i głupie”.

Kiedy złote światło zaczęło oblewać cały teren, trudno jej było utrzymać
zły nastrój. Błękitne niebo prześwitujące pomiędzy różowymi chmurami
było tak jasne, że świeciło w świetle poranka jak czyste szkło.

„Jakże mogę opuścić tę krainę?” - zapytała się w duchu.

Często zadawała sobie to pytanie po zawarciu umowy z Case'em. Jedyna odpowiedź, jaką była w stanie znaleźć, była tą samą prawdą, która pomogła jej przeżyć po śmierci rodziców.

„Będę robiła to, co konieczne. Dla Connera, który zasługuje na coś więcej, niż otrzymał od życia”.

Nigdy nie żałowała przymusowo dokonanych wyborów. Była po prostu wdzięczna losowi za to, że ona i Conner przetrwali, gdy tak wielu nie przeżyło.

Kiedy słońce wychynęło znad krawędzi kanionu, na ziemi pojawiły się niezliczone pasma kolorów: ochry i rdzy, czerwieni i złota. Sara zwolniła jazdę przy ujściu pierwszego z bocznych kanionów, wychodzących na brzeg rzeki. Pozwoliła kłaczy wybierać drogę między głazami i przez wyschnięte łożyska potoków, które znaczyły ujścia każdego z mniejszych kanionów.

Bładozielone oczy Case'a bez przerwy badały teren. Wypatrywał niebezpieczeństwa, ale również starał się zapamiętać wszystkie charakterystyczne punkty, aby mógł bez przewodnika odnaleźć powrotną drogę.

Ucząc się terenu, przyglądał się szybującym orłom i jastrzębiom, szybko biegnącym królikom i licznym śladom świadczącym o obecności jeleni. Zauważył również ślady kuguara, zaschnięte w mule u ujścia bocznego kanionu.

„Połowa z tego jest moja” - myślał.

Przypominał sobie o tym co chwilę, dostrzegając te liczne znaki życia i podziwiając dzikie widoki. Radował się, że spokój ogarnia jego duszę, która od czasu wojny zaznawała tylko cierpienia.

Świadomość faktu, że jest związany z tą ziemią, narastała z każdą chwilą, z każdym oddechem.

On sam umrze, ale ziemia nie. Ziemia będzie trwać wiecznie, nie tknięta przez piekło, wypełniające dusze złych ludzi. Niezmiennosc ziemi kojarzyła mu się z ogromnym spokojem. Przez związek z tą ziemią on sam był częścią czegoś większego, lepszego niż suma zła wyrządzanego przez ludzi.

Ta myśl była jak balsam łagodzący cierpienie, trwające od tak dawna, że już nawet go nie zauważał. Godził się z tym bólem tak jak ludzie, którzy utracą kończynę i uczą się żyć bez niej.

Kiedy Sara ściągnęła wodze, zwalniając do stępa, Case zezwolił wierzchowcowi zrównać się z kłaczą.

- Nic tak nie studzi emocji jak mała przejażdżka powiedział jakby od niechcienia.

Spojrzała na niego, mrużąc oczy, ale nic nie powiedziała.

- Potrzebujesz jeszcze kilku mil? - zapytał. Może tym razem to ty będziesz niosła siodło?

Jak zwykle jej poczucie humoru przemogło irytacją. Roześmiała się

i pokręciła głową.

- Ty i Conner - powiedziała.

- Co ja i Conner?

- Obydwaj potraficie mnie rozbroić.

- To dlatego, że nie jesteś odpowiednio twarda - powiedział Case.

- Ty też.

- Co?

- Ute uważa, że jestem aniołem.

Case wcale nie wyglądał na zaskoczonego.

- Mówię to poważnie. On naprawdę tak myśli.

- Człowiek budzi się chory i obolały i widzi światło lampy przeświecające przez twoje włosy. Czuje twoje chłodne i delikatne ręce na swojej skórze...

Przerwał i wzruszył ramionami.

- Trudno winić Ute za to, że postrzega cię jako słodkiego anioła miłosierdzia, który się nachyla, by go dotknąć - powiedział.

Rumieniec oblał twarz Sary.

- Nie jestem aniołem - powiedziała. - Zapytaj mojego brata.

- O, nie wątpię w to. Ale trzeba o tym przekonać Ute.

- Już próbowałam. To tak jakby wygłaszać sonety Szekspira do skały.

- Nie zapominaj, że Ute porównuje cię z innymi kobietami, które znał. Sara skrzywiła się.

- Lola jest dobrą kobietą - powiedziała - Nieokrzesałą, ale uczciwą.

To, co mówisz, jest w połowie prawdą- mruknął.

- Co?

- Tu i ówdzie Duża Lola przeszła już do legendy.

- To było dawno - powiedziała Sara zdecydowanym tonem. - Odkąd przybyła na nasze ranczo, nie zrobiła niczego niewłaściwego. Z wyjątkiem przeklinania, ale to się nie liczy. To nieważne.

W kąciakach oczu Case'a pojawiły się zmarszczki.

- Przeklinanie jest nieważne? - zapytał. - No cóż, to wszystko wyjaśnia.

- Co?

- To tłumaczy istnienie anioła miłosierdzia, który dysponuje takim słownictwem, że mogłoby wypalić piekło. Oczywiście słyszałem o tym tylko z drugiej ręki. To mogło być bezczelne kłamstwo.

Policzki Sary zaczerwieniły się nie tylko od zimowego powietrza.

- Mówiłam już, że nie jestem aniołem.

Coś jakby uśmiech pojawiło się koło jego oczu.

Sara wpatrywała się w niego, ale nie wiedziała, czy Case się naprawdę uśmiecha.

- Powinam była cię ogolić.

- Dlaczego? - zapytał, zaskoczony zmianą tematu.

- Mogłabym przysiąc, że uśmiechasz się pod tym zarostem, ale nie mogę tego dojrzeć.

- Jest za zimno, żeby chodzić bez zarostu.

- Nie byłoby zbyt zimno, gdybyś spał w chacie.

Sama nie wiedziała, dlaczego nadal doskwiera jej to, że wyprowadził się z chaty, ale tak właśnie było.

- Już i tak spędziłem za wiele czasu w twoim łóżku.

Nie wspominał o tym, że śniło mu się jej pachnące różami łóżko za każdym razem, gdy spał na dworze. Budził się wtedy z męskością twardą jak skała. Pożądanie powoli ustępowało, ale po kilku chwilach znowu powracało. Zaskakiwało go w najbardziej niewłaściwych momentach. Tak jak teraz.

Przeklinając w duchu, przesunął się w siodle. Nic mu to nie pomogło.

W tym stanie nie było sposobu, żeby mógł wygodnie siedzieć na koniu.

A może byś spał obok Connera? -- zapytała. - Przy piecu jest dużo miejsca.

- Twój brat miota się jak młody byczek.

- A co zrobisz, gdy będzie padał śnieg?

- To, co zawsze robiłem.

- To znaczy?

- Przeżyję.

To pojedyncze ponure słowo przeniknęło do wnętrza Sary jak lodowate ostrze.

- Życie polega na czymś więcej niż tylko na przetrwaniu – powiedziała.

- Tak. Jest jeszcze ziemia.

- Miałam na myśli nadzieję i śmiech, i miłość.

- One umierają razem z ludźmi. Tylko ziemia nic umiera. Ona trwa.

Wyraz jego twarzy i ton mówily, że uważa ten temat za zamknięty.

Przez chwilę milczała. W końcu jej ciekawość co do jego przeszłości wzięła górę.

- Co się stało? - zapytała śmiało.

- Kiedy?

- Dlaczego nie masz w sobie nadziei, śmiechu i miłości? - zapytała.

Case milczał.

- Czy to coś związanego z Emily? Czy uciekła z innym mężczyzną i złamała ci serce?

Gwałtownie obrócił ku niej twarz. Wyraz jego oczu zmroziłby ogień.

- Co powiedziałaś? - zapytał cicho.

Poczuła suchość w ustach. Już żałowała, że pozwoliła swej ciekawości przewyciężyć rozsądek. Przełknęła ślinę, próbując się odezwać, ale tylko znowu przełknęła ślinę.

- Wołałeś jej imię - powiedziała. - Kiedy byłeś nieprzytomny z gorączki. Wołałeś co chwilę: Emily, Emily, Em...

- Nigdy nie wypowiadaj przy mnie tego imienia - przerwał jej gwałtownie. Zapadła cisza. Narastała jak wiatr wypełniający kanion.

- Czy ona nie żyje? - zapytała w końcu Sara.

Nie doczekała się jednak odpowiedzi. Case nawet nie spojrzał w jej stronę. Poczła niespodziewane ukłucie bólu.

„No cóż” - pomyślała. „To chyba odpowiada na jedno z moich pytań. Case kochał Emily, a ona go zdradziła”.

Znowu zapanowała cisza. Poczła nagle zadowolenie, że nie ogoliła Case'a. Nie chciała wiedzieć już nic więcej o tym, co on myśli.

- Dobrze - powiedziała - zamknijmy ten temat. Ale czy nikt nie powiedział ci nigdy, że rozmawianie z kimś może zmniejszyć ból?

Spojrzał na nią z ukosa.

- Więc proszę opowiedzieć mi o swoim małżeństwie, pani Kennedy - rzekł z ironią. - Co było w nim tak okropnego, że postanowiłaś już nigdy nie mieć mężczyzny?

- To nie twój... - Przerwała nagle.

- Nie mój interes? - dokończył za nią. - Więc dlaczego to, co się wydarzyło czy nie wydarzyło w moim życiu, tak bardzo cię interesuje?

Znowu cisza zaczęła współzawodniczyć z wiatrem. W końcu cisza zwyciężyła.

Kiedy Sara skierowała swą kłacz do bocznego kanionu, miała nadzieję, że myśli Case są bardziej wesołe od jej myśli.

-Przypuszczam, że jest jakiś powód, dla którego wybierasz ten kanion

- powiedział, przerywając długą ciszę.

-Tak.

-Czy mogłabyś mi powiedzieć, dlaczego, czy może jest to kolejna rzecz, która nie jest moją sprawą?

Spojrzała na niego. Jej oczy miały kolor kutego srebra, a jej głos wcale nie brzmiał ciepłej.

- W połowie wysokości zbocza od południowej strony są ruiny - powiedziała dobitnie. - W miejscu, gdzie kanion się rozwidła, są też słupy z czerwonej skały.

- Jakie ruiny?

- Podobne do zburzonych zamków.

- No cóż, to mi wiele mówi. Teraz wiem dokładnie, czego szukamy.

- Ty szukasz dobrego lania - mruknęła.

Obrócił się w jej stronę i spojrzał na nią oczami, które były zbyt zimne jak na człowieka tylko kilka lat starszego od niej.

Poczła się nagle zmęczona. Jej pytania zamieniły Case'a w zimnego i obcego człowieka. Przedtem był intrygującym mężczyzną, którego własnymi rękami i modlitwą wyrwała śmierci. Człowiekiem, którego poczucie humoru i delikatność wskazywały na potencjał, jakiego nawet nie potrafiła nazwać. Wiedziała jednak, że taki potencjał istnieje. Wyczuwała to równie

wyraźnie, jak wyczuwała jego męskie pożądanie.

„Mniejsza z tym” - pomyślała. „Mniejsza z tym, kim była Emily i co zrobiła Case'owi. To nieważne. Nic nie jest ważne, oprócz odszukania srebra dla Connera. On umie się śmiać i kochać i mieć nadzieję”.

- Hal miał starą mapę - oznajmiła.

- Jak starą?

Wzruszyła ramionami.

- Nie mówił, a ja nie pytałam.

- Czy był to tylko rysunek, czy były tam jakieś słowa?

- Było parę tu i ówdzie. I list.

- Co było w nim napisane? - zapytał Case, zaciekawiony wbrew samemu sobie.

- O tym, że transport srebra: krzyże, monety, sztabki, kubki, talerze, świeczniki i różańce, zaginął podczas powodzi.

- Cały transport?

- Skinęła głową.

- Większość srebrnych wyrobów została odzyskana przez Hiszpanów - powiedziała - ale nie znaleziono dziesięciu worków srebrnych monet i trzystu funtów srebrnych sztabek.

Gwizdnął cicho. Spojrzał badawczo na imponujący skalisty teren wokół siebie, jednocześnie myśląc, że jest głupcem, skoro interesuje się czymś takim.

Trzysta funtów srebra mogło zniknąć w każdym z tysięcy bezimiennych kanionów i nawet nie zostawić po sobie śladu. Cała ta ogromna kraina była na miarę wieczności raczej niż człowieka.

- Czy słowa na mapie były napisane w języku hiszpańskim, angielskim, francuskim czy po łacinie? - zapytał, nie umiejąc ukryć ciekawości.

- W większości po łacinie - powiedziała - niektóre po hiszpańsku.

- Jesteś pewna?

- Człowiek, który napisał ten list, był jezuickim duchownym - powiedziała dobitnym tonem. - Łacina była najczęściej używanym językiem w kościelnych dokumentach, chociaż część korespondencji była prowadzona po hiszpańsku.

Case uniósł swe ciemne brwi.

- Twój mąż musiał być wykształconym człowiekiem, skoro zrozumiał ten list.

- Hal nie potrafił ani czytać, ani pisać nawet po angielsku, nie mówiąc już o żadnym innym języku.

- Więc kto przetłumaczył ten list?

- Ja.

Case mruknął z zadowoleniem, jakby w końcu udało mu się dopaść jakiegoś łupu.

- Znasz łacinę? - powiedział.

-Tak.

- Grekę?

- Tak - spojrzała na niego. - Zaskoczony?

- Tylko tym, że jesteś nadal na tym ranchu.

- O co ci chodzi?

-Z twoim wykształceniem mogłabyś dostać pracę w szkole w Denver czy Santa Fe albo San Francisco.

Sara poczuła, jak coś ściska ją w gardle i tężeje jej twarz. Nie chciała mieszkać w miastach, gdzie ceniono by jej wykształcenie. Pragnęła jedynie mieszkać na ranchu wśród dzikich kanionów, czystej wody i odwiecznego wiatru śpiewającego jej duszy.

„Ale to będzie moja ziemia tylko do czasu, kiedy znajdę srebro” -

napomniała się w duchu. „Potem moja połowa będzie należała do Case'a”.

- Mogłabym - zgodziła się.

Z tonu jej głosu wynikało, że wolałaby, by zakuto ją w kajdany.

- Gdzie jest teraz ta mapa? - zapytał.

- Nie wiem.

- Tajemnica, tak?

- Nie, po prostu nie wiem - odparła zdecydowanym tonem. - Ostatni raz widziałam tę mapę i Hala pewnej jesieni przed laty, kiedy poszliśmy szukać srebra.

- I on nie wrócił?

- Nie.

- Jak zginął?

- Nie wiem.

- Ale jesteś pewna, że nie żyje?

- Tak.

- Dlaczego?

- Mój brat poszedł po śladach Hala i znalazł go umierającego. Pochował go tam, gdzie leżał.

- Wydaje się dziwne, żeby człowiek w sile wieku nagle upadł i umarł - rzekł obojętnym tonem Case.

- Hal był ponad trzy razy starszy ode mnie.

Zerknął na Sarę. Usiłował sobie wyobrazić kogoś, z jej ostrym językiem i skłonnością do śmiechu, wychodzącego za mąż za człowieka tak starego, że mógłby być jej dziadkiem.

„Nic dziwnego, że ona nie chce o tym mówić” - pomyślał poruszony.

„Pewnie człowiek w tym wieku nie miał cierpliwości do dziewczęcych zachowań”.

- Dziwi mnie, że twój brat nie przyniósł tej mapy z powrotem – rzekł po chwili.

-Wziął to, czego potrzebowaliśmy, żeby przeżyć. Konia, płaszcz, jedzenie i broń.

Case przypomniał sobie chatę Kennedy'ego. Dziesięć stóp na czternaście.

Byle jak zbudowana. Bez szyb w oknach. Z klepiskiem zamiast podłogi, na którym Sara kreśliła przedziwne wzory, kiedy nie była zbyt zmęczona przedzeniem i gotowaniem, praniem i pielęgnowaniem różnych stworzeń. Bez zmian, które wprowadziła, bez suszących się w jednym kącie ziół i aromatycznych pędów jałowca w posłaniach, bez zapachu kukurydzianego chleba i prania - bez wszystkich tych rzeczy chata byłaby równie atrakcyjna jak grób.

- Musiało być ci ciężko z małym chłopcem i bez mężczyzny do pomocy
- powiedział Case.

- Conner stał się doskonałym myśliwym. Ja też nieźle strzelam.

- A twój mąż?

- Hal dużo czasu spędzał na szukaniu skarbu. Kiedy wracał, wymagał, żeby jedzenie było na stole.

To nie było wszystko, czego oczekiwał jej mąż. Teraz nie myślała już o tych innych rzeczach, z wyjątkiem momentów w środku nocy, kiedy budziła się zimna i spocona ze strachu.

- Jak długo Hal szukał srebra?

Wzruszyła ramionami.

- Cały czas, odkąd go poznałam. Myślę, że zaczął kilka lat przedtem.

- Ta mapa musiała być warta mniej niż worek fasoli.

- Dlaczego?

- Bo nic nie znalazł.

- On pił.

Te suche słowa powiedziały Case'owi więcej o jej mężu niż wszystko, co mówiła o nim do tej pory.

- Kiedy wytrzeźwiał, nie pamiętał nic, co było wcześniej.

- Chcesz przez to powiedzieć, że znalazł skarb i potem zapomniał?

- Tak.

- Człowiek musi być piekielnie pijany, żeby zapomnieć, iż znalazł skarb.

- Kiedy Hal pił, to był ślepy, głuchy i tępy jak kamień - powiedziała ponuro.

Spojrzał na nią kątem oka. Z tego, co dowiedział się w ciągu ostatnich tygodni, domyślał się, że Sara nie ma więcej niż dwadzieścia lat, a może jest nawet młodsza. Jednak kiedy mówiła o swoim mężu, wyglądała na tak zmęczoną, jakby była dwa razy starsza.

- Jeżeli Hal znalazł skarb - zauważył po chwili - a potem znów go zgubił, to mapa za bardzo ci nie pomoże, prawda?

- Nie ma tu żadnego „jeżeli”. Wiem, że Hall znalazł skarb.

Pewność w głosie Sary zaskoczyła Casa'a. Obrócił się w siodle i spojrzał na nią.

- Skąd wiesz? - zapytał wprost.

Zdjęła jedną ze skórzanych rękawic i włożyła dłoń do kieszeni spodni.

Po chwili wyciągnęła ku niemu rękę.

Na jej dłoni leżały dwa prymitywnie wybite srebrne reale. Pomimo narosłego przez lata nalotu srebro prześwitywało przez czarną warstewkę, w miejscach, gdzie ktoś przetarł obydwie monety.

- Czy nie zmienisz zdania i nie weźmiesz połowy skarbu zamiast połowy rancza? - zapytała.

Przeniósł wzrok od starych monet na otaczający ich dziki, nieskażony krajobraz.

- Nie - odparł. - Ta kraina ma w sobie coś, czego nie można kupić za pieniądze. Możesz sobie zatrzymać srebro.

„Nie chcę go” - pomyślała Sara ze smutkiem. „Tak jak ty chcę tylko ziemi”.

Jednak połowa jej ukochanego rancza należała do Connera.

Niebawem druga połowa miała należeć do człowieka, który nie wierzył w śmiech, miłość czy nadzieję.

11

Zimny, czysty wiatr spływał w dół kanionu. Łóżysko rzeki, które Sara i Case wykorzystywali jako ścieżkę, było suche, jeśli nie liczyć sporadycznych rozlewisk.

Trawa i krzewy rosły bujnie na dnie kanionu i na obu jego stromych zboczach aż do miejsca, gdzie zaczynała się naga ściana skalna.

- Dobre pastwisko dla bydła - zauważył. - Dziwne. Bez płynącej wody. Uśmiechnęła się przelotnie.

- Ta kraina jest pełna takich niespodzianek - powiedziała. - Jest tu parę źródeł i niezliczone ciekły, gdzie woda sączy się ze szczelin w skale.

Mrużąc oczy, Case przyglądał się nieregularnym zboczom kanionu.

Rzeczywiście były tam miejsca pełne gęstych zarośli. Miejscami, w najbardziej osłoniętych i nawodnionych rozpadlinach, widniały nawet pojedyncze sosny.

„Jak pieniądze w banku” - pomyślał. „Albo jak ukryte sakwy z wodą i paszą. Nic dziwnego, że jest tu tyle śladów zwierząt”.

W zachodnim Teksasie, kiedy była susza, to wszystko wysychało na pieprz.

- Tak samo jest w dolinie - powiedziała. - Kanion wychodzi na szeroką nizinę. Rzeka płynie jeszcze trochę, a potem grunt opada i wszystko

zamienia się w labirynt skał i suchych kanionów.

- Dokąd płynie Zagubiona Rzeka?

- Według Ute donikąd. Po prostu robi się coraz mniejsza, aż całkowicie wysycha.

Case zamyślił się, jakby próbował ogarnąć wygląd całej tej krainy.

- Zagubiona Rzeka nie wpada do innej rzeki?

- Nie.

- Może wpływa do jeziora?

Sara pokręciła głową. Jej następne słowa tylko potwierdziły to, co już podejrzewał.

- W czasie pory suchej Zagubiona Rzeka jest jedynym prawdziwym źródłem wody w promieniu wielu mil - wyjaśniła.

- Czy kiedykolwiek wyschła, zanim dopłynęła do rancza?

- Ani razu od sześciu lat, kiedy tu jestem.

- A co mówi Ute?

- Nigdy nie słyszał, żeby woda wyschła w Kanionie Zagubionej Rzeki.

- To i tak ryzykowna sprawa.

- Czułabym się lepiej, gdybym miała czas i możliwości zbudowania paru śluz i może jakiego stawu - przyznała. - Przydałaby się też studnia.

- Popracujemy nad tym, jak już przestaniesz myśleć o srebrze.

Zamrugła oczami, myśląc, że nie będzie jej tam, kiedy już znajdzie srebro. Bez słowa odwróciła się od niego, śledząc lot orła. Ptak najpierw malował się czarną plamką na niebie, a potem, kiedy zatoczył krąg i słońce oświetliło go pod innym kątem, zmienił kolor na jasny brąz.

Case oczekiwał jej reakcji, ale Sara nie powiedziała nic o przyszłości, gdy on będzie właścicielem połowy rancza.

- A czy planowałaś podzielić teren i dać mi jedną stronę rzeki, a sobie zostawić drugą? - zapytał.

Odpowiedziała dopiero po chwili, choć nawet wtedy nie patrzyła na niego, lecz na lecącego orła.

- Nie - odparła - myślę, że lepiej będzie zachować ranczo w całości.

Chyba że ty chcesz je podzielić...?

Pokręcił głową, ale Sara nie widziała tego.

- Nie jestem zbyt dobry, jeżeli chodzi o ogród, przędzenie i tkanie - powiedział.

- Ale znam się na hodowli. Myślę, że wszystkim nam powodziłoby się lepiej, gdybyśmy podzielili swoje obowiązki w ten sam sposób, jak zrobiłaś to z Ute i Lolą.

Nie mogła się odezwać, żeby nie zdradzić gnębiącego ją smutku. Skinęła tylko głową, całą duszą zazdroszcząc wolności unoszącemu się na wietrze ptakowi.

Case rozglądał się po zboczach gwałtownie zężającego się wąwozu, którego dno podnosiło się coraz bardziej pod kopytami koni. W szczelinach, znajdujących się sześć stóp nad ich głowami, tkwiły kawałki drewna

przyniesione przez wodę z góry kanionu.

- Nie chciałem być tutaj, kiedy nadejdzie powódź - rzekł po chwili.
- To by było... okropne - przyznała.

Zdziwiony nutą przerażenia w jej głosie, odwrócił się, aby na nią spojrzeć, i dopiero wtedy przypomniał sobie, jak zginęła jej rodzina.

- Przepraszam - powiedział - nie chciałem przywoływać złych wspomnień.
- Jestem do nich przyzwyczajona.
- Czasami przyzwyczajenie nie pomaga ich znieść.
- Nie, czasami nie pomaga - potwierdziła spokojnym tonem, odwzajemniając jego spojrzenie. - Zdarzają się ciężkie momenty.

Patrząc w jej oczy, czuł się tak, jakby spoglądał w lustro. Pod tym, co widoczne na zewnątrz, kryły się cienie strachu, smutku, gniewu i bólu.

Jednak na zewnątrz nie było nic widać. Nic w ogóle.

Zrozumiał, że Sara została równie ciężko doświadczona przez życie jak on. Jednak ona nie zamknęła się przed uczuciami po to, aby przeżyć.

„Jak ona nauczyła się na nowo śmiać?” - pomyślał.

I wtedy w jego myślach pojawiło się pytanie, którego nigdy wcześniej sobie nie zadał.

„Dlaczego? Dlaczego ona naraża się na jeszcze większy smutek?

Śmiech, nadzieja i miłość... droga do piekła jest nimi wybrukowana”.

Przysiągł sobie nigdy nie powracać do tego bolesnego piekła. Ledwie pozostał przy życiu, kiedy przechodził przez to po raz pierwszy.

„Sara nie jest głupia. Na pewno zna ból, jaki powodują uczucia, tak samo dobrze jak ja. A jednak uśmiecha się, śmieje się i płacze. Nawet kocha. To dlatego Ute myśli, że ona jest aniołem. Pomimo ciężkich przeżyć pozwala rozwinąć się uczuciom”.

Jej niezmierna odwaga zapierała mu dech w piersiach.

- Kiedy po raz pierwszy widziałeś te monety? - zapytał niespodziewanie, nie mogąc uporać się z własnymi myślami.

Przyjęła zmianę tematu z ulgą. Miała nadzieję, że jej mina tego nie zdradziła.

- Po śmierci Hala - powiedziała.

- Gdzie je znalazłaś?

- W rogu na tytoń w kieszeni jego kurtki.

- Czy myślisz, że znalazł to srebro tuż przed śmiercią?

Przez chwilę Sara nie odpowiadała. Słysząc było jedynie rytmiczny stukot końskich podków, krzyki przestraszonych ptaków i nieustanny szum wiatru.

- Nie - odpowiedziała w końcu.

- Dlaczego?

- Wtedy on raczej wybierał się na poszukiwania, a nie wracał na ranczo.

Case zamyślił się.

- Gdzie umarł twój mąż?

- Nie wiem.

- Powiedziałaś, że Conner go odnalazł.

- Mój brat miał wtedy dwanaście lat i szedł pieszo. Nigdy przedtem nie był beze mnie z dala od chaty. Gdyby koń Hala nie znał drogi do domu... Jej głos zamarł. Pokręciła głową, nie kończąc zdania.

Case chciał zapytać, co Conner tam robił, ale wyraz twarzy Sary powstrzymał go jak kamienna ściana.

- Wróciłam po tropie konia tak daleko, jak się dało. Padało, jakby morze lało się z góry. Każda rozpadlina była pełna wody. Rzeka zamieniła się w mułiste rozlewisko. Była zbyt szeroka, głęboka i niebezpieczna, żeby jechać jej brzegiem, a co dopiero przejechać na drugą stronę.

- Więc zmyło ślady.

- Tak.

- W takim razie jaki jest sens dalszych poszukiwań? Czego teraz szukasz?

- Właśnie tego, co powiedziałam. Ruin i czerwonych słupów w wąskim kanionie. To wszystko, co Conner pamięta.

- Ile miejsc odległych o dzień jazdy odpowiada temu opisowi?

- Nie wiem.

- Jak myślisz?

- Setki.

- Ile z nich przeszukałaś?

- A ile minęliśmy po drodze tutaj? - zapytała ironicznie.

Nie powiedziała mu, że jest jeden kanion, którego boi się przeszukiwać. Sama jeszcze nie wiedziała, gdzie on się znajduje. Miała nadzieję, że nigdy tego się nie dowie. Myśl o tym, że mogłaby potknąć się o kości męża, paraliżowała ją zimnym dreszczem.

„Conner” - pomyślała bezradnie. „Jak mogę ci się odpłacić? Jak kiedykolwiek będę mogła ci się odpłacić?”

- Nic dziwnego, że nie masz dość drewna na opał i mieszkasz w tak ciasnej chacie - rzekł Case. - Jesteś zbyt zajęta gonitwą za głupimi marzeniami o srebrze.

- To moja sprawa.

- Ale nie wtedy, kiedy muszę patrzeć, jak drżysz każdego zimnego ranka.

Kiedy nie zareagowała, powrócił do obserwowania ścian kanionu. Na tle rdzawych skał rysowały się srebrne szkielety jałowców i innych drzew. Sosnowe kłody, wyłamane przez dawne powodzie, leżały rozrzucone bezładnie. Wiele z nich zachowało nadal taką twardość, że można było rozpaść z nich wielkie ognisko.

- Następnym razem przyprowadzimy juczne konie. Możemy zbierać

drewno na opał, szukając srebra nieboszczyka.

- Następnym razem przyprowadzę Connera. On nie narzeka na każdym kroku.

- Przyprowadzisz go, jak diabli.

Obróciła się gwałtownie i spojrzała na Case'a, mrużąc oczy.

- Jestem wdową i jestem całkiem dorosła. Jeżeli będę chciała przyjechać tu całkiem sama, to tak zrobię.

- Nie jesteś aż tak bardzo głupia.

Nie odpowiedziała.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że ktoś obserwuje ranczo z polecenia Aba.

- Nie widziałam nikogo.

- Nie byłaś na górze.

- Ale...

- Jeżeli nie wierzysz mnie... - przerwał gwałtownie - to zapytaj swojego brata - dokończył.

- Dlaczego on miałby wiedzieć więcej ode mnie?

- Co za pytanie!

- Co to znaczy?

- To znaczy, że przywiązałaś Connera do siebie tak krótko, że jest cholernie dziwne, iż jeszcze może oddychać.

Przez chwilę była zbyt rozgniewana, żeby mu odpowiedzieć. Zanim odzyskała głos, zdołała już zapanować nad emocjami.

- Conner to moja sprawa - powiedziała zimno - trzymaj się od tego z daleka.

Case spojrzał na nią z ukosa.

- Co zrobisz, kiedy twój brat będzie chciał się ożenić i wyprowadzić?

Zaskoczona mina na jej twarzy, powiedziała mu, że nie myślała o swoim bracie w ten sposób.

- On jest tylko chłopcem - zaprotestowała.

- Bzdura - powiedział. - Kiedy Conner będzie miał szesnaście lat?

- Za kilka miesięcy.

- Znam mężczyzn w tym wieku, którzy mają już żonę i dziecko.

- Nie. Ja chcę, żeby Conner zdobył wykształcenie.

- Włóż w jedną rękę swoje życzenia, a do drugiej napluj i zobacz, która będzie pierwsza pełna - rzucił ironicznie.

- Wolałabym napluć do twojej ręki.

Znowu zmarszczył kąciki oczu.

- Nie wątpię w to ani trochę.

Odwróciła wzrok od niego i spojrzała w górę kanionu, w miejsce, w którym wąwóz rozwidłał się wokół wystającej skały.

- Te ruiny są na południu, niedaleko stąd - powiedziała.

Jej ton mówił coś więcej. Case zrozumiał, że skończyła rozmowę o Connerze.

- Zauważyłam te ruiny, kiedy tu ostatnio przyjechałam - dodała - ale było już późno. Musiałam wracać.

Ponagliła swego mustanga. Klacz usłuchała, podejmując trucht, który niemalże wytrząsał reale z kieszeni Sary. Świerszcz dotrzymywał tempa szybkim, kołyszącym, gładkim jak aksamit krokiem. Sara próbowała nie zwracać uwagi na różnice pomiędzy obydwooma wierzchowcami, ale to było niemożliwe. Przywiązana za jej siodłem łopata podskakiwała, uderzając ją w pośladki.

Suche łożysko rzeki wiło się wokół litej skały. Kilkaset stóp wyżej na drugim zbocz kolejny występ skalny wrzynał się w kanion. Dno kanionu zwężało się i wraz z tym, jak wchodzili wyżej, robiło się coraz bardziej strome. Niewiele więcej niż trzydzieści stóp rozdzielało skalne ściany kanionu.

Z ziemi i zarośli wznosiły się wielkie bloki piaskowca: milczący świadkowie powolnej śmierci masywnych zboczy kanionu, które poddają się niszczącej sile deszczu, gradu i wiatru.

Konie brnęły przez ten zbudowany z kamieni i gęstych krzewów tor przeszkód. Klaczy było łatwiej go pokonać niż Świerszczowi, ale gdy Sara zdecydowała się na postój, obydwa wierzchowce były mokre od potu.

- Tam - powiedziała, wskazując na południową krawędź kanionu. - Widzisz zamek?

Dopiero po chwili Case dostrzegł ruiny, wystające z głębokiej niszy w pobliżu podstawy ściany kanionu. Chociaż mury były rozwalone i porośnięte krzakami, to widać było wyraźnie, że zostały wzniesione przez człowieka. Budowla składała się z czterech czy pięciu małych pomieszczeń i kilku wykutych w kamieniu komór magazynowych.

- Zamek? - zapytał. - To bardziej wygląda na stajnię.

- Ten, kto tutaj mieszkał, miał lepsze warunki niż my na ranczu - odparła.

- Zamiast szukać skarbu lepiej spróbuj poutykać szpary w ścianach chaty.

- To wcale jej nie powiększy.

- Ale będzie o wiele cieplejsza. Poza tym nie zaszkodziłby jeszcze jeden pokój do spania.

- Conner nie będzie go potrzebował. Wyjedzie do szkoły.

- Myślałem o tobie, nie o twoim bracie.

- Jak to o mnie?

- Młoda kobieta nie powinna dzielić sypialni z każdym rannym włóczęgą, który się pojawi. Czy tego rodzaju prywatność nie jest skarbem, na który warto byłoby pracować?

Nie odpowiedziała. Case spojrział na zdecydowaną linię jej podbródka, zaklął pod nosem i przesunął kapelusz do tyłu.

- Co robimy dalej?

- Szukamy srebra.
- Twierdziłaś, że srebro jest zakopane u podnóża wysokiego słupa z czerwonej skały.
- Pewnie tam było. Ale trudno powiedzieć, gdzie może być teraz.
- Jeżeli ten skarb ważył kilkaset funtów, a twój mąż był zbyt pijany, by pamiętać, że go znalazł, to jest szansa, że nie zmienił kryjówki. Sara wiele o tym kiedyś myślała. Bardzo wiele. Z drugiej jednak strony...
- Kopałam wokół wszystkich słupów w tym kanionie - powiedziała zdecydowanym głosem. - Teraz nadszedł czas, żeby przejrzeć te ruiny.
- A jeśli tam nic nie ma?
- To sprawdzę następny kanion.
- A potem?
- Zabiorę się do następnego, a potem do kolejnego i jeszcze następnego, aż skończą się kaniony albo znajdę to przeklęte srebro.
Case spojrział na zużytą łopatę, którą miała przywiązaną do siodła.
- Już lepsze to niż kopanie grobów.
Zsiadł z konia i przelożył przez ramię pas od dubeltówki. Potem zawiązał wodze na szyi ogiera, wyjął karabin z pokrowca i obrócił się ku Sarze.

- Panie pierwsze - powiedział.
- Planujesz rozpocząć wojnę? - zapytała, zsiadając z klaczy.
- Nie chciałbym rozczarować żadnego Culpepera, który by się tu pojawił w poszukiwaniu porcji ołowiu.
Mówił swobodnym tonem, ale w jego oczach nie było cienia wesołości. Wyglądał tak samo, kiedy wrócił do chaty po nocnym napadzie bandytów. Bez słowa Sara spętała klacz, wzięła swoją dubeltówkę oraz łopatę i ruszyła rażno ku ruinom. Z każdym krokiem starała się zapomnieć, jak była przerażona, kiedy czekała z Connerem wewnątrz chaty i nie wiedziała, czy Case żyje, czy też umiera samotnie w zimnej ciemności.

Dwa razy ruszyła wtedy do drzwi. Za pierwszym razem Conner powstrzymał ją, po prostu kładąc jej dłoń na ramieniu. Za drugim razem musiał przewrócić ją na podłogę i usiąść na niej.
Chwile, które nastąpiły potem, były może zabawne dla jej brata, ale ona nadal odczuwała jednocześnie wściekłość i przerażenie, gdy myślała o tym mężczyźnie leżącym bezradnie w ciemności, być może umierającym, kiedy ona mogłaby uratować mu życie.
Wdrapywała się po zboczu. Dzięki Ute miała nowe mokasyny. Niestety twarde kamienie i tak miały wkrótce przetrzeć jelenią skórę. Zatrzymała się, by chwycić oddech tuż przed ostatnim stromym podejściem na kamienne rumowisko.
- Daj mi tę łopatę - powiedział Case.

- Nie powinieneś nieść... - zaczęła, obracając się ku niemu, i natychmiast przerwała.

Nie było po nim widać żadnego zmęczenia. Podała mu więc ciężką łopatę, zatrzymując sobie tylko dubeltówkę.

Teraz wspinaczka do ruin była dla niej o wiele łatwiejsza. Jeżeli nawet osadzona na długim trzonku łopata albo jego rana przeszkadzały Case'owi, to i tak nie odbijało się to na tempie jego wspinaczki. Był tuż za Sarą, kiedy dotarła do grzbietu pokrytego kamieniami zbocza i weszła na płaską przestrzeń, na której znajdowały się ruiny. Taksującym spojrzeniem szarych oczu obrzuciła wyszczerbione ściany i obalone kamienne kolumny.

- Gdzie mam kopać? - zapytał.

- Najpierw się rozejrzyjmy. Może nam się udać.

- Zobaczymy błyszczące na słońcu sterty srebra?

- Raczej przegniłe skórzane worki okrywające srebrne sztabki i monety.

Obróciła się na pięcie i ruszyła w kierunku pierwszego zrujnowanego pomieszczenia.

- Trzymaj się z dala od ścian - ostrzegł ją Case.

- Już robiłam takie rzeczy.

- Trzymaj się po prostu z dala od ścian. Wygląda na to, że mogą się zawalić nawet od kichnięcia.'

Zacisnęła usta. Nadal paliło ją wspomnienie o tym, jak łatwo ją pokonał jej młodszy brat.

„Irytujące, popisujące się swoją siłą stwory” - pomyślała. „Dlaczego nie pozwolą kobiecie zająć się jej pracą? Dlaczego muszą się ciągle wtrącać?”

Trzymając się przezornie z dala od ścian, wchodziła do kolejnych zrujnowanych pomieszczeń i rozglądała się w ich wnętrzu.

Kiedy już Case upewnił się, że Sara zachowuje rozsądek podczas badania ruin, podzielił swą uwagę pomiędzy obserwowanie jej a wypatrywanie bandytów.

Obserwowanie Sary było o wiele bardziej interesujące. Jej kobiecy sposób poruszania się przypominał mu, jak miły był dotyk jej piersi na jego nodze, kiedy zmieniała mu bandażę. Myśl o cieszeniu się znowu tym doznaniem, tak żeby nie przeszkadzały im przy tym jego rana i jej ubranie, miała łatwy do przewidzenia wpływ na dopasowanie jego spodni.

„Cholera” - pomyślał. „Lepiej, żeby była na mnie zła. Łatwo do tego doprowadzić. Jest taka piekielnie niezależna”.

Jednak tak naprawdę chciał całować jej kształtne ciało, aż roztopiłaby się na jego języku jak miód.

„Myśl o czymś innym” - nakazał sobie w duchu.

Trudno jednak było mu tego dokonać, nawet wtedy, gdy na nią nie patrzył.

Sara wynurzyła się spoza ostatniej zrujnowanej ściany z rozpiętą kurtką odsuniętym na tył głowy kapeluszem i z poluzowanymi rzemieniami, które służyły do sznurowania jej skórzanej koszuli.

Case był pewien, że dostrzega pod tymi rzemieniami ocieniony fragment ciała pomiędzy piersiami Sary. Zaprzagnął zatopić twarz w tym pachnącym, ciepłym miejscu.

- No i? - zapytał szorstkim tonem.

- Żadnego srebra.

- Domyśliłem się tego. Czy są jakieś znaki, że ktoś tu był od czasu, kiedy odeszli stąd Indianie?

- Jest kilka miejsc ze śladami niedawnych ognisk - odparła - ale Ute i Conner polują w tym kanionie i Hal na pewno tu szukał... - Przerwała, wzruszając ramionami.

- Pokaż mi, gdzie kopać.

- Nie powinieneś tego robić. Twoja noga jeszcze się całkiem nie zagoiła.

- Moja noga całkiem dobrze się spisała podczas ostatniego kopania.

Na twarzy Sary pojawił się grymas: przegrała i tę sprzeczkę. Wiedziała, że Case zmieniał Ute i Connera, kiedy grzebali ciała bandytów.

- Doskonale - zgodziła się ze ściśniętym gardłem. - Jeżeli chodzi o mnie, to możesz dokopać się nawet do Chin.

- Wątpię, czy ci ojczulkowie zakopali srebro tak głęboko. Baliby się, że dokopią się do piekła.

Usta Sary drgnęły w uśmiechu. Odwróciła się, nie chcąc, by zobaczył jej rozbawienie.

- Pokażę ci, gdzie kopać - mruknęła.

Kopanie okazało się zrudniejszą pracą niż przeszukiwanie ruin.

Ziemia była albo mocno ubita, albo pełna kamieni ze zrujnowanych ścian, albo jedno i drugie naraz.

Wkrótce Case zrzucił kapelusz i kurtkę. Nieco później rozpiął do pasa swą czarną wełnianą koszulę i już zaczął ją zsuwać z siebie, ale powstrzymał się. Spojrzał na Sarę.

- No, zrób to - powiedziała. - Nie zemdleję.

Nie dodała, że widziała już go nagiego. Nie musiała mu tego mówić.

Obopólna świadomość tego faktu zawisła pomiędzy nimi w pulsującym milczeniu.

Case zdjął koszulę, przewiesił ją przez gałąź i znowu ujął łopatę w ręce.

Nic nie osłaniało jego torsu prócz trójkąta kręconych czarnych włosów, który zwęzał się, zbliżając się do pasa.

Sara wiedziała też, co jest niżej.

Czując, że jej oddech przyśpiesza, odwróciła wzrok. Doznawała jakiegoś dziwnego poruszenia w brzuchu i przenikającego jej ciało mrowienia.

„Co się ze mną dzieje?” - pomyślała w panice. „Nie jestem jakas

niewinną dziewczynką, żeby się podniecać widokiem nagiej piersi mężczyzny". Jednak fakt, że była wdową, nie zmieniał niczego: widok jego na wpół nagiego ciała poruszał ją. Była nim zbyt zafascynowana, żeby odwracać na długo wzrok.

Jego pozornie nie kosztujące żadnego wysiłku ruchy były kombinacją siły i zwinności. Przypominał jej krążącego pod chmurami orła, wykorzystującego swą siłę tak sprawnie, że mogła mu tylko zazdrościć.

„Conner będzie kiedyś taki” - pomyślała. „Silny, szybki i zwinny. W pełni dorosły. Prawdziwy mężczyzna”.

Mysząc o tym, odczuwała zarówno przyjemność, jak i ból. Ból, ponieważ Conner dorastał zbyt szybko. Przyjemność, ponieważ dorastał tak wspaniale.

„Jednak żaden mężczyzna nie może być tak piękny jak Case” - pomyślała. „Nie dla mnie. Case jest... szczególny”.

Ta myśl poruszyła ją jeszcze bardziej niż świadomość tego, że jej brat zbliża się do progu męskości.

- Nie ma tu nic poza gruzem - orzekł Case.

- Spróbuj tam.

Zniżony ton jej głosu sprawił, że pośpiesznie podniósł głowę. Patrzyła w dół kanionu, w kierunku pasących się koni.

- Nie martw się - powiedział. - Świerszcz nie odejdzie, chociaż nie jest spętany.

Skinęła głową nie patrząc na niego, i uniosła twarz, wystawiając swe gorące policzki na wiatr. Nie wiedziała, że przez ten ruch jej piersi napały na koszulę.

Case wpatrywał się w te kobiece kształty rysujące się pod skórzanym ubiorem. Krew zawrzała mu w żyłach i znowu poczuł to dzikie pragnienie, do którego już zaczynał się przyzwyczajać, co nie znaczy, że mu się podobało. Było wręcz odwrotnie.

Gdyby odczuwał coś takiego ogólnie w stosunku do kobiet, toby to było co innego. Ale tylko Sara miała takie błyskawiczne działanie na jego ciało. Klnąc w duchu, odszedł piętnaście stóp wzdłuż ściany i znów zaczął kopać.

Kolejne warstwy gruzu.

Kopał bez przerwy, ciesząc się, że może wykonywać fizyczną pracę.

Pomagała mu stępić jego nieustanne pragnienie tej młodej wdowy, która obserwowała go przyciemnionymi, szarymi jak mgła oczami.

Ostrze łopaty uderzyło w coś, co nie było ani kamieniem, ani ziemią.

Nie zwracając uwagi na ból w udzie, przykląkł i zaczął odgarniać prostopadłościennie kamienne kostki, które były wielkością zbliżone do palonych na słońcu cegieł. Wtem pokazały się skorupy glinianego naczynia. Brał ostrożnie każdy kawałek do ręki i potem odkładał go na bok.

- Co to jest? - zapytała w podnieceniu Sara.

- Jeszcze nie wiem.

Podeszła blisko do niego i zatrzymała się, śledząc jego wysiłki.

- Trzymaj się z dala - poprosił. - Nie chcę, żebyś była blisko tej ściany.

- Ty jesteś blisko.

- To co innego.

Nie sprzeczała się z nim. Po prostu pozostała w tym samym miejscu, nadal go obserwując.

Nie patrzyła jednak na miejsce, w którym kopał, ale na niego samego.

Gra jego mięśni, kiedy przesuwał odporne kamienie, przyciągała jej wzrok.

Jego ciało emanowało siłą i elegancją, jak górski strumień płynący po kamieniach.

Gładkość jego skóry tak ją pociągała, że aż poczuła mrowienie w dłoniach. Bardzo pragnęła pogłaskać go po plecach.

Wysunęła rękę w stronę jego ramienia, lecz oprzytomniała. Cofnęła palce, jakby się oparzyła.

„Co mi przyszło do głowy?” - zapytała się w duchu. „Nigdy w życiu nie chciałam pieścić mężczyzny”.

„Z wyjątkiem Case'a”.

Nie wiedziała, dlaczego on tak bardzo ją pociąga. Wiedziała tylko, że tak jest. Było coś w nim, co oddziaływało na nią tak jak lot dzikiego jastrzębia.

Ona oddziaływała na niego tak samo, niezależnie od tego, jak bardzo starał się to zignorować.

„Nie mogę znieść myśli o tym, że cię pragnę. To znaczy, że nie umarło we mnie to wszystko, co chciałem, żeby umarło”.

Nie potrafiła się pozbyć z myśli pytania, czy umiejętność kochania jest jedną z tych rzeczy, których wojna nie zdołała zabić w nim do końca. Ta myśl była taka jak on: denerwująca i jednocześnie pociągająca.

Case odsunął jeszcze trochę gruzu i wsunął ostrożnie rękę w głęboką na długość ramienia dziurę.

- Mam to - oznajmił triumfalnym tonem.

- Srebro?

Nie odpowiedział.

- Co to jest? - zapytała.

- Nie gorączkuj się tak.

- A ty?

Uniósł głowę i spostrzegł, że ona nie patrzy na jego rękę. Patrzyła na niego w ten sposób, w jaki dziecko patrzy na częściowo rozpakowany prezent na Gwiazdkę.

On sam też miał wielką ochotę zająć się rozpakowywaniem.

„Nie bądź głupszy, niż uczynił cię Bóg” - napomniał się gniewnie w myślach. „Uwiedzisz ją i zaraz będzie marzyła o ognisku domowym i wianuszku dzieci. Dzieci”.

Dreszcz wstrząsnął ciałem Case'a.

Sara i tak już była ciężko doświadczona przez życie. Nie chciał, żeby

doznała kolejnych krzywd. Gdyby uległ temu przepelniającemu go pożądaniu, to prędzej czy później by ją skrzywdził.

Nie posiadał tego, co potrzebowała. Wszystkim, co miał, był głód, tak bardzo niebezpieczny dla nich obojga.

„Może ona ma rację” - pomyślał „Może powinienem wziąć połowę srebra i wynosić się. Może powinienem wyjechać i tyle”.

Jednak zanim ta myśl w pełni ukształtowała się w jego umyśle, już ją stanowczo odrzucił. I tak cierpiał wystarczająco, kiedy będąc obok najbardziej pociągającej kobiety, jaką spotkał w życiu, musiał trzymać ręce w kieszeniach.

Nie chciał zrezygnować także z ziemi.

- Uważaj! - zawołała Sara, widząc, że jedna ze ścianek wykopu zaczyna się obsuwać.

Padła na kolana, aby przytrzymać bok wykopu, i zderzyła się z Case'em.

Przyjął to nagłe uderzenie, nie cofnąwszy się nawet o cal. Mimo jej wysiłków część wykopu obsunęła się.

- Przepraszam - powiedziała - myślałam, że cię zasypie po pachy.

- Teraz jesteśmy oboje zasypani do łokci - odparł.

Spojrzała na ich przysypane drobnymi kamykami i ziemią ręce. Z jakiegoś powodu wydało się jej to tak zabawne, że roześmiała się głośno.

Niespodziewana reakcja Sary wyostriżyła jego zmysły niemal do bólu, tak jakby właśnie oglądał szczególnie piękny świt.

Obrócił twarz do niej. Nadal opierała się o niego, żeby nie wpaść głową w dół do wykopu. Jej srebrzystoszare oczy były tylko kilka cali od niego. Błyszczały wesoło, zadowolone z życia oraz rozbawione obecną sytuacją.

„Jakżeż ona potrafi się jeszcze śmiać?” - zdziwił się w duchu. „Widziała, jak ginie jej rodzina. Jest samotna, biedna jak mysz kościelna.

Wszędzie dookoła są bandyci, którzy nie mogą się doczekać, kiedy dostaną ją w swoje łapy. A ona się śmieje!”

- Nic ci nie jest? - zapytała ze śmiechem, z trudem łapiąc oddech.

- Oczywiście, że nie.

- Przez moment zdawało mi się, że cię boli.

- Przez moment zachowywałaś się tak, jakbyś zwariowała - odparł. -

Śmiałaś się jak kojot.

- Wyglądamy głupio z rękami zagrzebanymi po łokcie. Jak dzieci w piaskownicy.

Nie mógł znieść iskierki wesołości w jej oczach. Opuścił wzrok na jej usta.

Były rozchylone od śmiechu, który nadal pulsował w jej wnętrzu.

Znajdował się tak blisko niej, że czuł ciepło jej oddechu na swych ustach.

„Nie powinienem tego robić” - pomyślał, ale jednak to zrobił. Jej śmiech zamarł, kiedy poczuła na ustach nagłe gorąco jego oddechu. Usta Case'a nakryły jej wargi, pieszcząc ją pocałunkiem. Napięła się instynktownie, spodziewając się przytłoczenia jego ciężarem. Całował ją spokojnie i czule, zadziwiając w swej hamowanej intensywności. Jakiś dziwny dźwięk wydobył się z jej gardła. Koniuszkiem języka odwzajemniła ten delikatny, badawczy dotyk. Przeszywające go drzenie przeniknęło ich oboje. Odsunął się gwałtownym ruchem.

- Przepraszam - powiedział sucho. - Nie powinienem był tego zrobić. Zaskoczona, patrzyła na niego w milczeniu błyszczącymi szarymi oczyma.

- Nie zrozum tego w niewłaściwy sposób - dodał. - Ja tylko... do diabła! Ja tylko chciałem wiedzieć, jak smakuje śmiech.

Sara wciągnęła pośpiesznie oddech. Coś drżało w jej wnętrzu, była to reakcja na jego słowa, jak i na pocałunek.

- No więc jaki ma smak? - zapytała cichym głosem.

- Taki jak ty, to chyba jasne - powiedział szorstko.

- A ja myślałam, że taki jak ty.

Mruknął coś pod nosem. Kiedy znowu na nią spojrzął, w jego wzroku był taki sam dystans jak w jego głosie.

- Możesz wyciągnąć ręce? - zapytał.

Spojrzała na niego i wzdrygnęła się.

„Nie mogę znieść myśli o tym, że cię pragnę. To znaczy, że nie umarło we mnie to wszystko, co chciałem, żeby umarło” przypomniała sobie jego słowa.

Tym razem nie musiał wcale tego mówić. Mogła wyczytać te słowa z każdej zimnej linii jego twarzy.

Wygięła usta w grymasie, który bardziej wyrażał rezygnację niż wesołość, i w milczeniu zaczęła się podnosić, wyciągając ręce z rumowiska.

Skrzywiła twarz, kiedy kamienny ułamek otarł jej nadgarstek.

- Nic ci się nie stało? - zapytał.

Pośpieszonymi ruchami otrzepała z kurzu rękawice.

- Oczywiście, że nie. A tobie?

W milczeniu wyciągnął ręce z wykopu. Trzymał je jednak w jakiś szczególnie ostrożny sposób, tak jakby go bolały.

- Jesteś ranny! - zawołała.

Pokręcił głową, trzymając dłonie jedną przy drugiej w taki sposób, że formowały miseczkę. Potem powoli rozsunął palce. Na jego rękawicach z twardej skóry spoczywał dziwny miniaturowy wyrób ceramiczny, składający się dwóch kubków połączonych uszkami. Były o wiele mniejsze od normalnych naczyń.

- To wygląda jak część kompletu do herbaty dla dziewczynek - powiedziała

Sara.

Case pobladł.

- Zabierz to - polecił jej szorstko.

Jedno spojrzenie na jego twarz wystarczyło, by zdusiła w sobie wszelkie protesty. Wzięła starodawny wyrób z jego rąk. Wstał gwałtownie i odszedł wielkimi krokami.

- Dokąd idziesz? - zapytała.

- Sprawdzić, co się dzieje z koniem.

- Pasje się w dole, od północnej strony, koło tej gęstej kępy krzaków.

Jeżeli nawet Case ją słyszał, to i tak nie zmienił kierunku. Wkrótce zniknął za skałą. Sara spojrzała na maleńki dwojak, zadając sobie w myślach pytanie, jak taki przedmiot mógł zmusić do ucieczki dorosłego mężczyznę.

12

- To zabawka - powiedział Conner z dziecięcym zachwytem. - Patrz.

Jeden palec wystarczy, żeby wypełnić cały kubek.

Sara uśmiechnęła się.

- Uważaj - powiedziała. - Jest bardzo stary.

Lola zachichotała, patrząc z podziwem na maleńkie połączone ze sobą czarno-białe kubki, które spoczywały na dłoni Sary.

- Nie widziałam czegoś takiego od czasu, kiedy jeden kuzyn zrobił mi taką małą lalkę, że można ją było wkładać do kołyski z kaczego jajka - powiedziała. - Jezuniu, ale to było dawno.

Ute, mrużąc, obejrzał kubki ze wszystkich stron.

- Ślub - powiedział.

- Co? - zdziwiła się Sara.

- To jest jak... - Ute nie mógł znaleźć odpowiedniego wyrazu.

- Ceremonialne naczynie - odpowiedziała. - Używane tylko przy specjalnych okazjach?

Pokiwał energicznie głową.

- Rodzina brata mojej matki używała takich, kiedy łączyła się jakaś para - wyjaśnił. - Słyszałem, że Apacze też to robią. Tylko że u nich są w innym kształcie.

- Też takie małe jak te? - zapytała Sara.

- Do diabła, nie - powiedział z dezaprobatą. - Człowiek nie mógłby zmoczyć nawet połowy gwizdka w takich naparstkach.

- Czy wiesz, do czego to służy? - zapytał Conner, zwracając się do Case'a.

Ten wzruszył ramionami, nie spojrzawszy nawet na chłopca. Rozczarowany brakiem zainteresowania, Conner znowu zwrócił się do Sary.

- Było tego więcej? - zapytał z ciekawością.

- O co ci chodzi? - odparła ze śmiechem. - Tak się zachowujesz, jakbyśmy znaleźli hiszpańskie srebro.

- Jest nie gorsze od srebra - powiedział Conner.

- Chłopcze - parsknął Ute - jak spróbujesz płacić tymi śmieciami, to dowiesz się od razu, jaka jest różnica pomiędzy zaschniętą gliną a metalem.

Conner spojrział na niego z niechęcią.

- Mnie chodziło o to, że ten kubek i hiszpańskie srebro są cenne, ponieważ są... są historią. To tak jakby dotknąć kawałka czegoś lub kogoś, kto żył dawno, dawno temu.

- Tak - zgodziła się Sara. - To trochę niesamowite, ale ciekawe.

Jej brat wpatrywał się w miniaturową ceramikę z wyraźną fascynacją.

- Gdybyśmy znaleźli dużo takich rzeczy - wyjaśnił - to może dałoby się zrozumieć, jacy byli ludzie, którzy to robili, co myśleli i czuli, i o czym marzyli.

- Mówisz jak ojciec - szepnęła. - Najbardziej ze wszystkiego uwielbiał starożytny przedmioty.

- Na co komu potrzebna kupa śmieci? - powiedziała Lola. - Przecież wiadomo, jacy ci ludzie byli.

- Dlaczego tak mówisz? - zapytał Conner. - Dlatego, że Ute pochodzi z takiego ludu?

- Do diabła, chłopcze, Ute jest większym mieszańcem niż ten pies, co się błąka dookoła rancza i próbuje łapać kury.

Ute zachichotał.

- To byli ludzie - Lola powiedziała, wskazując na ceramikę - dobrzy i źli, hojni i chciwi, bystrzy i głupi, i co tam jeszcze może być. Po prostu ludzie jak my.

- My nie robimy takich naczyń - zauważył Conner.

- Ale jak chce nam się pić, to nie pijemy z gołej dłoni - odparła.

- Też robimy zabawki dla dzieci będące miniaturą rzeczy używanych na co dzień - dodała Sara.

- Małe wózki, takie jak duże wozy? - zapytał Conner.

- Lalki takie jak dzieci - potwierdziła, uśmiechając się. - I zabawkowe komplety do herbaty zamiast...

Drzwi chaty trzasnęły głośno za Case'ern.

- Fiu, fiu - mruknęła Lola - cieszę się, że widzę plecy tego chłopaka.

Czułam się, jakbyśmy tu mieli w chacie niedźwiedzia z chorym zębem.

- Niektórzy nie lubią rzeczy należących do duchów - powiedział Ute.

- Co? - zdziwił się Conner. - Myślisz, że on ma stracha...

- Boi się - poprawiła go Sara.

- Boi się dziecięcej zabawki? - dokończył Conner.
- Nie lubię czegoś to nie to samo, co się bać - odparł Ute. - Nie lubię ryb, bo są nic niewarte, ale na pewno nie mam przed nimi stracha.
- Przecież jesz węże - zauważył Conner.
- Bo nie są śluzowate. Ryby są śluzowate jak smarki.

Sara odchrząknęła.

- Przepraszam - mruknął Ute. - Trzeba przywieźć drewna.
- Dobry pomysł - zgodziła się, patrząc wprost na brata. - Weź tego srokatego mustanga. Jest przyzwyczajony do noszenia nierównych ładunków
- Przecież wiem, do diabła - rzucił Conner z niezadowoleniem. - Kto go nauczył nosić takie ładunki? Jak ci się wydaje?

Ledwie powstrzymała się od niegrzecznej odpowiedzi. Conner miał rację: to on nauczył mustanga dodatkowej roli jucznego zwierzęcia. Nie było jej jednak łatwo zerwać ze zwyczajem wydawania rozkazów młodszemu bratu.

„To znaczy, że przywiązałaś Connera do siebie tak krótko, iż jest cholernie dziwne, że jeszcze może oddychać” - przypomniała sobie słowa Case'a.

- Przepraszam - powiedziała cicho.

Zaskoczony reakcją siostry, Conner odwrócił się ku niej.

- Nie powinnam mówić ci rzeczy, które sam wiesz - dodała. - Postaram się już tego nie robić.

Uśmiechnął się tak czule, że aż zapiekło ją w oczach.

- Nic się nie stało - powiedział. - Czasami trzeba mi przypominać różne rzeczy, chociaż nie powinno tak być.

Uśmiechając się, podeszła do brata i przycisnęła go do siebie. Chociaż brakowało mu mięśni dorosłego mężczyzny, to jego podbródek znajdował się już powyżej głowy Sary.

- Ciągle zapominam, jaki ty jesteś duży - powiedziała.
- On też zapomina - powiedziała Lola. - Potyka się o wszystko na tych swoich wielkich kopytach.
- Poczekaj, a zobaczysz, czy będę jeszcze trzymał ci włóczkę do nawijania
- zagroził Conner.
- Po prostu znajdę cię tam, gdzie się przewrócisz, i wykorzystam twoje wielkie stopy - odcięła się.

Śmiejąc się, Conner wyszedł z chaty, żeby przynieść opał.

- Co jest na obiad?! - krzyknął zaraz zza drzwi.
- Fasola! - odkrzyknęły razem Lola i Sara.
- Boże, co za delicje! - zawołał. - Nie jadłem fasoli od jakis dwóch czy trzech godzin.
- Są też pardwy - dodała Sara.

Drzwi wejściowe otworzyły się gwałtownie.

- Pardwy? - zapytał Conner.

- Case je upolował - wyjaśniła.

- No cóż, przynajmniej nie będziemy musieli szukać ołowiu - powiedział zrezygnowanym tonem. - Wystarczy go tylko wydłubywać spośród zębów.

- On nie używał dubeltówki.

Oczy Connera rozszerzyły się.

- To jak je upolował?

- Zastrzelił z rewolweru - odparła krótko.

- Co za strata ołowiu! - mruknęła Lola.

- Zabił każdego ptaka jednym strzałem - powiedziała Sara. - Trzy ptaki. Trzy kule. Najszybsze strzelanie, jakie kiedykolwiek widziałam.

Lola uniosła brwi, a Conner zagwizdał.

- To wspaniałe. Znakomite - zachwyciła się Lola. - Nic dziwnego, że przeżył spotkanie z tymi Culpepperami.

- Mało brakowało, żeby jednak nie przeżył - powiedziała Sara.

Dziewczyno, nigdy nie słyszałam, żeby ktokolwiek przeżył strzelanie z Culpepperami, możesz się o to założyć.

- Hm - odezwał się Conner. - A ja myślałem, że nie jest taki dobry z tym swoim rewolwerem.

- Dlaczego? - zapytała zaskoczona Sara. - Tylko dlatego, że został ranny?

- Nie. Dlatego, że nie spiłował muszki i nie skrócił lufy ani nie podpiłował kurka i nie wymienił spustu, żeby był delikatniejszy.

- To cyrkowe sztuczki - rzekła Lola.

- Być może, ale dzięki takim sztuczkom Culpepperowie są tacy szybcy - odpowiedział.

- Czy tego uczy cię Ute, w czasie kiedy powinieneś zajmować się obowiązkami domowymi? - zapytała Sara.

Adios! - zawołał jej brat, zamykając za sobą energicznie drzwi. -

Wrócimy z opałem przed zmierzchem.

- Conner! - krzyknęła. - Odpowiedz mi.

Odpowiedziała jej tylko cisza, równie znacząca jak słowa. Sara obróciła się do Loli.

- Nie życzę sobie, żeby Ute uczył Connera rewolwerowych sztuczek - powiedziała twardo.

- Nie wydzieraj się na mnie, tylko na swojego brata. To on ciągle zawraca głowę z tymi rewolwerami i różnymi takimi rzeczami.

Sara zacisnęła usta i odwróciła się. Z wielką ostrożnością włożyła małe kubeczki do naturalnego zagłębienia między balami ściany.

„Muszę znaleźć ten skarb” - pomyślała znowu. „Muszę go znaleźć”.

Szkoda, że do dzisiaj nie dokonali żadnych postępów.

Case po znalezieniu dwojaczków wygrzebał jeszcze kilka dziur.

Znalazł tylko porozbijaną ceramikę i resztki starych ognisk obozowych.

Poza glinianymi skorupami, przepaloną puszką, której ktoś używał do podgrzewania fasoli nad ogniskiem, i porwanym zeschniętym rze mieniem do pętania koni nie znaleźli żadnych innych śladów bytności człowieka.

- Słuchasz mnie? - zapytała zniecierpliwiona Lola.

Sara obróciła się ku niej, otrząsając się ze swych niewesołych myśli.

- Mówiłaś coś?

- Jak cholera, mówiłam.

- Przepraszam. Ja... myślałam.

- Więc pomyśl teraz o czym innym. Lepiej się ciesz, że twój braciszek ma bystre oko, szybkie ręce i odwagę, żeby ich używać w walce. Culpepperowie to nie są grzeczne i pobożne dzieci. To żywa trucizna, do szpiku kości. Wszyscy co do jednego.

Sara podniosła głowę. Pewność głosu Loli wzmocniona była jeszcze przez szorstkie rysy jej twarzy.

- Znałaś kiedyś Culpepperów, prawda? - zapytała Sara. - Nie tylko Aba, ale cały klan?

- Wychowałam się niedaleko od nich. Moja mama postrzeliła jednego z wujów Aba za to, że mnie siłą wykorzystał, kiedy miałam dwanaście lat. Ale nie zabiła go, niestety.

Sara była zszokowana. Widać to było po jej minie.

- On nie był pierwszy ani ostatni - wyjaśniła Lola. - Mama wprowadziła mnie w ten interes, kiedy byłam naprawdę młoda.

Wzruszyła ramionami, odsłaniając w uśmiechu swe szczerbate uzębienie.

- Mówię o tym, żebyś nie czepiała się Connera za to, iż chce chronić swoją rodzinę.

- Nie chcę, żeby on robił takie rzeczy - powiedziała z cichą rozpaczą.

- Mężczyzna robi to, co do niego należy, a kobieta mu się odwdzięcza.

Sara zacisnęła usta. Chciała protestować, ale wiedziała, że w ten sposób będzie walczyła z samą sobą a nie z Lolą.

„Do diabła z opalem!” - pomyślała ze złością. „Jutro będę szukała hiszpańskiego srebra i pojutrze, i następnego dnia też. Znajdę je. Muszę”.

- Jak już rozmawiamy o tym, że mężczyźni robią, a kobiety dają - powiedziała Lola - pora, abyś uświadomiła sobie, że urośniesz nie tylko od tego, co jesz.

- Słucham? - zapytała Sara, nie rozumiejąc.

- Wiesz, skąd się biorą dzieci?

- Oczywiście, że wiem.

- Więc chcesz mieć młode czy wolisz mieć coś, żebyś nie zaszła?

- To nie problem. Połowa z tego, czego potrzebuję, żeby zajść w ciążę, jest nieobecna.

- Jak diabli - odparła Lola. - Case ma akurat to, czego potrzebujesz, i to jest załadowane do strzału za każdym razem, kiedy na ciebie spojrzę.

Sara poczuła, jak jej policzki oblewają się rumieńcem. Przypomniała sobie, jak obmywała Case'a podczas jego snu. Rzeczywiście nic mu nie brakowało, żeby zaszła z nim w ciążę.

- On mnie do tego nie zmusi - powiedziała.
- Nie będzie musiał. Jeszcze nie wiesz, o co chodzi?
- Co?

Lola uniosła ramiona do góry w geście desperacji.

- Taka jesteś wykształcona na książkach, a brakuje ci babskiego wykształcenia
- powiedziała zdegustowana.

Sara nie zareagowała ani słowem.

- Ty go chcesz - powiedziała Lola wprost. - To jasne jak słońce.
- Czy chcę go, czy nie, to i tak on mnie nie chce.
- Pieprzenie.
- Proszę nie używaj...

Nie czepiaj się, że mówię wprost - przerwała jej zdecydowanie

Lola. - Trzeba mówić wprost, chyba że chcesz hodować jego dziecko.

No, chcesz?

- To nieważne. On nie dotknie mnie w ten sposób.
- Do diabła, dziewczyno, oni wszyscy tak mówią, nawet jak już ci go wsadzają pod spódnicę.
- Case nie znosi nawet myśli o tym, że mnie pożąda - oznajmiła Sara. - Powiedział mi to.

Lola zamrugła oczami.

- Jakże to?
- On nie chce niczego odczuwać.
- Stworzenie, które nic nie czuje, to nieżywe stworzenie.

Uśmiech Sary był zmęczony, ale prawdziwy.

- Case nie ma nic przeciwko uczuciu do ziemi - powiedziała. - On nie chce wiązać się z ludźmi.
- Hm.

Lola wydeła swe pomarszczone usta i sięgnęła do kieszeni po prymkę tytoniu do żucia, ale przypomniała sobie, gdzie jest. Wzdychając, zrezygnowała z żucia.

- To, co chce głowa mężczyzny o dwóch oczach, nie ma nic do rzeczy
- orzekła. - Jego jednooka głowa zawsze ma ostatnie słowo.

Sara nie potrafiła powstrzymać się od śmiechu, kiedy zrozumiała, co Lola ma na myśli.

- Nigdy nie słyszałaś takiej nazwy? - zapytała Lola, szczerząc zęby.

Sara pokręciła głową.

- Jak na wdowę, to naprawdę jesteś zielona - zauważyła Lola.
- Jak ci się udało uniknąć dużego brzucha z twoim mężem? Może był po prostu za stary?
- Chyba trochę tak. Zwykle był zbyt pijany, żeby dopiąć swego.

Masywne ramiona Loli zdrząły od wewnętrznego śmiechu. Sięgnęła do kieszeni spodni, wyciągnęła mały skórzany woreczek i rzuciła w kierunku Sary, która schwyciła go w powietrzu. Prawie nic nie ważył.

- Co to jest? - zapytała.

- Okruchy gąbki. Case nie jest za stary, żeby ci zrobić dzieciaka, ani nie jest pijakiem.

- To co? - powiedziała Sara, patrząc na woreczek.

- Kiedy poczujesz, że się rozgrzewasz, namocz taki kawałek w occie i włóż tam, skąd masz to co miesiąc. Włóż tak daleko, jak tylko się da. A potem rób, co masz do zrobienia.

- Chcesz powiedzieć, że nie znajdę w ciąży?

- Od czasu do czasu możesz załapać. To zależy od tego, jak często będziesz rozkładała nogi.

Sara spojrzała na woreczek, mając nadzieję, że nie ma zbyt czerwonych policzków.

- Nie ma się czego wstydzić - powiedziała Lola. - Mówią, że niektóre kobiety to lubią.

Dreszcz niechęci wstrząsnął Sarą.

- Ja tego nie lubiłam - powiedziała.

- Ja też za bardzo za tym nie przepadałam, dopóki nie spotkałam Ute.

Jak się lubi mężczyznę, to jest to bardziej do zniesienia. Im bardziej się go lubi, tym bardziej to się podoba.

Sara wyciągnęła ku niej rękę z woreczkiem.

- Weź to - powiedziała - nie będę tego potrzebowała.

- To samo powiedział Conner, kiedy kazałaś mu włożyć kurtkę. No i co się stało?

- No i jej nie wziął.

- A potem wrócił do domu z podkurczonym ogonem i na wpół zamarznięty.

- Nie jestem Connerem.

- No jasne, dziewczyno, że nie jesteś. On nie będzie nosił dzieciaka w brzuchu.

Sara chwyciła Lolę za rękę i wcisnęła jej w dłoń woreczek. Lola wzruszyła ramionami i wsunęła go z powrotem do kieszeni.

- Jak zmienisz zdanie, to mi powiedz.

Sara skinęła głową. Nie mogła pozbyć się myśli, że są na świecie gorsze rzeczy od urodzenia dziecka Case'a.

O wiele gorsze.

- Sara, nie śpisz?

Ciche zapytanie Ute obudziło ją błyskawicznie. Serce załomotało jej pośpiesznie.

- Co się stało? - szepnęła. - Bandyci?

- Nie, Case.

- Co się stało?

- Tak się rzuca i jęczy przez sen, że mógłby obudzić nieboszczyka. Przypomniała sobie, że nie widziała Case'a od poprzedniego popołudnia, kiedy wyszedł z chaty, gdy oni podziwiali starą ceramikę.
 - Zachorował?
 - Nie. Taki po prostu niespokojny. Woła imiona i takie tam. „Całkiem jak w gorączce” - pomyślała. „Czy znowu woła swoją bezcenną Emily?”
 - Obudź go - poleciła.
 - Nie - sprzeciwił się Ute.
 - Dlaczego nie?
 - Ostatnim razem, jak obudziłem człowieka, który się rzucał i jęczał przez sen, to mało mnie nie zabił, zanim oprzytomniał. Ale ciebie Case nawet by nie tknął palcem, żeby nie wiem co się działo.
 - W porządku - zgodziła się, odrzucając koce. - Czy Conner jest na górze?
 - Tak. Dlatego usłyszałem Case'a. Jak wracałem, to mijałem jego obozowisko.
 - Idź się prześpij. Zajmę się Case'em.
 - Mhm...?
 - Słucham?
 - Mogłabyś najpierw coś powiedzieć do niego, tak po cichu, zanim złapiesz go za ramię.
 - Zajmowałam się już dzikimi zwierzętami - odparła. Śmiech Ute zabrzmiał tak, jakby ktoś pocierał dwie pełne garście żwiru.
- Sara ubrała się, chwyciła kurtkę i pośpiesznie wyszła na dwór. Czarne niebo nad jej głową usiane było srebrnymi gwiazdami. Zatrzymała się, oczarowana jego pięknem. Westchnęła z podziwu, wypuszczając z ust srebrny obłok pary, który wzniósł się pod błyszczące nocne niebo. Poczula uszczypnięcie zimna, przenikającego przez jej skórzaną kurtkę, koszulę i spodnie. Drżąc, ruszyła w kierunku kępy zarośli, gdzie Case założył swój obóz.
- Ute miał rację. Case przewracał się i mruczał jakieś słowa. Niezrozumiałe dźwięki nie były wiele głośniejsze niż szelest i skrzyp pałatki, na której spał. Sara była jednak pewna, że najczęściej wypowiadał imię Emily. Podeszła do niego ostrożnie. Pragnęła chwycić go w ramiona i odpędzić zmory męczące go we śnie. Po śmierci rodziców właśnie tak uspokajała Connera.
- Jednak nie dotknęła Case'a, ale przysiadła na piętach poza zasięgiem jego ręki. Kiedy nawykły do niebezpieczeństw człowiek śpi na dworze, to nie spodziewa się ujrzeć przyjaciela, gdy poczuje na ramieniu czyjaś dłoń.
- Case - powiedziała łagodnie. - To ja, Sara. Wszystko jest w porządku. Jestem tutaj. Jesteś bezpieczny, Case. Wszystko w porządku.

Powtarzała te słowa wiele razy, używając swojego najbardziej łagodnego tonu, tego samego, który Case określił jako słodziutki. Po chwili przestał się przewracać na posłaniu. Nadal był niespokojny, ale już nie drżał i nie szarpał się jak dzikie zwierzę schwyte w pułapkę.

- No właśnie - wyszeptała - wszystko w porządku, nikt cię nie skrzywdzi. Nie pozwolę im.

Przysunęła się bliżej do niego, cały czas przemawiając łagodnie. To, co mówiła, było mieszanką słów, które coś znaczyły, i przypadkowym, łagodnym potokiem dźwięków, który uspokajał jego duszę bardziej, niż to mogłyby zrobić same słowa.

Westchnął przerywanie, kiedy zaczęła gładzić go po dłoni. Potem otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Emily - powiedział niewyraźnie. - Myślałem, że cię nie ma. Przysuń się tutaj i śpij. Wujek Case będzie odpędzał złe duchy.

Sara była zbyt zaskoczona, żeby się odsunąć, kiedy przejechał delikatnie ręką po jej włosach i przytulił jej głowę do swoich piersi, nakrywając ich oboje kocem.

W jego zachowaniu nie było niczego erotycznego. To było tak, jakby była raczej dzieckiem niż kobietą.

„Wujek Case?” - pomyślała oszołomiona. „Czy ta ukochana utracona Emily jest jego bratanicą?”

Chciała go obudzić, by mu powiedzieć, że ona nie jest Emily. Jednak powstrzymała się, zauważając, jak on się rozluźnia. Już nie był niespokojny, nie mamrotał i nie borykał się z czymś, co tylko on był w stanie dojrzeć.

Był całkiem odprężony.

Westchnął przeciągle i głęboko, przyciągając ją ku sobie. Wkrótce rytm jego oddechu spowolniał. Poznała, że już głęboko śpi.

Przez chwilę wsłuchiwała się w bicie jego serca pod swoim policzkiem, obserwując wspaniałość gwiazd spod obsuniętego skraju koca. Ciepło ciała Case'a wystarczało, by odpędzić chłód nocy. Czuła się tak, jakby ułożyła się w pobliżu ogniska, do którego wcale nie trzeba dorzucać opału.

Wciągnęła głęboko powietrze przepełnione zapachem wełny i mężczyzny. Potem westchnęła i przytuliła się jeszcze mocniej, rozkoszując się do-tykiem ramienia Case'a wokół swego ciała, jego dłonią na swym policzku i ciepłym oddechem na swych włosach.

Ciepło mężczyzny przeniknęło do jej wnętrza, odprężając ją tak całkowicie, że niemal zakreśliło jej się w głowie. Od czasu powodzi, która pozbawiła ją rodziny, po raz pierwszy czuła się tak bardzo pogodzona z życiem.

„Powinam wrócić do chaty” - pomyślała sennie. „Case już się dobrze czuje”.

Niechętnie zaczęła wycofywać się z ciepła wspólnego posłania. Wtem

poczuła, jak ramię Case'a obejmuje ją jeszcze mocniej i przytrzymuje na miejscu.

- Case? Nie śpisz?

Nie odpowiedział. Rytm jego serca i oddechu też się nie zmienił. Odczekała, aż zwolnił uścisk, i znowu spróbowała się wysunąć. Jego ramię znowu się naprężyło. Zamruczał coś i poruszył się niespokojnie.

- Ciii - uspokoiła go. - Wszystko w porządku. Nie odejdę.

„Jeszcze przez chwilę” - dodała w duchu.

Wzdychając, zapatrzyła się na wspaniałe gwiazdy, powoli przesuwające się nad jej głową.

Nie próbowała już odejść po raz trzeci. Zasnęła równie twardo jak Case.

3

Case obudził się przed świtem. Było to jakieś dziwne przebudzenie. Powolne i leniwe, w miejsce pośpiesznego i gotowego na niebezpieczeństwo.

Uczucie spokoju wypełniało go tak głęboko jak rytm jego serca.

„Boże” - pomyślał sennie. „Już dawno nie czułem, jak mała Emily układa głowę na moim ramieniu. Ciekawe, jak radzi sobie ze złymi snami, kiedy nie ma w pobliżu wujka Case'a”.

Nagle zauważył, że jego ramię podtrzymuje głowę, ale wcale nie dziecinną. Poczuł przyciskające się do jego boku jędrne ciało. Obok jego szyi leżały długie, jedwabiste i gęste kobiece włosy. Każdy jego oddech pachniał kobiecym ciepłem i różami.

„Sara”.

Otworzył oczy. Nad głową zobaczył granatowy zarys gałęzi, pomiędzy którymi błyszczały gwiazdy. Księżyc już zaszedł. Na wschodnim widnokrzęgu niewyraźna różowa poświata zapowiadała nadejście brzasku.

„Co, do cholery, ona tu robi ze mną?”

Najszybszym sposobem, żeby się dowiedzieć, było obudzić ją i zapytać.

Obsunął koc, odsłaniając ją do ramion, i od razu zapomniał, dlaczego tak bardzo chciał ją obudzić.

Światło gwiazd delikatnie obmywało twarz Sary. Jej włosy nie błyszczały złotem i czerwienią jak w blasku słońca, ale lśniły jak czarna woda. Miała tak długie rzęsy, że aż opierały się na jej policzkach. Jej pełne, odprężone usta wyginały się nieco, prawie tak, jakby się uśmiechała. Całość była czystą pokusą.

„Nie powinienem” - pomyślał, nachylając się nad nią. Powstrzymał

się, a raczej wydawało mu się, że się powstrzymał. Odkrył, że już nie może się jej oprzeć, tak jak ćma nie potrafi się oprzeć błyszczącemu ponętnie płomieniowi świecy.

„Ona jest płomieniem w środku zimy” - pomyślał Case. „Boże, byłem zimny tak długo...”

Dotknął ustami warg Sary, spijając delikatny grymas jej sennego uśmiechu. Zatopił ostrożnie palce w jej włosach, szukając ciepła pod ich chłodnymi pasmami. Nie znalazł go tam, więc zaczął ogrzewać sobie dłonie, ująwszy w nie jej głowę.

Sara westchnęła i lekko poruszyła głową, jakby rozkoszując się dotykiem jego rąk.

Dreszcz, który wcale nie był wywołany przez zimno, przeniknął ciało Case'a. Był to dreszcz pożądania i czegoś jeszcze, czegoś co go przerażało i czego się wypierał od lat.

Pożądanie było jedyną rzeczą, do której odczuwania się przyznawał.

Towarzyszyło mu ciągle od przybycia na ranczo Zagubionej Rzeki.

Przesunął się powoli i delikatnie, aż Sara znalazła się na wpół pod nim.

Widząc, że koc zaczyna się zsuwać, chwycił go zębami i naciągnął z powrotem na nich oboje, żeby nie obudziła się z zimna.

Nie obawiał się, że odczuje chłodne ukąszenie zimowego świtu. Jej zapach, dotyk i smak paliły go ogniem.

Przesunął palce do sznurowania jej skórzanej koszuli. Przeciągnął najpierw jeden rzemień przez dziurkę, potem drugi.

„Nie powinienem” - napomniał się, pomimo burzliwego pulsowania krwi w żyłach.

Powtarzając sobie w myślach te słowa, przeciągał rzemień przez kolejne dziurki. Skóra Sary błyszczała perłowo w mieszaninie światła gwiazd i powoli budzącego się świtu.

„Do diabła z tym, co powinienem i nie powinienem! Gdyby nie chciała tego tak bardzo jak ja, to nie byłoby jej tutaj. Na pewno wdowa wie, w jakim stanie mężczyzna budzi się rano. To dlatego wsunęła mi się pod koc, kiedy spałem. Wiedziała, że nie wykonam pierwszego ruchu, więc podeszła mnie. To, co robię, jest tylko przyjęciem jej zabiegów.” Ze zdziwieniem odkrył, że sznurowanie skórzanej koszuli Sary sięga aż do jej pępka, ale wcale nie był tym zmartwiony. Odsunął na boki poły koszuli i uniósł głowę, żeby ją lepiej widzieć.

„Tylko popatrzę na nią. To wszystko. Nic nie szkodzi ją zobaczyć”.

Była srebrzysta i mroczna w swych delikatnie błyszczących wypukłościach. Aksamitny cień spoczywał pomiędzy jej piersiami. Ciemność gromadziła się na jej sutkach, sprężystych od zimnego powietrza wnikającego pod koc. Zdusił w sobie jęk pożądania.

„Mój Boże, mógłbym się zatracić, tylko przyglądając się jej.”

Nie mógł powstrzymać się przed patrzeniem na nią, tak samo jak nie mógł powstrzymać pragnienia dotykania, smakowania i poznawania tej miękkości, którą właśnie odkrył.

Opuścił twarz pomiędzy jej piersi i wciągnął głęboki oddech. Było to tak, jakby wdychał jakiś jedwabisty płomień. Przesunął czołem po jędrnej wypukłości jednej piersi, a potem drugiej. Uniósł głowę, natrafiwszy na aksamitną brodawkę. Otworzył usta i otoczył ją swym oddechem.

Powodowany głodem, tym silniejszym, im bardziej się opierał, wciągnął jej sutek do ust. Liząc brodawkę, ssąc i smakując, formował jej aksamitną twardość, która napierała na jego język, prosząc o więcej.

„Muszę to przerwać” - pomyślał. „Oprócz seksu nie mogę jej dać tego, co ona chce: ogniska domowego i dzieci”.

Uniósł głowę i ujrzał w świetle gwiazd jej naprężoną, wznoszącą się do góry pierś.

„Sam Bóg wie, że mogę dać jej ciału to, czego mu potrzeba. I Bóg też wie, że jestem głupcem, nawet o tym myśląc”.

Nie zdawał sobie jednak sprawy jak wielkim jest głupcem, dopóki znowu nie zasmakował aksamitnej gładkości jej sutka. Rozgrzewał go i kształtował swymi ustami, sprawiając, że naprężył się jeszcze bardziej.

Pożądanie wstrząsało nim, przesywając jego ciało jak błyskawica. Pochylając głowę ku jej drugiej piersi, nie wiedział już, czy będzie w stanie to przerwać. Kolejne, jeszcze wspanialsze i gorętsze części jej ciała czekały na odkrycie, dotyk i pieszczotę.

Pragnął tego. Pragnął tego bardziej niż powietrza.

Sara mruknęła coś przez sen i poruszyła się pod nim, wyginając nieco plecy. Oddawała mu się i domagała od niego jeszcze więcej miłości.

Jej instynktowny ruch był prowokacyjny i pełen erotyzmu, ale ona wcale nie zdawała sobie z tego sprawy. Wiedziała jedynie, że leży w pięknym, gorącym słońcu, którego płynne promienie pieszczą ją wspaniale i leniwie.

Nie miało to żadnego sensu, ale w końcu sny nie muszą mieć sensu.

Było dla niej ważne jedynie to, że jest bezpieczna w czułych objęciach snu. Wiedziała to z absolutną pewnością. Było to doznanie intensywniejsze niż nawet rozkosz, która zaczynała wypełniać jej ciało powoli rozszerzającymi się kręgami.

Nagle przeniknął ją gorący dreszcz rozkoszy. Wygięła nieco ciało w żywiołowym odruchu, poddając się pięknu tego przenikającego ją pieszczotliwego ciepła słońca.

Jak przez mgłę uświadamiała sobie, że ma zimne ręce i nagie, wilgotne piersi i że ktoś obok oddycha urywanym oddechem. Pragnęła nie opuszczać swego snu... Wtem zrozumiała, że tym, co czuje pomiędzy nogami, nie jest dotyk słońca. To była ręka. Ręka mężczyzny.

Poderwała się gwałtownie.

Case błyskawicznie stłumił krzyk Sary. Nakrył swymi ustami jej usta tak dokładnie, że wydobył się z nich tylko cichy dźwięk.

Przypuszczał, że Sara przestanie się szarpać, gdy tylko uświadomi sobie, gdzie jest oraz kto ją całuje i dlaczego. W końcu sama przysłała do niego.

Jednak Sara zaczęła walczyć jak dziki kot, kopiąc i drapiąc z całej siły.

Przesunął się, nakrywając ją całą swoim ciężarem i przyciskając jej nogi do ziemi. Chwytał ją za ręce i unieruchomił je chwytem jednej dłoni za nadgarstki.

Potem uniósł nieco głowę i natychmiast zakrył jej usta drugą ręką.

- Sara, to ja, Case - odezwał się łagodnie.

Jej zwężone, błyszczące oczy mówiły jednak, że wcale ją nie obchodzi, kim on jest.

Wtem z odległości trzydziestu stóp dobiegło ich wołanie Connera:

- Sara! Co się dzieje?

Targnęła się pod Case'em, ale on nie drgnął nawet o cal. Przykrywał ją tak samo jak tej nocy w skalnej pieczarze, gdy tuż pod nimi gromadzili się bandyci.

- Nic ci nie jest?! - zawołał znowu Conner. - Sara!

- Miała tylko zły sen - odpowiedział mu Case. - Już wszystko w porządku.

Nie krzycz, jakbyś chciał obudzić umarłych.

- Co ona tam robi? - zapytał już ciszej Conner.

Sara i Case spojrzeli na siebie nawzajem.

- Jeżeli zaczniesz wrzeszczeć, to będziesz się musiała tłumaczyć.

Przede wszystkim dlaczego weszłaś do mojego łóżka, jeżeli nie chciałaś tego, co ci właśnie robiłem!

Sara znieruchomiała. Dopiero teraz zaczęła sobie przypominać, gdzie jest i dlaczego.

- Siostró? - zawołał cicho Conner. - Na pewno nic ci nie jest?

Case uniósł dłoń zakrywającą jej usta.

- Nic się nie stało - wyszeptała.

- Co?

- Wszystko w porządku - powtórzyła głośniej.

- Co tam robisz? Czy Case jest chory?

Case uniósł ciemne brwi w ironicznie pytającym geście.

- Jestem chory? - zapytał ją niemal bezgłośnie.

- Kiedy Ute wracał ze straży, to powiedział mi, że Case miota się na posłaniu i jęczy. Przyszłam, żeby się nim zająć.

Na moment na twarzy Case'a pojawił się wyraz zaskoczenia. Jednak już po chwili jego twarz znowu była równie nieprzenikniona jak skalne urwiska pojawiające się w świetle świtu.

- To było kilka godzin temu - powiedział Conner - teraz ja sam wracam ze straży.

- Zasnęłam - wyjaśniła Sara.

- Och - Conner zawahał się. - Wracasz teraz do chaty?

Wiedziała, jak teraz musi wyglądać: z rozwiązaną koszulą i w sponiach opuszczonych do kolan.

- Idź sam - powiedziała, z trudnością tłumiąc gniew.

- Na pewno?

- Conner, na Boga! Czy chcesz odprowadzać mnie osobiście do wychodka, czy może wolno mi mieć odrobinę prywatności?

- No pewnie. Przepraszam, ja tylko...

- Wiem - powiedziała łagodniejszym tonem. - Nie powinnam się była zdenerwować. Wiesz, jaka jestem drażliwa, kiedy tylko się obudzę.

- Szczególnie po złym śnie - dodał Conner.

Nie próbowała wyjaśnić bratu, że się myli co do osoby, która miała złe sny.

- Idź - poleciała. - Przyjdę za chwilę.

- Rozpalić ogień?

- Nie ma potrzeby. Połóż się spać. Zajmę się wszystkim.

Zapadła cisza. Po chwili Conner wycofał się w kierunku chaty. Kiedy już była pewna, że brat odszedł, spojrzała wprost w oczy Case'a.

- Zejdź ze mnie - wycodziła przez zęby.

Bez słowa zsunął się na bok. Patrzył na nią uważnie, jakby nie był pewien, co jej może przyjść do głowy. Strużka krwi sączyła się z zadrapania tuż pod jego okiem.

- Przynajmniej odwróć się, kiedy się będę ubierała.

- Zejdź z chmur na ziemię - powiedział Case spokojnym głosem. - Ja nie byłem tym, który wszedł ci do łóżka.

Mimo tych słów obrócił się jednak do niej plecami.

- Nie przyszłam, żeby wejść ci do łóżka - odparła ze złością. - Miałeś koszmary senne.

- Nie pamiętam żadnych snów.

- Szarpałeś się, przewracałeś i miotałeś jak wilk w potrzasku.

- Nie wyglądało to zachęcająco.

- Ute też tak sądził.

- Ale i tak weszłaś mi wprost do łóżka.

- Nie - zaprzeczyła Sara, zaciągając do końca sznurowanie koszuli. -

To ty mnie wciągnąłeś.

- Pewnie Ute widział i to.

Zaczęła podciągać bieliznę i spodnie. Najpierw pomyślała, że wilgoć pomiędzy jej nogami oznacza, iż wcześniej zaczął się jej okres. Nie było tam jednak plamy krwi. Była tylko ciepła, pachnąca czymś wilgoć.

- Co mi zrobiłeś?

Case obejrzał się przez ramię, akurat w porę, by dojrzeć mignięcie gęstych kasztanowych kędziorów i perłowej skóry znikających w wytartych skórzanych spodniach.

Targnęło nim pożądanie, tak mocne, że aż trudno mu było oddychać.

- Byłaś przecież zameżna - powiedział szorstkim głosem. - Więc jak myślisz? Co ci zrobiłem?

- Gdybym wiedziała, tobym cię nie pytała, prawda? - odparła.

Przez chwilę myślał, że ona żartuje, jednak w jej oczach nie dostrzegł nic poza wyrazem nieufności. Zapinała spodnie tak, jakby jej ciało należało do kogoś innego. Nie wiedział, co jej powiedzieć.

- Och, mniejsza z tym - mruknęła. - Nie powinnam była ci pozwalać, żebyś przytulał mnie jak dziecko. Potem zasnąłam. Pewnie sobie na to zasłużyłam, niezależnie od tego, co ty zrobiłeś.

Case otworzył usta, jednak nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Sara poderwała się na nogi. Skrzywiła się nieco, wkładając kurtkę. Jej sutki były nadal naprężone, nadal bardzo wrażliwe.

Wyglądało na to, że jest tym zdziwiona. Machinalnym ruchem Case przetarł dłonią piekące miejsce koło oka. Ślady krwi na jego palcach

świadczyły o szybkości i celności Sary w posługiwaniu się paznokciami.

W kącikach jego oczu pojawiły się nieznaczne zmarszczki.

- Masz pazury jak jakaś furia - zauważył.

- Praktyka czyni mistrza - odparła lodowatym tonem.

Case zmrużył oczy.

- Następnym razem, jak będziesz miał koszmary o swojej bratanicy - powiedziała cierpkim tonem - to możesz, do cholery, śnić je sam.

- O mojej bratanicy? - zapytał zaskoczony Case. - O czym ty mówisz?

- Nie będzie mi łatwo o tym mówić - rzekła sarkastycznym tonem - zabroniłeś mi kiedykolwiek wypowiadać jej imię.

- Emily?

- Tak, zgadza się.

- Skąd wiesz, że śniłem o niej?

Sara obejrzała się przez ramię.

- Czy dostaję pozwolenie, żeby wypowiedzieć to święte imię? - zapytała słodkim tonem.

- Do diabła, mów, co tylko chcesz.

- Ojej, umiesz przekonać kobietę.

- Wyrzuć to z siebie.

Miała już na końcu języka historię jego snu, jednak powstrzymało ją lodowate spojrzenie jego oczu.

- Miotaleś się... - zaczęła.

...miotalem się i mówiłem przez sen - przerwał ostro. - Znam już ten kawałek.

- Więc kto ma opowiadać? Ty czy ja?

- Z tego, co widzę, to żadne z nas.

Ledwie się powstrzymała, by nie odpowiedzieć mu ostro. Zazwyczaj nie było jej trudno utrzymać nerwy na wodzy, ale ten człowiek zachodził

jej za skórę bardziej niż ktokolwiek.

- Mówiłam do ciebie przez jakiś czas - powiedziała. - Uspokajałam cię.

- Tym słodziutkim głosem - wtrącił z kamienną miną.

Wzruszyła ramionami.

- Kiedy trochę się uspokoiłeś, przysunęłam się bliżej, żeby cię dotknąć. Chciałam cię delikatnie obudzić.

Jesteś pewna, że to ci się nie śniło? Nic z tego nie pamiętam.

- Bo spałeś - odparła.

- Mhm - mruknął powątpiewająco.

- Nie obudziłeś się, kiedy cię dotknęłam. To znaczy nie całkiem - powiedziała, wyrzucając każde słowo z osobna. - Mamrotałeś tylko imię Emily, a potem zacząłeś mówić, o tym, że jej nie ma.

Case słuchał jej w bezruchu.

- Mów dalej.

- Objąłeś mnie ramieniem, wciągnąłeś pod koc i powiedziałeś, żebym się nie martwiła. Że wujek Case przepędzi złe duchy.

Poruszył powiekami. Tylko po tym można było poznać, że słyszy jej słowa.

- Przytuliłeś mnie do swojego boku, wsunąłeś mi dłoń pod policzek i znowu zasnąłeś. To był dobry sen, łagodny i spokojny - dodała i zamilkła.

- Coś jeszcze? - mruknął.

- Kiedy próbowałam wysunąć się z twojego pośłania, przycisnąłeś mnie mocniej i zacząłeś się budzić. Oczekałam więc trochę i spróbowałam znowu. I znowu to samo.

Case odwrócił od niej wzrok, ale Sara wyczuwała, że nadal słucha uważnie.

- Zasnąłam - powiedziała wprost. - Kiedy mnie tak trzymałeś, było mi ciepło i spokojnie. Nic dziwnego, że Emily przychodziła do ciebie, kiedy bała się swoich snów.

Błysk bólu pojawił się na twarzy Case'a jak czarna błyskawica.

Sara poczuła ukłucie w piersiach. Mimo wszystkiego, co zaszło, chciała podejść do niego, przytulić go i sama być przytulona. Były takie momenty, kiedy życie było zbyt trudne, by potrafiła borykać się z nim w samotności.

- Emily nie żyje, prawda? - szepnęła.

Tylko cisza odpowiedziała na jej pytanie.

- Czy to dlatego polujesz na Culpepperów?

- Dopilnuję, żeby każdy z nich, aż do ostatniego, znalazł się w piekle.

Jego głos był jak zima: cichy, mroźny i silny. Drżąc, potarła ramiona dłońmi.

- Nie wątpię w to - powiedziała. - No, chyba że oni najpierw zabiją ciebie.

- Nikt nie będzie nosił żałoby, jeżeli zginę.

- Ja będę.

Przesunął na nią powoli wzrok.

- Nie rób tego.

- Nie robić czego?

Nie myśl o mnie. To tylko sprawi ci ból.

Sara uśmiechnęła się gorzko.

- Ty sam odczuwasz ból, Case. Tylko dzięki temu wiesz, że żyjesz.

- Po tych słowach już tylko oddalające się kroki Sary zakłóciły poranną ciszę.

Case rzucił na klepisko naręczce chrustu. Przysiadłszy na piętach, zaczął sortować i składać drewno w pobliżu ognia.

Sara podniosła głowę znad kołowrotka. Chociaż, spędziwszy cały dzień na mieleniu kukurydzy, gotowaniu, praniu i robieniu mydła, była tak zmęczona, że padała, to jednak musiała dokończyć tę pracę.

Potrzebowali sukna, gdyż poza tym, że szyli z niego ubrania, było ono dla nich jednym z nielicznych źródeł gotówki, jakimi dysponowali.

Pomimo zmęczenia rumieniec oblewał jej twarz za każdym razem, gdy pomyślała o tym, co wydarzyło się tego ranka, kiedy słońce ledwie wschodziło, a ona leżała ze spodniami opuszczonymi do kolan, czując w ciele dziki zew.

Pospiesznie odwróciła wzrok od Case'a. Wiedziała, że chrust, który przywiózł, pochodzi z płaskowyżu poza obrębem Kanionu Zagubionej Rzeki, gdyż zauważyła w nim nie tylko gałęzie jałowca i kosodrzewiny, ale też i sosny.

- Dziękuję - powiedziała. - Bardzo sprytnie sobie radzisz z tą siekierą, którą Ute... znalazł.

Podejrzewała, że Ute „znalazł” siekierę i jeszcze inne rzeczy w obozie bandytów w Źródlanym Kanionie.

- Nie ma za co dziękować - odparł Case. - Jem strawę przygotowaną nad tym ogniskiem tak samo jak Conner.

Drzwi chaty otworzyły się. Conner wsunął głowę do środka.

- Jak już skończyłeś z tym opalem - zwrócił się do Case'a - to przydałoby mi się twoja pomoc.

Sara szybko podniosła głowę znad swej robótki.

- O co chodzi? - zapytała.

- O nic, czym musiałabyś się przejmować - odparł jej brat.

- Więc Case też nie potrzebuje się tym przejmować - powiedziała. -

Pracował jak koń, żeby przywieźć to drewno.

- To nie zajmie dużo czasu - nie rezygnował Conner.

Case spojrzał na chłopaka i podniósł się szybko. Nie spodziewał się czegoś takiego od momentu, kiedy Conner oddalił się niechętnie tego ranka, zostawiając siostrę w jego posłaniu.

- Zaraz przyjdę do ciebie - powiedział.

Conner odszedł, chyba celowo zostawiając za sobą otwarte drzwi.

- Co za chłopak! - mruknęła Sara, odkładając przedzę. - Można by pomyśleć, że urodził się w stodole.

- Wychodzę, więc zamknę drzwi.

Kiedy wyszedł z chaty, Conner stał w pobliżu jednej z dużych kęp zarośli.

W blaknącym świetle cień chłopca rysował się na ziemi długim, wąskim kształtem. U jego biodra zwisał sześciostrzałowy rewolwer.

„Stanął plecami do słońca, żeby mi świeciło prosto w oczy” - pomyślał Case. „Ten chłopak dobrze się zapowiada. Mam nadzieję, że będzie żył na tyle długo, by mu to weszło w krew”.

- Co zaszło dzisiaj rano? - zapytał Conner, gdy tylko Case znalazł się w zasięgu jego głosu.

- Słyszałeś, co powiedziała twoja siostra.

- Dlaczego zadrapała cię pod okiem?

- O co ci chodzi? Dręczy cię coś szczególnego?

- Chodzi mi o Sarę. Zostaw ją w spokoju.

Case z rozmysłem wsunął kciuki za pas i stanął w swobodnej pozycji.

- Chyba pamiętasz, czyje posłanie jest na dworze w krzakach, a czyje w chacie? - zapytał cichym głosem. - Czy pomyślałeś, że może wygłaszasz kazanie pod adresem niewłaściwej osoby?

Conner zacisnął usta. Wyraz jego ciemnozielonych oczu był o wiele za dorosły jak na piętnastoletniego chłopca.

- Sara nie odmawia pomocy żadnemu stworzeniu, które jej potrzebuje

- powiedział. - Ute mówił, że potrzebowałaś jej pomocy. Poszła do ciebie, a ty ją schwytałeś.

- Twoja siostra przyszła do mnie, ale ja jej nie schwytałem. To wszystko, co mam ci do powiedzenia. Jeżeli mi nie wierzysz, to zapytaj siostrę.

Nie powie ci niczego innego.

Conner obdarzył Case'a twardym, taksującym spojrzeniem.

- Moja siostra nie powiedziała mi niczego innego, gdybyś nawet ją zgwałcił - rzekł. - Martwiłaby się, że wyzwę ciebie na pojedynek i zginę.

- Ale ty się tym nie martwisz.

- Nie jestem taki głupi. Tak samo nie mogę ciebie pokonać w otwartej walce, jak Sara nie może pokonać ciebie nocą w walce wręcz.

Case skinął głową, ale już nie był tak odprężony, na jakiego wyglądał.

Był prawie pewien, że będzie musiał ubiec Connera, kiedy ten sięgnie po swój wielki rewolwer.

- Dlatego nie będę walczył fair - powiedział zimnym tonem Conner. -

Zasadzę się na ciebie z dubeltówką. To moje pierwsze i ostatnie ostrzeżenie. Zostaw Sarę w spokoju.

Przez chwilę Case stał w milczeniu, myśląc, jak na to zareagować.

- A co będzie, kiedy ona znowu do mnie przyjdzie?

- Jeżeli przyjdzie, to nie dla seksu.

Case uniósł ciemny łuk lewej brwi.

- Samo to, że Sara jest twoją siostrą, nie znaczy, że nie ma kobiecych potrzeb.

- Mówisz o seksie? - zapytał pogardliwym tonem Conner.

- O seksie - potwierdził Case.

- Kobieta nie szuka tego, po czym jest pokrwawiona i płacze. Na pewno nie Sara. Uciekała za każdym razem, kiedy tylko jej się to udawało.

- Co? - Case zastygł w bezruchu.

- Słyszałeś mnie.

- Myślisz, że na tym polega seks?

- A nie?

- Nie.

- Więc dlaczego mężczyźni muszą płacić kobietom, żeby to mieć?

- Nie wszyscy mężczyźni to robią.

Conner wzruszył ramionami.

- Więc biorą po to ślub i w końcu wychodzi na jedno. Mąż płaci za mieszkanie i utrzymanie, a żona w zamian musi cierpieć, gdy on znęca się nad nią.

Case zaczerpnął głęboki oddech i wypuścił go bezgłośnie. Nie miał pojęcia, w jaki sposób zacząć naprawiać spaczony pogląd Connera na temat pożycia między mężczyzną i kobietą.

- Duża Lola nie jest chyba najlepszym przykładem, żeby mówić o seksie

- powiedział po chwili.

- Ale jest w tym doświadczenia jak diabli.

- Ma doświadczenia pewnego rodzaju. Ale jest też inny rodzaj.

- Małżeństwo?

Case przypomniał sobie Huntera i Elysę. Pamięć o ich wzajemnej miłości prześladowała go ciągle, chociaż on sam unikał wszelkiej możliwości poddania się takiemu uczuciu.

- Miłość sprawia, że to jest inne - powiedział.

- Mhm - mruknął Conner bez przekonania.

- To prawda. Kiedy kobieta kocha mężczyznę, to pragnie go. Fizycznie.

Nie ma w tym przekupstwa czy groźby ani przemocy. To jest taki rodzaj kochania, od którego słońce świeci jaśniej.

- Nie widziałem nigdy czegoś takiego.

- A ja nie widziałem Paryża, ale to nie znaczy, że on nie istnieje.

- Chcesz powiedzieć, że moja siostra ciebie kocha?

Bezpośrednie pytanie zadane przez Connera sprawiło, że Case pożałował, iż zaczął tę rozmowę.

- Niczego takiego nie powiedziałem - wymamrotał.

- Ale tak to brzmiało.

Case wciągnął kolejny głęboki oddech i spróbował z innej strony.

-Wielu ludzi wcale nie zna tego specjalnego rodzaju miłości - powiedział
- ale to nie znaczy, że nie sprawia im przyjemności seks z kimś,
kogo lubią.

Przez dłuższą chwilę Conner patrzył w milczeniu na Case'a. Potem powoli
i ledwie zauważalnie odprężył się.

- Nie przymusiłeś jej?

- Nie. I kiedy następnym razem o czymś takim wspomnisz, to osobiście
spiorę cię na kwaśne jabłko.

Ku jego zaskoczeniu Conner roześmiał się.

- Pewnie, że tak byś zrobił - przyznał. - Przepraszam, jeżeli cię obraziłem,
ale po prostu musiałem wiedzieć, czy Sara znowu nie jest zmuszana
przez mężczyznę.

- Byłeś całkiem młody, kiedy ona wyszła za męża. Mogłeś źle zrozumieć
te wszystkie... jęki i sapanie.

- Nawet dziecko dostrzega różnicę pomiędzy poklepaniem a uderze -
niem pięścią.

Case chciał w taktowny sposób zadać następne pytanie, jednak
przyszło mu do głowy.

- Czy pomiędzy Sarą i jej mężem była jakaś czułość? - zapytał wprost.

- Czułość?

- No, całowanie i temu podobne.

- Z tego, co wiem, moja siostra została pocałowana pierwszy raz w życiu
tej nocy, kiedy odwiozłeś ją tu na koniu.

- Do diabła - wyszeptał Case. - Dlaczego wyszła za tego starego...
mniejsza z tym. To nie mój interes.

Twarz Connera zdawała się na przemian odprężyć i napinać. Widać
w niej było cechy, które wkrótce miały go określać jako dorosłego mężczyznę:
uczciwość, siłę i energię.

- Jak sądzisz, dlaczego moja siostra wyszła za niego? - zapytał zimnym
tonem.

- Z konieczności.

- Masz rację, do cholery. Miała zaledwie czternaście lat, a ja dziewięć,
nikt z rodziny nie przeżył powodzi. Głodowaliśmy. Odpowiedziała na
głoszenie w gazecie.

- I wyszła za Hala?

Conner skinął głową.

- Ten stary sukinsyn nie mógł znaleźć nawet indiańskiej kobiety, która
by z nim wytrzymała.

- Jak zabiłeś Hala?

Pytanie Case'a zaskoczyło chłopca. Rozejrzał się wokół pośpiesznie,
nikogo nie było w pobliżu.

- Skąd to wiesz?

- Nie wiedziałem aż do tej pory.

- Nie mów siostrze - powiedział. - Daj mi słowo.

Mam trzymać w tajemnicy przed Connerem to, że dostanę połowę rancza" - pomyślał Case. „Teraz poznaję drugą tajemnicę, którą mam ukrywać przed Sarą".

- Jesteś pewien, że ona jeszcze tego nie wie?

- Tak!

- Jak to się stało?

- Conner machnął ręką.

- A jakie to ma znaczenie? Nie żyje.

- Z dubeltówki, z zasadzki? - zapytał obojętnym tonem Case.

- Nie. Do diabła, nawet nie chciałem zabić tego sukinsyna.

Case uniósł brwi wyczekująco. Conner westchnął, przeciągnął dłonią po włosach, poprawił kapelusz i zaczął mówić.

-Ganiał ją poprzedniej nocy. To był jeden z tych nielicznych razów, kiedy mu się udało.

Powieki Case'a drgnęły raz i jeszcze raz. Odczuwał ból na myśl o Sarze i starym mężczyźnie, tak okrutnym, że nie potrafił znaleźć nawet Indianki, która by z nim zamieszkała.

„Z tego, co wiem, moja siostra została pocałowana pierwszy raz w życiu tej nocy, kiedy odwiozłeś ją tu na koniu".

Był wtedy całkiem zalany. Dalej pił, kiedy następnego ranka wyjeżdżał na poszukiwania. Poszedłem za nim.

- Na piechotę?

- Koń Hala był równie stary jak on, ale szybszy niż ja. Znalazłem ich dopiero po południu.

Case patrzył na chłopca, mrużąc oczy.

- Powiedziałem Halowi, żeby przestał źle traktować moją siostrę, a on próbował pobić mnie pistoletem. To nie był pierwszy raz, ale ostatni.

- Postrzeliłeś go?

- Zaczęliśmy się szarpać i pistolet wypalił. Hal tak jakby się złożył.

Pomimo spokojnego tonu Connera Case widział w jego zielonych oczach i zaciśniętych ustach cienie dawnego gniewu i strachu.

- Później próbowałem czasami wywołać u siebie poczucie winy z tego powodu - powiedział Conner. - Ale czułem się gorzej, kiedy musiałem zastrzelić mustanga, który złamał nogę.

- Ile miałeś lat, kiedy Hal zginął?

- Dwanaście.

- To ciężkie doświadczenie w okresie dojrzewania.

- Dorosłem, kiedy miałem dziewięć lat. Później nic innego się nie liczyło poza Sarą.

- A ty jesteś wszystkim, co liczy się dla niej.

- Ja i ta ziemia, a teraz ty.

Case pominął milczeniem to zawołane pytanie.

- A Ute i Lola? - zapytał.

- To nie to samo. No, układa się między nami wszystkimi naprawdę dobrze, a Ute walczyłby za Sarę na śmierć i życie, ale... - Conner wzruszył ramionami. - Moja siostra nie trzęsie się nad nim w ten sposób jak nade mną czy nad tobą.

- Myślę, że ona ceni twoją skórę o wiele bardziej niż moją.

- Może - rzekł Conner, wzruszając ramionami, jednak wyraz jego oczu mówił, że uważa, iż Case nie ma racji.

„Powinienem był się wynosić, kiedy był na to czas” - powiedział sobie w duchu Case.

Od razu jednak pomyślał o przyzywającej go ziemi i już wiedział, że nie może uciekać. Zrozumiał, jak musi się czuć schwyty w potrzask wilk, który nie ma dokąd uciec i nie ma z kim walczyć poza samym sobą.

Wiele wilków umierało w potrzasku, wykrwawiając się na śmierć, kiedy odgryzały sobie nogi w rozpaczliwej walce o wolność.

14

Case oparł się, zniechęcony, na łopacie i spojrzał na dziurę, którą wykopał u podstawy skały z czerwonego kamienia. Wyglądała tak jak wszystkie inne dziury, jakie wygrzebał w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Pusta.

Zanim zaczął kopać, odkrył ślady starego obozowiska, ale nie był w stanie stwierdzić, czy skała została przyczerniona przez ognisko trzy lata temu, trzydzieści, czy też trzysta.

A może trzy tysiące. Suche powietrze kamiennej pustyni znakomicie konserwowało wszystko: drewno, kości oraz gliniane skorupy.

„Jestem cholernym durniem, skoro kopię dziury zamiast budować własną chatę, w której mógłbym zamieszkać” - pomyślał.

Zimny wiatr, wyjący w nie nazwanym przez nikogo kanionie, wydawał się potwierdzać jego myśli.

Był głupcem. Rozebrany do pasa i spocony pomimo wiatru, chwycił w ręce łopatę i wrócił do pracy. Stalowa krawędź zazgrzytała o mieszaninę ziemi, piasku i kamieni.

„Mógłbym złapać sobie kilka własnych mustangów” - pomyślał. „Są tu stada dobrych koni. Ze Świerszczem i paroma rasowymi klaczami z Kalifornii czy Wirginii można by wyhodować dobre konie”.

Odgłos czegoś ciężkiego wlezonego po ziemi przerwał jego rozmyślenia. Wyprostował się i spojrział w górę kanionu.

- Do cholery, Sara! - wykrzyknął. - Powiedziałem ci, żebyś zostawiała te duże kawałki dla mnie.

- Najpierw zobacz... co tam zostawiłam... na górze – wysapała.

Pomimo wiatru i szronu, błyszczącego nadal w cienistych miejscach po północnej stronie skał, miała na sobie tylko spodnie i koszulę z jeleniej skóry, pod którą włożyła halkę z cienkiego płótna. Spodnie miała podrapane przez krzewy i pobrudzone.

Jej kurtka wisiała na niskim krzewie około stu stóp w dół kanionu, blisko pierwszej dziury, jaką wykopał. Kapelusz spoczywał na kurtce.

Z daleka krzew wyglądał jak pochylony człowiek. Nawet sam Case sięgnął dwa razy do pasa po rewolwer, chociaż dobrze wiedział, co to naprawdę jest. Jednak wzdrygał się, kiedy dostrzegał kątem oka kształt przypominający człowieka.

Sara przeciągnęła swoje znalezisko jeszcze kilka jardów i opuściła obok drewna, które zebrała już wcześniej, podczas gdy Case kopał.

Przez chwilę oddychała pośpiesznie, patrząc na stertę opału.

- Powinno być dość dla obydwu juczych koni i mojej klaczy - powiedziała.

- Ona jest lepsza jako koń juczny niż jako wierzchowiec. Od tego truchtu człowiekowi mogą powypadać zęby - zaśmiał się Case.

Spojrzał na stertę chrustu. Ostatni kawałek, który dodała, nie był gałęzią. To był cały pień.

- Powinnaś była zostawić ten pień dla mnie - powiedział.

Nie odezwała się. Nie był tym zaskoczony. Odkrył w ciągu ostatnich dwóch tygodni, że kobieta ignoruje to, o czym sama nie chce rozmawiać.

Na pierwszym miejscu listy rzeczy, które ignorowała, był seks.

„Może po prostu powinienem ją przewrócić, usiąść na niej i zmusić do słuchania” - pomyślał. „Jeżeli zrobię to teraz, to przynajmniej nie będę się musiał martwić tym, że pobrudzi sobie ubranie”.

Sara była niemal tak wybrudzona jak on. Kiedy nie była zajęta przerzucaniem sterty kamieni w każdej dziurze, jaką on wykopał, wtedy ściągała drewno na opał w pobliże miejsca, gdzie pasły się konie.

Wyprostowała się, westchnęła i sięgnęła po piłę, którą Ute „znalazł” razem z siekierą.

- Ja potnę ten ostatni - zaproponował Case.

- Ty kop. Ja będę piłowała, co się da.

Zacisnął usta. Z tego, co widział, Sara pracowała za dwóch mężczyzn.

- A co byś powiedziała na trochę odpoczynku? - zapytał spokojnym tonem.

- O co ci chodzi?

- Jestem zmęczony.

Od razu złągodziła. Odłożyła piłę i podeszła pośpiesznie ku niemu.

- Przepraszam - powiedziała. - Ciągłe zapominam o twoich ranach.

On też o nich zapominał, ale nie widział powodu, by o tym mówić.

Podobał mu się wyraz troski w oczach Sary, kiedy zbliżała się do niego.

Zachwycała go delikatna moc jej ciała, gdy szła, i kołysanie bioder.

Podobał mu się bardzo każdy cal jej ciała. Ciągłe przypominał sobie jej dotyk i smak o świcie, gorący jedwab w jego dłoniach i miód na języku.

„I cała ta kobiecość ma się zmarnować”.

Odepchnął od razu od siebie tę myśl. To, co ta zapracowana wdowa robiła albo czego nie robiła, jeżeli chodzi o mężczyzn czy seks, nie było jego sprawą.

„Gdybym tylko potrafił przekonać o tym mojego głupiego penisa” - pomyślał.

Wątpił jednak, czy to mu się uda. Jedynym pocieszeniem, sprawiającym, że był w stanie znieść tę sytuację, było to, że ona nie zauważała, jak na niego oddziałuje. A jeżeli nawet zauważała, to nie zdradzała się z tym.

- Case? Dobrze się czujesz?

Spojrzał w jej piękne, szare i przymglone oczy, uświadamiając sobie, że ona mówiła do niego, gdy jego myśli błądziły całkiem gdzie indziej.

Poniżej jego pasa.

- Odłóż łopate - powiedziała zdecydowanym tonem. - Pora odpocząć.

Zjemy lunch. Usiądź tam pod...

Gwizd kul odbijających się od skał kanionu przerwał jej słowa. Case chwycił Sarę i wtoczył się z nią pomiędzy dwa kamienne słupy, zanim jeszcze dotarło do nich echo wystrzałów.

- Moja dubeltówka jest...

Zakrył jej dłonią usta.

„Znowu leżę twarzą do ziemi i gryzę tę skórzaną rękawicę” - pomyślała.

„Jak to się dzieje, że zawsze kończę pod nim?”

Jednak tym razem sytuacja była inna i świadomość tego przenikała ją do szpiku kości. Używał swego ciała nie po to, żeby ją przytrzymać, ale żeby ją chronić. Nasłuchiwali, leżąc bez ruchu. Gdzieś z krawędzi kanionu doleciał do nich odległy dźwięk.

- Jakież pięćset jardów od nas - wyszeptał jej do ucha. - Jeden muł.

Może jeszcze jeden koń. Trudno powiedzieć.

- Jak możesz... och, masz rację - wyszeptała. - Przecież Moody nie podkuwa mustangów.

Case usiłował wyobrazić sobie mapę terenu. Znajdowali się na początku labiryntu suchych rozpadin, rozwidlającego się jak konary drzewa.

Pniem owego drzewa był Kanion Zagubionej Rzeki. Niedaleko nich niewielki boczny kanion skręcał na południe, aby połączyć się z innym, większym kanionem. Na krawędziach urwisk było wiele miejsc, w których mogli ukryć się uzbrojeni ludzie.

Wiatr nie przyniósł już żadnych dźwięków. Sara chciała znów coś powiedzieć, ale uciszył ją, przykładając dłoń do jej ust. Ugryzła go lekko w nasadę kciuka. Gorący prąd przeszył go jak ogień.

„Do diabła!” - zaklął w duchu. „Akurat w takim momencie zachciewa jej się zabaw”.

Zaciskając zęby, skoncentrował się, by nasłuchiwać nadlatujących z oddali dźwięków, a nie delikatnego oddechu leżącej pod nim kobiety. Usłyszał dokładnie to, czego nie chciał usłyszeć: stukanie kopyt i zgrzyt kamieni, kiedy mustangi i muły zaczęły schodzić w dół stromego stoku.

Przetoczył się na bok.

- Zostań tutaj i nie pokazuj się, żeby nie wiem co się działo - polecił jej cichym głosem.

- Dokąd idziesz? - zapytała równie cicho.

- Po karabin.

- Gdzie on jest?

- Przy tamtym słupie - odparł, wskazując ręką.

- Ja się tam podczołgam.

Twarda, silna dłoń chwyciła ją za prawe udo, przyduszając do podłoża.

- Co, do diabła, chcesz zrobić? - zapytał z nutą wściekłości w głosie.

- To, co powiedziałam. Przyniosę twój karabin.

- Zostań tutaj.

- Nie mam rannej nogi - sprzeciwiła się. - A ty masz.

Spojrzał na nią takim wzrokiem, który mógłby wypalić dziurę w stali.

- Zostań - powtórzył łagodnym tonem.

Zacisnęła usta ze złości, ale pozostała na miejscu.

- Nie pokazuj się - powtórzył. - Kto pierwszy wychyli głowę, ten dostanie kulę między oczy. Najważniejsza jest cierpliwość.

- Rozumiem - powiedziała cichutko. - Nie ruszę się stąd.

- Obiecuj mi.

- Obiecuję.

Poczuła chłód twardej stali, którą wkładał w jej prawą dłoń. Spojrzała: rewolwer Case'a.

- Jeżeli zobaczysz coś, co ci się nie spodoba, to strzelaj - powiedział. -

Powyżej stu stóp rewolwer trochę znosi w lewo. Jak będziesz strzelała na odległość ponad dwustu stóp, to przesuń lufę o cal w prawo. Jeżeli cel będzie jeszcze dalej, to nie strzelaj. Rozumiesz?

Sara skinęła głową.

- Broń jest przeładowana - dodał bardzo cicho Case. - Uważaj, żebyś

mnie nie postrzeliła przez pomyłkę.

- Nie strzelam, jeżeli nie widzę celu.

- Byłoby to pocieszające, gdybyś nie była na mnie tak wściekła, że mogłabyś ze mnie drzeć pasy.

W jej zakurzonej twarzy błysnął promień uśmiechu.

- Można by z tych pasów zrobić niezły dywanik - mruknęła. - Już mam dość tego klepiska w chacie.

- Jeżeli mnie nie postrzelisz, to natnę ci w górach desek na podłogę.

- Umowa stoi.

Nie widziała jego twarzy, ale wyczuwała, że w głębi duszy skrywa rozbawienie.

„Któregoś dnia podkradnę się do niego niepostrzeżenie i złapię go na tym, jak się uśmiecha” - postanowiła.

Opuścił kryjówkę za kamiennymi słupami, przesuając się na brzuchu jak polujący kot. Posuwał się sprawnie do przodu, odpychając się od ziemi wewnętrzną stroną stóp i łokci.

Ani razu nie podniósł głowy powyżej poziomu poszycia i skalnego rumowiska. Jego zakurzone ubrania i odsłonięte ciało rozmywały się na tle podłoża.

Sara musiała wyteńczyć oczy, aby upewnić się, że patrzy na Case'a, a nie na jakieś cienie rzucane przez targane wiatrem krzewy.

„Nic dziwnego, że jest tak dobrym myśliwym” - pomyślała. „Potrafi podkraść się tak blisko do zwierzyny, że może wyciągnąć rękę i chwycić ją za gardło”.

Case zniknął jej z oczu tak nagle, że aż przeszył ją zimny dreszcz.

Zamrugła powiekami, ale nic to nie dało. Zniknął tak jak zdmuchnięty płomień świeczki. W tym momencie zrozumiała, z przerażającą pewnością, w jaki sposób przetrwał tej nocy, kiedy napadli na nich trzej bandyci. Był wtedy bardzo bliski śmierci. Mógł trafić na przeciwników równie dobrych jak on.

Poczuła na plecach zimny pot. Obawiała się o Case'a, i o samą siebie.

Bała się nawet myśleć o tym, że podkrada się do niej jakiś cień, który ją zabije, zanim jeszcze zdąży krzyknąć.

Bardzo powoli przesunęła broń wzdłuż swojego boku i uniosła przed siebie. Rewolwer był zbyt ciężki, by mogła go długo utrzymać, w pozycji strzeleckiej. Drugą dłonią próbowała namacać okruchy skały. Dokładając kamyk po kamyku, zbudowała małą piramidkę, na której oparła lufę broni. Obserwowała teren, spoglądając przed siebie ponad muszką pistoletu.

Czekała.

Nagle wystrzał z karabinu rozdarł ciszę. Od razu odpowiedział mu huk wystrzałów z tego kierunku, w którym zniknął Case. Pociski przeleciały przez wąski kanion, odbijając się z gwizdem od skały.

Sara wzdrygnęła się, ale nadal trzymała rewolwer wycelowany w kie-

runku dolnej części kanionu. Zaczęła się modlić o to, żeby Case nie został ranny.

Tętent kopyt biegnącego konia wypełnił kanion. Każde uderzenie końskich kopyt odbijało się zwielokrotnionym echem od skalistych ścian, nakładając się na siebie. Nie wiedziała, gdzie jest biegnący wierzchowiec. Nagle nad zarośla wychynęła na moment głowa i broń Case'a. Strzelił, przeładował karabin, strzelił jeszcze raz, przeładował i znowu strzelił. Oddawał strzały z takim pośpiechem, że ich odgłos zabrzmiał jak jeden grzmot.

Tętent końskich kopyt zwolnił rytm i po chwili zamarł.

Rozległ się znowu gwizd pocisku. Tym razem strzały padły z innego miejsca. Spodziewała się, że Case odpowie ogniem, ale jego karabin milczał. Czuła się tak samo jak podczas nocnego napadu. Czekwała, nasłuchując z sercem trzepoczącym jak schwytyany ptak i zimnym strachem w brzuchu.

„Może jest ranny” - pomyślała z przerażeniem.

Leżenie, czekanie i martwienie się było wbrew jej naturze. Pragnęła ruszyć za nim i sprawdzić, co się dzieje. Nie było przy niej Connera, który mógłby na niej usiąść i zmusić ją do beczynnego czekania.

Jednak nie poruszyła się. Dała Case'owi słowo, że zostanie na miejscu.

Wiedziała, że nie chciałby zobaczyć jej czołgającej się w jego kierunku.

Nie powinna mu przeszkadzać. Jeżeli natomiast zginął, to nie wolno jej było zdradzić swej kryjówki. A jeżeli był ranny...

Ta myśl była nie do zniesienia. Zagryzła wargę, modląc się o to, żeby Case do niej wrócił.

Po pewnym czasie rozległ się krzyk jastrzębia. Usiłując opanować drżenie ust, odpowiedziała podobnym dźwiękiem.

Case prześliznął się przez poszycie i wsunął do kryjówki za kamiennymi słupami. Był spocony, brudny i podrapany. W rękę trzymał gotowy do strzału karabin.

- Ilu? - zapytała bardzo cicho Sara.

- Trzech.

- Gdzie?

- Dwóch zbliża się dnem kanionu.

- A gdzie jest trzeci?

- W drodze do piekła.

Westchnęła ciężko.

- Nie współczuj mu - powiedział. - Kiedy go trafiłem, pakował kule jedną po drugiej w twoją kurtkę.

- Myślał, że to ja? - zapytała, czując, jak zasycha jej w gardle.

- Jemu było wszystko jedno, czy to ty, ja, czy Conner.

Wyraz twarzy Sary zmienił się od razu, kiedy pomyślała, że jej brat

mógłby zostać zamordowany.

- Mam nadzieję, że spodoba mu się w piekle - powiedziała cicho.

- A ja mam nadzieję, że nie.

Zimny ton głosu Case'a przeszył ją dreszczem.

- A teraz co? - szepnęła.

- Czekamy.

- Na co?

- Na to, co ma się stać.

- A co będzie, jeżeli Ute i Conner usłyszeli te strzały? Czasami dźwięk niesie się daleko.

- Ute nie jest taki głupi, żeby pchać się na ślepo w środek strzelaniny.

- Conner - szepnęła z niepokojem.

Case nie odpowiedział. Wycelował spokojnie z karabinu, wypuścił oddech i bardzo delikatnie nacisnął spust. Broń podskoczyła. Ogłuszona hukem wystrzału, Sara spojrzała w dół kanionu, by dojrzeć, w połowie wysokości przeciwległej ściany, pochylającą się do przodu sylwetkę mężczyzny. Zsunął się w dół po rumowisku i zatrzymał na wielkim głazie. Bezwładność jego ciała świadczyła o tym, że albo stracił przytomność, albo nie żyje.

- Culpepper? - szepnęła z nadzieją w głosie.

- Za niski i za śniady.

W kanionie znowu zapadła cisza. Słychać było tylko świst zimnego wiatru, przenikającego każdą szczelinę i rysę w skale.

Po piętnastu minutach dreszcze zaczęły wstrząsać ciałem Sary. Skórzana koszula i spodnie zupełnie jej wystarczały, kiedy ciągnęła w dół kanionu wyschnięte kawały drewna. Jednak leżąc na ziemi obok północnej ściany kanionu, traciła ciepło z każdym uderzeniem serca. Kątem oka spojrzała na rozebranego do pasa mężczyznę. Czujnie obserwował teren będący w zasięgu strzału jego karabinu. O ile nawet odczuwał zimno, to wcale tego nie okazywał.

Dziewczyna usiłowała opanować dreszcze, bez rezultatu. Zaciśnęła zęby, żeby nie dzwoniły. Bała się, że ten dźwięk będzie przeszkadzał w obserwacji przedpola.

Po kolejnych dziesięciu minutach jej dłonie drżały tak bardzo, że nie mogła utrzymać rewolweru. Case wyjął jej broń z dłoni i wsunął ją do olstra.

- Przysuń się do mnie - powiedział cicho. - Jestem cieplejszy niż skała.

Przesunęła się powoli. Położył się na boku, przyciskając ją do siebie, a potem przesunął się lekko, przykrywając ją swoim ciałem.

- Teraz przytul się, jak zmarznięty kot - mruknął.

- B... b... będę ci p... p... przeszkadzała.

- Jeżeli nagle się poruszę, to zakryj uszy.

Czekali. Po chwili usłyszeli odgłos kopyt konia oddalającego się w górę kanionu. Był to pojedynczy, szybko biegnący wierzchowiec. Każde uderzenie kopyt o kamienie rozbrzmiewało czystym dźwiękiem. Od czasu do czasu brzmiało to tak, jakby ktoś uderzał młotkiem o skałę.

- Podkuty - powiedział Case.

- Nie obchodzi mnie ten koń, nawet gdyby miał skrzydła – powiedziała Sara z ustami przy jego obojczyku - o ile tylko jest bez jeźdźca.

- Przestań się wiercić.

Westchnęła tak mocno, że aż podniosły mu się włosy na klatce piersiowej. Nie zwracając na nią uwagi, czekał, obserwował teren i wyteżał wszystkie zmysły.

Przez długi czas w kanionie nie poruszało się nic poza wiatrem. Tylko wiatr gwizdał i zdradzał oznaki życia.

„Odjechali” - pomyślała.

Case też był tego pewien. Już nie czuł napięcia z tyłu karku.

Wciągnął powolny, głęboki oddech. Razem z powietrzem wdychał obecność Sary. W tej chwili pachniała skalnym kurzem, a nie różami, ale nie miało to znaczenia. Jego ciało naprężyło się z takim pośpiechem, że stał się twardy jak skała za jego plecami.

- Case? - szepnęła.

- Co?

- Odjechali?

- Myślę, że tak.

Poruszyła się, chcąc wstać. Natychmiast przydusił ją do podłoża.

Mocno. Mróz przeniknął go do głębi duszy, gdy przypomniał sobie jej kurtkę podskakującą pod gradem kul. Tak łatwo mogło to być jej ciało, a nie kurtka.

Nie potrafił sobie wyobrazić, co wtedy by zrobił. Nawet nie chciał o tym myśleć. Wiedział tylko, że jeszcze nie jest gotów jej wypuścić.

Poczekamy tu jeszcze trochę, żeby się upewnić, czy wszystko jest w porządku.

- Warto spróbować - mruknęła.

Jej słowa były tak przytłumione, że wcale ich nie zrozumiał.

- Słucham?

Westchnęła.

- Nic. Po prostu uwielbiam leżeć jak plasterek zimnej pieczeni w kanapce ze skały.

- Ja nie jestem skałą.

- Prawie się nabrałam. Jesteś twardy jak kamień.

Lewy kącik jego ust uniósł się na tyle, że było to widać nawet pod zarostem, którego nie pozwolił jej zgolić.

- Dama nie powinna zauważać takich rzeczy - szepnął jej do ucha.

- Tego, że masz twarde ciało? Musiałabym być zamrożona jak soplel

lodu, żeby nie... och.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, że on mówi o tej innej twardości.

- Założę się, że ten rumieniec cię rozgrzał - powiedział.

- Uważaj, bo znowu cię ugryzę.

Dreszcz czystego pożądania przeniknął Case'a,

- Jeżeli będziesz tak dalej mówiła - powiedział jej do ucha - to ja zapomnę o brzydkim nawyku Culpepperów zostawiania jednego ze swoich, żeby wykończył rannych.

- Jeżeli będę jak mówiła?

- Że mnie ugryziesz - powiedział, zamykając delikatnie zęby na krawędzi jej ucha.

Zadrżała i jęknęła cicho.

- Zimno? - wyszeptał.

- Nnie.

- Ale drżysz.

- Nikt nigdy mnie tak nie ugryzł – powiedziała.

- Jak?

W odpowiedzi delikatnie ścisnęła zębami skórę na jego umięśnionej klatce piersiowej.

Rytm serca Case'a podwoił się.

- W taki sposób - szepnęła. - Delikatny i pieszczotliwy.

- Już to kiedyś zrobiłem. Po prostu tego nie pamiętasz.

- Kiedy?

- Przed paroma tygodniami, kiedy wsunęłaś mi się do łóżka.

Znieruchomiała.

- Nie chodziło mi wcale o to.

- To znaczy seks?

- Tak.

- Saro... - nie mógł znaleźć słów. - Moja droga, seks może być pełen czułości i pieszczoty, gorący i dziki, i wszystko naraz.

- Może dla mężczyzny. Ale nie dla kobiety.

- Nie podobało ci się moje pieszczotliwe ugryzienie?

Potarła nos o włosy na jego piersiach.

- Podobało mi się - przyznała.

- Nie podobało ci się, jak pieściłem i całowałem twoje piersi dwa tygodnie temu?

- Case!

- Podobało ci się czy nie?

- Skąd mam wiedzieć? Spałam!

- A co ci się śniło?

Dreszcz wstrząsnął Sarą na samo wspomnienie.

- Leżałam na słońcu - wyszeptała. - Byłam cała rozgrzana, tak jakby... jakby... sama nie wiem. Nigdy przedtem tak się nie czułam.

- Podobało ci się to.

- Skąd wiesz? - odparła. - Nie było ciebie w moim śnie.

- Nie, ale byłem w samej tobie. Czuję, że bardzo podobają ci się moje usta i ręce na twoim ciele.

Dziki, gorący dreszcz przeniknął jej ciało.

„Byłem w tobie”.

Żaden inny mężczyzna, z wyjątkiem jej męża, nie zbliżył się do niej tak bardzo. Jedynym jej wspomnieniem o Halu był ból, tłumiony gniew i strach, że będzie musiała znosić bicie i wykorzystywanie w zamian za dach nad głową i jedzenie dla Connera.

- We mnie? - zapytała słabym głosem.

- Nie w ten sposób. Po prostu...

Zamilkł. Jak można wyjaśnić doświadczonej, a jednocześnie niewinnej kobiecie, że mężczyzna może pieścić kobietę palcami?

- Pieściłem cię. To wszystko.

- W środku? - zapytała wstrząśnięta.

Zmrużył kąciaki oczu.

- W środku - potwierdził. - Nie sprawiło ci to bólu, prawda?

- Nie wiem - powiedziała przez zaciśnięte zęby.

- Pewnie, że wiesz. W końcu się obudziłaś.

- Nie chcę o tym mówić.

- Dlaczego?

- Po prostu nie chcę!

- Potrafisz ze strzelbą w rękach stawić czoło bandytom, a nie chcesz mówić o tym, czy coś zadało ci ból, czy nie? To tylko słowa, nie kule.

Sara milczała.

- Twój mąż był głupim sukinsynem - powiedział spokojnym głosem

Case. - Mężczyźni są w większości lepsi dla swoich kobiet.

- No pewnie - odparła sarkastycznie. - Dlatego mężczyźni płacą kobietom, żeby z nimi wytrzymały. Nawet całe srebro na świecie nie wystarczyłoby, żebyś musiała znowu to znosić.

- A pamiętasz ten sen, w którym leżałaś nago na słońcu, kiedy jego promienie pieściły cię całą?

- O co ci chodzi z tym snem?

- To byłem ja.

- Co?

- T o ja byłem tym słońcem, dotykałem cię całej. I podobało ci się to, Saro. Wiem, że tak było. Przelewałaś mi się przez palce jak ciepły miód. Znieruchomiała, prawie nie oddychając.

- Kiedy zapytałaś mnie tamtego ranka, co ci zrobiłem, to myślałem, że żartujesz.

Pokręciła powoli głową.

- Nie żartowałam. Ja... nigdy... nie wiedziałam... nigdy nie było czegoś

takiego...

Nie potrafiła tego wytłumaczyć, więc zamilkła, kryjąc gorącą twarz na jego piersi.

- Czuję się taka głupia - szepnęła.

- To twój mąż był głupcem.

- Dlaczego tak mówisz?

- Masz w sobie prawdziwą namiętność, a on nawet nie starał się jej odkryć.

Podniosła głowę tak gwałtownie, że omal nie uderzyła go w podbródek.

- Namiętność? -powtórzyła zdziwionym tonem. - Chcesz powiedzieć, że mnie się podoba seks?

- Podobało ci się to, co tobie dałem.

- Ale nie byłeś ee... we mnie cały. Uciekłam, zanim zdążyłeś mnie skrzywdzić.

Uniósł ciemny łuk lewej brwi.

- Dlaczego myślisz, że bym cię skrzywdził? - zapytał łagodnie. - Nie skrzywdziłem cię do tamtego momentu, prawda?

Pomimo gorąca pokrywającego na nowo jej policzki odezwała się w równie spokojny sposób. Była zdecydowana, żeby mu wytłumaczyć, jak bardzo się myli. Wiedziała o sobie, że nie lubi seksu, i kropka.

- Widziałam cię nagiego - powiedziała wprost. - Jesteś tam wielki. Ha! nie był wcale tak duży, a jednak zadawał mi ból.

Case zmrużył na chwilę oczy. Miał nadzieję, że nie zaczerwienił się tak bardzo, jak to działo się poprzednio z Sarą, ale wcale nie był tego pewien.

Rozmowa o seksie okazała się o wiele trudniejsza niż samo uprawianie seksu.

- Odczuwałaś ból, ponieważ nie byłaś gotowa na niego – powiedział w końcu.

Zmarszczyła brwi, nie rozumiejąc.

- Gotowa? Co to znaczy?

- Ciało kobiety... zmienia się, kiedy jest gotowe na przyjęcie swojego mężczyzny.

- Lola nigdy nie mówiła nic o tym, żeby kobieta była gotowa. Kiedy mężczyzna jest gotów, to żąda seksu, i to wszystko.

- Lola była prostytutką - powiedział twardo. - Mężczyźni, którzy przychodzili do niej, chcieli seksu i śpieszyło im się. Płacili za to, żeby tak było.

- No więc?

Case otworzył usta, ale nic nie powiedział.

- Czy rozmawiałaś kiedykolwiek z Lolą o uwiedzeniu? - zapytał po chwili.

- Oczywiście. Wtedy kobiety są oszukiwane, że nie będzie bolało.

- To nie boli!

- Nie boli mężczyznę.

Ostrożnie odłożył karabin i ujął jej twarz w obie dłonie.

- Czy pozwolisz, że cię pocałuję?

- Tylko pocałujesz?

- Tak.

- To wszystko?

- To wszystko - wyszeptał, zbliżając usta do jej warg.

Podniósł głowę i spojrzał na jej zamknięte, szare oczy. Zastanawiała się nad jego propozycją. Nagle uśmiechnęła się do niego nieomal wstydliwie.

- Dobrze - szepnęła. - Lubię, kiedy mnie całujesz.

Case prawie się uśmiechnął, kiedy pomyślał o głębi jej niewiedzy dotyczącej doznań zmysłowych.

Jak wiele rozkoszy kryło się w „tylko pocałunku”!

15

Sara patrzyła, jak Case przybliżyła głowę do jej twarzy i przemyka swe czarne rzęsy. Potem poczuła na wargach parzące ciepło jego ust, które dosięgło aż do jej języka. Wzdychała i drżała jednocześnie.

- Nadal ci zimno - szepnął. - Powinienem przynieść ci kurtkę. - Nie jest mi zimno.

- Drzysz.

Ale nie w ten sposób. Po prostu tak mi całej dobrze, kiedy mnie całujesz.

Poczuła i jednocześnie usłyszała, jak Case wciąga szybki oddech.

- Więc zrobię to jeszcze raz.

Znowu przesunął wargami po jej ustach, a ona znowu zadrżała w odpowiedzi.

Pieścił kąciki jej ust, krawędź podbródka i delikatną małżowinę jednego ucha. Potem przytknął usta do pulsującego pośpiesznie miejsca na jej szyi.

Przy każdym ruchu jego głowy broda Case'a przesuwiała się po jej skórze jak delikatna szczotka, pobudzając jej nerwy do dzikiego życia.

- Na pewno nie jest ci zimno? - zapytał. Skinęła głową, pomrukując jak kot.

- Podoba ci się to?

- Tak.

- Dobrze. Obejmij mnie rękami i przytul się mocno.

- Nie jest mi zimno. Naprawdę.

- Ale ja zmarzłem - skłamał.

-Och - złagodniała od razu. - Nie pomyślałam o tym. Zawsze jesteś taki

ciepły.

Otoczyła go ramionami, przysuwając się bliżej. Poczul na sobie nacisk jej piersi. Z zaskoczeniem odkryła, że jej sutki są znowu wrażliwe na dotyk. Nie bolały ją, tylko... ożywały.

Poruszyła się, opierając o jego klatkę piersiową, i wtedy znany jej już dziwny dreszcz przeszył ją od piersi aż do kolan. Było to tak przyjemne, że aż wygięła lekko ciało, ocierając się o Case'a łagodnym ruchem.

- Czy jakiś kamień gniecie cię w biodro? - zapytał żartobliwie.

- Nie. Tylko podoba mi się... - przerwała w pół zdania.

- Co ci się podoba? - zapytał.

Zwilżyła językiem nagle zaschłe wargi.

- Z koloru twoich policzków - powiedział - wydaje mi się, że wiem, co chciałaś powiedzieć. Pomogę ci.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Przede wszystkim zdejmę po prostu rękawice i położę tutaj dłoń.

Jego długie palce dotknęły pleców Sary między łopatkami. Przyciągnął ją do siebie, przyciskając się do jej piersi. Gorący prąd przeszył jej ciało.

- Och! - jęknęła poruszona.

- Za mocno? - zapytał.

Dopiero wtedy zrozumiała, że jego ruchy absolutnie nie są przypadkowe.

Popatrzyła na niego zaintrygowana.

- Kochanie? Czy byłem zbyt natarczywy?

Pokręciła głową, patrząc mu prosto w oczy.

- Boże - wyszeptał. - Masz najpiękniejsze oczy na świecie.

- Naprawdę? - zapytała zaskoczona.

Wiedział, że nie przemawia przez nią fałszywa skromność. Była to jej zupełnie naturalna reakcja.

- Tak - potwierdził. - Czasami są takie jak mgiełka, czasami jak burza, a czasami są srebrne i tak głębokie jak morze.

Wyraz jego oczu sprawił, że Sarze zaschło w ustach. Oblizła wargi.

- Masz rację - powiedział, patrząc na jej język. - Pora na coś więcej.

- Co?

- Nie martw się. To tylko jeszcze jeden pocałunek.

- Och, dobrze.

- Też tak myślę - powiedział.

- Co...

Przerwała, czując na ustach gorące musnięcie jego języka. Zapomniała o pytaniu które miała zadać. Myślała teraz tylko o swych ustach. Były żywe i gorące w miejscach, gdzie dotykał ich jego język, a chłodne w miejscach, które minął.

Zacisnęła obejmujące Case'a ramiona, przywierając mocno do niego.

Pomógł jej, przyciągając ją do siebie i pocierając jej piersiami o swoje ciało. Przytulał ją coraz mocniej.

Otworzyła usta, z trudem łapiąc oddech. Case wsunął język do jej ust. Przesuwał go, cofał i zataczał nim kręgi. Potem przytrzymał zębami jej dolną wargę i pociągnął za nią delikatnie.

Nawet nie wiedziała, jak to się stało, że wydała z siebie ochryply dźwięk i otworzyła usta jeszcze szerzej. Wiedziała tylko, że ma w ustach jego gorący język i doświadcza nieopisanej rozkoszy jego pocałunku. Chciała mu powiedzieć, jakie to przyjemne, ale nie miała zamiaru przerywać rozkoszy. Oddała mu pocałunek, przesuwając językiem po jego języku, badając gorące zakątki jego ust, a potem delikatnie chwytając jego język zębami.

Case jęknął przeciągle. Od razu zwolniła uścisk.

- Przepraszam - powiedziała pośpiesznie. - Nie wiem nic o tych rzeczach. Jesteś jedynym człowiekiem, którego kiedykolwiek całowałam, jeśli nie liczyć najbliższej rodziny, a to zupełnie co innego.

„Conner miał rację” - pomyślał ponuro Case. „Była zamężna kilka lat ale nigdy nie zaznała pocałunku”.

Poczuł bolesne ukłucie. Był to ból wywołany przez smutek i zarażeń pożądanie, nad którymi dominowało pragnienie pieszczenia jej ciała.

- Dobrze się czujesz? - zapytała zmartwionym tonem. - Nie chciałam ci zrobić niczego przykrego.

- Nie zrobiłaś.

Głos Sary był przepelniony namiętnością, a jej oczy błyszczały za lekko przymrużonymi powiekami, jak płonące srebrnozielone kamienie.

- Ale jęknąłeś - powiedziała.

- Ty też, dwa tygodnie temu.

- Nie pamiętam.

- Tym razem będziesz pamiętała.

Sara znieruchomiała. Nie pamiętała nic więcej poza tym, jak się to skończyło: obsunięte do kolan spodnie i jego dłoń pomiędzy jej nogami.

- Wtedy nie tylko się całowaliśmy - powiedziała.

- Ty wcale mnie nie całowałaś. To ja całowałem ciebie.

- Ale...

- Ćśśś - przerwał jej znowu, przykładając wargi do jej ust. - To tylko całowanie.

- Mhm.

Po kilku chwilach zapomniała całkiem, co jest, a co nie jest całowaniem.

Przepelniała ją niesamowicie przyjemne doznania. Tak samo przyjemny był smak Case'a, jego ciepło, dotyk jego brody i ust, języka i zębów

Czując, jak Sara się odpręży, Case zrozumiał, że ona już się nie boi tego, co się może wydarzyć. Oddawała mu pocałunek w nieśmiały, niepewny, a jednak tak przepelniony namiętnością sposób, że aż kręciło mu

się w głowie.

Zapomniał o kamieniu gniotącym go w bok i zimnym wietrze owiewającym jego nagie plecy. Zapomniał o wszystkim z wyjątkiem gorących tajemnic ust Sary.

Gdzieś w głębi duszy był świadom tego, że powinien przestać, zanim to mu zamiesza w głowie. Od bardzo dawna nie miał kobiety. A Sara zbyt go pociągała, jak na jego z trudem osiągnięty spokój umysłu.

„Wyleczyła moje rany” - pomyślał. „Teraz kolej na mnie, żebym zajął się jej ranami. Zrobię to, jeżeli tylko będę mógł. Jeżeli ona pozwoli mi spróbować”.

Połączył się z nią ustami w ten sam sposób, w jaki pragnął, aby stopiły się ich ciała. Powoli. Delikatnie. W zupełności.

Sara oddychała tak samo jak on, oddawała mu każdy dotyk, pragnęła go tak samo, jak on pragnął jej. Czuł, że wszystko wokół niego znika, że jest tylko ona. Nie zauważył nawet, że rozsznurował rzemienie jej koszuli, dopóki nie oderwała od niego ust.

- Mówiłeś tylko całowanie - powiedziała oskarżycielskim tonem.

- Trudno jest całować przez jelenią skórę.

Otworzyła szeroko oczy, kiedy zrozumiała, co on ma na myśli. Kontrastując z żywym kolorem jej ust i policzków, jej oczy błyszczały przejrzystym srebrem.

- Nie mam skórzanej koszuli na twarzy - powiedziała, oddychając nierówno.

- Nie mówię o całowaniu twoich ust.

Spojrzała uważnie na niego. Na tle zarumienionej twarzy jego oczy lśniły bladozielonym płomieniem. Za każdym razem, kiedy poruszył głowę, słońce połyskiwało na jego krótkiej, czarnej brodzie jak gwiazdy na nocnym niebie. Usta miał zaczerwienione od pocałunków.

- Chcesz przestać się całować, tak? - zapytała.

- Nie - odparł. - Chcę cię całować i całować, aż będziesz tak miękka, jak ja jestem twardy, i... - zaczerpnął głęboki oddech, przerywając ten potok słów.

Sara czekała, wpatrując się w niego rozszerzonymi oczami. Jej mina wyrażała zarówno pożądanie, jak i ostrożność. Pożądanie było silniejsze. Patrzyła nie w jego oczy, ale na jego usta.

- Właśnie o to chodzi - wyszeptał. - Patrz na mnie. Patrz na nas, jak się całujemy.

Poczuła na uchu i na szyi jedwabisty dotyk jego ust i brody oraz puls własnej krwi tuż pod skórą. Wstrzymała oddech, kiedy dotknął językiem zagłębienia u podstawy jej szyi. Ssał jej skórę, gryzł ją delikatnie i drżał razem z nią, gdy odpowiadała na te pieszczoty. Nawet nie zauważyła, jak to się stało, że całkowicie rozsznurował jej koszulę. Wiedziała tylko, że już to zrobił i że jej sutki wyglądają jak twarde różane pączki napierające

na perkal jej halki.

Pochylił się, rozchylając usta nad jednym osłoniętym przez materiał sutkiem.

- Case? - zapytała niepewnie.

- Tylko całowanie - powiedział cicho.

- Ale ja nie całuję ciebie.

- Jest więcej niż jeden sposób całowania. Patrz.

Zadrzała, z trudem chwyając oddech na widok jego warg dotykających jej piersi. Sam kontrast pomiędzy jego męskim zarostem i delikatną tkaniną jej halki wystarczał, by jeszcze bardziej spotęgować intensywność tej pieszczoty.

Powoli przesuwiał język po cieniutkim materiale, oddzielającym go od jej naprężonego sutka.

Prądy napiętności przesywały ją jak ukryte błyskawice. Zafascynowana i zmieszana, uwięziona w rozkosznej sieci przyjemności, obserwowała, jak tkanina jej halki ciemnieje pod wilgotnymi dotknięciami jego języka.

Niespodziewanie jej sutek zniknął w jego ustach. Tak jak kiedyś uwiódł jej usta, tak teraz uwiódł jej pierś, pieszcząc ją językiem i zębami.

Napięła instynktownie plecy, przyciskając pierś jeszcze bardziej do jego języka. Zareagował na to, natężając pieszczoty, aż jęknęła i przyciągnęła jego głowę do siebie.

Kiedy Case w końcu uniósł głowę, jej halka wyglądała tak, jakby materiał się rozpuścił, pozostawiając jej piersi odsłonięte przed jego pełnym pieszczot językiem. Zdawała sobie sprawę z tego, że powinna czuć zakłopotanie, widząc samą siebie tak obnażoną i wiedząc, że on widzi ją w ten sam sposób, jednak rumieniec na jej policzkach pochodził raczej z narastającego pragnienia niż ze wstydu.

Uwielbiała patrzeć na niego, kiedy ją pieści.

Delikatnie przytykał raz po raz usta do napiętego różowego pączka.

Kiedy przymknął delikatnie zęby na jej sutku, zadrzała, wydając głośny okrzyk. Podniósł głowę.

- Sprawilem ci ból? - zapytał z przejęciem.

Potrząsnęła głową.

- Masz oczy tak wielkie jak srebrne dolary - wyszeptał.

Sara spojrzała na swe piersi.

- Co ty zrobiłeś? - zapytała. - Nigdy tak nie wyglądałam, nawet przy najzimniejszej pogodzie.

- Jak? - zapytał i dotknął jej sutka czubkiem języka.

- Tak - wyszeptała.

- W ten sposób twoje ciało mówi, że lubi być całowane. W ten sposób całuje też mnie.

- Tylko... całowanie?

Mruknął potwierdzająco.

- Oczywiście - dodał. - Gdybyś pozwoliła, to pragnąłbym pieścić dłońmi te piękne piersi, kiedy je całuję.

Zadrzała, widząc wyraz jego na wpół otwartych oczu. Wpatrywał się w jej piersi w ten sam sposób, w jaki głodujący człowiek patrzy na przygotowane na stole jedzenie.

- Tylko pieścić - powiedziała słabnącym głosem.

- Tylko pieścić.

- Czy to zostawi ślady?

Podniósł gwałtownie głowę.

- Czy on robił ci siniaki?

- Tylko wtedy, kiedy nie chciałam się uspokoić. Wtedy on...

- Co robił? - zapytał Case łagodnym tonem, myśląc, że może ona mylił pożądanie ze złym traktowaniem. - Nie chciałbym cię przestraszyć.

- Po prostu łapał mnie za pierś i ścisnął palcami, aż przestawałam się opierać.

Przez chwilę Case nie potrafił wydobyć z siebie ani słowa.

„To dobrze, że Conner przypadkiem zabił Hala” - pomyślał. „Jest pewne jak diabli, że sam zabiłbym go z rozmysłem, nawet gdybym miał za to wisieć”.

- Nigdy bym cię nie skrzywdził w ten sposób.

Zawahała się i wypuściła przerwany oddech.

- W porządku - powiedziała pośpiesznie. - Możesz robić to, co... to, co powiedziałeś, że chcesz robić.

- Będzie lepiej bez tej twojej koszulki. Nam obojgu.

- Nic mnie nie będzie okrywało?

- Moje usta. Moje ręce.

Zadrzała na myśl, że mogłaby odczuwać go tak blisko przy sobie, jak własną bieliznę.

- Dobrze - szepnęła tylko, gdyż miała zbyt suche usta, żeby móc mówić w jakikolwiek inny sposób.

Zdjął z niej skórzaną koszulę i ułożył ją na plecach. Wsunął dłonie pod jej halkę, przesuwając je po jej ciele, a potem uniósł kciuki, aby odsunąć tkaninę od jej podnieconych piersi.

- Boże, kobieto - westchnął, patrząc na nią. - Przy tobie chowa się słońce i księżyc.

Sara pokryła się rumieńcem od piersi do czoła.

Pochylił się i przesunął twarzą po jej ciele. Zaczął od obojczyka, by dojść do każdej piersi i znowu wrócić wyżej, całując i pieszcząc każdy cal jej ciała.

Myśl o tym, że tak delikatna piękność mogła być krzywdzona przez kogokolwiek, napędzała go wściekłością. Case pragnął lizać, całować i pieścić ją całą, usuwając z niej wszelkie wspomnienie bólu.

Podpierając się na łokciach, zagłębił twarz pomiędzy jej piersi. Dotykał jej, sam odczuwając ból, jakiego doznawała podczas wypełniania obowiązków

mażeńskich. Gdyby tylko mógł, zabrałby cały ten ból dla siebie, pozostawiając w niej tylko rozkosz.

Myśl o tym, że takie uleczenie mogłoby być możliwe, była dla niego niemalże bolesna. Z drzeniem podwoił swe pieszczoty, pochłaniając ją delikatnie. Dla Sary było to powtórzenie jej snu, w którym słońce pieściło jej nagą skórę. Twardy jedwab brody Case'a doprowadzał jej piersi do bolesnej rozkoszy, łagodzonej przez jego język, palce i dłonie. Jej zaróżowione, napięte piersi były całkowicie rozbudzone, doświadczała tego po raz pierwszy w życiu.

Jęknęła, wzdrygając się, gdy jego usta zamknęły się na jednej brodawce.

-Nigdy nie robiłem tego z żadną kobietą - szepnął Case, podnosząc głowę. - Musisz mi powiedzieć, jeżeli coś zrobię, co ci się nie będzie podobało.

Najpierw nie usłyszała jego słów, gdyż była zbyt zaabsorbowana przenikającą ją rozkoszą.

- Nigdy tego nie robiłeś? - zdołała w końcu zapytać.

- Nie w ten sposób.

- Czym to się różni?

- Chciałbym zabrać cały twój ból i na jego miejsce pozostawić samą przyjemność. Do tej pory wszystkim, czego chciałem, było...

Przerwał, by pocałować wewnętrzną stronę piersi Sary, a potem z niesłychaną delikatnością przesunął zębami po każdym sutku. Drzenie jej ciała i zaciskające się w jego włosach palce powiedziały mu, jak bardzo podoba się jej ta pieszczota.

-Do licha - wyszeptał. - Nawet nie pamiętam, jak to było kiedyś.

Wiem tylko, że nie było tak jak teraz.

Pochylił głowę, by delikatnie pieścić jej piersi, zatrzymując się nad twardymi, różowymi czubkami.

- Jest jeszcze więcej miejsc, które chcę pieścić i dostarczać im rozkoszy

- powiedział. - Pozwolisz mi?

Jedyną odpowiedzią na te słowa był tylko zduszony pomruk i nacisk palców przyciągających jego głowę z powrotem ku jej spragnionym piersiom.

- Spodoba ci się to nawet jeszcze bardziej niż wszystko, co robiliśmy do tej pory - powiedział. - Pozwól, żebym dotykał cię całej, kochanie.

Pozwól mi.

- To nie będzie... bolało? - zapytała urywanym głosem.

- Czy czułaś kiedyś coś tak przyjemnego, że cię to niemal bolało?

- Myślisz o czymś takim jak śpiew pierwszego skowronka na wiosnę?

Zacisnął zęby, słysząc to porównanie. Było to dla niego jednocześnie bolesne i przyjemne. Nigdy nie pomyślałby, że ktokolwiek może tak się czuć, słysząc pierwszą pieśń skowronka po długiej, mroźnej ciszy zimy.

Aż do tej pory Case nie pamiętał, że można tak się czuć.

- Tak - odparł. - To jest tak, jakby srebrna igła przenikała do samej

duszy człowieka. To nie jest prawdziwy ból, prawda?

- Nie. To jest piękne. Tak jak ty. Takie silne, a jednak takie subtelne. Pocałował ją bardzo delikatnie.

- Oddałbym duszę, żeby wymazać to, co zrobił ci ten okrutny staruch - wyszeptał.

Nagle łyzy wypełniły jej oczy. Czubkami palców dotknęła lekko ust Case'a.

-Nie można się cofnąć do przeszłości - szepnęła. - Można tylko iść do przodu.

Przyłożył znowu czoło do piersi Sary, pozwalając, aby równy rytm jej serca przeniknął go do głębi. Powoli, bardzo powoli przesunął usta do jej pępka i zbadał językiem to wrażliwe zagłębienie.

Jęknęła zaskoczona doznaniem przenikającymi ją z każdym ruchem jego języka. Nakrył dłońmi jej piersi, ujmując w palce naprężone sutki. Znowu powtórzył delikatne pieszczoty, a ona wygięła ciało wydając z siebie cichy okrzyk.

Zareagował falą namiętności. Świadomość tego, że dostarcza Sarze rozkoszy po raz pierwszy w jej życiu, odurzała go jak narkotyk. Powtarzał raz po raz pieszczoty, delikatnie i niepowstrzymanie.

Nie chciał tego przerwać.

Drżącymi dłońmi rozpiął jej spodnie i zsunął je z jej bioder. Spod skózanego stroju i bielizny poczuł przyprawiający go o zawrót głowy zapach róż, połączony z zapachem kobiecego podniecenia. Wciągnął głęboko powietrze, oszołomiony możliwościami jej ciała.

- Case? - zapytała niepewnym głosem.

- Ani słońce, ani księżyc czy gwiazdy - powiedział, patrząc na nią. - Nic nie jest piękniejsze od ciebie.

Pożerał ją jasnym płomieniem swych oczu, lecz dotyk jego rąk i ust był tak subtelny jak złoty cień płomienia.

Rozdarta pomiędzy zmieszaniem a gorącem, które czuła do tej pory tylko raz, w czasie swego snu o słońcu, patrzyła, jak ją pieści. Nie sprzeciwiała się, kiedy do reszty zsunął jej spodnie z nóg i podłożył je pod nią. Nie sprzeciwiała się także, kiedy położył policzek na jej brzuchu, pieszcząc go tak samo, jak poprzednio pieścił jej piersi: zębami, językiem i dłońmi. Potem zaczął przesuwać po jej udach czołem i brodatymi policzkami. Wkrótce dołączył do tego pieszczotę swych delikatnych ust i porywająco twardych dłoni. Spotęgował ten wspaniały kontrast, delikatnie chwytając ją za skórę zębami.

Uwiódł jej nogi tak samo jak resztę jej ciała. Zapomniała już, jak jest słaba w porównaniu z jego siłą. Zapomniała o zimnym wietrze, twardej skale i o wszystkim, oprócz przyjemności gromadzącej się w jej głębi, narastającej z każdym pocałunkiem, jakim ją obdarzał. Z każdą pieszczotą, z każdym wyszeptanym słowem, oddającym zachwyt nad jego ciałem.

Nogi Sary powoli rozluźniały się pod jego czułym atakiem. Jak przez mgłę uświadamiała sobie, że on, całując, dotyka wewnętrznych stron jej kolan, jej ud, jej...

- Case!

Wydał z siebie jakieś pytające, przepelnione pożądaniem i jednocześnie uspokajające mruknięcie.

- Jesteś we mnie - szepnęła.

- Boże, tak. Jesteś czystą rozkoszą.

Poruszył powoli ręką. Znowu poczuła przepływ aksamitnego gorąca.

-Jest w tobie tyle rozkoszy i gorąca, że można by roztopić wszystkie zimowe lody - szepnął.

Chciała coś odpowiedzieć, ale nie była w stanie. Przepływały przez nią fale wielkiej przyjemności, od której jej plecy napinały się jak łuk.

Case patrzył spod przymrużonych powiek, jak szok, zaskoczenie i pożądanie obejmują ją we władanie. Już nie protestowała, kiedy przesuwał dłonią pomiędzy jej nogami. Poddawała się jego pieszczotom z zupełną ufnością. Podniecało go to i jednocześnie zawstydzalo.

Powoli, lecz nieustannie podwajał swoją obecność w jej ciele, poznając ją i rozluźniając pełnymi namiętności ruchami.

Znowu urywany okrzyk dobył się z jej ust.

- Boli? - zapytał.

Nie była w stanie odpowiedzieć słowami, ale jej ciało odpowiadało za nią.

Jej gorąca reakcja poruszała go bardziej niż śpiew pierwszego skowronka po okresie zimowej ciszy. Przesunął się, by uklęknąć pomiędzy jej nogami. Powtórzył tę samą pieszczotę. Głęboko.

Uświadomiła sobie, że jest mu całkowicie uległa. Usiłowała zaprotestować, lecz tylko wydała z siebie ochryply okrzyk rozkoszy, gdy znowu poruszył ręką. Kiedy znalazł się znowu głęboko w niej, przesunął kciukiem po jej gładkim, nabrzmiałym od pożądania pączku rozkoszy.

Intensywne, zaskakujące uczucie przyjemności wybuchło w jej wnętrzu, napelniając ją żarem.

Poruszył się znowu, ogarniając ją jak delikatna, ale jednocześnie potężna fala. Był wszędzie: gorący i silny, delikatny i czuły. Spowijał ją całą.

- Powiedz mi, gdyby cię bolało - wyszeptał.

Niemalże nie słyszała tych słów. Odczuwała tylko jakieś gorąco pomiędzy nogami i nacisk, który trwał bez końca: wspaniały, przerażający i nie kończący się. Nacisk, który przepelniał ją niewiarygodną rozkoszą.

Case wydał zdławiony dźwięk, czując gorący opór jej ciała, które odpychało go i jednocześnie zapraszało, żeby zagłębił się jeszcze bardziej.

- Saro? - zapytał. - Czy sprawiam ci ból?

- Czuję się tak... dziwnie.

Drżała rytmicznie. Czuł, jak ona przesuwa się po jego naprężonej męskości, całując go w ten szczególny sposób.

- To nie boli - powiedziała. - To jest inaczej.

Przetoczył się na bok, pociągając ją za sobą. Jęknęła zaskoczona, spostrzegając, że znalazła się na jego biodrach.

- Co ty robisz?

- Jesteś tak wspaniała i ciasna - powiedział stłumionym głosem. - W ten sposób będziesz mogła decydować, jak dużo ze mnie chcesz mieć w sobie.

- Nie rozumiem.

Uniósł kącik ust.

- Spójrz w dół - powiedział,

Zrobiła, o co prosił.

Jej oczy rozszerzyły się, gdy zobaczyła, że ich ciała są połączone ze sobą w najbardziej naturalny z możliwych sposobów.

- Jesteśmy... - zaczęła, ale zaschło jej w gardle.

- Oczywiście, że jesteśmy. Chociaż raczej jesteśmy w pół drogi - dodał. Reszta zależy od ciebie.

- Jak?

- Jeżeli chcesz więcej, to obsuń się na mnie troszkę, a potem troszkę unieś i znowu opuść.

Z wahaniem poruszyła biodrami. Poczł napór gorącego jedwabiu.

Zacisnęła zęby, walcząc z pokusą natychmiastowego spełnienia.

- Jak to odczuwasz? - zapytał przez zęby.

- Myślę, że ja... że mi się podoba.

Poruszyła się jeszcze raz i jeszcze raz. Z ust Case'a dobył się chrapliwy dźwięk. Sara zastygła.

- Czy to cię boli? - zapytała,

- Tak jak śpiew skowronka.

Zawahała się, ale zaraz się uśmiechnęła, gdyż zrozumiała, co on ma na myśli.

- Tobie też się to podoba - wymruczała.

- Nie za bardzo - skłamał. - Spróbuj jeszcze kilka razy.

Powoli unosiła się i opadała, i znowu unosiła. Case przesunął dłoń po jej brzuchu, rozgarnął końcami palców trójkąt kasztanowych włosów, aż natrafił znowu na nabrzmiąły pączek rozkoszy. Otoczył go palcem, cofnął dłoń, otoczył go jeszcze raz i znowu się wycofał, rozprowadzając wilgotne gorąco jej reakcji.

Z zamkniętymi oczami, drżąc i pojękując z każdym oddechem, Sara usiłowała przysunąć się bliżej tych podniecających ją do szaleństwa palców.

Już mniej ostrożnie kołysała biodrami nad jego wzniesioną męskością, która była twarda i pełna, ale wcale nie zadawała jej bólu, już nie.

Rozkosz, jakiej doznawała, była wprost niewiarygodna.

Obserwował ją płonącymi oczami, pobudzając ciągle, aż dreszcz

ekstazy wstrząsnął obojgiem. Case cofnął się pośpiesznie.

W odpowiedzi Sara poruszyła gwałtownie biodrami, zatapiając go w sobie tak głęboko, że jego dłoń uwięzła między ich ciałami. Dopiero wtedy dał jej to, czego potrzebowała: pobudzał i uczył ją z każdym ruchem bioder.

Coś dzikiego i pięknego wypełniło ich gorące, połączone z sobą ciała. Kiedy otworzyła szeroko oczy, nie było w nich żadnego koloru, tylko ciemne, przepelnione rozkoszą źrenice. Zadrżała, kołysząc się gwałtownie. Chciała go jeszcze więcej, chciała czuć każdy jego fragment tak głęboko w sobie, jak tylko się da.

Nagle Case naprężył całe ciało. Powtarzając zduszony okrzyk, spełnił się wewnątrz jej wilgotnego gorąca.

Czując powtarzające się impulsy i słysząc jego okrzyki, zastygła nieruchomo, bojąc się, że w jakiś sposób zadała mu ból. Z niepokojem spjrzała na jego twarz.

Wyglądał tak, jakby cierpiał. Krople potu wystąpiły mu na czoło.

- Boli cię rana? - zapytała.

Nie zrozumiał, co ona mówi. Czuł tylko słabnący nacisk jej ciała. Nie chciał, żeby odchodziła. Chciał pozostać chociaż jeszcze przez chwilę wewnątrz tego ciasnego gorąca.

- Nie ruszaj się - poprosił zduszonym głosem.

- Boli cię rana - powiedziała, podnosząc się.

Z ochryplym mruknięciem wsunął dłonie pod jej uda i zagłębił się w niej na nowo. Poruszył biodrami. Mocno.

Przemknął ją dreszcz rozkoszy. Nie mogła odpowiedzieć mu ruchem bioder, ale odkryła, że może poruszać się wewnątrz w ukryty sposób, by go pieścić nawet wtedy, kiedy on pulsuje głęboko w niej.

Drżenia rozkoszy podwoiły się. Zacisnęła się na nim jeszcze raz i znowu jęknęła, odczuwając rosnącą przyjemność. Było to tak, jakby zagłębiały się w niej ogniste szpony: wnikały w nią, cofały się i znowu wnikały.

Jęknęła i poruszyła się, aby naprzec znowu na niego. Próbowwała przybliżyć się do niego jeszcze bardziej, pragnęła czegoś, czego nawet nie potrafiła nazwać. Ale podobnie jak zakapturzony jastrząb wiedziała, że to jest na wyciągnięcie ręki: ta przyzywająca ją wolność nieba była tuż koło niej.

Rozpłakała się, nie umiejąc poradzić sobie z tą tęsknotą.

Case położył dłonie na jej biodrach i targnął się do przodu, wnikając w nią głęboko. Szalona pulsująca fala gorąca wypełniła Sarę, trzepocąc jak skrzydła wypuszczonego z niewoli sokoła.

I wtedy ona też poczuła się wolna. Każdy jej oddech przemienił się w okrzyk ekstazy, będący jego imieniem.

Słyszał tę rozkosz, wnikał głęboko w puls ciała Sary, czując wilgotne gorąco jej spełnienia. Nie mógł przeciwstawić się jej lotowi, tak samo jak nie mógł przestać oddychać. Znowu naprężył ciało, wstrząsany rozkoszą.

Poruszył się jeszcze głębiej i mocniej, zapominając o wszystkim z wyjątkiem Sary i wstrząsających, nie kończących się porywów rozkoszy, do których znowu go doprowadziła.

Case uświadomił sobie, co uczynił, dopiero wtedy, gdy pozbył się Ostatnich kropli spełnienia.

„A jeżeli zajdzie w ciążę?”

Ta myśl podziałała na niego tak samo jak wrzucenie nago w śnieżną zaspę. Podniósł się raptownie, odrywając się od jej ciała.

„Za późno mówić o zamykaniu drzwi, kiedy złodzieje już okradli dom” - pomyślał ze złością, ale mimo to odsunął dziewczynę od siebie.

- Case? - zapytała zaskoczona.

- Ubierz się, zanim się przeziębisz.

Zadrzała, ale nie od wiatru. Jego oczy były tak zimne jak księżyc zimową nocą.

16

- Ciekawe, dlaczego zmienili plany - powiedział Conner.

Jego głos zabrzmiał głośno we wnętrzu chaty chyba dlatego, że jedli kolację w niezwyklej ciszy.

Cisza panowała od momentu, kiedy kilka godzin temu Case i Sara wrócili konno do chaty. Oboje byli przemęczeni i absolutnie nie mieli chęci na rozmowy. Conner przypuszczał, że miało to coś wspólnego z zastawioną przez bandytów zasadzką.

- Saro? - nie ustawał Conner.

- Przepraszam. Mówiłeś do mnie?

- Do diabła, ee... hm... nie, ja mówiłem do tego sosu. Jak myślisz, dlaczego zmienili plany?

Zamrugła oczami, najwyraźniej nic nie rozumiejąc.

- Dlaczego oni chcieli cię zabić? - zapytał znowu. - Ostatnio nie naprzykrzali się nam.

- Podejrzewam, że ranki w Źródlanym Kanionie robią się cholernie zimne - zauważył Case.

- Czy to wystarczający powód, żeby zabić kobietę? - zapytał z niedowierzaniem Conner.

- To lepszy powód niż niektóre inne, o jakich słyszałem.

Głos Case'a brzmiał chłodno i kategorycznie. Łatwo było zauważyć, że wolałby zmienić temat. Podobna sugestia widoczna była w jego oczach.

Conner zignorował te sygnały.

- Zdaje się, że Ab ma problemy ze swoimi ludźmi, tak samo jak z Moodym - powiedział.

Case jadł w milczeniu.

- Co masz na myśli? - zapytała Sara.

- Mówiliście mi, że Ab zakazał Moody'emu napadać na rancza znajdujące się bliżej niż o trzy dni jazdy konnej od Źródlanego Kanionu.

Skinęła głową.

- Kanion, w którym byliście, jest bliżej, tak samo jak nasza chata, a jednak w obydwu napadach brał udział przynajmniej jeden Culpepper.

- Co z tego? - zapytała.

Conner spojrział na nią z niechęcią.

- Więc - powiedział dobitnym tonem - jest jasne jak słońce, że Ab już nie panuje nad swoimi ludźmi, a co dopiero nad bandą Moody'ego!

Mówiąc to, sięgnął ręką, przed nosem Case'a, po patelnię pełną przysmażonego chleba z kukurydzianej mąki. Jego krzesło, niedawno sporządzone z drewna i koziej skóry, zaskrzypiało niebezpiecznie.

- Poproś, żeby ktoś ci podał chleb - napomniwała go Sara ostrym tonem.

- Dlaczego? Nawet się nie musiałem za bardzo wychylać.

- To kwestia dobrych manier.

- Zdaje się, że dobre maniery polegają na tym, iż nie zawraca się głowy człowiekowi, kiedy jest głodny - odparł chłopiec.

- Podaj mi chleb, kiedy już sobie weźmiesz - wycedziła przez zęby.

- A gdzie jest „proszę”?

- Proszę - dodała.

Case spojrział na Connera.

- Przestań denerwować siostrę. Miała dzisiaj ciężki dzień.

Sara sądziła, że w migającym świetle lampy nikt nie dostrzeże jej rumieńca.

Conner dał się przekonać Case'owi.

- Przepraszam siostrzyczko - powiedział zmieniającym wysokość tonu głosem. - To na pewno żadna przyjemność leżeć całe popołudnie przytulona do twardej skały, kiedy...

- Podaj chleb - przerwała mu Sara. - Proszę.

Nie patrzyła na Case'a. Nie spojrzała na niego ani razu od momentu, kiedy zrozumiała, że w jakiś sposób go zawiodła. Nie wiedziała jednak, co złego zrobiła.

Nie zamierzała pytać. Wystarczyła jej świadomość, że on również nie chce na nią patrzeć.

- Dziękuję - powiedziała wyraźnie, biorąc chleb od Connera.

- Proszę bardzo - odparł. - Myślisz, że Ab i Moody powystrzelają się nawzajem?

Wzruszyła ramionami.

- A ty, Case? - zapytał Conner.

- Myślę, że Ab postara się o jakieś kobiety, by zaprowadzić porządek

między swoimi ludźmi. Nie będą wtedy tacy niecierpliwi.

Sara poczuła, jak cała krew odpływa jej z twarzy.

„Niecierpliwi” - pomyślała. „Czy to tylko o to chodziło tego popołudnia?”

Co powiedział Case? Coś o tym, że dawno nie był z kobietą.

Pewnie powinnam być mu wdzięczna za to, że obszedł się ze mną tak delikatnie”.

Westchnąwszy, zaczęła wolno jeść.

„Szkoda tylko, że nie zrobiłam tego czegoś we właściwy sposób” - pomyślała z żalem.

Zamiast jeść chleb zagryzła tylko wargi.

- Kobiety? - zapytał Conner w rosnącej ciszy. - Czy one nie stworzą jeszcze więcej problemów?

- W tym są najlepsze - ocenił sardonicznym tonem Case. - Ale bywają takie momenty, kiedy nic innego nie skutkuje.

- Mhm - mruknął Conner, odwracając się do siostry. - A co ty o tym myślisz?

- Myślę - odparła, wstając - że mam już dość.

Conner spojrział na jej talerz.

- Dość? - zapytał zaskoczony. - Kawałek chleba i kęs mięsa to jest dość?

- Tak.

Z nawyku Sara zmięła pognieciony kawałek tkaniny, który służył jako serwetka, i położyła go na stole. Chwyciła kurtkę i ruszyła ku drzwiom.

- Dokąd idziesz? - zapytał Conner.

- Na dwór.

- Kiedy wrócisz?

Jedyną odpowiedzią był odgłos mocno zamykanych drzwi chaty. Marszcząc brwi, Conner spojrział na Case'a, który patrzył na zamknięte drzwi z obojętną miną. W migotliwym świetle ogniska kolor jego oczu zmieniał się od złotego do jasnozielonego.

- Co się jej stało? - zapytał Conner.

- Ma dużo spraw na głowie.

- Zawsze miała, ale nigdy nie zachowywała się w ten sposób.

- Szukanie srebra, którego się nie znajduje, może być dla człowieka męczące - orzekł Case.

- Do diabła! Ona lubi te poszukiwania. Myślę, że to jest dla niej po prostu wymówka, by wychodzić z domu i włóczyć się po okolicy.

Case jeszcze przez chwilę próbował jeść. Potem odłożył widelec i odsunął krzesło.

- Ty też? - zapytał Conner.

- Co?

- Nie masz apetytu. To jest królik, a nie wąż. Mówię poważnie. Sam to

przyrządziłem.

- Nieraz jadłem mięso węża. Nie jest złe, jak już człowiek przestanie się tym przejmować.

Chłopiec skrzywił się tylko w odpowiedzi.

Case sięgnął pośpiesznie po pas z bronią. Zapiął klamrę i ruszył ku drzwiom. Zamykając je za sobą, zadał sobie pytanie, co może powiedzieć Sarze, aby zrozumiała, dlaczego nie powinni być kochankami.

„To w ogóle nie powinno było się zdarzyć” - pomyślał ponuro. „To moja wina. Wszystko moja wina. Wcale nie powinienem był jej dotykać”.

Nadal nie mógł pojąć, jak zdołała przeniknąć przez jego pancerz.

Nigdy, nawet w najbardziej dzikim okresie jego życia, nie pozwalał, by rządził nim popęd.

„Boże, ona może nosić moje dziecko” - pomyślał, czując przeszywający go zimny dreszcz.

Nie chciał czuć się odpowiedzialny za kolejne dziecięce życie. Już nigdy.

- Case?

Obrócił się, wyciągając błyskawicznie rewolwer. Nie zatrzymał się jeszcze całkiem, gdy już chował z powrotem broń, bo zobaczył stojącego w drzwiach Connera.

Chłopiec zagwizdał z podziwem.

- Ale jesteś szybki!

- Przepraszam - powiedział Case szorstkim tonem. - Nie słyszałem, jak otwierałeś drzwi. Jestem dzisiaj trochę nerwowy.

- Mógłbyś mnie tego nauczyć?

- Nie z tą armatą, którą nosisz. To prawie karabin.

- To może spróbujemy ze zdobycznymi rewolwerami?

Case rozejrzał się, czy nie ma gdzieś w pobliżu Sary, ale nie dojrzał jej nigdzie.

- Pewnie poszła do Jeleniego Kanionu - rzekł Conner. - To jest jej drugie ulubione miejsce.

- A które jest pierwsze?

- Tamta pieczara ze strumykiem, gdzie po raz pierwszy ją znalazłeś.

- Dlaczego ona tam chodzi?

- Mówi, że to uspokaja jej duszę.

Powieki Case'a drgnęły.

-Ale od kiedy pojawili się bandyci - dodał Conner - to szuka ukojenia w Jelenim Kanionie. Jeżeli jest tam w tej chwili, to znaczy, że ta zasadzka musiała ją o wiele bardziej wystraszyć, niż daje po sobie poznać.

„Zasadzka albo to, co zdarzyło się potem” - pomyślał ze smutkiem Case.

„Do diabła, dlaczego ja to zrobiłem? Mogłem zaspokoić ją od stóp do głów, nie ryzykując, że zajdzie w ciążę”.

Nie potrafił znaleźć żadnej odpowiedzi na tak postawione pytanie. Czuł

jedynie bolesne ułknięcie w brzuchu za każdym razem, kiedy pomyślał o pełnych namiętności, żywiołowych reakcjach Sary. Właśnie posiadał ją, więc chciał się nią cieszyć bez końca.

- Przynieś któryś z tych rewolwerów - polecił sucho chłopcu.

Słyszając ton jego głosu, Conner zawahał się, ale tylko na moment. Już niemal stracił nadzieję, że Case znajdzie czas, by nauczyć go posługiwać się rewolwerem. Case był bardziej zapracowany niż trzech mężczyzn naraz: szukał srebra, dostarczał drewno na opał i wodę, trzymał straż, naprawiał chatę i poszukiwał materiału nadającego się na podłogę.

- Wróć w gnieniu oka! - zawołał Conner z entuzjazmem.

Case nie odpowiedział. Patrzył w kierunku Jeleniego Kanionu.

W świetle późnego popołudnia każdy krzew, każda gałązka i źdźbło trawy były wyraźnie widoczne.

Tak samo wyraźnie widział zgrabną sylwetkę Sary wspinającej się po rumowisku ku wlotowi pobliskiego kanionu. Obserwował ją aż do powrotu Connera.

- Nie martw się - powiedział chłopak, wychodząc z chaty. - Do tego kanionu jest wejście tylko od strony chaty. Bandyci teraz jej nie zagrażają. Case skinął głową, ale nie odwrócił wzroku, dopóki Sara nie zniknęła w cieniu, rzucanym przez ścianę kanionu. Potem niechętnie obrócił się ku chłopcu, którego uśmiech za bardzo przypominał mu Sarę.

- Który wybrałeś?

- Ten. Naprawdę łatwo się wyciąga - odparł Conner, zdradzając, że już wypróbował zdobyczne pasy z bronią.

Case wcale nie był tym zaskoczony. Tak samo nie dziwiło go to, że Conner wybrał najszybszą broń z całej kolekcji.

- Rzeczywiście wyciąga się gładko - powiedział Case obojętnym tonem - Ale nie jest wart splunięcia.

Conner zmarszczył brwi i spojrzał na trzymany w ręku rewolwer.

- O co ci chodzi? - zdziwił się.

- Strzelałeś z niego? - zapytał Case.

- Ute by mnie oskalpował za marnowanie nabojów.

- Nauka to nie marnowanie. Chodź ze mną. Nie powinniśmy straszyć kur.

- Mógłbym poćwiczyć na tym dużym pomarańczowym kogucie - zaproponował Conner.

- Niezły z niego drań - zgodził się Case. - Ale kurczaki po nim są takie jakich tu trzeba: szybkie i odporne.

- Wiem. Już sporo ich zjadłem.

Kącik ust Case'a drgnął ku górze, poruszając nieco jego brodą. Podobała mu się bystrość umysłu Connera. Słuchając go miał wrażenie, że słucha męskiego echa ostrego języka Sary.

- Biegnij uprzedzić Ute, że będzie trochę strzelaniny - powiedział. - Ja ustawię cele.

Conner pobiegł do szałas i również biegiem wrócił.

„O Boże, żeby znów być takim młodym” - pomyślał Case wracając na stanowisko. „Cały rozpalony i podniecony na myśl o odrobinie strzelania.” Mam nadzieję, że Conner będzie żył na tyle długo, żeby podchodzić do strzelania na zimno. Tak samo jak się podchodzi do wykopywania wychodka.”

- Gotów - powiedział Conner, nasadzając mocniej kapelusz na gęste jasne włosy. - Do czego mam najpierw strzelać?

- Do tamtego niedużego kamienia leżącego na tym większym, jakieś sto stóp stąd.

Conner zaskakująco sprawnym ruchem wyciągnął broń i oddał strzał. Nie trafił jednak w żaden z dwóch kamieni. Prawdę mówiąc, bliżej był odstrzelenia sobie palca u nogi, niż trafienia w cel.

-Do diabła! - zawołał patrząc na broń. - Ten spust jest tak wrażliwy jak język węża.

-I ma podobny zasięg - stwierdził Case. - Ta broń jest cała przycięta, spiłowana i podszlifowana, żeby ja wyciągać i strzelać tak szybko, jak tylko się da.

Mówiąc to, wyjął swój własny rewolwer, ujął go za lufę i podał Connerowi.

- Popatrz na różnicę pomiędzy tymi dwoma rewolwerami – powiedział.

Conner wziął podaną mu broń, spoglądając to na nią, to na rewolwer, z którego przed chwilą oddał strzał.

- Twój ma lufę dłuższą o co najmniej cal – zauważył.

Case skinął głową.

- Odrobinę wolniej się go przez to wyciąga, ale jak już do czegoś strzelam, to trafiam.

- Na tym jest spiłowana muszka.

- Chodzi o to samo - powiedział Case. - Dla kogoś ważniejsza była szybkość niż celność.

- Mogę strzelić z twojego?

- Najpierw go włóż w olster, a potem spróbuj trafić w ten mały kamień.

Wydawało się, że Conner wydobył broń tak samo szybko jak za pierwszym razem, jednak Case wiedział, że tak nie jest.

Kula odłupała skalny okruch z większego kamienia.

- Znowu nie trafiłem - mruknął Conner z niechęcią.

- Nie chybiłeś więcej niż o trzy cale. To wystarczy, żeby zatrzymać człowieka.

Conner pokręcił głową w milczeniu i wsunął broń w olster.

- Zatrzymanie człowieka jest prawie tak samo dobre jak zabicie go - powiedział Case spokojnym głosem. - W ten sposób masz trochę więcej czasu na drugi strzał, no, chyba że masz przed sobą więcej niż jednego przeciwnika.

- Czy tak właśnie było w Hiszpańskim Kościele?

- Częściowo tak. Gorsze było to, że ci Culpepperowie byli cholernie szybcy. Ale oni strzelają za szybko. Tak samo jak ty i z tego samego powodu. Mają za szybkie spusty.

- Nie mieli już szansy na powtórzenie strzału?

Case spojrział na niego chłodnym wzrokiem swych zielonych oczu.

- Gdybym dał im jeszcze jakąś szansę, to za saloonem nie byłiby zakopani oni, tylko ja.

- Jak daleko byli od ciebie?

- Prawie dwadzieścia stóp. Gdyby to było dziesięć stóp, toby mnie zabili.

- Mówisz tak, jakby cię to martwiło - mruknął Conner.

- Hazardziści mają takie powiedzenie: „Wystraszone pieniądze nigdy nie wygrywają”. To samo dotyczy strzelania. Jak człowiek się zacznie bać, to powinien zdjąć pas z bronią i nigdy już go nie zakładać.

- Chcesz powiedzieć, że się nigdy nie boisz?

- Nie w momencie walki. Przedtem czy potem boję się jak diabli.

Conner znowu spojrział na obydwa rewolwery.

- Daj mi ten rewolwer - powiedział Case, wyciągając rękę po zdobyczną broń.

Chłopiec podał mu rewolwer kolbą do przodu.

- Widzę, że Ute nauczył cię dobrych manier - zauważył Case.

- Z bronią dobre maniery mają sens - odparł Conner. - Ale podczas jedzenia po prostu przeszkadzają.

Case wsunął broń w olster, opuścił ręce i natychmiast wy dobył rewolwer, tak błyskawicznym ruchem, że trudno było dostrzec, jak to robi. Trzy strzały zlały się w jeden grzmot. Posypały się skalne odpryski.

Conner zagwizdał znowu.

- To było naprawdę szybkie. Dlaczego nie spiłujesz muszki i nie skrócisz lufy swojego rewolweru?

- Jeden celny strzał na trzy to jeszcze za mało.

- Co?

- Tylko jeden pocisk trafił w ten mały kamień. Gdybym stanął przed trzema ludźmi, tobym teraz wyglądał jak sito.

- Och - mruknął Conner.

Widzisz tamten kawałek drewna na następnym głazie po prawej stronie?

Chłopiec skinął głową.

- Schowaj mój rewolwer i strzelaj, kiedy ci powiem.

Conner spojrział wyczekująco na Case'a.

- Kiedy Ute zaczął cię uczyć strzelać?

- Conner zamrugał oczami.

- Kiedy tylko wyleczył się z ran. Miał w sobie sześć kul. To twardy *hombre*.

- Naprzykrzałeś mi się, żeby cię uczył?

- Nie, on mówi, że mężczyzna, który nie potrafi używać broni, i to dobrze jej używać, niedługo będzie martwym mężczyzną. Więc kiedy zobaczył, jak bardzo Sara mnie lubi, pomyślał....

- Teraz!

Rozkaz padł bez żadnego uprzedzenia, ale Conner nie zawahał się nawet na moment. Wydobyl broń i oddał strzał.

Kawałek drewna podskoczył do góry, by spaść deszczem drzazg.

- Dobry strzał - pochwalił Case.

Ale za wolny - rzekł z niezadowoleniem Conner.

Case wzruszył ramionami.

- Jesteś wystarczająco duży, żeby złapać trochę ołowiu, jak dojdzie do strzelaniny. Lepiej być ostatnim, który strzela, niż pierwszym.

- Wolałbym być pierwszym i ostatnim.

Kąćki oczu Case'a drgnęły nieznacznie.

- Każdy by tak chciał - powiedział. - Ale niezależnie od tego, na ile człowiek jest dobry, zawsze znajdzie się ktoś lepszy. Najlepsza walka to ta, której się uniknie.

- Mówisz jak Sara.

- Ona ma niezwykle zdrowe podejście do życia.

- Ciągłe mnie traktuje jak dzieciaka.

- Wychowała cię. Musi upłynąć wiele czasu, zanim obydwie strony z tego wyrosną.

Conner nie wyglądał na przekonanego. Z zaciśniętymi ustami tak bardzo przypominał Sarę, że Case niemalże nie mógł znieść tego widoku.

„Wcale nie powinienem był jej dotykać” - pomyślał. „Jak już raz jej posmakowałem, to teraz będzie piekielnie ciężko zapomnieć. Nie wiedziałem, że cokolwiek może być tak wspaniałe. Albo takie gorące. Boże, do końca życia nie zapomnę, jak wspaniale jest czuć jej zaskoczenie i namiętność. Smakować je. Zanurzać się w nich i zapominać...”

Dźwięk przeładowywanego przez Connera rewolweru przypomniał Case'owi, że podjął się nauczania ukochanego brata Sary, jak przetrwać w tej dzikiej krainie.

- Ute ma rację - powiedział. - Twoja siostra myśli, że słońce wschodzi i zachodzi specjalnie dla ciebie.

Conner podniósł gwałtownie głowę. W świetle słońca jego oczy przybrały głęboki, czysto zielony kolor.

- Byłbym gotów dla niej umrzeć - powiedział.

Case nie wątpił w to.

- Ona wolałaby cię żywego - powiedział.

- Też chcę, żeby tak było.

- Dobrze. To znaczy, że nie będziesz się sprzeczał, kiedy powiem, żebyś poszedł i wziął ten trzeci rewolwer. Ten, który wcale nie był spłowywany

i podrasowywany.

Conner zrobił taką minę, jakby miał zamiar się sprzeciwić, ale zaraz się uśmiechnął.

- Ute powiedział, że jak udało mi się namówić ciebie, byś mnie uczył, to powinienem cię słuchać.

Jedna z brwi Case'a uniosła się w niemym zapytaniu.

- On mówi, że jesteś jedynym człowiekiem, jakiego zna, który wyszedł żywo ze strzelaniny z Culpepperami - wyjaśnił Conner.

- Cholernie mało brakowało, żebym nie wyszedł. Właśnie dlatego będę cię uczył czegoś więcej niż samego strzelania. Powiem ci o Culpepperach. O wszystkich ich podstępnych zasadzkach, które urządzają, żeby wziąć zakładników i sprzedać ich jako niewolników Comancheros. Miałeś dużo do czynienia z Culpepperami? Mój brat i ja polujemy na nich od końca wojny.

Conner miał ochotę zapytać, dlaczego tak jest, ale rozmyślił się, kiedy zobaczył wyraz oczu Case'a.

- Ilu z nich dopadliście?

- Za mało.

Conner nie zadał już ani jednego pytania.

17

- Mogłabyś mu zanieść jedzenie? - zapytała Lola.

Sara spojrzała na talerz z chlebem i duszonym mięsem, który Lola wyciągała w jej kierunku. Bardzo chciała wymyślić jakąś wymówkę, żeby nie nieść Case'owi kolacji. W tej chwili trzymał straż na górze. Sam. W ostatnich trzech dniach unikała bycia sam na sam z Case'em. Dwa dni temu nawet wymknęła się sama na poszukiwanie srebra.

Uszy nadal ją paliły na wspomnienie jego reakcji na ten samotny wypad.

„Upór to jedna rzecz, a kompletna głupota to co innego. Jeżeli jeszcze kiedyś wybierzesz się sama na poszukiwania, to wytropię cię i przywiozę z powrotem przywiązaną do mojego siodła”.

Po tym incydencie już ani razu nie wybrała się samotnie na poszukiwanie srebra. Nie potrafiła jednak zmusić się do tego, by jechać z Case'em. Sama myślała o tym, co zaszło, kiedy po raz ostatni byli ze sobą sam na sam, wystarczała, żeby przesywał ją na zmianę gorący i zimny dreszcz. Usiłowała przekonać się w duchu, że w ten sposób objawia się jej

zakłopotanie, nie była jednak całkiem pewna, czy sama w to wierzy.

- Brakuje jednej kozy - powiedziała Lola. - Tej czarno-białej samicy z delikatnym włosiem.

Sara od razu zapomniała o swoich zmartwieniach.

- Od jak dawna jej nie ma?

- Nie było jej ze stadem, kiedy Duch je przypędził.

Sara wzięła od niej talerz.

-Zaniosę mu kolację, a ty idź poszukać tej kozy. Jest najlepsza ze stada.

Lola obdarzyła ją uśmiechem i pośpiesznie wyruszyła na poszukiwanie zaginionego zwierzęcia.

-Jeśli Case będzie wrzeszczał na mnie za to, że wchodzę na górę sama, to napuszczę go na ciebie! - zawołała za Lolą.

Odpowiedział jej tylko śmiech.

Sara postanowiła nie brać konia, gdyż uznała, że szybciej dotrze na szczyt pieszo. Zależało jej na pośpiechu: chciała jak najszybciej mieć to niewdzięczne zadanie za sobą.

Kiedy dotarła na krawędź kanionu, słońce właśnie przepływało przez próg popołudnia w wieczór. Dziewczyna była oszołomiona imponującym widokiem cichej krainy oświetlonej złotymi promieniami słońca. Stojąc nieruchomo, wpatrywała się w nieskończoną sieć zacienionych kanionów, przetykanych ozłoconymi słońcem iglicami, pagórkami i mesami.

W jej oczach surowe kontury krajobrazu były piękniejsze od wszelkich łagodnie wznoszących się zielonych wzgórz. Bogactwo i subtelność kolorów kamiennej pustyni, zimny wiatr, niosący w sobie jakąś tajemnicę, i rozciągający się wokół bezkresny widok wypełniały jej duszę radosnym podnieceniem.

Podnosząc oczy, ujrzała jastrzębia, który unosił się na prądach ciepłego powietrza. Swobodny lot ptaka był jak dzika pieśń wypełniająca w ciszy jej duszę.

Uśmiechając się, przymknęła na wpół powieki i rozkoszowała się pilnującym wokół spokojem.

Case obserwował ją zza osłony krzewów, mrużąc oczy, tak jakby go bolały. Musiał wyteńczyć wszystkie swe umiejętności samokontroli, jakie posiadał, walcząc w armii Południa i potem, kiedy prowadził swą prywatną wojnę, by nie wyjść z ukrycia i nie wziąć jej w ramiona, nasycając się radosną tajemnicą jej życia.

„Dlaczego ona tu przyszła? Przez ostatnie trzy dni robiła wszystko żeby uniknąć spotkania ze mną. Może wie, że jest w ciąży” - pomyślał, czując bolesne ukłucie w sercu.

- Co tu robisz? - zapytał głosem, który zabrzmiał szorstko nawet w jego własnych uszach.

Obróciła się i spojrzała na niego, jakby był dzikim zwierzęciem. Albo

jednym z Culpepperów.

- Lola szuka jednej ze swoich kóz - powiedziała spokojnym głosem. - poprosiła mnie, żebym przyniosła ci kolację. Conner i Ute śpią.
„No cóż, dostałem odpowiedź na moje pytanie” - pomyślał. „Jest tutaj, ponieważ nikt inny nie mógł przyjść”.

- Dziękuję.

- Proszę bardzo.

Case skrzywił się.

- Nie powinnaś traktować mnie jak kogoś obcego - powiedział wprost. - Jesteśmy dla siebie kimś o wiele więcej.

Cień rumieńca przemknął po jej twarzy.

- Gdzie chcesz zjeść kolację? - zapytała ze ściśniętym gardłem.

- Przede wszystkim chciałbym, żebyś mi jej nie rzuciła w twarz.

Sara spostrzegła, że trzyma talerz w taki sposób, jakby chciała nim cisnąć w Case'a, gdy tylko podejdzie do niej.

- Przepraszam - mruknęła. - Przestraszyłeś mnie. Myślałam, że jestem sama.

- Jesteś w ciąży?

Tak zaskoczył ją tym pytaniem, że aż otworzyła usta.

- Przepraszam? - powiedziała oszołomiona.

- Słyszałaś mnie.

- Coś w tak złym guście....

- Odpowiedz na moje pytanie. Oszczędź sobie tych kazań dla Connera.

- Nie wiem – odpowiedziała.

- Co?

- Ja... nie... wiem... - Wypowiedziała każde słowo z osobna, jakby odrywała z niego kawałki skóry. - Zadowolony?

- Byłem przez jakieś dziesięć minut - mruknął pod nosem. - Wiele dni temu.

- Jeżeli chcesz ze mną rozmawiać - powiedziała słodkim tonem - to przestań mamrotać w swoją brodę.

- Zdawało mi się, że podoba ci się moja broda. Szczególnie kiedy dotykam wewnętrznej strony twoich ud.

Drgnęła, jakby ją uderzył.

- Do cholery! - zirytował się. - Przepraszam. Nie mam prawa. Tylko że jak myślę, iż...

Przerwał nagle, usłyszawszy zbliżający się odgłos końskich kopyt. Zmienił się natychmiast. Był znowu zimny i opanowany.

- Chodź tutaj - powiedział. - Szybko i cicho.

Nie skończył jeszcze mówić, gdy Sara już wsuwała się pod krzak, który go osłaniał.

- Masz broń? - wyszeptał.

Pokręciła głową.

- Przepraszam. Nie myślałam, że będę potrzebowała...

- Nie myślałaś, i kropka - przerwał jej.

Nie próbowała się spierać. Wiedziała, że Case ma rację. Nikt, absolutnie nikt nie powinien był odchodzić bez broni dalej niż dziesięć stóp od chaty.

Była jednak taka zdenerwowana perspektywą bycia z nim sam na sam, że nie myślała o niczym innym. Pragnęła tylko jak najszybciej mieć za sobą to spotkanie.

- Cofnij się - powiedział cicho. - Jakieś piętnaście stóp z tyłu jest szczelina w skale. Schowaj się w niej i nie wychodź, dopóki cię nie zawołam.

Przesunęła się obok niego, chwytając w dłoń rewolwer, który jej podał.

Nie odwrócił się, by odprowadzić ją wzrokiem. Ciche szuranie jej skórzanego ubioru o gałęzie krzewów poinformowało go, że wypełnia jego polecenie.

„Przynajmniej raz” - pomyślał.

Odgłos kopyt zamarł.

W promieniu kilku mil tylko jedna ścieżka prowadziła w dół urwiska.

Case miał ją w zasięgu strzału swego karabinu.

Cofnął się pomiędzy zarośla śladem Sary. Ani na chwilę nie odwracał wzroku od miejsca, w którym spodziewał się ujrzeć bandytów.

Z lewej strony rozległ się śpiew skowronka. Z prawej strony odpowiedział mu taki sam dźwięk.

Case odetchnął z ulgą i wydał takie samo melodyjne zawołanie. Nastąpiła cisza.

- Ktokolwiek się ukrywa w tych zaroślach - rozległ się w końcu czyjś głos - niech wie, że nie szukamy kłopotów.

- Więc przyjechałeś w złe miejsce! - zawołał Case. - Tu nie ma nic poza kłopotami.

Momentalnie z ukrycia wyskoczył wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna z karabinem w ręku.

- Case?! - zawołał zaskoczonym tonem.

- A któż by inny - powiedział Case, wychodząc z ukrycia. - Czy ten tam z tobą w zaroślach to Morgan?

- Mój Boże - westchnął Hunter.

Chwycił brata i przycisnął go do siebie z taką siłą, że gdyby na miejscu Case'a znalazł się ktoś słabszy, to potrzaskałyby mu żebra.

Case był oszołomiony. Po chwili jednak oddał bratu równie silny uścisk.

- Dzięki Bogu - powtarzał raz po raz Hunter. - Morgan, wychodź. Case żyje!

- Oczywiście, że żyje. Znowu piliście samogon Morgana?

W miejsce odpowiedzi Hunter klepnął brata w plecy, odsunął go od siebie, żeby się mu przypatrzeć, znowu go mocno objął i wypuścił.

Z zarośli wynurzył się zylasty czarnoskóry mężczyzna z karabinem

przełożonym przez ramię.

-Jak się masz, Case? - zapytał. - Cholernie się cieszę, że spotykam cię po tej stronie piekła. Jak diabli.

Case potrząsnął dłonią Morgana i z radości trzepnął go ręką w plecy.

-Wy dwaj też wyglądacie całkiem nieźle, jak na takie paskudne stwory.

Morgan roześmiał się i potarł dłonią swą czarną, kręconą brodę.

-Kto tu jest paskudny, chłopcze? Jesteś tak samo obrośnięty jak ja.

Ukrywasz się przebrany za niedźwiedzia?

Case pokręcił głową.

- Co tu robicie obydwaj? - zwrócił się do brata.

- W Rubinowych Górach rozeszły się słuchy, że zostałeś zabity przez Culpepperów - powiedział Hunter.

Twarde rysy jego twarzy mówiły więcej niż te oszczędne słowa.

- Byłem blisko śmierci - przyznał Case.

- Jak blisko?

- Reginald i Quincy byli najszybszymi Culpepperami, przeciw którym kiedykolwiek wyciągnąłem broń.

- I co? - zapytał Hunter.

- Każdy z nich oddał po dwa strzały, zanim ich wykończyłem. Dostałem trochę ołowiu.

- Ale wyglądasz już całkiem zdrowo.

- Miałem dobrą pielęgniarkę - powiedział Case, podnosząc głos. -

Sara, podejdź tutaj, poznasz naszych przyjaciół.

Dziewczyna wyszła z zarośli. Nie trzymała już w rękach naczyń z kolacją dla Case'a, lecz trzymała w dłoniach jego rewolwer. Spoglądała przed siebie nieufnie, dopóki nie dostrzegła Huntera.

- Z wielkości i figury widać - zauważyła z uśmiechem - że musisz być krewnym Case'a.

- Pani Kennedy - przedstawił ich Case - to mój brat, Hunter Maxwell, i nasz przyjaciel Nueces Morgan.

- Miło mi panią poznać - powiedział Morgan, unosząc kapelusz.

Hunter zdjął kapelusz i ukłonił się Sarze.

- Dziękuję za uratowanie życia mojemu bratu. Gdyby kiedykolwiek potrzebowała pani pomocy, niech pani pośle wieści do Rubinowych Gór. Przyjadę tutaj co tchu.

- Nie ma tu żadnego długu wdzięczności - odparła. - Ratowałam już bardziej bezużyteczne stworzenia niż pana brata.

- Ale pewnie nie za wiele - wtrącił się Morgan.

Sara roześmiała się. Czarnoskóry jeździec przypadł jej do gustu. -

Zapraszam na kolację - powiedziała, uśmiechając się do przybyszy. -

Duszone mięso i chleb z kukurydzianej mąki. Posiłek będzie gotowy, jak

tylko zrobię następną porcję.

- To bardzo miłe z pani strony, pani Kennedy - powiedział Hunter.

- Dziękuję pani - zgodził się ochoczo Morgan. - Od tak dawna jesteśmy o sucharach i wodzie, że mój brzuch myśli, iż ktoś poderznął mi gardło.

- O sucharach i wodzie? - zdziwiła się.

- Śpieszyliśmy się - wyjaśnił krótko Hunter. - Pewien włóczęga powiedział mi, że Case nie żyje.

Oczy Sary rozszerzyły się, a serce podskoczyło jej do gardła, kiedy pomyślała, co musiał przeżyć Hunter.

- Biedny człowieku - powiedziała. - Nic dziwnego, że wyglądasz na tak zmęczonego. Wiem, jak to jest, kiedy się traci najbliższą rodzinę.

Wyraz współczucia w mglistoszarych oczach Sary poruszył Huntera.

- Jest pani bardzo dobrą kobietą - powiedział.

- Jestem pewna, że twój brat ma na ten temat inne zdanie - odrzekła. -

I proszę, mów mi: Sara. Jestem wdową dłużej, niż byłam zameżna. Nigdy nie czułam się dobrze z nazwiskiem Kennedy.

- Sara - powtórzył, uśmiechając się. - Więc ty mów mi: Hunter.

Uśmiechnęła się również. Jej uśmiech, podobnie jak jej głos, był kobiecy, otwarty i życzliwy, ale wcale nie uwodzicielski.

- Możesz oszczędzić swoich dziewczęcych wdzięków dla kogoś innego

- powiedział kwaśno Case. - Hunter jest żonaty ze wspaniałą kobietą.

Sara spojrzała na Case'a z ukosa.

Mam jeszcze mniej dziewczęcych wdzięków niż ty dobrych manier -

powiedziała - a to znaczy, że jest ich mniej niż kot napłakał.

Morgan i Hunter zareagowali głośnym śmiechem, Case natomiast mruknął coś pod nosem.

Sara uśmiechnęła się do Huntera.

- Jesteś jego starszym bratem, prawda?

Skinął głową.

- Zdaje się, że miałeś takie same rezultaty, ucząc go dobrych manier, jak i ja podczas edukacji mojego młodszego brata.

Hunter ukrył uśmiech, gładząc swój gładki, czarny wąs.

- Wynikały pewne nieporozumienia - przyznał.

- Jestem pewna, że wynikały, ale ty przynajmniej byłeś na tyle duży, żeby sprać swojego braciszka na kwaśne jabłko. Conner ma tylko piętnaście lat, ale jest dwa razy silniejszy niż ja.

- Prędeż trzy - wtrącił Case. - Ten chłopak je tyle co plaga szarańczy.

- A ty, oczywiście - odparła - masz taki maleńki apetycik.

Morgan zakaszłał, podczas gdy Hunter nawet nie usiłował ukryć swojego rozbawienia ostrym językiem Sary. Uniósł po prostu głowę i roześmiał się na głos.

-No cóż, widzę, że nie będę się musiał już kłopotać trzymaniem stra-ży

- powiedział Case ironicznym tonem. - Wasze ryki wystarczą, żeby wystraszyć muły Culpepperów.

Kręcąc głową, Hunter objął ramieniem Case'a i nie przestając się śmiać, przycisnął go mocno do siebie.

Case nie uśmiechnął się w odpowiedzi, ale rysy jego twarzy złagodniały, kiedy oddał bratu uścisk. Widząc łączące braci uczucie, Sara uśmiechnęła się, chociaż w gardle ścisnęła ją od smutku. Aż do tej chwili nie przyznawała się do tego nawet przed samą sobą.

„Pewnego dnia Conner opuści mnie i pójdzie własną ścieżką” - pomyślała.

Tym razem jej smutkowi towarzyszyło pewnego rodzaju uspokojenie.

„Tak to już jest. Nie wychowałam go po to, żeby dotrzymywał mi towarzystwa. Ale, drogi Boże, będę bez niego taka samotna”.

- Przyprowadzić konie, pułkowniku? - zapytał Morgan.

- Pójdę z tobą- powiedział Hunter. - Sześć koni to spore stadko.

- Sześć? - zapytała Sara, niezadowolona, że będzie musiała karmić tak wielu mężczyzn. - Jest tam was więcej?

- Nie, proszę pani - odparł Morgan. - Nie chcieliśmy po drodze zajeżdżić koni, więc wzięliśmy po trzy.

Przyjrzała się uważniej obydwu przybyszom.

- Spaliście po drodze? - zapytała.

- W siodle - powiedział Hunter. - To kawaleryjski sposób.

- Jak długo jechaliście?

- Sam nie wiem - przyznał, pocierając zmęczonym gestem twarz. -

Cieszę się tylko jak cholera, że nie jechaliśmy na pogrzeb.

- Mieliśmy tu parę pogrzebów - powiedziała - ale jak dotąd zakopywaliśmy ludzi Moody'ego i jednego Culpeppera.

Nagle wyostrenie rysów twarzy Huntera, gdy spojrzał na Case'a, przypominało Sarze twarz jego brata.

- Culpepperowie są tutaj? - zapytał Hunter.

Case skinął głową.

- Słyszeliśmy tylko o tych dwóch w Hiszpańskim Kościele - rzekł. - Czy Ab tu jest?

- Jest, dopóki nie podejdzie mi pod muszkę karabinu. Wtedy pošlę go do piekła.

- A reszta Culpepperów?

- Są wszyscy z wyjątkiem jeszcze jednego, którego zabiłem kilka tygodni temu.

- Jak to się stało? - zapytał Hunter.

- On i dwóch ludzi Moody'ego myśleli, że zaskoczą nas, podchodząc od tyłu chaty po zachodzie księżyca.

Morgan pokręcił głową.

- Usłyszałem, jak nawołują się dwie pozbawione słuchu sowy, więc wyszedłem na polowanie - dodał Case. Sara zacisnęła usta. Wiedziała,

że nigdy nie zapomni strachu, jaki czuła o niego tamtej nocy.

- Wtedy jeszcze bolały go rany - powiedziała szorstko. - Ten Culpepper prawie go dopadł..

- Który to był? - zapytał Hunter.

- Nie Ab - odparł Case. - Brakowało mu jednego palca. Ostatni raz, kiedy byłem na tyle blisko, żeby policzyć, Ab miał wszystkie dziesięć palców. Ten to chyba był Parnell.

Hunter nałożył kapelusz szybkim ruchem.

- W porządku - powiedział. - Będziemy się martwić, jak ich dopaść, kiedy już odpoczniemy.

- Dopaść ich? - zapytała Sara.

- Nie ma czym się martwić, proszę pani - wtrącił Morgan. - To tylko taka nie dokończona sprawa, jeszcze z Teksasu.

- Jest was tylko czterech, wliczając w to Ute - powiedziała. - A tych bandytów jest przynajmniej dwunastu.

- Mniej więcej. Niedawno paru ludzi Moody'ego wymknęło się w nocy

- wyjaśnił Case. - Nie podobał im się Ab.

- Kiedy ich ostatnio liczyłeś? - zapytał Hunter, patrząc uważnie na brata.

- Dwa dni temu. Znalazłem świeże ślady oddalające się od obozu, ale żadnych śladów prowadzących do niego.

- Poradzimy sobie z tą robotą - oznajmił Hunter.

Z tonu jego głosu i wyrazu twarzy łatwo było wywnioskować, że nie pierwszy raz stoi przed takim zadaniem.

Sara spojrzała na obydwu braci i już otwierała usta, żeby zadać jakieś pytanie, ale rozmyśliła się. Cokolwiek powiedziałyby, to nic to by nie zmieniło wobec determinacji, jaką widziała w ich twarzach.

Nie mogła też podważać słuszności ich postanowienia. Sąsiedztwo bandytów było podobne do sąsiedztwa gniazda grzechotników. Wcześniej czy później ktoś zostałby ugryziony. Śmiertelnie ugryziony.

- Zjedz kolację - zwróciła się do Case'a.

- Przyniosłabyś coś dla Huntera i Morgana? - zapytał. - Musimy omówić dużo planów.

- To może poczekać - sprzeciwiła się. - Oni bardziej potrzebują odpoczynku niż gadania. Obydwaj wyglądają jak konie, które zostały zajeżdżone i zostawione bez wytarcia, jakby to powiedział Ute.

Hunter uśmiechnął się nieco, a Morgan roześmiał się i rzucił okiem na Case'a.

Sam Case wcale się nie uśmiechał, a tym bardziej daleko mu było do śmiechu. Patrzył na Sarę z mieszaniną czujności i jakiegoś innego nieokreślonego uczucia. Uśmiechnęła się do niego, a raczej pokazała mu zęby. Jej uśmiech złagodniał, gdy obróciła się do dwóch zmęczonych jeźdźców.

- Jedźcie tą ścieżką w dół - powiedziała. - Ja pójdę przodem i ostrzeżę

Ute i Lolę, żebyście nie dostali kuli.

- Lolę? - powiedział Morgan. - Czy chodzi o Dużą Lolę?

- Kiedyś tak. Teraz jest po prostu zwykłą Lolą.

- Rozumiem, co chce pani powiedzieć. A ten Ute, czy to jest taki nieduży *hombre*, który niewiele mówi, a jak już, to do rzeczy?

- To właśnie ten Ute - potwierdziła.

- Do cholery! - wyrzucił z siebie i pośpiesznie dodał: - Przepraszam za wyrażenie, proszę pani.

- Nie przejmuj się - powiedziała. - Wymagam salonowych manier tylko w salonie.

- Wcale się nie spodziewałem, że jeszcze kiedyś zobaczę któreś z tej dwójki przy życiu - wyjaśnił Morgan. - Słyszałem, że Ute został zabity w pościgu po napadzie. Potem Duża... eee... Lola zniknęła.

- Sara wyciągnęła Ute z takiego samego dołka jak mnie – powiedział Case. - Teraz on myśli, że słońce wschodzi i zachodzi tylko dla niej.

- To zrozumiałe - rzekł Hunter. - Mężczyzna myśli bardzo pozytywnie o kobiecie, która uratowała mu życie.

- Ale nie twój brat - zauważyła kwaśno Sara. - Lecz nie przejmuj się nim. Jego pogląd na świat jest absolutnie jasny.

Case nie dał po sobie poznać irytacji, kiedy usłyszał te słowa. Tak samo tłumił w sobie pożądanie, które przeorywało go do głębi za każdym razem, kiedy wiatr zmieniał kierunek i przynosił ulotny aromat róż i kobiety. Zapach Sary prześladował go.

„Nie myśl o tym” - napomniął się ostro w duchu, ale łatwiej byłoby mu przestać oddychać.

Morgan spojrział na Sarę, a potem na Case'a i chrząknął.

- Ile jeszcze masz stać na straży? - zapytał.

Case odwrócił wzrok od Sary z taką niechęcią, że nie potrafił tego ukryć.

- Jeszcze kilka godzin.

- Zastąpię cię do końca twojej zmiany - zaproponował Morgan, przeciągając się.

- Jesteś bardziej zmęczony niż ja.

- I bardziej głodny - dodał Morgan, uśmiechając się. - Ale zdaje mi się, że kolacja, którą tu zjem, będzie obfitsza od tego, co Hunter zostawi dla mnie tam na dole.

- Będę stała nad nim z dubeltówką - powiedziała Sara. - W moim domu wszyscy dostają po równo.

- Tylko żartuję - zachichotał Morgan. - Pułkownik prędzej zrezygnowałby ze swojego przydziału, niż pozwolił, żeby jeden z jego ludzi był głodny. Jedź na dół z bratem - zwrócił się do Case'a. - Do tej pory trudno mu uwierzyć, że jeszcze jesteś żywy.

- Dziękuję - powiedział Case po chwili wahania.

- Jakie są wasze sygnały ostrzegawcze? - zapytał Morgan.

- Takie same jak w Teksasie, tylko że jak wszystko jest w porządku, to używamy zawołania jastrzębia. Sara bardzo lubi te nawoływania.

- Te diabły, które kradną kury? - mruknął Morgan.

- Jak spotkasz się z czerwonym kogutem Sary, to polubisz jastrzębie - powiedział Case. - No chodź, Hunter. Weźmiemy konie.

- Przyniosę ci kolację Case'a - zwróciła się Sara do Morgana. - Niestety, już jest zimna.

- Proszę pani, nie będę narzekał, dopóki nie będę musiał jej upolować. Zanim wróciła z zarośli z jego kolacją, Case i Hunter już byli z powrotem. Prowadzili sześć koni. Po wszystkich wierzchowcach widać było, że przebyły ciężką, długą drogę. Sierść miały zeszywniała i poznaczoną białymi liniami od zaschniętego potu. Jednym z wierzchowców był duży ogier, który miał taką samą sylwetkę i potężną pierś jak Świerszcz. Pozostałe były mustangami z domieszką gorącej krwi.

Hunter dosiadł ogiera z kocią zręcznością, przypominającą ruchy Case'a.

- Pójdę pierwsza i ostrzegę Ute - powiedziała Sara, odwracając się szybko ku ścieżce.

- Nie potrzebujesz iść - powiedział Hunter. - Mój Bugle Boy jest dżentelmenem. Nie będzie się sprzeciwiał wiezieniu dwojga ludzi.

- Jeżeli ona ma z kimś jechać, to ze mną - powiedział ostro Case i słysząc ton własnego głosu, dodał: - Twój koń wygląda na wyczerpanego. Hunter uniósł swe czarne brwi. Nie miał wątpliwości, że jego brat czuje się odpowiedzialny za tę piękną wdowę. Może nawet uważał ją za swoją własność.

Case gwizdnął przenikliwie. Świerszcz wynurzył się z ukrycia przy prowadzącej w dół ścieżce i podbiegł do niego truchtem. Bez słowa Case odwiązał wodze z szyi konia i odwrócił się, żeby pomóc Sarze wsiąść. Zniknęła.

- Uciekła jak poparzony kot - powiedział Hunter. - Chyba się jej nie spodobał pomysł jazdy we dwoje.

Case wzruszył ramionami, usiłując przekonać się w duchu, że wcale nie jest zawiedziony. Jednak to nie była prawda. Pragnął czuć zapach Sary i cieszyć się jej dotykiem w swoich objęciach.

To pragnienie nie było dla niego zaskoczeniem. Zaskakiwało go co innego: to, że czuje taką przykrość z powodu jej ucieczki.

„Musimy to rozwiązać” - postanowił. „Dzisiaj wieczorem”.

Już sama ta myśl przeniknęła go dreszczem oczekiwania.

„Tylko porozmawiamy. Nic więcej” - powtarzał sobie w myślach, jadąc w dół. Sam jednak nie był pewien, czy w to wierzy.

- Przepraszam - powiedziała Sara. - Ktoś będzie musiał stać. Nie mam dość krzeseł dla wszystkich.

- Ja ostatnio dość dużo siedziałem - powiedział Hunter z uśmiechem. - Chętnie zjem na stojąco.

Kiedy Sara podawała kolację, jej brat spoglądał to na Huntera, to na Case'a i kręcił głową.

- Jak dwie krople wody - powiedział. - Oczy Huntera są szare, a nie szarzielone, ale jakby się ogoliło Case'a i na moment nałożyło mu na twarz uśmiech...

Uśmiech Huntera był niemalże smutny. Jego brat nie uśmiechał się wcale.

- Pamiętaj o dobrych manierach - napomniała go Sara.

Conner skrzywił się.

- Ute nauczył twojego brata dobrych manier w posługiwaniu się bronią

- powiedział neutralnym tonem Case.

- Chwała mu za to - mruknęła. - Biorąc pod uwagę, ile tu jest ostatnio strzelaniny, dziw bierze, że go nie musiałam zawinąć w bandażę jak szczeniaka, który węszył koło uła z pszczołami.

Policzki Connera pokryły się intensywną czerwienią.

- Spokojnie - powiedział Case. - Conner wykonuje męską robotę i dobrze sobie z tym radzi.

Sara obróciła się gwałtownie i spojrzała wprost na Case'a po raz pierwszy od czasu, kiedy tak mu się śpieszyło, żeby ją zdjąć z siebie i ubrać.

- Conner jest moim bratem, nie twoim - powiedziała dobitnie. - Trzymaj się z dala od naszych spraw.

- Nie.

Hunter uniósł brwi. Od czasu wojny nie widział na twarzy brata wyrazu takiego uporu.

- Słucham? - powiedziała lodowato grzecznym tonem.

- Już słyszałaś. Conner jest duży jak dorosły mężczyzna i wykonuje męską robotę. Nie musi trzymać się twojej spódnicy za każdym razem, kiedy chce dać krok. Teraz potrzebujemy mężczyzny, nie chłopca.

Sara zbladła. Już otwierała usta, gotowa nie pozostawić na nim suchej nitki, ale Conner był szybszy.

- Nie ma sprawy - powiedział pośpiesznie do Case'a. - Moja siostra i ja dużo razem przeszliśmy. Ona jest przyzwyczajona do tego, żeby

nade mną się trząść, a ja przywykłem do tego, że ona się o mnie zamartwia. Sara obróciła się z gniewem ku niemu, ale złagodniała, zobaczywszy w oczach brata spokój i pewność siebie. Posłała mu uśmiech, który łatwo mógł się obrócić w niechętny grymas, i wróciła do nakładania mięsa. Hunter odetchnął z ulgą.

- Jak się ma Elyssa? - zmienił temat Case.

- Jest piękniejsza niż kiedykolwiek przedtem - odpowiedział Hunter z uśmiechem. - Przed jesienią znowu będziesz wujkiem.

Twarz Case przybrała trudny do opisanego wyraz. Malowały się na niej ból, radość i żal, taki żal, który potrafi przeniknąć duszę człowieka do samej głębi.

- Kolejne dzieci? - powiedział spokojnym tonem. - Jesteś odważniejszym człowiekiem niż ja.

- Albo większym durniem - powiedział Hunter. - Ale tak czy inaczej, i tak jestem cholernie szczęśliwy. Jak jestem z Elyssą, to czuję, że słońce świeci dwa razy jaśniej.

Sara przypomniała sobie słowa Case'a o tym, że pewien rodzaj miłości pomiędzy mężczyzną i kobietą sprawia, iż słońce świeci jaśniej.

„On mówił o Hunterze i Elyssie” - uświadomiła sobie.

- Dlaczego mężczyzna musi być odważny, żeby mieć dzieci? - zapytał Conner, spoglądając na obydwu braci. - To kobiety muszą przejść przez poród,

- Dzieci umierają - powiedział Case.

Nie dodał już ani słowa. Hunter też nie.

- Zjedz kolację, zanim ci wystygnie - odezwała się Sara, podsuwając talerz pod nos Connera.

Nie trzeba mu było tego dwa razy powtarzać. Z imponującą szybkością zaczął na stojąco pochłaniać jedzenie.

Hunter znowu westchnął cicho. Był to jeden z nielicznych momentów, kiedy jego brat mówił wprost o śmierci jego dzieci.

Sara podała Case'owi talerz z jedzeniem, nawet na niego nie spojrzawszy.

Obydwaj bracia zajęli się jedzeniem i choć nie byli tak błyskawiczni jak Conner, to bardzo szybko oczyścili swoje talerze.

Sara nałożyła im dokładkę, chociaż sama nie jadła ani nie usiadła. Case podniósł wzrok.

- Gdzie twoja kolacja? - zapytał.

- Jadłam wcześniej.

Nie uwierzył jej. Z zadziwiającą prędkością chwycił ją za rękę i wsunął jej talerz w dłoń.

- Jedz - powiedział oschle. - Jak jeszcze schudniesz, to nie będziesz musiała otwierać drzwi, żeby wyjść, bo przeciśniesz się przez szpary w deskach. Usiłowała oddać mu z powrotem talerz.

- Mam kukurydzę do zmielenia - powiedziała.

- Ja ją zmielę.

- Masz już dość roboty. Stoisz na straży, uczysz Connera strzelać i robić pociski, przynosisz drewno na...

- Jedz.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, a Case wsunął w nie nabyty na widelec kęs mięsa. Próbowała zaprotestować z pełnymi ustami.

- Nie jest w dobrym guście mówić, kiedy się je - powiedział spokojnym tonem. - Ile razy trzeba ci to powtarzać?

Conner zakrztusił się. Przy śniadaniu siostra wygłosiła mu kazanie na ten sam temat, przy użyciu tych samych dokładnie słów.

Case uderzył go dłonią w plecy.

- Lepiej idź spać - powiedział. - O północy masz zmianę na górze.

- Niech śpi dłużej - wtrącił szybko Hunter. - Mogę się zmieniać z Morganem.

- Dziękuję, ale nie - sprzeciwił się pośpiesznie Conner. - Mielicie ciężką podróż. Możecie zacząć nas zmieniać od jutra wieczorem.

Na wojnie Hunter często spotykał chłopców w wieku Connera, a nawet młodszych, więc potrafił ich oceniać. Widział teraz, że chociaż Conner ma podkrążone oczy, to są one jasne i czujne. Daleko mu było do wyczerpania.

- W porządku - zgodził się Hunter. - Dziękuję ci.

- Proszę bardzo, proszę pana - Conner uśmiechnął się i spojrzał na siostrę.

- Jak mi wychodzi?

Śmiejąc się i czując, że jest bliska łez, Sara popatrzyła na brata szeroko otwartymi, przymglonymi oczami.

- Dobrze ci to wychodzi - powiedziała nieco przytłumionym głosem. - Tak jak zawsze, tylko że ja zauważam to z opóźnieniem.

- Masz ważniejsze rzeczy do roboty niż poklepywanie mnie po plecach za to, że robię rzeczy odpowiednie do mojego wieku - odparł.

Pojedyncza łza spłynęła z kącika jej oka.

- Mylisz się - szepnęła. - Nie ma dla mnie niczego ważniejszego.

Conner podniósł się błyskawicznie, chwycił Sarę w ramiona i podniósł ją do góry. Wykrzyknęła zaskoczona, usiłując utrzymać w rękach talerz z jedzeniem.

- Conner!

- To ja. Twój jedyny mały brat.

- Dzięki Bogu. Co bym zrobiła z takimi dwoma jak ty?

- Miałabyś dwa razy tyle przyjemności.

Szczerząc zęby, przycisnął ją mocno i obrócił się szybko wokół własnej osi.

Case chwycił wypadający jej z ręki talerz i przytrzymał ją, kiedy Conner postawił ją na ziemi.

- Dobranoc - powiedział chłopiec, kierując się do drzwi. - Powiedźcie Loli, żeby obudziła mnie na moją wachtę.

Podobnie jak Case Conner spał w zaroślach za chatą. Chociaż żaden

z mężczyzn o tym nie wspominał, to każdy z nich bał się, że Culpepperowie mogą się znowu podkraść z tej strony.

- Wychowałaś porządnego chłopaka - rzekł Hunter.

Sara uśmiechnęła się nieco smutno.

- To bardziej jego zasługa niż moja.

- Wątpię w to.

- Zapytaj Case'a. On uważa, że jestem okropną matką.

Hunter, zdziwiony, uniósł brwi.

- Niczego takiego nie powiedziałem - zaprzeczył Case.

- Hm - mruknęła Sara. - Ty tylko ciągle podkreślasz, że trzymam Connera przy spódnicy.

Chciał zaprzeczyć, ale tylko mruknął coś pod nosem i spojrzał na Huntera, szukając pomocy z jego strony. Ten uśmiechał się z rozbawieniem, ale nie powiedział ani słowa.

- Proszę - powiedział Case, oddając Sarze talerz. - Poćwicz swoje ostre ząbki na tym.

- Chcesz powiedzieć, że mięso, które przygotowałam, jest twarde? - zapytała niewinnym tonem.

- Do diabła! - wykrzyknął Case.

- Brak snu sprawia, że twój brat robi się kapryśny - zwróciła się Sara do Huntera. - Zauważyłeś już to? Jeżeli ufałby mi na tyle, żeby pozwolić mi stać na straży, to sam spałby więcej.

Hunter gładził wąż, z całych sił usiłując powstrzymać się od uśmiechu. Prawie mu się to udawało.

- Po czyjej jesteś stronie? - zapytał Case.

- Po stronie tego, kto daje jedzenie.

- Proszę - powiedziała Sara, podając Hunterowi talerz. - Jedz do woli.

Muszę jeszcze zemleć kukurydzę i zająć się przedzeniem wełny.

- Powiedziałem, że ja zmielę kukurydzę - przypomniał Case.

Hunter uśmiechnął się i przystąpił do jedzenia. Jadł pośpiesznie.

Dobrze potrafił rozpoznać, kiedy zbliża się burza.

- Potrzebujesz snu - powiedziała Sara do Case'a.

- A ty nie?

- Ja nie jestem taka marudna jak ty.

- No i kto to mówi?

Case spojrzał na brata, który właśnie szedł do drzwi po całkowitym oczyszczeniu talerza.

- Hunter?

- Dobranoc, dzieci - powiedział tylko Hunter i zamknął za sobą zdecydowanym ruchem drzwi chaty.

- Gdzie on będzie spał? - zapytała.

- Na dworze z nami wszystkimi.

- Czy ja aż tak brzydko pachnę?

- Co? - zamrugął oczami.

Sara poczuła pieczenie w oczach. Nadal bolało ją to, jak szybko Case pozbył się jej po kochaniu.

„Ubierz się, zanim się przeziębisz”.

Sięgnęła po omacku po garnek, który wisiał nad paleniskiem.

„Co się ze mną dzieje?” - zapytała się w duchu ze złością. „Nigdy nie płacę, a teraz ronię łzy za każdym razem, kiedy tylko się odwrócę”.

- Ostatnio każdy ucieka ode mnie, jakbym spotkała się ze skunksem.

Zamknęła dłoń na czymś, co -jak się jej wydawało - było drewnianym uchwytem na uchu garnka. Jednak był to fragment syczącego z gorąca żeliwnego trójnogu.

- Do cholery! - zawołała, odsuwając pośpiesznie dłoń.

Potrząsnęła ręką i ścisnęła ją mocno, żeby złagodzić pieczenie.

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Bo jestem idiotką, prawda? - odrzuciła ostro.

- Do diabła, wcale nie jesteś większą idiotką niż ja. Pokaż mi to.

Z niechęcią otworzyła dłoń, ale nie wyciągnęła ręki, żeby ją obejrzał.

- W porządku - powiedziała. - Tylko przypalone. Nic groźnego.

Case spojrział na zmarszczki bólu odznaczające się wokół jej ust. Czuł swą bezradność, co tylko jeszcze bardziej go rozgniewało.

Błyskawicznym ruchem chwycił ją lewą ręką za nadgarstek.

- Jesteś tak cholernie uparta, że nie powiesz mi nawet, gdybyś się oparzyła do samej kości - powiedział, pociągając ją ku sobie za rękę. - Tylko to zobaczę.

- Kto dał ci prawo...

- Ty - przerwał jej zdecydowanie.

- Kiedy?

- Kiedy zaprosiłaś mnie do wnętrza swego ciała.

Oblała się rumieńcem i zaraz zbladła. Próbowwała coś powiedzieć, ale żaden dźwięk nie wydobył się z jej ust.

Z delikatnością, która wywołała jeszcze więcej jej łez, Case otworzył dłoń Sary. U nasady każdego palca rysowała się niezbyt wyraźna czerwona linia.

Jęknął, jakby to on został poparzony. Potem uniósł jej dłoń do ust i pocałował każdą plamkę.

Zadrzała i jęknęła cicho. Dotyk jego oddechu i delikatne muśnięcie brody po jej dłoni przywiodły jej przed oczy każdy szczegół tego, o czym tak bardzo starała się zapomnieć.

Szczególnie ostatnie momenty, kiedy on nie mógł znieść nawet jej widoku.

„Ubierz się, zanim się przeziębisz”.

- Nie - zaprotestowała. - Nie rób mi tego.

Case podniósł oczy. Były jak zielone sadzawki; czyste, a jednak przeniknięte

w głębi ciemnymi prądami.

- Sprawiam ci ból?

- Jeszcze nie.

- A zrobiłem to kiedykolwiek?

- Tak - odparła ponuro.

- Wtedy, kiedy byłem w tobie?

Zamknęła oczy i odwróciła od niego twarz.

- Kochanie, zadałem ci ból?

- Nie... nie wtedy.

Pochylił się nad jej dłonią i znowu pokrył ją pocałunkami.

- Kiedy zadałem ci ból?

- Potem. Kiedy tak szybko chciałeś się mnie pozbyć.

Poderwał głowę znad jej dłoni. Z zawstydzienia nie patrzyła wcale na niego, ale na klepisko.

- Nie wiem, co takiego zrobiłam, żeby wywołać u ciebie taką niechęć - szepnęła.

- Ty...

- Nie - przerwała mu gwałtownie. - Nie mów mi. To nie ma znaczenia.

To już się nigdy więcej nie powtórzy.

- Nie powinno - zgodził się.

Jednak nawet wypowiadając te słowa, buntował się w duszy na myśl o tym, że mógłby już nigdy nie zatopić się w jej rozkosznym gorącu.

Łza spłynęła po policzku Sary i zawisła się w kąciku ust. Pochylił się i stał ją pocałunkiem.

- Nie - powiedziała, drżąc. - Nie zniosę tego jeszcze raz.

- Sara - wyszeptał wprost do jej ust - moja kochana, niewinna Sara.

- Nie wywołałaś mojej niechęci. Sprzedałbym duszę, żeby znowu być w tobie.

Oddychała pośpiesznie.

- Więc dlaczego... - zaczęła.

- Taka byłaby cena, gdybym został twoim kochankiem. Musiałbym oddać tę resztkę duszy, jaka mi została.

- Nie rozumiem.

Uniósł jej twarz ku sobie i pocałował ją z taką czułością i pożądaniem, że aż obojgu zapało dech w piersiach.

- Nie wiem, czy potrafię to wyjaśnić - powiedział.

Patrzyła na niego w milczeniu, oczami, które były odbiciem jego oczu.

Widać w nich było ból i pożądanie. Namiętność i żal.

- Poszedłem na wojnę, kiedy miałem piętnaście lat. Pociągnąłem za sobą Huntera.

Zagryzła wargi. Niechęć do samego siebie była tak wyraźnie słyszalna w jego głosie, że niemal mogła jej dotknąć.

- Mój brat ożenił się z nic niewartą kokietką. Mieli dwoje małych dzieci.

Teda i Emily.

Pomimo spokoju w jego głosie wyczuwała, jak trudno jest mu mówić o dzieciach brata. Chciała powiedzieć mu, żeby przerwał, ale jeszcze bardziej pragnęła zrozumieć ciemność spowijającą rdzeń jego duszy.

- Hunter nie chciał iść na wojnę z powodu dzieci, ale Belinda i ja namówiliśmy go.

- Twój brat nie wygląda na człowieka, którego można łatwo namówić.

- Do diabła, może on tak samo był zadowolony z tego, że pozbywa się towarzystwa swojej żony, jak ona nie mogła się doczekać, kiedy zaczniesz chodzić do łóżka z sąsiadami.

Mówił z taką niechęcią, że Sara aż się skrzywiła.

-Szedłem na wojnę z entuzjazmem, by bronić honoru i cywilizacji - powiedział Case. - Ale nawet młodzi głupcy w końcu dorastają, oczywiście, o ile uda im się przeżyć. Dość szybko doszedłem do tego, że wojna jest czystym piekłem dla niewinnych kobiet i dzieci i że tylko one są tym, o co warto walczyć.

Potarła delikatnie policzkiem o pierś Case'a, chcąc złagodzić napięcie paralizujące jego ciało.

- Udało mi się pozostać zdrowym na umyśle dzięki temu, że myślałem o dzieciach Huntera. Szczególnie o Emily. Była wesoła jak wróbelek, chętna do śmiechu i zabaw. Kochała wszystko i wszystkich.

Przerwał na moment i znowu zaczął opowiadać monotonnym głosem.

- Kiedy w czasie wojny było mi naprawdę ciężko, to wyjmowałem małą filiżankę i spodeczek z porcelany, które kupiłem dla Emily na prezent po moim powrocie. Siedziałem po prostu i patrzyłem na nie, przypominając sobie jej śmiech i modląc się, żeby się skończyła ta przekłeta wojna.

Sara objęła Case'a ramionami. Przytulała go do siebie, mówiąc mu w duchu, że nie jest sam ze swoimi wspomnieniami.

- Wróciłem z wojny kilka tygodni przed bratem. Znalazłem... znalazłem...

- Dreszcz wstrząsnął ciałem Case'a, przerywając jego opowieść.

- Już dobrze - powiedziała. - Nie musisz mi mówisz.

Objął ją ramionami i przycisnął mocno, jakby była dla niego jedynym ratunkiem. Nie sprzeciwiała się sile tego uścisku, ponieważ wiedziała, że smutek trzyma go w o wiele okrutniejszych objęciach.

- Culpepperowie - powiedział w końcu.

Zadrżała, słysząc ton jego głosu.

- Południowcy - dodał. - Tacy jak ja.

- Nie tacy jak ty. Wcale nie.

Zdawał się jej nie słyszeć. Jego otwarte oczy wpatrzone były nieruchomo w widoczną tylko dla niego dal. To, co widział, nie dawało się przekazać słowami.

- Dotarli na nasze ranczo trzy dni przede mną - powiedział. - Zabili

wszystkich mężczyzn w dolinie, ukradli albo zabili zwierzęta, spalili domy i zabudowania gospodarcze. Kiedy skończyli z kobietami, wzięli dzieci i... Cisza, która zapadła, była nawet bardziej nie do zniesienia niż jego oczy.

Sara przypomniała sobie wtedy, co Lola powiedziała o Culpepperach.

„Sprzedawali dzieciaki Comancheros. Przedtem robili im takie rzeczy, że zawstydziliby to samego diabła”.

- Nie miałem łopaty, kiedy w końcu znalazłem Em i Teda. Wykopałem im grób palcami. Potem ruszyłem szukać Culpepperów.

Patrzyła w jego oczy, płacząc cicho i bezradnie, bo teraz już wiedziała, co pozbawiło Case'a śmiechu, nadziei i miłości.

Jego wspomnienia musiały być gorsze niż nawet jej własne.

- Teraz rozumiesz, dlaczego cię odepchnąłem? - zapytał.

Patrzyła w ciszy na niego, dzieląc jego ból.

- Śmierć Teda i Em... - Jego głos zamarł. Wzruszył ramionami. - Ona coś we mnie zabiła. Nie mogę dać ci tego, na co zasługujesz.

- Na co zasługuję? - zapytała, nie rozumiejąc.

- Na męża. Dzieci. Miłość. We mnie już tego nie ma. Wszystko umarło tak samo jak mała Em.

- Nie wierzę w to. Ktoś tak delikatny jak ty nie mógł stracić zdolności do kochania.

Case spojrzał jej wprost w oczy.

- Nie mam dla ciebie nic prócz żądy - powiedział ostro. - Kiedy mężczyzna myśli o uwiedzeniu kobiety, to zrobi wszystko, żeby jak najszybciej zdobyć to, co chce. Ty chciałaś czułości. Więc dałem ci ją.

Uśmiech Sary przybladł, ale był całkiem prawdziwy.

- Czy cię prosiłam o coś jeszcze? - szepnęła.

- Nie musisz. Widać to w twoich oczach, kiedy patrzysz na mnie, gdy zdaje ci się, że ja tego nie widzę.

- Na przykład widać, że chcę ci wbić nóż w plecy? - powiedziała, uśmiechając się przez łzy.

Kącik ust Case'a drgnął, przez co jego twarz przybrała jeszcze smutniejszą minę.

- Nie nabierzesz mnie - powiedział. - Jesteś jak ul z pszczołami. Kiedy już się człowiek przedostanie przez żądła, to ma przed sobą tylko samą słodycz.

- Oboje jesteśmy całkiem dorośli. Chcesz czegoś, co mogę ci dać, i ja też tego chcę.

Pokręcił głową.

- Dopiero powiedziałaś, że mnie chcesz - zauważyła. - Więc ja też chcę ciebie.

Spojrzał na jej zaczerwienione policzki, błyszczące od łez oczy i drżące usta.

- Czysty miód - mruknął. - Nie kuś mnie.
- Dlaczego nie?
- Dlatego, że mógłbym zrobić ci dziecko.
- Dziecko - powtórzyła łagodnym tonem i uśmiechnęła się.
Case odsunął ją.
- Nie chcę dziecka - powiedział. - Nigdy.
Objęła go jeszcze mocniej, podniosła się na czubki palców i pocałowała go w kącik ust. Potem dotknęła czubkiem języka jego dolnej wargi.
Szarpnął się, jakby został użądłony.
- Nie próbuj doprowadzić do tego, żebyś zaszła ze mną w ciążę - powiedział szorstko. - Znienawidziłbym za to nas oboje. Czy tego właśnie chcesz?
Zamknęła oczy, odsuwając od niego ramiona. Odeszła bez słowa, wzięła do rąk wrzeciono i zaczęła prząść.
Po chwili z drugiego kąta chaty rozległ się dźwięk ziaren kukurydzy miażdżonych pomiędzy dwoma kamieniami. Żadne z nich nie odezwało się już ani słowem.

19

- Ten *hombre* to skończony dureń - powiedziała Lola, patrząc na sporą kupkę mąki kukurydzianej, przygotowanej poprzedniego wieczoru przez Case'a.
Sara nie zareagowała.
- Ty też dużo uprzedłaś - dodała Lola.
- Conner rośnie szybciej niż topola.
- A Case jest taki drażliwy jak kot, któremu ktoś nadepnął na ogon.
- Nie zauważyłam.
Lola roześmiała się tak hałaśliwie, że Sara aż się skrzywiła.
- Nie wiesz jeszcze do tej pory, jak upuścić mężczyźnie pary?
- Do tego trzeba dwojga.
- Chcesz powiedzieć, że go nie chcesz?
- Nie. To on mówi, że mnie nie chce.
- Bzdura.
- Amen - mruknęła Sara.
Tak szybko poruszała wrzecionem, że ledwie je było widać. Wełna z zadziwiającą szybkością zamieniała się pod jej palcami we włóczkę. Lola nie podjęła milczącej sugestii Sary, żeby zmienić temat.

-On naprawdę ma na ciebie ochotę - powiedziała. - Jak tylko popatrzy na ciebie, to robi się twardy jak słup telegraficzny.

Trzymająca wrzeciono ręka Sary drgnęła. Świeżo uprzedzona włóczka napięła się tak bardzo, że omal się nie rozerwała.

- W porządku - wycedziła przez zęby. - Case chce mnie, ale nie chce mnie dotknąć, ponieważ nie chce, żebym zaszła w ciążę. Wystarczy?

- Dziewczyno, gdzie ty miałaś uszy, kiedy mówiłam ci o gąbkach, occie i takich tam rzeczach?

Sara podniosła głowę znad robótki. Lola wyszczerzyła zęby, widząc wyraz jej oczu. Sięgnęła do kieszeni spodni, wyjęła z niej mały woreczek i przytrzymała go w powietrzu przed oczami Sary.

- Przypominasz to sobie? - zapytała ironicznie.

Ręce Sary znieruchomiały. Spojrzała na woreczek.

„Nie próbuj doprowadzić do tego, żebyś zaszła ze mną w ciążę. Znienawidziłbym za to nas oboje. Czy tego właśnie chcesz?”

- A co będzie, jeżeli nie zadziała?

- A co będzie, jak jutro nie wzejdzie słońce?

- To pewny sposób? - zapytała Sara z uporem.

- Nie ma niczego pewnego z wyjątkiem grzechu i śmierci. U niektórych działa lepiej, a u innych gorzej.

- A u ciebie było skuteczne?

- Nigdy nie rodziłam dzieci. Parę razy załapałam, ale nie donosiłam. A potem już nigdy nie załapywałam. Dużo dziwek nie załapuje.

Drżącymi palcami Sara wzięła woreczek i umieściła go w kieszeni spodni.

-No i dobrze - powiedziała Lola, kiwając głową. - Teraz możemy przestać chodzić wokół Case'a na palcach. Pamiętasz, jak używać tych gąbek?

-Tak.

- Jak będziesz zbyt delikatna, żeby sobie je włożyć, to powiedz jemu. Ma takie ładne, długie palce.

- Lola! - zawołała Sara, oblewając się rumieńcem.

Lola posłała jej chytry uśmiech.

- Bo ma - powiedziała. -I nie mów, że nigdy tego nie zauważyłaś.

Z ponurą miną Sara wróciła do swej pracy. Lola wysypała obok jej krzesła worek błyszczącej koziej sierści i śmiejąc się, wyszła z chaty.

- Chleb się pali! - zawołała z zewnątrz.

Sara zerwała się na równe nogi i zdążyła uratować chleb, wyrzucając go z formy na ścierkę, żeby ostygł. Potem nalała nowego ciasta do formy, podłożyła chrustu do ognia i znowu wróciła do przędzenia i rozmyślenia nad tym, jak będzie teraz szukała srebra, skoro Case ani nie pozwala jej jeździć samej, ani też nie chce jeździć razem z nią.

- Proszę pani? - rozległ się z zewnątrz głos. - Tu Morgan i Hunter.

Gdyby nam tylko pani podała trochę chleba i fasoli, to nie będziemy przeszkadzali.

Pośpiesznie odłożyła przedzę i otworzyła drzwi. Hunter i Morgan zdjęli kapelusze. Obydwaj byli świeżo umyści i ogoleni. Sara uśmiechnęła się.

- To żaden kłopot - powiedziała. - Chodźcie, siadajcie. Zrobię wam śniadanie.

- Nie trzeba - powiedział Morgan. - Przywykliśmy do zdobywania jedzenia na własną rękę.

- Mów sam za siebie - wtrącił Hunter - bo ja przez ostatnie parę miesięcy przyzwyczałem się do pierwszorzędnej kuchni.

Białe zęby Morgana błysnęły w uśmiechu.

- Elyssa rozpieszca ciebie jak szczeniaka - powiedział do Huntera.

Hunter uśmiechnął się wesoło bez słów. Sara spojrzała na jego uśmiech.

„Czy Case wyglądał podobnie przed śmiercią Emily?” - zapytała się w duchu. „Czy miał też taki uśmiech jak ciepłe letnie słońce?”

- Niestety, jeżeli chodzi o kuchnię, to nie możecie oczekiwać za wiele powiedziała. - Chleb, kasza kukurydziana, papryka, fasola i jakieś jeszcze warzywa, których myszy nie zdążyły zjeść w piwnicy.

- Dla mnie to brzmi wspaniale - powiedział Morgan z entuzjazmem.

Hunter mrugnął do Sary.

- Nie przejmuj się Morganem - powiedział. - On po prostu ćwiczy się dla dziewczyny, która czeka na niego w Teksasie.

Niektórzy mogą potrzebować ćwiczeń, ale nie ja - odparł Morgan.

Uśmiechając się, Sara napełniła dwa kubki wodą z dzbanka i zaczęła nakładać fasolę na powyginane cynowe talerze.

- Masz jeszcze w sakwach trochę kawy? - zapytał Hunter swego towarzysza.

- Tak jest! Przepraszam panią. Proszę nastawić garnek wody, a ja zaraz wrócę.

- Kawa? - zapytała, nie wierząc własnym uszom. - Przywieźliście ze sobą kawę?

- Tak - potwierdził Morgan. - Ani razu nie zatrzymaliśmy się na tyle długo, żeby sobie ją zaparzyć.

- Lepiej pilnujcie jej z bronią w ręku! - zawołała za znikającym Morganem.

- Nie mieliśmy kawy od czasu, kiedy Ute wymienił mokasyny i trochę wełny na kawę w Hiszpańskim Kościele.

Hunter zacisnął usta, słysząc nazwę osady, w której omal nie zginął jego brat.

- Ktoś powinien oczyścić to gniazdo węży - powiedział.

- Szkoda czasu - odparła Sara. - Jest dużo węży, by zastąpiły te, które wystraszyły.

- Niektóre węże są gorsze niż inne.

- Culpepperowie?

- Ich nie można wystraszyć. Trzeba obciąć im głowy i zakopać je pod

kamieniem.

Zimny dreszcz przeszył Sarę. W tej chwili Hunter mówił i wyglądał podobnie jak Case.

Poczuła ulgę, kiedy Morgan wrócił z małym jutowym woreczkiem pełnym kawy i ręcznym młynkiem. Wkrótce zapach parzącej się kawy wypełnił chatę i wypłynął na zewnątrz przez szpary między kłodami.

Niedługo potem przyszli Case i Ute. Case był świeżo umyty.

- Mam nadzieję, że przynieśliście własne kubki - powiedziała. - Moje się skończyły.

Każdy z nich wyciągnął cynowy kubek. Nalała im kawy i podsunęła chleb.

- Gotowe - powiedziała - ale możecie się poparzyć.

Ute napełnił swój talerz fasolą i chlebem i przykucnął przy ogniu.

Zaczął jeść, utrzymując zgrabnie równowagę. Widać było, że rzadko używa krzesła czy stołu.

- Nie lubisz kawy? - zapytał Case Sarę, zauważając, że ona nie pije.

- Oczywiście, że lubię, ale Conner zabrał ze sobą swój kubek.

Hunter i Morgan zrozumieli, że piją z jedynych kubków, jakie jej zostały.

Wstali jednocześnie, wyciągając ku niej naczynia.

- Siadajcie - powiedział Case. - Ona może pić z mojego kubka.

Zawahawszy się na moment, Hunter i Morgan znowu usiedli przy stole.

Sara napełniła talerz i podała go Case'owi.

- Przypuszczam, że Conner zabrał też ze sobą swój talerz - powiedział Case.

- Tak, pełny jedzenia - potwierdziła.

- Więc będziemy się dzielić - oznajmił i bez żadnego ostrzeżenia podsunął jej do ust łyżkę z fasolą,

Zaskoczona, przełknęła jedzenie bez oporów. Uświadomiwszy sobie, że je oto jego śniadanie, usiłowała protestować.

- Nie zapominaj o dobrych manierach - powiedział Case. - Nie mów się z pełnymi ustami. Pamiętasz?

Morgan zakaszłał niespodziewanie, a Hunter spojrzał z ukosa na brata.

Case nie zauważył tego. Był zbyt zajęty karmieniem Sary. Za każdym razem, kiedy otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, dostawała kolejną łyżkę jedzenia. Dopiero wtedy, gdy zacisnęła mocno usta, zaczął jeść sam.

- Weź sobie kawy - zaproponował. - A może chcesz, żebym poił ciebie jak ptaszka, łyżeczka po łyżeczce?

Oblizwała nerwowo wargi. Omal traciła oddech, widząc, jak oczy Case'a nagle się zwięzają, kiedy patrzy na jej język.

- Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł. Poparzyłabym sobie usta.

- Albo coś jeszcze - powiedział tak cicho, że nikt poza Sarą go nie dosłyszał.

Zapadła cisza, w której rozlegały się tylko ciche dźwięki łyżek skrobiących

o talerze i trzask świeżych polan, jakie Sara dołożyła do ognia.

Kiedy już wszystko zjedli, Hunter podniósł się od stołu z westchnieniem zadowolenia.

- Nie jadłem takiej fasoli od czasu wyjazdu z Teksasu - oznajmił.

- To dzięki tej ostrej papryce - powiedziała Sara. - To Ute mnie do niej przekonał.

- *Jalapenol* - zapytał Hunter.

- *Si* - potwierdził Ute.

- Będę musiał zdobyć trochę nasion, żeby zawieźć je Elyssie.

- Dam je wam na drogę - obiecał Ute.

- Moja żona będzie zadowolona. Straciła większość swojego ogrodu, bo bandyci posypali go solą. Od tamtej pory wyszukujemy wszędzie nasiona i sadzonki różnych warzyw i owoców.

- Mamy ziemniaki, fasolę, kukurydzę i nasiona roślin na zielone sałatki

- powiedziała Sara. - Możecie brać, co wam trzeba. Gdybyście potrzebowali nasion lnu albo zapłodnionych jajek, to możemy wam trochę oddać.

- To głównie dzięki temu, w jaki sposób Conner zbiera jajka - powiedział ironicznie Case.

- Mój brat nie znosi tej pracy - usprawiedliwiła go Sara.

- Ja się tym zajmę - zadeklarował Case. - I zbuduję zagrodę dla kur, gdy tylko skończę moją chatę.

Hunter spojrzał na brata zaskoczony.

- Czyżbyś miał zamiar tu się osiedlić?

- Tak. Ta ziemia... - Case zawahał się i wzruszył ramionami. - Ta ziemia napelnia mnie spokojem. Tu jest moje miejsce.

Hunter spojrzał na Sarę. Była bardzo zajęta szorowaniem garnka po fasoli.

- Więc lepiej zajmijmy się tymi Culpepperami raz, a dobrze - powiedział spokojnym głosem.

- Amen - zgodził się Morgan. - Za daleko mieszkamy, żebyśmy mieli tu jechać za każdym razem, kiedy usłyszymy plotki, że ugryźliście więcej Culpepperów, niż możecie przełknąć.

- Dobrze się zabezpieczyli? - zapytał Hunter brata.

- Są za leniwi - powiedział Case. - Większość z nich ma szałaszy z chrustu, które nie powstrzymają kuli.

- A Ab?

- Razem z dwoma krewniakami wykopał sobie kryjówkę w ścianie kanionu.

- Jest jakiś dobry punkt ostrzału?

- Tylko jeden, ale jest broniony.

- Jest jakaś szansa, żeby ich wykurzyć ogniem?

Case wzruszył ramionami.

- To dałoby się zrobić, ale bardzo bym nie chciał podejmować się takiego zadania.

- A woda?

- Woda płynie tam okrągły rok, dlatego to miejsce nazywa się Źródłany Kanion.

- A prowiant i naboje? - kontynuował spokojnym tonem Hunter.

- Wystarczy im na długą zimę albo krótką wojnę.

- Słabe punkty?

Ute posłał Hunterowi spojrzenie pełne aprobaty.

- Brak dyscypliny - odparł krótko Case. - Dopuszcili się napadów na rancza w górach bez przyzwolenia swojego herszta.

- Czy któryś z nich przy tym zginął?

Case spojrzął na Ute, a ten pokręcił głową.

- Te sukinsyny, poganiacze krów, nie potrafiliby zastrzelić nawet ryby w beczce - powiedział Ute głosem pełnym pogardy.

- Was też napadali?

- Case dobrze strzela - odparł Ute. - Musieliśmy ich trochę zakopać.

- Ale za mało - mruknął Case.

- Czy oni obserwują ranczo?

Ute i Case skinęli głowami. Hunter wskazał oczami Sarę, która nadal szorowała garnek.

- Obserwują ranczo częściowo z tego powodu - potwierdził jego przypuszczenia Case. - Poza tym chodzi o hiszpańskie srebro.

- Słyszałem jakieś plotki o skarbie - odezwał się Morgan.

- Culpepperowie i ludzie Moody'ego też je słyszeli - powiedział Case. - Teraz szukają srebra.

Sara podniosła głowę znad garnka.

- Nie znajdą go - powiedziała.

- Dlaczego jesteś taka pewna? - zapytał Hunter.

- Rozmyślałam nad tym.

Case obrócił się i spojrzął na Sarę uważnie.

- No i? - zapytał.

- Szukają w złym miejscu.

- Dlaczego tak mówisz?

- Już powiedziałam, że rozmyślałam nad tym.

- Nad czym?

- Nie powiem już ani słowa, dopóki nie poszukam sama - odparła.

- Myślisz, że mógłbym je ukraść? - zapytał Case twardym tonem.

- Nie mogłeś już wymyślić niczego głupszego - odparła z zaskoczoną miną. - Oczywiście, że nie. Tak samo nie myślę, żeby mógł je ukraść twój brat albo Morgan, czy Ute albo Lola, czy te cholerne kury.

Case uniósł wyczekująco lewą brew.

- Dostaję już gorączki od siedzenia w domu - powiedziała. - Jeżeli ja

nie znajdę srebra, to nikt go nie znajdzie.

- Nie jest bezpiecznie dla...

- Dla kogokolwiek - przerwała mu. - Ale wy bez przerwy przychodzicie i wychodzicie. Mam dość bycia więźniem w moim własnym domu.

Zapadła niezręczna cisza. Case zaklął pod nosem i spojrzał na Huntera. Ten uśmiechał się tylko.

Case odwrócił się znów do Sary. Jego oczy były zimniejsze niż zimowy dzień.

- Gdzie chcesz zacząć?

- Powiem ci, kiedy tam się dostaniemy.

- Co za uparte...

- Wygląda na to, że będziesz zajęty - wtrącił Hunter. - Podzielę się z Morganem twoimi dyżurami.

Case usiłował oponować, ale Hunter nie dał mu dojść do słowa.

- J eżeli Sara będzie pod czyjąś opieką, to bezpieczniej jej będzie poza domem.

- Ale...- zaczął Case.

- W gruncie rzeczy - nie przerywał Hunter - mogłaby wymknąć się z domu po zapadnięciu ciemności i spać w zaroślach pod czyjąś strażą.

W razie napadu ta chata paliłaby się jak pochodnia.

Case znieruchomiał.

- Mamy czterech mężczyzn, żeby jej pilnować przez cały czas - powiedział do niego Hunter. - Jeżeli ty nie możesz się tym zająć, to będzie to ro-bił któryś z pozostałych.

- Conner mógłby... - zaczęła Sara.

- Nie - sprzeciwili się jednocześnie Ute i Case.

- Wezmą na muszkę tego, kto będzie cię pilnował - wyjaśnił Case. -

Conner nie ma dość doświadczenia.

Ute skinął głową.

- Dobry chłopak, ale nie zaprawiony - mruknął.

- Nie chcę, żeby Conner znalazł się z mojego powodu w niebezpieczeństwie

- powiedziała zduszonym głosem. - Nie chcę, żeby ktokolwiek...

- Zaopiekuję się Sarą - przerwał Case, patrząc na Huntera - z wyjątkiem momentów, kiedy będę potrzebny, żeby zrobić zwiad w Źródlanym Kanionie.

- Ja też nie jestem złym zwiadowcą - powiedział Morgan, nie zwracając się do nikogo w szczególności. - Zwłaszcza w nocy.

Ute wyszczerzył zęby.

- O mało nie musiałem przez ciebie uciekać do Meksyku.

- Rzeczywiście blisko cię wtedy podszedłem - zgodził się Morgan.

- Dalej na mnie polujesz?

Sara znieruchomiała i wbiła wzrok w Morgana.

- Ja naprawdę lubię tego konia, którego ukradłeś - powiedział Morgan.

- Ale nie, już na ciebie nie poluję. Chyba że znajdę cię blisko moich koni...

Ute zachichotał.

- Teraz mam dużo koni - powiedział. - Conner i Sara oswoili dzikie mustangi. Przychodzą one do nich jak muchy do konfitur.

Hunter spojrział na nich obydwu i pokiwał głową zadowolony, że nie będzie konfliktów.

- Pewnie ty najlepiej znasz ten teren - powiedział do Ute.

Ute chrząknął, połknął ostatnie krople kawy i wstał.

- Znam.

-Pokaż mi najlepsze punkty obserwacyjne na ranczu – powiedział

Hunter - i najlepsze miejsca na zasadzkę w pobliżu Źródlanego Kanionu.

Poza tym chcę wiedzieć, które kaniony są ślepe i w których można się wspiąć po ścianie.

Ute spojrział na Case'a.

- Gdyby Hunter był generałem - powiedział Case - to Południe wygrałoby tę wojnę.

- Wątpię w to - westchnął Morgan.

- Ja też - mruknął Hunter. - Taktyka to jedna rzecz, a broń samopowtarzalna to inna. Te jankeskie karabiny były cholernie skuteczne. Więc na piechotę czy konno? - zapytał podnosząc się i spoglądając na Ute.

- Teraz konno. Potem na piechotę.

- Kiedy jest twoja kolej pełnić wartę? - zapytał go Morgan.

- W południe.

- Więc ja stanę na straży od południa do zachodu słońca – powiedział Morgan, wstając. - Dziękuję za śniadanie, proszę pani. Człowiekowi brakuje przy ognisku kobiecej ręki.

- Proszę bardzo - powiedziała. - Mogę cię przynajmniej nakarmić.

Narazasz się, chociaż to nie jest twoja walka.

- Tam gdzie jest jakiś Culpepper, to jest moja walka.

Spojrziała na stężałą nagle twarz Morgana. Co też Culpepperowie mu zrobili? Mimo swej ciekawości powstrzymała się przed zadaniem tego pytania. Po wysłuchaniu opowieści o rodzinie Huntera nie chciała już tak naprawdę wiedzieć o Culpepperach nic poza tym, gdzie zostaną pogrzebani. Odwróciła się i spojrziała na Huntera.

- Dlaczego ich po prostu nie wystrzelacie z zasadzki? - zapytała wprost. - Przecież są poszukiwani listami gończymi, żywi lub umarli, każdy co do jednego.

- Gdyby to było takie proste, to zginęliby jeszcze w Teksasie – powiedział.

- Oni są naprawdę sprytni, jeżeli chodzi o ratowanie własnej skóry.

- Byłem w ich obozie - powiedział Ute. - Następnym razem zabiję paru.

- Nie - zaprotestowała Sara. - Nie wtedy, kiedy jest z tobą Conner.
- Nie możesz chronić go bez końca - wtrącił Case.
- Zrobię to, co muszę - powiedziała Sara. - Conner ma przed sobą całe życie. Chcę, żeby skorzystał z niego w pełni.
- Jeżeli to wam nie przeszkadza - odezwał się Hunter, spoglądając na Ute - to wołałbym nie ruszać tego gniazda żmij, dopóki nie zdążymy przygotować pułapek.

Ute wzruszył ramionami.

- Dzisiaj. Jutro. W następnym tygodniu. Nie robi to żadnej różnicy. Oni już i tak są żywymi trupami.

- Masz z nimi jakiś szczególny zatarg? - zapytał Hunter.

- Przestrzelili na strzepy kurtkę Sary. Myśleli, że to ona. To już żywe trupy. Każdy z nich.

Case spojrział zaskoczony w czarne oczy Ute. Przed zasadzką w kanionie Ute po prostu płatał figle bandytom dla samej zabawy. Teraz jednak skończył z zabawą.

- Jedziemy teraz? - zwrócił się Ute do Huntera.

- Jedziemy - zgodził się Hunter. - A potem pójdziemy.

- Rozejrzę się w terenie za chatą - oznajmił Morgan.

- Nie nadepnij na Connera - ostrzegła go Sara. - Śpi koło krzaków.

Morgan uśmiechnął się i ruszył ku drzwiom.

- Będę naprawdę ostrożnie stawiał stopy, proszę pani.

Hunter i Ute wyszli za Morganem, zamykając za sobą drzwi.

Sara uświadomiła sobie, że została sam na sam z Case'em. Obróciła się gwałtownie ku niemu. Przyglądał się jej przymglonymi, zielonymi oczami.

- Nastaw fasolę do namoczenia - powiedział - a ja osiodłam konie.

- Po co?

- Pojedziemy szukać srebra.

Próbowała się przekonać w duchu, że dziwne ukłucie w sercu, jakie poczuła, jest reakcją na perspektywę poszukiwania srebra, a nie na skrywane pożądanie, widoczne w oczach Case'a.

- W porządku. Nastawię fasolę - zgodziła się.

- Wystarczą trzy juczne konie?

- Na całe to srebro?

Mruknął coś niezadowolony.

- Na całe to drewno na opał - powiedział. - Pali się o wiele lepiej niż twoje głupie marzenia o srebrze.

Lodowaty wiatr smagał kaniony. Po niebie nisko przesuwały się ołowianoszare chmury. Tam, gdzie chmury gromadziły się nad szczytami czy płaskowyżami, ich szarość przeradzała się w granatowoczną masę przeklinającą niebo.

- Pachnie śniegiem - zauważyła Sara.

- Jeżeli tak, to jutro nie będziemy polowali na srebro, tylko na jelenie

- powiedział Case, stawiając kołnierz kurtki, by ochronić się przed wiatrem.

Sara nie zaprotestowała, gdyż przybyło jej ludzi do żywienia, a na śniegu wyraźnie byłoby widać ślady zwierząt. Nie mogli zrezygnować z takiej okazji.

- Żadnych sprzeciwów? - zapytał.

- Tak samo lubię jeść jak każdy.

- Ostatnio trudno to było zauważyć. Musiałem ci wpychać każdy kęs do ust.

Zbyła jego słowa milczeniem.

Case czuł pokusę, by się z nią podrażnić. Łatwiej było mu walczyć z jej gniewem niż pogodzić się z tym, że unika spojrzenia mu w oczy. Podobnie nie mógł znieść jej starań, aby się o niego nie otrzeć w ciasnocie chaty.

„Czym się tak przejmuję?” - zapytał się ponuro w duchu. „Powiedziałem jej, żeby mnie nie kusiła. Robi wszystko, co potrafi, żeby tego uniknąć. Tak samo jak mnie samego”.

Jednak i tak kusiła go niemiłosiernie.

W każdym momencie, kiedy nie spał, coś przypominało mu o żarze zmysłowości, który odkrył u niej pod zewnętrzną skorupą strachu. Blask światła lampy na jej włosach, różany aromat jej skóry i szmer wrzeczona, kiedy przędła wełnę, kształt jej podbródka, gdy patrzyła na lecącego jastrzębia - wszystko w niej przyzywało go. Teraz, jadąc konno, czuł bolesne podniecenie, gdy patrzył na naturalne kołysanie się jej ciała w siodle.

- No, wy uparciuchy - mruknął, pociągając za linkę, do której przywiązane były trzy juczne konie.

Konie przyśpieszyły niechętnie. Wszystkie miały ochotę na to samo: wołałyby wystawić na wiatr zady, a nie głowy.

Case rozejrzał się po gwałtownie zężającym się kanionie. Sądził, że zamyka go ściana, którą mogą pokonać tylko jastrzębie.

Byli w tym samym miejscu, gdzie bandyci postrzelali na strzępy kurtkę Sary.

„Kolejny ślepy kanion” - rozmyślał. „Mam nadzieję, że ci cholerni bandyci zrezygnowali z zasadzek. Wcześniej czy później nawet tępi i leniwi ludzie muszą zrozumieć, że zastawianie zasadzek na mnie nie jest bezpieczne”.

Nagle poczuł mrowienie na karku. Był to nieomylny znak, że ktoś ich obserwuje. Uważnie przyjrzał się każdemu wysokiemu punktowi, szukając błysku metalu czy szkła, który zdradziłby obecność bandytów. Z równą uwagą obserwował konie, by zobaczyć, czy nie wyczuwają przed sobą kogoś obcego.

„Ciekawe, co Sara widziała, kiedy ściągała stąd tę kłodę” - pomyślał.

„Nic tu nie ma interesującego. Po prostu jeden z setek podobnych kanionów. Łatwiej byłoby jej znaleźć hufnal w stogu siana tak wielkim jak cały Teksas niż ukryte srebro w tych skałach”.

Srebro nie miało dla niego wielkiego znaczenia. Potrzebowali dużo opału i tylko to się dla niego liczyło.

Sara ściągnęła wodze dopiero wtedy, gdy byli daleko za miejscem, w którym poprzednio zastawiono na nich zasadzkę. Zatrzymali się przed leżącą w poprzek kanionu barykadą z uschniętych drzew, głazów i drobnych kamieni.

- Wrócę za chwilę - powiedziała dziewczyna, zsiadając z konia.

Case wyciągnął nogi ze strzemion i chwycił ją za rękę, zanim jeszcze zdążyła dać dwa kroki od swojego wierzchowca.

- Dokąd ty się wybierasz? - zapytał.

Przebijające w jego głosie pożądanie sprawiło, że dreszcz wstrząsnął jej ciałem.

„Jak mogę go nie kusić, skoro jego pożądanie tak mocno działa na mnie? Ja też go pragnę. Boże, nigdy nie spodziewałam się, że będę chciała czuć w sobie mężczyznę, a teraz nie potrafię myśleć o niczym innym, tylko o utrzymaniu go jak najbliżej i jak najgłębiej się da. Nigdy czegoś takiego nie doznawałam. Nie wiedziałam nawet, że tak można się czuć”.

Oblało ją takie gorąco, że trudno jej było złapać oddech. Nie wiedziała, czy jeszcze kiedykolwiek zazna tej zadziwiającej, niemal przerażającej ekstazy.

- J eżeli powiesz mi, o czym myślisz - rzekł - to pomogę ci to znaleźć.

Roześmiała się szorstko, mając nadzieję, że się nie czerwieni.

- Chcę się tam wspiąć, żeby mieć lepszy widok na ściany kanionu - powiedziała, wskazując na rumowisko.

- Jeżeli będziesz wyraźnie widziała kanion, to tak samo ktoś z karabinem będzie wyraźnie widział ciebie.

- Czy naprawdę myślisz...

- Do diabła, tak, naprawdę tak myślę - przerwał jej zniecierpliwiony.

Powinnaś też spróbować myśleć, bo jak nie, to skończysz z tyloma dziurami co twoja cholerna kurtka.

Bez słowa przełknęła ślinę.

-Jechaliśmy pod wiatr i konie nie mogły wyczuć, czy jesteśmy śledzeni.

Ale jestem pewien, że ktoś właśnie to robi.

Sara oblizała nagle wyschłe wargi. Zaciśnięła palce na jej ramieniu, czując, jak głęboko pożądanie zapuszcza szpony w jego ciało. Opamiętał się i zwolnił uścisk.

Nawet w rękawicach i przez gruby ubiór czuł przyjemny dotyk jej ciała.

Ciepły i kobiecy.

- Czego szukasz? - zapytał niemalże czule.

Zaschło jej w ustach. Widziała już takie oczy: tłumiony z trudnością zielony ogień. Tamtym razem wniknął w nią wypełniając ją bez reszty.

- Szukam innych ruin - powiedziała. - Nie prawdziwych budowli, ale małych kamiennych schowków wbudowanych w szczelinę w skale. Są tak małe, że nie można się w nich wyprostować.

- Gdzie?

- W górze kanionu. Na południowej ścianie. Zdawało mi się, że coś takiego zobaczyłam, kiedy ściągałam wtedy drewno.

Powoli wypuścił jej ramię.

-Ja zobaczę - powiedział. - Ty poczekaaj tutaj. Jeżeli coś zauważysz lub konie coś usłyszą, to schowaj się i nie wychodź.

Zaczął wdrapywać się na rumowisko, usypane z mieszaniny zgruchotanych pni, kamieni i ziemi. Im wyżej się wspinał, tym bardziej było dla niego oczywiste, że w ciągu ostatnich kilku lat powódź oczyściła wyższe partie kanionu.

„Może to było tego roku, kiedy Hal próbował o jeden raz za dużo pobić Connera” - pomyślał.

To mógł być ten kanion, w którym zginął Hal.

„Co ona mówiła?” - przypomniał sobie. „Coś o tym, że boczne kaniony wypełniły się wodą a Zagubiona Rzeka zamieniła się w błotniste rozlewisko”.

Kryjąc się za każdym występem, wspiął się na szczyt rumowiska i rozpląszczył w skalnym zagłębieniu. Ostrożnie i dokładnie obejrzał przez lunetę wyższą część kanionu. Nie poruszało się w niej nic, prócz wiatru.

Rozejrzał się jeszcze raz, tym razem skupiając uwagę na skalistych zboczach kanionu, w których erozja wykuła w skale kieszenie i małe nawisy.

W końcu dojrzał coś, co mogło być schowkiem opisanym przez

Sarę.

„Nic szczególnego” - pomyślał. „Wygląda bardziej na myśliwski schowek niż prawdziwą budowlę”.

Jeszcze raz dokładnie przestudiował teren, ale nie dostrzegł żadnego zagrożenia. Znowu spojrzął na ruiny. Kiedy już był pewien, że wie, jak tam

dotrzeć, ponownie zlustrował dół kanionu.

Metodycznie obejrzał przez lunetę jego środkową i dolną część. U wylotu kanionu dojrzał jakiś błysk.

„Chyba luneta” - pomyślał. „Gdziekolwiek pójdziemy, ktoś nas obserwuje. Albo próbuje nas zabić”.

Zeszedł z rumowiska szybciej, niż się na nie wspiał.

- No i co? - zapytała. - Widziałeś coś?

- Przynajmniej jeden człowiek obserwuje nas przy wejściu do kanionu.

- Jak to daleko od nas?

- Poza zasięgiem strzału - odparł krótko.

Podniosła głowę i jak dzikie zwierzę wciągnęła w nozdrza zapach wiatru.

Uśmiechnęła się, chociaż wyglądało to raczej jak odsłonięcie zębów niż okazanie prawdziwego rozbawienia.

- Będzie im tam naprawdę zimno - powiedziała. - Czasami u wlotu do kanionu zdarzają się naprawdę ostre śnieżyce.

- Na południowej ścianie są jakieś ruiny. Ale niewiele tego.

- Jak się tam dostaniemy?

- To nie będzie łatwe.

- Ale możliwe?

- Tak - odparł z westchnieniem.

Pośpiesznie podeszła do jednego z jucznych koni i zdjęła łopatę.

- Na co czekamy? - zapytała.

- Jesteś pewna, że nie wolałabyś raczej...

- Tak... - przerwała niecierpliwie. - Jestem pewna.

- Niech to diabli!

Podszedł do konia i zdjął z niego dwa zrolowane koce. Następnie szybkim cięciem noża zrobił z każdego z nich grube wełniane poncho.

- Nałóż to na kurtkę - powiedział, podając jej jedno z nich.

- Ale...

- Powinnaś też spróbować myśleć, bo jak nie, to skończysz z tyłoma dziurami co twoja cholerna kurtka.

Bez słowa przełknęła ślinę.

- Jechaliśmy pod wiatr i konie nie mogły wyczuć, czy jesteśmy śledzeni.

Ale jestem pewien, że ktoś właśnie to robi.

Sara oblizała nagle wyschłe wargi. Zacisnął palce na jej ramieniu, czując, jak głęboko pożądanie zapuszcza szpony w jego ciało. Opamiętał się i zwolnił uścisk.

Nawet w rękawicach i przez grubą ubiór czuł przyjemny dotyk jej ciała.

Ciepły i kobiecy.

- Czego szukasz? - zapytał niemalże czule.

Zaschło jej w ustach. Widziała już takie oczy: tłumiony z trudnością zielony ogień. Tamtym razem wniknął w nią, wypełniając ją bez reszty.

- Szukam innych ruin - powiedziała. - Nie prawdziwych budowli, ale

małych kamiennych schowków wbudowanych w szczelinę w skale. Są tak małe, że nie można się w nich wyprostować.

- Gdzie?

- W górze kanionu. Na południowej ścianie. Zdawało mi się, że coś takiego zobaczyłam, kiedy ściągałam wtedy drewno.

Powoli wypuścił jej ramię.

- Ja zobaczę - powiedział. - Ty poczekaj tutaj. Jeżeli coś zauważysz lub konie coś usłyszą, to schowaj się i nie wychodź.

Zaczął wdrapywać się na rumowisko, usypane z mieszaniny zgruchotanych pni, kamieni i ziemi. Im wyżej się wspinał, tym bardziej było dla niego oczywiste, że w ciągu ostatnich kilku lat powódź oczyściła wyższe partie kanionu.

„Może to było tego roku, kiedy Hal próbował o jeden raz za dużo pobić Connera” - pomyślał.

To mógł być ten kanion, w którym zginął Hal.

„Co ona mówiła?” - przypomniał sobie. „Coś o tym, że boczne kaniony wypełniły się wodą, a Zagubiona Rzeka zamieniła się w błotniste rozlewisko”.

Kryjąc się za każdym występem, wspinał się na szczyt rumowiska i rozpląszczył w skalnym zagłębieniu. Ostrożnie i dokładnie obejrzał przez lunetę wyższą część kanionu. Nie poruszało się w niej nic, prócz wiatru.

Rozejrzał się jeszcze raz, tym razem skupiając uwagę na skalistych zboczach kanionu, w których erozja wykuła w skale kieszenie i małe nawisy.

W końcu dojrzał coś, co mogło być schowkiem opisanym przez Sarę.

„Nic szczególnego” - pomyślał. „Wygląda bardziej na myśliwski schowek niż prawdziwą budowlę”.

Jeszcze raz dokładnie przestudiował teren, ale nie dostrzegł żadnego zagrożenia. Znowu spojrzął na ruiny. Kiedy już był pewien, że wie, jak tam dotrzeć, ponownie zlustrował dół kanionu.

Metodycznie obejrzał przez lunetę jego środkową i dolną część. U wylotu kanionu dojrzał jakiś błysk.

„Chyba luneta” - pomyślał. „Gdziekolwiek pójdziemy, ktoś nas obserwuje. Albo próbuje nas zabić”.

Zeszedł z rumowiska szybciej, niż się na nie wspinał.

- No i co? - zapytała. - Widziałeś coś?

- Przynajmniej jeden człowiek obserwuje nas przy wejściu do kanionu.

- Jak to daleko od nas?

- Poza zasięgiem strzału - odparł krótko.

Podniosła głowę i jak dzikie zwierzę wciągnęła w nozdrza zapach wiatru.

Uśmiechnęła się, chociaż wyglądało to raczej jak odsłonięcie zębów niż okazanie prawdziwego rozbawienia.

- Będzie im tam naprawdę zimno - powiedziała. - Czasami u wlotu do

kanionu zdarzają się naprawdę ostre śnieżyce.

- Na południowej ścianie są jakieś ruiny. Ale niewiele tego.

- Jak się tam dostaniemy?

- To nie będzie łatwe.

- Ale możliwe?

- Tak - odparł z westchnieniem.

Pośpiesznie podeszła do jednego z jucznych koni i zdjęła łopatę.

- Na co czekamy? - zapytała.

- Jesteś pewna, że nie wolałabyś raczej...

- Tak... - przerwała niecierpliwie. - Jestem pewna.

- Niech to diabli!

Podszedł do konia i zdjął z niego dwa zrolowane kocy. Następnie szybkim cięciem noża zrobił z każdego z nich grube wełniane poncho.

- Nałóż to na kurtkę - powiedział, podając jej jedno z nich.

- Ale...

- Nie spieraj się. Chociaż raz.

Przełożył jej koc przez głowę, zanim jeszcze zdążyła się sprzeciwić.

Kiedy pochylił się, aby poprawić jej strój, ich oddechy zmieszały się.

Ciepłe poncho sięgało jej poniżej kolan.

- Dziękuję - mruknęła.

- Proszę bardzo - powiedział ironicznie.

- Jak to jest możliwe, żeby ktoś kazał mi iść do diabła, nie mówiąc tego wprost. Niewiarygodne.

- Nie powinno cię to dziwić. Tobie się udaje robić takie rzeczy samym spojrzeniem.

Case naciągnął swoje poncho, chwycił łopatę i ruszył na rumowisko.

Sara szła tuż za nim.

Zaczął padać śnieg. Pierwsze płatki, miękkie i puszyste, wirowały na wietrze jak płatki kwiatu jabłoni. Wkrótce wiatr przybrał na sile. Coraz obfitszy śnieg zaczął okrywać ziemię czystą białą ciszą.

- Powinniśmy wracać - powiedział, kiedy dotarli do szczytu rumowiska.

- Po co? W tych kanionach niebezpieczny jest tylko deszcz.

- A co będzie, jeżeli powstaną zasy?

Pokręciła głową.

- Tutaj nie. Może na górze.

- A jak zamarzniemy na śmierć?

- Teraz jest cieplej, niż było wtedy, zanim zaczął padać śnieg.

- Do diabła! - mruknął.

- Przynajmniej nie będziemy się musieli martwić zasadzkami - powiedziała.

- Nie widać dalej niż na dwadzieścia stóp.

- Za wszystkie te dary jesteśmy Ci wdzięczni, Boże - mruknął Case, obracając się na pięcie.

Spojrzał w górę, na południową część kanionu. Chociaż padający śnieg

przesłaniał większość charakterystycznych punktów, to pamiętał, jak wyglądała ściana w obiektywie jego lunety.

- Idź trochę dalej za mną - powiedział. - Nie chcę cię zepchnąć w dół, gdybym upadł.

- Boli cię noga? - zapytała zatroskana.

„Boli, ale nie noga” - pomyślał.

Nadal czuł gorąco jej pośpiesznego oddechu, które go owiało, gdy pochylił się nad nią, żeby poprawić jej poncho. Jej zapach nie dawał mu spokoju, podobnie jak jej ruchy i świadomość jej ciepła.

- Trzymaj się po prostu w bezpiecznej odległości - wycedził przez zęby.

Po dwudziestu minutach wspinaczki Case wciągnął się na rękach na sięgający jego piersi występ i stanął na nie szerszej niż sześć stóp półce skalnej. Zwisające nad nią sklepienie było umieszczone tak nisko, że z trudem mógł pod nim usiąść z wyprostowanymi plecami.

Pieczara, a raczej szczelina nad półką, liczyła około trzydziestu stóp długości i zwązala się ku końcowi w wystający skalny trójkąt. Dawniej ów występ był wysokim skalnym słupem, ale mróz i woda tak zniszczyły miękką skałę u jego podstawy, że słup upadł do kanionu. Nie można było się zorientować, czy to się wydarzyło poprzedniego dnia, czy tysiąc lat wcześniej.

W szczelinie widniały resztki niskich murów, dzielące ją na komory.

Case nie był pewien, czy są to rzeczywiście ruiny, czy tylko naturalne rumowisko. Skała rozpadała się, bez udziału człowieka, na prostopadłościennie kostki, które nie wymagały wiele obróbki, by stać się materiałem budowlanym.

- Czy to już tu? - zapytała Sara z dołu.

- Tak.

Case przykleknął i odłożył łopatę, a potem obrócił się i sięgnął w dół, Żeby pomóc jej wdrapać się na półkę. Nagle zauważył kątem oka coś, co wyglądało na skrecony kawałek drewna wystający zza jednej z niskich ścian. Obrócił głowę, by mu się uważnie przyjrzeć. Dostrzegł resztki kłamry, Zagwizdał cichutko.

- Daj rękę - powiedział.

- Czy to są naprawdę ruiny? - zapytała ze zniecierpliwieniem Sara.-

Trudno jest je rozpoznać z dużej z odległości.

- Zobacz sama.

Wciągnął ją na półkę. Przykucnęła na zimnej skale i rozejrzała się pośpiesznie dookoła.

- Uważaj na głowę - ostrzegł ją.

Od razu dostrzegła przedmiot wystający spoza rozsypującej się ściany.

Sięgnęła po niego tak szybko, że pomimo ostrzeżenia Case'a uderzyła głową o niskie sklepienie.

Prawie tego nie zauważyła, zaciskając palce na starym skórzanym pasie. Gorąco i zimno kamiennej pustyni wysuszyło skórę tak bardzo, że była twarda jak drewno.

- Czy to jest naprawdę takie stare? - zapytała przejętym tonem.

- Nie wiem. Wiem tylko tyle, że nie zostawił tego żaden Indianin. Oni nie mieli metalu.

Obróciła się do niego, spoglądając szeroko otwartymi, błyszczącymi oczami.

- Więc to byli Hiszpanie - szepnęła.

- Od ich czasów różni ludzie zostawiali różne rzeczy - powiedział

Case. - Od kawałka upręży do trzystu funtów srebra jest jeszcze daleka droga.

Jednak Sara widziała po jego błyszczących oczach, że też jest podniecony.

Przesunęła się do przodu, żeby zobaczyć, co jeszcze może się kryć za niskim, rozsypującym się murkiem, ale zatrzymała się niepewnie.

„Bądź tam” - modliła się w duchu. „Dla Connera. Zasluguje na coś lepszego niż to, co do tej pory dostał od życia”.

- Sara? - Case dotknął jej ramienia. - Coś nie tak?

- Tyle nadziei - powiedziała tylko.

- Nie pozwól, żeby rządziła tobą nadzieja - rzekł, czując ukłucie w piersiach. - Nie przyniesie ci nic poza bólem.

- Nie - zaprotestowała. - To pamięć jest bolesna. Nadzieja leczy rany.

Bez nadziei spędzalibyśmy życie w bólu.

Bez słowa Case zdjął dłoń z jej ramienia.

Sara przeszła wzdłuż ściany i zajrzała w panującą za nią ciemność, ale nie zobaczyła nic prócz czerni. Wsunęła rękę pod poncho i ostrożnie wydobyła puszkę z zapalnikami. Po chwili na końcu maleńkiego patyczka zamigotał płomień.

Za zrujnowaną ścianą nie było nic poza prostopadłościennymi kostkami kamienia.

Rozczarowanie przeszło ją jak błyskawica. Dogasająca zapalnik zamigotała, przypalając jej rękawicę. Nawet tego nie zauważyła.

Przez dłuższą chwilę trwała w bezruchu. W końcu obróciła się, wyczuwając, że Case przysunął się do niej.

- Jest jeszcze więcej kanionów - powiedział cicho.

Skinęła głową, ale nawet nie drgnęła, żeby stamtąd odejść. Tak mocno zaciskała dłoń na strzępie upręży, że nawet przez rękawicę twardy metal sprzączki uwierał ją w rękę.

- Czy w tym kanionie są jeszcze jakieś ruiny? - zapytała.

- Nie widziałem żadnych.

- Więc już nie ma żadnych innych. Case nie zaprzeczył.

- To było liczenie na łut szczęścia - rzekła po chwili. - W pobliżu nie ma

żadnego czerwonego słupa. Myślałam, że może zawałił się podczas tej wielkiej powodzi kilka lat temu.

- Wtedy, kiedy umarł twój mąż?

- Tak - wyszeptała. - Hal powiedział Connerowi, że nigdy nie znajdzie srebra, chyba że wróca Hiszpanie i otworzą swoje kryjówki, i że czerwony słup będzie wskazywał drogę.

- Czy Hal dużo rozmawiał z Connerem o swoich poszukiwaniach?

- Mówił o tym tylko raz - powiedziała. - Kiedy umierał. On zawsze dręczył Connera.

„Zrobił to o jeden raz za dużo” - pomyślał Case, ale nie powiedział tego na głos, gdyż chciał dotrzymać obietnicy danej chłopcu.

- Czy to jest ten kanion, w którym umarł Hal? - zapytał po chwili.

- Myślę, że tak. Z tego, co widziałam, kiedy zbierałam drewno... - Jej głos zamarł.

Case spojrział na nią przenikliwie. Nie zauważyła tego. Patrzyła na padający śnieg oczami, które widziały tylko przeszłość. Nagle zadrżała.

- Srebro nieboszczyka - wyszeptała. - Całkiem jak powiedziałaś.

Nigdy bym go nawet nie tknęła, gdyby nie chodziło o mojego brata.

Case pomyślał o wielkiej stercie kamieni i drewna naniesionych przez powódź, przez które przechodzili, idąc do tych ruin. Czerwone słupy skalne, które wznosiły się wszędzie na tym dzikim terenie, wyglądały na wieczne. Jednak i one poddawały się działaniu czasu i warunków atmosferycznych.

- Jak daleko sięgają te ruiny? - zapytał, patrząc w ciemność.

- Nie wiem. Jakieś pięć stóp przede mną jest duże rumowisko.

- Mogę zobaczyć?

Bez słowa przywarła do litej skały tworzącej tylną ścianę szczeliny.

Z trudem przecisnęła się obok niej. Odłożył łopatę i przesunął się do przodu, zaczepiając ponchem o ostre fragmenty kamieni. Potracony głaz zsunął się z półki i zniknął w padającym śniegu. Sądząc z odgłosów, Case domyślił się, że kamień uderzył kilka razy w stromą ścianę kanionu i spoczął na przegradzającej go stercie rumowiska. Śnieg przytłumił wszelkie odgłosy.

Mężczyzna zapalił zapałkę i spojrział w głąb ciemnej pieczary. Niegdyś spąg został wygładzony przez ludzkie ręce, ale teraz był przysypany skalnymi okruchami.

W milczeniu oszacował wysokość ruin, głębokość pieczary i rozmiary sterty kamieni blokującej mu drogę. Coś nie było w porządku, nie wiedział jednak, co.

Zapałka zgasła.

Przesunął się do przodu, aż do miejsca, w którym z jednej strony blokowała go skalna ściana, z drugiej ściana wzniesiona przez człowieka, a z przodu sterta gruzu.

„Za dużo gruzu” - uświadomił sobie.

Już wiedział, co wcześniej wydawało mu się nieprawidłowe. Zrujnowana ściana nie była na tyle wysoka ani szeroka, żeby powstała taka sterta gruzu. Gdyby nawet wzrok zawodził go w niepewnym świetle zapałki, to i tak większość kamieni, które osunęły się z muru, powinna spaść do kanionu tak samo jak ten, który przypadkiem stracił.

„Tu mógł być schowek z murowanym sklepieniem” - pomyślał. „Gdyby wszystko się zawaliło do środka, to nie byłoby niczego dziwnego w tym, że jest tu tak wiele kamieni”.

Zapalił kolejną zapałkę, by przyjrzeć się rumowisku, które nieomal sięgało sklepienia. Na górze znajdowała się szeroka szczelina, przez którą można było zajrzeć na drugą stronę.

Druga zapałka zgasła.

- Widzisz coś? - zapytała Sara, ale w jej głosie nie słychać było nadziei.

- Kamienie.

Nie pytała więcej.

Case zdjął kapelusz i wpełził na szczyt rumowiska. Z trudnością zapalił zapałkę i zajrzał w atramentową ciemność po drugiej stronie.

Niczego jednak nie zobaczył. Miał za mało miejsca, żeby wyciągnąć rękę i oświetlić drugą część pieczary. Zdmuchnął zapałkę.

- Odsuń się, ile się da - poprosił Sarę. - Zdejmę z wierzchu trochę kamieni, żeby zobaczyć, co jest dalej.

- Uważaj. Niektóre z tych ruin są niebezpieczne.

- Dopiero teraz się tego domyśliłaś? - mruknął.

- Wiem o tym, odkąd zobaczyłam pierwsze ruiny - odparła spokojnym tonem.

- Ale nie rezygnowałaś.

Odpowiedziała coś, ale jej słowa zginęły w huku spadających kamieni, które Case zaczął zrzucać ze szczytu rumowiska. Odpychał kamienie jak najdalej przed siebie, w panującą przed nim ciemność.

Słuchając odgłosów spadających kamieni, odkrył, że za kamienną barykadą jest wolna przestrzeń. Przyśpieszył tempo. Kaskada kamieni spadała po drugiej stronie, stukając głucho i chrobocząc o siebie.

Wtem rozległ się odgłos, który nie był dźwiękiem kamienia uderzającego o kamień.

- Uderzyłeś w coś łopata? - zapytała Sara.

- Zostawiłem ją za sobą.

- Ale coś zadźwięczało jak metal.

- Nie podchodź - powiedział jedynie.

Odsunął kolejne kamienie, zdjął rękawicę i zaczął przesuwając palcami po odkrytych kształtach. Namacał jeden kamień, twardy i zimny. Po nim następny i jeszcze jeden, i jeszcze. A potem coś bardzo zimnego.

Zimnego i gładkiego.

Zapalił zapałkę i wpatrzył się w rumowisko znajdujące się tylko kilka cali od jego twarzy. Nie dojrzał nic oprócz jasnych kamiennych kostek i jeszcze kilku kamieni, tak ciemnych, że zdawały się pochłaniać światło.

„Czarne kamienie?” - pomyślał Case. „Nigdy nie widziałem czarnych kamieni w tych kanionach, nie licząc żył węgla. Czyżby to był schowek na węgiel?”

Pośpiesznym ruchem wziął do ręki czarny prostopadłościan.

Zimny. Gładki. Ciężki. O wiele za ciężki jak na węgiel.

- Case? Nic się nie stało?

Uświadomił sobie jak przez mgłę, że Sara woła do niego już któryś raz z rzędu.

- Wszystko w porządku - odparł.

- Co robisz?

- Przerzucam kamienie.

- Tak się nagle zrobiło cicho.

- Próbuję złapać oddech.

Zapałka zgasła, ale Case prawie tego nie zauważył. Nie potrzebował światła, żeby przypomnieć sobie, jak wygląda ten ciężki, czarny bloczek, na którego ścianie widniał wyryty znak krzyża.

Z trudnością wy dobył nóż z przytroczonej do pasa pochwy. Przesuwając po omacku dłonie, poskrobał twardym czubkiem ostrza po czarnym kamieniu.

Zapalił kolejną zapałkę.

Na czarnej powierzchni kamienia błyszczała rysa czystego srebra.

- A niech mnie szlag... - zaczął.

- Co?

- Jest. Jest srebro.

Sara westchnęła z przejęciem i podpełzła do niego.

- Przesuń się - powiedziała.

Nie mógł się przesunąć, więc tylko przetoczył się na bok.

- Nic nie widzę - powiedziała zdenerwowana. - Jesteś pewien, że to srebro?

Usiłowała wyciągnąć zapałki z kieszeni kurtki, ale przyciśnięta do niego nie mogła sobie z tym poradzić.

- Zostaw to - powiedział. -

- Ale...

- Zdejmij rękawicę - rzekł, pokonując jej protesty.

Nerwowym ruchem ściągnęła rękawicę.

- A teraz uważaj.

Poczuła w dłoni zimny, gładki ciężar. Tak jak Case od razu wiedziała, że żaden kamień nie jest tak ciężki. Nawet garść reali nie mogła być tak ciężka.

- Srebro - wydyszała. - Boże! To sztabka srebra!

Ogarnęło ją jednocześnie niedowierzanie i podniecenie. Zacisnęła palce na drogocennej sztabce kruszcu.

- Jest tego więcej - powiedział.

- Więcej? - powtórzyła oszołomiona, bojąc się, że źle go rozumie. - Nie mogę w to uwierzyć.

- Daj mi trochę miejsca. Wtedy uwierzysz.

- Pomogę ci.

- Kochanie, nie ma tu dość miejsca, żeby nawet zapalić zapałkę, a co dopiero razem kopać!

- Ale... Och, do licha, masz rację.

Cofnęła się w wąskim przesmyku, ciągnąc ciężką sztabkę. Potem przykucnęła obok sterty gruzu, ujmując w dłonie srebro.

- Będę ci podawał sztabki – oznajmił.

- Ile ich jest?

- Nie wiem - sapnął, wciskając kolejną sztabkę w jej dłoń. - Zaczynj liczyć.

- Uff!

- Uff? Ja naliczyłem dopiero dwie. Teraz będzie numer trzy.

- Czeka! - zawołała.

Rozległ się cichy melodyjny brzęk, gdy upuszczone przez Sarę dwie pierwsze sztabki uderzyły o spąg. Wciągnęła rękawicę i znowu sięgnęła rękoma w ciemność.

- Gotowa - oznajmiła.

Kolejna ciężka, poczerniała sztabka srebra trafiła w jej dłoń.

- Trzy - powiedziała, odkładając sztabkę na bok. - Następna.

Kiedy wydobyli piątą sztabkę, poruszali się w doskonałej harmonii, zakłócanej tylko wówczas, gdy Case miał trudności z wydobyciem kolejnej sztabki z rumowiska. Odpoczywała w takich momentach, a on, mrużąc pod nosem, zapalał zapałkę i odrzucał kamienie, by dotrzeć do następnej porcji srebra.

Nie zauważyła nawet, że trzęsie się z zimna, czekając, aż kolejny kawałek kruszcu trafi do jej rąk. Kamienie z łoskotem obsuwały się do wygrzebywanej przez Case'a dziury.

- Ile? - zapytał w końcu.

- Czterdzieści.

- To więcej, niż możemy zabrać do sakw. Szczególnie kiedy się weźmie jeszcze to.

Wycofał się tyłem z rumowiska i odwrócił się ku Sarze z obydwoma garściami pełnymi poczerniałych monet. Srebro z brzękiem rozsypało się po skale. Nawet pokrywający je czarny nalot nie zmienił czystego dźwięku kruszcu.

- Tych monet wystarczy, żeby wypełnić moje i twoje sakwy. Przyje

dziemy po sztabki później.

- Przecież mamy juczne konie.
- Nie ma czasu - odparł.
- Nie możemy zostawić tego srebra.
- Dlaczego nie?
- Bo ktoś je może znaleźć - powiedziała zirytowana.
- Do tej pory nikt nie znalazł.
- Będę go pilnować. Ty wróc po...
- Nie - przerwał jej. - Jak ja gdzieś idę, to ty też.
- Nie możemy tu oboje zostać.
- Mhm. To znaczy, że idziemy razem.
- Ale reszta srebra...?
- Lepiej się pośpiesz - zakończył dyskusję Case, wracając po leżące w rumowisku skórzane woreczki z realami. - Będzie piekielnie trudno schodzić z pełnymi sakwami po tych śliskich od śniegu skałach. Sara zamknęła usta, aż jej zadzwoniły zęby. Jej podniecenie nieco osłabło, kiedy patrzyła na rosnącą stertę sztabek i rozsypujące się skórzane sakwy, które Case ostrożnie wydobywał z rumowiska. Srebro było niezmiernie ciężkie. Jak ołów.

- Na co czekasz? - zapytał.

- Na skrzydła.

- Wcześniej zamarzniesz na śmierć. Ruszaj się, moja droga. Już się trzęsiesz jak chory chart.

Najpierw niezdarnie, a potem coraz sprawniej zaczęła mu pomagać znosić srebro po stromym zboczu kanionu. W drodze powrotnej przynosili puste sakwy.

Case chciał załadować sakwy tylko dwóch wierzchowców, ale Sara nie zgodziła się. Postanowiła, że nie odejdzie, dopóki nie załadują na konie ostatniej sztabki, jaką znaleźli. Poszukiwała srebra od tak dawna i kosztowało ją to zbyt wiele wysiłku, żeby teraz cokolwiek zostawić. Śnieg prawie przestał padać, gdy Case zarzucił ostatnie ciężkie sakwy na grzbiet Świerszcza i mocno je przypiął. Mała klacz Sary też miała na grzbiecie przytroczone ładunki.

Juczne konie kładły po sobie uszy. Nigdy jeszcze nie niosły tak wielkiego ciężaru.

Śnieg spowił ziemię jak druga fala ciszy. Tumany śnieżnego pyłu przesuwwały się, odsłaniając na sekundę widok i znowu go zakrywając. Na niebo wypłynął księżyc, tak czysty i jasny, że na śniegu pokazały się cienie rzucane przez skały. Ślady końskich kopyt wyraźnie odciskały się w błyszczącym, białym podłożu.

U wlotu do kanionu nie znaleźli śladów bandytów.

Sara odprężyła się. W miejsce ustępującego podniecenia, wywołanego znalezieniem srebra, zaczęła odczuwać gorzko-słodką satysfakcję.

Przyszłość Connera była zapewniona. Jej połowa rancza Zagubionej Rzeki należała do Case'a Maxwella.

- Jesteś pewien, że nie zmieniłeś zdania i nie chcesz połowy srebra zamiast połowy rancza? - zapytała po chwili. - Srebro jest warte o wiele więcej.

- Nie dla mnie.

Nie powtórzyła już pytania. W milczeniu jechała w kierunku domu, który już nie należał do niej. Błądziła wzrokiem po terenie, wchłaniając jego surowe piękno i starając się zapamiętać wszystkie szczegóły. Wkrótce z rancza, które tak kochała, miały pozostać tylko wspomnienia.

21

„Uciekaj! Nadchodzi powódź, a on jest pijany i wściekły i szuka ciebie. Szybciej, Conner! Jesteś już za duży, żebym cię niosła!”

Sara obudziła się z bijącym pośpiesznie sercem. Skórę miała mokłą od zimnego potu.

„O Boże, tym razem Hal mnie złapie”.

Panicznie rozejrzała się dookoła. Chociaż była na dworze, to nie otaczały ją spienione wody powodzi. Nie było też ścian ani drzwi, niczego, co mogłoby utrudnić jej ucieczkę przed mężem.

Zaczerpnęła oddech, usiłując się zorientować w sytuacji.

Nad głową miała rozgwieżdżone niebo. Ziemia pokryta była srebrzystym śniegiem. Wszystko, czego nie pokrył śnieg, błyszczało czernią, tak intensywną jak sama noc.

Nagle przypomniała sobie, gdzie jest i dlaczego. Na sugestię Huntera, a raczej jego rozkaz, postanowiła nie spać w chacie. Kiedy było już tak ciemno, że nie mógł jej dojrzeć żaden szpieg, wyniosła swoje posłanie na dwór.

Za sobą miała stromą ścianę kanionu, a po bokach zarośla. Wszędzie wokół pasły się spętane konie. Było pewne, że wyczują intruzów na długo przedtem, nim dostrzegą ich ludzie.

Case spał gdzieś niedaleko. Niewidoczny w ciemności, pilnował jej i hiszpańskiego skarbu.

Sara zaczerpnęła jeszcze jeden głęboki oddech. Balsamiczne, zimne powietrze wypełniło jej płuca.

„To tylko zły sen” - powtarzała sobie w duchu. „Nie mam się czego bać. Hal nie żyje. Conner jest bezpieczny. Ja też jestem bezpieczna”.

Jednak mimo tej świadomości przenikał ją dreszcz niepokoju. Był to strach, którego nie były w stanie pokonać żadne argumenty. Nie czuła się w ten sposób od czasu, kiedy uświadomiła sobie, że jej rodzice, bracia i siostry zginęli i że życie Connera zależy tylko od niej.

„Srebro oznacza, że Conner nigdy nie będzie odczuwał braku jedzenia. Ja też nie. Nigdy nie będę musiała wyjść za mąż ani zostać dziwką, żeby przetrwać. Więc dlaczego jestem taka przerażona?”

I wtedy przypomniała sobie cenę hiszpańskiego srebra: ranczo Zagubionej Rzeki.

„Przeżyłam już gorsze tragedie. Przeżyję i to. Jakoś przeżyję”.

- Sara?

Case odezwał się tak cicho, że jego głos było słychać nie dalej niż na kilka stóp.

- Nie śpię - szepnęła. - Coś nie tak?

Wychynął z ciemności tuż obok niej.

- Właśnie miałem zapytać ciebie o to samo - powiedział. - Rzuciłaś się na posłaniu jak ryba na haczyku.

Jego szerokie ramiona przesłaniały gwiazdy. Poncho, w które był ubrany, spowijało go jak noc.

Zaczerpnęła szybki oddech. Powietrze było nadal zimne i czyste, ale teraz pachniało skórą, wełną i mężczyzną.

- Miałam tylko zły sen - powiedziała.

- O powodzi czy o twoim mężu?

- Chyba o jednym i drugim. Nie pamiętam wiele poza strachem.

Chociaż mówiła spokojnym głosem, to nadal słychać było w nim echo przerażenia.

Nic nie mówiąc, Case przysiadł na jej posłaniu. Delikatnie posadził ją sobie na kolanach, owinał kocem i przytulił do piersi.

- Czasami złe sny nie ustępują tak szybko - powiedział.

Sara wiedziała, że utrata rancza będzie zawsze żywą raną, podobnie jak śmierć jej krewnych. Nie odrzuciła jednak oferowanego przez Case'a pocieszenia. Oparła się o niego z ciężkim westchnieniem.

W ciszy nocy słychać było tylko ich oddechy.

- Rozejrzyj się wokół siebie - mruknął po chwili. - Ziemia wokół jest tak piękna jak pieśń skowronka na wiosnę.

Nie musiała się rozglądać. Ta ziemia wypełniała jej oczy, serce i duszę.

- Jutro śnieg stopnieje - powiedziała cicho - ale do tego czasu wszystko będzie się iskrzyło jak aniołek na choince.

Bolesne wspomnienia przeszły serce Case'a, zakłócając równy rytm jego oddechu. Po chwili opanował się i na nowo zaczął oddychać z pozornym spokojem.

- Czy u was domu na choince był aniołek? - zapytał.

Skinęła głową.

- Lubiłam go najbardziej ze wszystkich ozdób.

- Emily też najbardziej lubiła aniołka.

Zadrżała, słysząc ból w jego głosie. Bez słowa obróciła się nieco i objęła go ramionami. Odwzajemnił jej uścisk mocniejszym napięciem ramion.

Śnieg migotał jak białe skrzydła aniołów albo jak puszysty welon, który jednocześnie łagodził i podkreślał surowe piękno tej krainy.

„Jakżeż mogę stąd odejść?” - pomyślała.

- Nadal się boisz? - zapytał Case cichym głosem.

- Dostrzegam różnicę między snem a nocą- odparła.

Przytulił ją jeszcze mocniej i wsunął jej głowę pod swój podbródek.

Z każdym oddechem wciągał w płuca czysty aromat jej włosów. Czulość i pożądanie starły się ze sobą w głębi jego duszy. Żadne z tych uczuć nie chciało ustąpić pola drugiemu.

- O czym myślisz? - zapytał po chwili.

- O ziemi i srebrze. I o Connerze.

- Był taki podniecony, że aż skakał z radości.

- Dopóki nie zaczęłam mówić o wysłaniu go na Wschód do szkoły - dopowiedziała Sara.

- Conner myślał o tym, żeby wydać to srebro na dobre bydło, wykopanie studni i tym podobne rzeczy.

- Będzie mógł to robić, kiedy skończy uniwersytet. O ile nadal będzie tego chciał.

Case już otwierał usta, żeby powiedzieć, iż przyszłość Connera zależy od jego decyzji, a nie jej, jednak nie powiedział ani słowa.

- Hunter nie był zbyt podniecony znalezieniem srebra - zauważyła.

- Bo to oznacza kłopoty.

- Byliśmy biedni i mieliśmy kłopoty. Teraz jesteśmy bogaci i nadal mamy kłopoty. Wolę więc mieć jednocześnie i srebro, i kłopoty.

Case początkowo powstrzymał się od komentarza, ale po chwili zastanowienia zmienił zdanie. Uznał, że skoro Sara rozumie, jak wielkie niebezpieczeństwa czyhają na nich z powodu odnalezienia skarbu, to może wzięłaby ze sobą Connera i wyniosła się jak najprędzej, kiedy oni zajmą się Culpepperami.

- Byliśmy śledzeni, kiedy wyjechaliśmy z tego bocznego kanionu - powiedział spokojnym tonem.

- Przedtem też byliśmy śledzeni.

- Ale przedtem wieźliśmy chrust.

- Więc co z tego?

- Wyjechaliśmy z kanionu bez chrustu, ale nasze konie zostawiały głębsze ślady niż w tamtą stronę.

Sara znieruchomiała.

- Ab Culpepper umie czytać ślady. Tak samo większość jego kompanów.

Oni wiedzą, że szukasz hiszpańskiego skarbu.

- A teraz wiedzą, że go znaleźliśmy - dokończyła ponurym tonem.

- Też bym doszedł do takiego wniosku, gdybym to ja obserwował i czytał tropy.

- Nikt oprócz nas dwojga nie wie, gdzie schowane jest srebro - powiedziała gwałtownie.

- Nie wytrzymałabyś długo, gdyby Ab zaczął cię przesłuchiwać. Ja też nie. To jest tak okrutny człowiek, jakich mało.

- Więc będziesz po prostu musiał uchronić mnie przed nim, dopóki nie zawiozę tego srebra do banku.

- Mam lepszy pomysł. Weź Connera, cztery sztabki srebra i sześć koni. Jedźcie bez zatrzymywania się do Santa Fe. Ute pojedzie z wami dla ochrony. Będziecie mogli wrócić, kiedy tylko załatwimy sprawę z bandytami.

- Ale Conner nie pojedzie.

- Skąd wiesz?

- Nie jestem taka całkiem głupia. Chcę, żeby mój brat wyjechał stąd cały i żywy. Ale on nie chce. Kiedy powiedziałam, że nie dam mu ani trochę srebra, jeżeli zostanie, to tylko wzruszył ramionami.

- A niech to diabli! - mruknął Case.

- Amen.

„Wszystko się wali, wszystkie moje plany na przyszłość” – pomyślała, wzdychając. „Dlaczego Conner musiał wyrosnąć na takiego uparciucha?” Światło gwiazd błyszczało na śniegu jak zamrożone łzy.

Sara zamknęła oczy, by uciec przed wszystkim, oprócz miłego dotyku ciała Case'a i uścisku jego silnych ramion. Dreszcz smutku i jednocześnie przyjemności wstrząsnął jej ciałem.

- Nie myśl o tym złym śnie - powiedział łagodnie.

- Nie myślałam o nim.

- Ale zadrzałaś.

- Myślałam o tym, jak wspaniale byłoby po prostu zostać tu z tobą w nocy i pozwolić, żeby wszystko inne zniknęło. Wszystko. Wszystkie złe wspomnienia i strach...

Case zamknął oczy. Podobna tęsknota, jaką słychać było w jej głosie, drzemała w jego własnym sercu i duszy.

- Po prostu żyć chwilą obecną? - zapytał.

- Tak. Jak w dobrym śnie, takim śnie, z którego człowiek budzi się uśmiechnięty, a nie spocony.

- Jak we śnie - powtórzył. - Żadnej przeszłości ani przyszłości. Tylko wspaniały sen.

Kiedy mówił, jego usta poruszały się nad jej włosami, brwiami, policzkami i ustami.

- Case? - szepnęła.

- To tylko sen - powiedział. - Nic więcej. Tylko sen.

Przesunął czubkiem języka po jej górnej wardze, a potem dolnej, wywołując w nich delikatny ogień. Poczuela, jak pod wpływem tej pieszczoty przyspiesza jej oddech i drży serce.

Wtem przypomniała sobie jego surowe ostrzeżenie: „Nie próbuj doprowadzić do tego, żebyś zaszła ze mną w ciążę. Znienawidziłbym za to nas oboje. Czy tego właśnie chcesz?”

Skórzany woreczek, który dała jej Lola, był w chacie. Wiedziała, że jeżeli pójdzie teraz po niego, to Case znowu skryje się za wzniesionymi przez siebie niewidzialnymi murami. Tylko teraz, tylko w tej chwili, nie bronił się. Tak samo jak ona.

„To nieważne” - pomyślała. „Odjadę z rancza, zanim którekolwiek z nas będzie wiedziało, czy jestem w ciąży. A może, może będę mogła przedostać się tak daleko za te jego mury, że nie będzie już mógł zostawić mnie poza nimi”.

Nie wierzyła w to zbyt, ale miała nadzieję...

Jej zęby dotknęły dolnej wargi Case'a. Pośpieszny oddech, jaki zaczerpnął, był wyłomem w jego obronie. Wsunęła mu język do ust i zaczęła badać ich wnętrze. Jęknęła, drżąc z rozkoszy.

- Uwielbiam twój smak - wyszeptała. - Uwielbiam dotyk twoich gładkich, mocnych zębów i twój aksamitny, ciepły język.

Case mruknął coś cicho. Zacisnął jeszcze mocniej ramiona, aż poczuła się tak, jakby obejmowała ją ciepła stalowa obręcz.

- Nie powinnaś mówić takich rzeczy - wyszeptał.

- Dlaczego?

- Bo stracę głowę.

- Tylko na chwilę. To tylko sen. Nic więcej - wyszeptała. - Sen.

Nie zdążył się odsunąć, kiedy już poprawiała się na jego kolanach, by jeszcze bardziej do niego przywrzeć. Otarła się biodrem o jego naprężoną męskość. Jego członek był pełny, twardy i gotowy.

Mruknęła cicho i znowu się poruszyła. Pieściła go już otwarcie, wiedząc w jakiś instynktowny, kobiecy sposób, że tą drogą może pokonać jego barykady, przynajmniej tym razem.

„Tylko sen”.

Próbował coś powiedzieć, ale przykryła jego usta swoimi, więc wydał z siebie tylko stłumiony jęk. Jej smak, kiedy dotknęła jego zgłodniałego języka, dotyk jej ciała przesuwającego się na jego kolanach i nierówny oddech mówiły mu, że ona pragnie go tak bardzo, jak on pragnie jej. Świadomość tego podziałała na niego jak alkohol. Coraz trudniej było mu zapanować nad sobą. Walczył z pokusą nawet wtedy, gdy jego język już wsuwał się raz po raz do ust Sary, wnikając w nią tak samo głęboko, jak ona wnikała w niego.

Ich usta się łączyły, ale to mu nie wystarczało. Chciał więcej, o wiele więcej. Chciał jej całej.

Szeptał jej imię pełnym pożądania głosem.

Odpowiedziała mu namiętnym ruchem ciała, a to rozpałiło go do białości.

Przestał już walczyć z żądzą, potrzebował tej dziewczyny bardziej niż krwi w żyłach. Otulił ją całą, odnajdując dłońmi jej piersi.

Pieścił ją pośpiesznie, pragnął dotyku jej ciała, a nie ubrania. Szybko rozpiął jej flanelową koszulę i rozwiązał tasiemki halki. Palce miał zimne od chłodu nocy. Jęknęła, kiedy dotknął nimi jej sutka. Zawahał się, więc położyła mu ręce na dłoniach i przycisnęła je do piersi.

- Nie przerywaj - szepnęła.

- Mam zimne ręce.

- Zimne? - zaśmiała się cicho. - Są jak ogień. Czysty, wspaniały ogień.

Chcę je czuć na sobie całej. A najbardziej chcę, żebyś znowu był we mnie. Mruknął głęboko i położył ją na pościeli. Razem zaczęli wyzwalać się z ubrań. Poczwała, jak on rozszerza jej nagie uda. Zapach jej podniecenia pokonał go. Dotknął jej raz głęboko i poczuł płynny ogień rozlewający się po jego ręce. Usiłował wypowiedzieć jej imię, ale nie potrafił. Odbierała mu oddech.

Długie nogi otoczyły jego biodra. Jednym szarpnięciem rozpiął spodnie, ledwie tłumiąc jęk, gdy przysunęła się do niego.

Otarł się o jej wilgotne gorąco. Zadrżała z rozkoszy i oddała mu pieśczoć, przesuując się po jego wygłodniałej męskości. Badał ją, sprawdzając jej gotowość. Wtem ogarnęła go kolejna fala gorąca rozlewającego się z jej wnętrza.

Podziałało to na niego tak, jakby ktoś przyłożył zapalnik do pochodni.

Napreżył się i zatopił w niej tak głęboko, jak tylko mógł. Spił jej zaskoczony okrzyk, zanim jeszcze opuścił jej usta. Poruszał biodrami raz po raz, coraz szybciej i mocniej, coraz głębiej zatapiając się w jej rozpalonym, przywierającym do niego ciele.

Zacisnęła mocniej obejmujące go nogi i poruszyła w odpowiedzi biodrami, ponagłując go i podniecając do tego stopnia, że nie czuł już nic poza otaczającym go żywym płomieniem jej wnętrza. Chciał zwolnić, odzyskać kontrolę nad sobą, ale nie potrafił tego zrobić, tak samo jak nie potrafił się oprzeć aksamitnemu gorącu jej namiętności.

Uniosła biodra ku górze na jego spotkanie, jednocześnie wbijając mu paznokcie w uda. Ciemności nocy zawirowały wokół niego serią głębokich, szarpiących impulsów, które przyprawiły go o zawrót głowy i niemal odebrały mu dech w piersiach.

Przyciskała go do siebie niepewnie, delikatnie gładząc i całując jego czoło, powieki i usta. Dopiero po dłuższej chwili podniósł głowę i spojrzał na nią błyszczącymi oczami.

- Czy zadałem ci ból? - zapytał.

- Myślałam, że to ja tobie zadaję ból - powiedziała smutnym głosem.

- Brzmiało to tak, jakbyś umierał. Czy ja... czy znowu wywołałam twoją niechęć?

- Niechęć? O czym ty mówisz? Nigdy nie wywołałaś mojej niechęci.

- Nawet wtedy, kiedy zrobiliśmy to pierwszy raz?

- Nie wywołałabyś mojej niechęci, nawet gdybyś tego chciała - powiedział spokojnie.

Wypuściła z ulgą powietrze z płuc.

- Jednak ja czuję niechęć do samego siebie - powiedział szorstko. -

Nigdy wcześniej nie straciłem panowania nad sobą w taki sposób.

Przepraszam.

Uczył ruch, żeby z niej zejść, ale przytrzymała go nogami zaplecionymi wokół jego bioder.

- Powiedziałeś, że nie wywołałam twojej niechęci – wyszeptała.

Chwyił jej twarz w swe mocne dłonie.

- Nie wywołujesz mojej niechęci - powiedział dobitnie. - Podniecasz mnie tak, jak nigdy nie podniecała mnie żadna inna kobieta.

- Więc dlaczego wstajesz?

- Bo cię gnioję.

Uśmiechając się, zakotyssa biodrami. Gorące, wspaniałe odczucie, które przenikało ją przy każdym ruchu, sprawiało, że chciała go trzymać jeszcze bliżej, jeszcze głębiej.

- Nie gnieciesz mnie - mruknęła. - Ogrzewasz mnie od środka. To dobry sposób w taką zimną noc. Czy odpowiadałaby ci praca w charakterze mojego koca?

Mruknął coś niezrozumiale i położył twarz na posłaniu przy jej głowie.

- Case? Nic ci nie jest?

- Nie. Doprowadzasz do tego, że chcę...

Zamilkł. Nie potrafił wyjaśnić kipiących w nim złożonych uczuć, nad którymi nie potrafił zapanować.

- Chcę się śmiać - powiedział w końcu. - Ale ja nie chcę się śmiać, kochać ani nic czuć. Już nigdy. Nie mogę.

Sara była zadowolona z tego, że noc kryje jej reakcję na te słowa: ból i wyparcie się, gniew i gwałtowny żal. A ponad wszystko pogodzenie się z losem.

Rozumiała, co odpycha Case'a od niej i dlaczego. Nie mogła go obwiniać za jego wybór. Kochała go.

- Nie przejmuj się - powiedziała gorącym szeptem. - Śmieję się albo płacz, albo nic nie rób. To jest tylko sen, pamiętasz? Sny się nie liczą.

Mówiąc to, poruszała w zmysłowy sposób biodrami. Case odczytał to bezbłędnie: nadal go pragnęła.

Gorący dreszcz wstrząsnął nim od stóp do głów. Serce zabiło mu żywiej, a krew wzburzyła się w żyłach, pobudzając go na nowo. Naprężył całe ciało, przyciskając się do niej, i wypełnił ją aż po brzegi.

- Ojej - wyszeptała rozmarzona. - To wspaniałe uczucie.
Poruszyła biodrami dla potwierdzenia tych słów, pieszcząc go i dostarczając rozkoszy im obojgu.

- Sara!

- Hm?

- Spalam się przez ciebie za życia - powiedział.

- To dobrze czy źle?

- Zapytaj mnie za kilka minut.

- Co?

Jego odpowiedzią był pocałunek, który wypełnił jej usta, tak samo jak on sam wypełniał jej ciało. Nie przerwał pocałunku, dopóki nie straciła oddechu i zaczęła się wić, przyciskając się do niego w oczekiwaniu ekstazy.

Gdy już szczytowała, Case zsunął się z niej. Pośpiesznie zaczął zdejmować ubrania, które wcześniej tylko rozpiął.

- Poczekaj - powiedziała, usiłując przytrzymać go w ciemności. - Dokąd idziesz?

- Nigdzie. Jestem tak samo głodny jak ty.

Zrozumiała, że on po prostu zdejmuje ubrania. Białe światło gwiazd spłynęło na jego skórę, kiedy położył się na plecach i ściągnął spodnie. W mroku zabłysła jego twarda, wzniesiona męskość, jeszcze wilgotna od spotkania z nią. Wyglądała imponująco.

- Boże - wyszeptała zaskoczona - czy to wszystko było we mnie?

Case wydał dźwięk przypominający śmiech lub jęk bólu, a może jedno i drugie naraz.

- Do ostatniego cala - powiedział cicho.

Nawet ciemność nie była w stanie przesłonić rozszerzonych oczu Sary.

- Nie wierzę w to - powiedziała.

- Ale ja tak. Podobało ci się to, kochanie. Wierciłaś się i przyciskałaś do mnie jak kocica i chciałaś jeszcze, ale ja straciłem kontrolę nad sobą, zanim jeszcze dałem ci to, czego potrzebujesz.

Nieśmiało sięgnęła ręką ku jego twardej mękości.

- Czy mogę... cię tu dotknąć? - zapytała niepewnym tonem.

Coś prawie jak uśmiech zabłysło w świetle księżyca na twarzy Case'a, kiedy na nią spojrział.

- Gdzie tylko chcesz - powiedział. - Jak tylko chcesz. Ale może najpierw okryjemy się razem tymi kocami? Jest mi tu zimno samemu.

Drżąc od uczuć, które nie były tożsame w całości ani ze strachem, ani z przyjemnością, Sara uniosła koce w niemym zaproszeniu.

Nadal nie mogła uwierzyć, że trzymała całą jego męskość wewnątrz swojego ciała i nie została rozerwana.

Ogarnął ją powiew zimnego powietrza, kiedy Case wsunął się do niej pod koce. Patrzyła na niego, leżąc na boku. Początkowo dotykające jej

ciało było chłodne, ale już po chwili rozgrzało się rozkosznie.

Powoli i ostrożnie przygarnął ją do siebie, po raz pierwszy przywierając do niej całym nagim ciałem. Jego męskość opierała się o jej brzuch jak ciepły kamienny słup.

- Boże - westchnęła - ale masz tego dużo!

Chociaż nie wydał żadnego dźwięku, jego ramiona poruszyły się tak, jakby zaśmiał się w duchu.

- Nie więcej, niż było przedtem - wyszeptał wprost w jej usta.

- Trudno w to uwierzyć.

- Jest ciężki i tyle.

- Zauważyłam.

- To dlatego kobiety są takie słabe.

- Mają słabą głowę? - wyszeptała ironicznie. - Po to, żebyśmy pozwalały wkładać sobie tę wielką, twardą rzecz?

Znowu ramiona Case'a drgnęły, ale nie wydał żadnego dźwięku.

- Masz mocniejszą głowę niż ja - szepnął po chwili.

- Hm!

- Jeżeli mi nie wierzysz...

Zacisnął palce na jej dłoni. Potem odsunął się nieco, by poprowadzić jej dłoń w dół swego ciała.

Oddech Sary przerodził się w zaskoczony jęk, kiedy przesunął jej palcami od gładkiego szczytu jego naprężonej męskości do gorącego zarostu u podstawy.

- Widzisz? Wcale nie jest taki mocny.

- Twardy jak kamień.

- Kamień nie ma pulsu - powiedział, oplatając swoją męskość jej palcami.

- Ja mam. Zobacz.

Poczuła w dłoni gorący puls jego ciała. Była tym tak zadziwiona, że z trudem chwyciła oddech. Z zaciekawieniem badała palcami ten dziwny fragment jego ciała, który był jednocześnie twardy i żywy.

- Tu jest gładki jak aksamit - mruknęła, pieszcząc wierzchołek - a niżej taki inny. Ale nie szorstki. Po prostu... inny.

Przesuwając palce przez gęste włosy, odkryła jeszcze jedną cechę, jaką mężczyźni różnią się od kobiet. Przykryła palcami mocno podciągnięte kule, jednocześnie przykrywając dłonią puls, bijący wewnątrz kamiennej twardości.

Zaczerpnął oddech z pomrukiem przekleństwa i modlitwy.

- Jesteś pewien, że nie wywołuję twej niechęci? - zapytała z niepokojem Sara.

- Pewien jak cholera.

Nadal jednak nie była przekonana.

- A czy to wywołuje twoją niechęć? - zapytał Case, wsuwając dłoń pomiędzy jej nogi.

Przesunął palcami przez gorące gniazdko włosów, odsłaniając wilgotny i podniecony skrawek jej ciała. Przesunął powoli palcami wokół rozpalonej szczeliny.

Milczała, oddychając nierówno.

- Czy to wywołuje twoją niechęć? - powtórzył.

- Chyba żartujesz - odparła, drżąc. - Czy nie czujesz, jak ja odbieram tę pieśczętę?

- Naprawdę?

- Och tak, na Boga!

- Ja odczuwam to tak samo - powiedział. - Dobrze. Tak dobrze. A teraz nawet lepiej.

Rozchylił palcami delikatne fałdki, pieścąc ją coraz głębiej, aż wydała urywany jęk. Wilgotne gorąco oblało mu rękę.

- Żywy ogień - wyszeptał. - Boże, uwielbiam twoje reakcje. Jakże ktoś tak wspaniały mógłby wywoływać moją niechęć?

Sara nie odpowiedziała. Nie była w stanie tego zrobić, gdyż jego kciuk gładził naprężone centrum jej namiętności.

- Przełóż mi nogę przez biodro - szepnął.

Uniosła nogę, uświadamiając sobie, że w ten sposób otwiera się przed nim. Przypomniała sobie widzianą w świetle gwiazd błyszczącą, przerażającą długość jego męskości.

- Case, ja... - słowa uwięzły jej w gardle.

Pieszczoty jego palców były delikatnie, ale wprost nie do zniesienia.

Chwytał ją, gładził i badał jej reakcję. Zupełnie nieświadomie zaczęła jęczeć.

- Podaj mi usta - szepnął.

Podniosła twarz ku niemu.

- Szybciej - powiedział, dotykając już jej warg. - Daj mi je całe.

Wsunął język w jej usta, nie przestając badać palcami tajemnic jej ciała.

Zadrżała i krzyknęłaby na głos, gdyby Case nie panował nad jej ustami, z taką samą pewnością jak nad jej ciałem. Świadomość tego przeszła ją dreszczem. Był to jednak dreszcz wywołany nie przez strach, ale przez poczucie dzikiej wolności, pochodzące z kobiecej pewności co do swego mężczyzny. Wiedziała, że będzie ją chronił, kiedy znajdzie się bezradna w jego ramionach, tak samo jak ona chroniła jego, gdy leżał drżący i wyczerpany, przyciskając się do jej piersi.

Wygięła ciało w łuk od przenikających ją fal rozkoszy, u której szczytu Case pieścił ją głęboko, powiększając namiętny nacisk. Kiedy odsuwał kciuk, jej rozkosz przygasła, by znowu wybuchnąć pożerającym dziewczynę płomieniem.

Spijał jej urywane okrzyki, tłumiąc je tak, że żaden nie wydobył się spod okrywających ich koców. Powoli, niechętnie uwolnił jej jedwabiste

rozpalone centrum.

Zaprotestowała w jedyny dostępny jej sposób, wyginając biodra i przyciskając się do niego.

Ze zduszonym mruknięciem dał jej to, o co prosiła, nieświadomie czy świadomie: wsunął w nią swą naprężoną, pełną pożądania męskość. Nie mogąc nasycić się nią w ten sposób, obrócił ją na plecy i podciągnął jej nogi, by oplatała go nimi pod kocami.

Zagłębił się w nią całkowicie. Naprężył się, czując na sobie jej gorący nacisk. Był wstrząśnięty intensywnością doznawanej rozkoszy i swego żywiołowego pożądania. Pragnął jej teraz bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

W jakiś sposób zdawał sobie sprawę, że powinien się bać tego pochłaniającego go płomiennego, żywego pożądania. Jednak w tym momencie, tak samo jak wcześniej w przypadku Sary, pokusa rozkoszy dzielonej przez ich splecione ciała była dla niego większa niż jakikolwiek strach.

- Chciałbym mieć wielkie puchowe łóżce, na którym bym cię położył
- powiedział cicho. - Zimno ci?

- Nie czuję nic poza tobą.

Spojrzał na jej twarz. Miała zamknięte oczy i twarz ściągniętą rozkoszą albo bólem.

- Jak to odczuwasz? - wyszeptał.

- Cudownie.

Wypuścił głęboki oddech, pohamowując dziką niecierpliwość swego ciała.

- A teraz, żeby nie było niejasności, włóż rękę pomiędzy nas - powiedział.

Otworzyła oczy. Błyszczały tajemniczo w świetle gwiazd.

- No proszę - wyszeptał. - Zrób to.

- W ten sposób? - zapytała, wsuwając dłoń pomiędzy ich stykające się klatki piersiowe.

- Niżej.

Przesunęła dłoń na swój brzuch.

- Niżej - ponaglił.

Znowu przesunęła rękę. Nagle jej oczy rozszerzyły się, błyszcząc w ciemnościach jak czyste srebro.

- Tak - powiedział wprost w jej usta - każdy cal ze mnie jest w tobie.

Nadal się boisz?

- Nie mogę w to uwierzyć.

Poruszyła się, by sprawdzić, czy się nie myli. Wspaniała rozkosz rozplynęła się po jej ciele, poczynając od miejsca, w którym tkwił tak głęboko w niej.

- Pasujemy do siebie - wydyszała - naprawdę pasujemy.

- Och tak, na Boga.

Przygryzł delikatnie jej usta, by zauważyć z zaskoczeniem, jak gwałtownie

przyśpiesza jej oddech. Wiedział, że przed chwilą doszła do szczytu. Nie spodziewał się, żeby chciała jeszcze więcej erotycznych gier.

Jednak instynktowne napięcie jej ciała wokół jego męskości mogło oznaczać tylko jedno.

- Znowu zacznę się poruszać, jeśli nie przestaniesz tego robić - wyszeptał.

- Co robić?

- Pieścić mnie całego, tam głęboko.

Znowu obdarzyła go taką samą pieśczołą, bez poruszania biodrami.

Drżała, czując fale rozkoszy, przepływające przez nią z każdym ukrytym zaciśnięciem jej ciała.

- W ten sposób? - wyszeptała.

- Właśnie tak.

- Ale to jest dla mnie takie przyjemne. Nie chcę przerywać.

- A co byś powiedziała na to? - zapytał, przesuwając ku niej biodra.

Ledwie zdążył zakryć ustami jej usta, by zdusić jej zaskoczony, pełen emocji okrzyk. Przesuwał się po niej raz po raz, podniecając ją coraz bardziej z każdym energicznym ruchem swego ciała.

Nagle poczuł, jak jej paznokcie rozorują mu plecy i zatapiają się w je-go napiętych biodrach. Rozpaliło go to bardziej, niż zdołałyby to zrobić jakakolwiek delikatna pieśczoła. Był zbyt podniecony, by zarejestrować jakiś delikatny dotyk. Potrzebował bodźca równie dzikiego jak pożądanie przenikające jego ciało, pożądanie, które oblewało potem każdy fragment jego skóry.

Dała mu to, czego potrzebował, niemalże walcząc z nim o uściski, żądając, by w zamian oddał jej wszystko, co posiada.

Musiała to dostać za wszelką cenę.

Wykrzyczałaby swe pożądanie, gdyby mogła, ale przywarł wargami do jej ust, zmuszając ją do milczenia. Pot spływał jej po ciele, gdy walczyła o to, by przywrzeć do niego jeszcze bardziej, aby osiągnąć ekstazę, która była tuż obok niej. I nagle osiągnęła ją. Ekstaza była wszędzie wokół niej i w niej samej, światło i ciemność rozplywały się w nieskończoną ilość barw. On jednak nadal napierał na nią, wchodząc w nią i podsycając jej ekstazę, aż wreszcie zadrżała i rozplakała się, oddając się bez reszty oślepiającym, pulsującym kolorom, które nie znały ciemności, tylko samą radość.

Teraz on z kolei spełnił się z szorstkim okrzykiem, pulsując raz po raz, świadom tylko złotych płomieni rozkoszy, przepelniających go do głębi duszy.

Minęło wiele czasu, zanim którekolwiek z nich było w stanie wydobyć z siebie głos. Leżeli, obejmując się mocno; delikatni i gwałtowni, pożądliwi i nasyceni, nadzy i wygrzewający się w palących, lecz delikatnych płomieniach spełnienia.

- O Boże - wyszeptała w końcu.

- Amen - wydyszał.

Musnął wargami jej usta, próbując jej smaku, a ona odpowiedziała mu tym samym.

- Jesteś niesamowita - wymruczał. - Taka diabelnie żywa.

- To ty, nie ja.

- Nie, to ty.

Roześmiała się cicho.

- Mamy przed sobą resztę nocy, żeby się spierać, kto kogo pali żywcem

- powiedziała.

Coś białego błysnęło na mgnienie oka na tle jego czarnej brody.

- Są pewne rodzaje sprzeczek, w które mężczyzna nie potrafi się angażować częściej niż raz albo dwa razy w ciągu nocy.

- Naprawdę?

- Taka jest prawda.

Uśmiechnęła się i przywarła z rozkoszą do jego nagiego, silnego ciała.

- Czy to oznacza, że teraz mogę cię pieścić, a ty zaśniesz spokojnie w moich ramionach?

Otarł twarz o jej szyję, ziewnął i obrócił się na bok, przyciągając ją do siebie.

- Jeżeli tak chcesz - powiedział bardzo delikatnie. - Na chwilę.

„To tylko sen. Tylko na chwilę. Sen, nic więcej. Tylko sen”

Pomimo palących łez, jakie płynęły jej z oczu, całowała szyję Case'a, jego ramiona i twardą dłoń, którą podłożył pod jej policzek. Smakowała słonawą gładź jego skóry, sprawdzała zębami muskularną sprężystość bicepsów i targała ustami włosy na jego piersi.

W tych pieszczotach nie było żadnego uwodzenia ani żadnego żądania.

Po prostu, w każdy możliwy sposób, badała powierzchnię jego ciała.

Powoli obsunęła się w dół, gładząc policzkiem jego pierś i brzuch, wdychając woń mężczyzny i kobiety, woń spełnienia.

Intrygowało ją zwięzające się pasmo włosów, prowadzące od jego pępka do krocza. Łaskotały ją po ustach, wywołując jej uśmiech. Nie przestała się uśmiechać, gdy jej usta otarły się o jego sprężystą i coraz większą męskość.

Uniosła głowę i spojrzała na jego twarz. Przypatrywał się jej z gorącą intensywnością, której nawet noc nie potrafiła zakryć.

- Czy to jest zawsze takie duże? - zapytała zdziwiona.

- Nigdy przedtem tak nie było.

- Przed czym?

- Przed tobą.

- Och. Czy to jest... dobre?

- Nie wiem. To się nigdy wcześniej nie zdarzyło. Ale bardzo bym chciał to sprawdzić.

Przycisnęła do niego policzek. Jej oddech owiewał jego powiększający

się atrybut męskości. Pocałowała go.

Case sam nie wiedział, czy nie umarł i trafił do nieba zamiast do piekła, które, jak zawsze przypuszczał, go czekało.

Czubek jej języka przesunął się, pozostawiając ognisty ślad na jego wypełnionej gwałtownym pulsem męskości.

- To jest wspaniałe - wyszeptał - tak cholernie wspaniałe, że nie mogę uwierzyć, iż mi się nie śni.

- Ale ci się śni, pamiętasz? - zapytała, smakując go. - To tylko sen.

- Tylko. Do świtu.

Sara zamknęła oczy.

Nadchodzący świt miał położyć kres wszystkim snom. Ale do tego momentu mogła radować się najwspanialszym w jej życiu snem, wystarczająco wspaniałym, by się nim cieszyć do samej śmierci.

- Do świtu - powtórzyła, a potem wyszeptała tak cicho, że miała nadzieję, iż jej nie usłyszał: - Kocham cię, Case.

Pomimo jej ostrożności usłyszał to cichutkie wyznanie. Chciał zaprotestować, wiedząc, jakiego bólu będzie doznawała, kochając go.

Nie potrafił jednak wydobyć z siebie głosu. Nie potrafił nawet oddychać, czując na sobie gorący, rozpalony nacisk jej ust.

Zaprzestał prób mówienia, myślenia i oddychania. Sięgnął tylko po złoty płomień Sary, w taki sam sposób, w jaki umierający człowiek chwytą się życia.

I przysła do niego jak życie: gorąca, rozkoszna i czuła.

22

Sara obudziła się otoczona przez ciepło Case'a, czując pod policzkiem bicie jego serca. Mruknęła leniwie, przytuliła się jeszcze mocniej do niego i znowu zasnęła.

Ból i błogi spokój wypełniały jednocześnie duszę Case'a. Ból, ponieważ nigdy nie powinien był znaleźć się z nią w łóżku. Spokój, ponieważ tak się stało.

„A co będzie, jak jest w ciąży?”

To pytanie prześladowało go przez całą noc, uniemożliwiając mu sen.

„Nie mogę pozwolić, aby to się powtórzyło”.

Case sam nie wiedział, czy ma na myśli kochanie się z nią, czy przyjęcie odpowiedzialności za życie dziecka, czy też utratę tego życia. Był świadom tylko zimnego strachu, przytłaczającego mu pierś. Był to strach nie-

podobny do tego z przeszłości, którego doznawał w najkrwawszych momentach wojny.

Tej nocy uśmiechał się, ukryty w ciemności. Śmiał się, kryjąc się w ciszy. Całkowicie zagubił się w namiętności Sary.

„Nigdy więcej” - pomyślał ponuro. „Nie mogę znowu przez to przechodzić. Przez śmiech i przez utratę wszystkiego”.

Sara przysunęła się do niego z westchnieniem. Jej ufność przepelniała go falami gorąca i zimna, radości i strachu, zagrażając resztkom pewności siebie.

„Ona mnie kocha. Nie mogę jej kochać. Skrzywdzę ją. Nie mogę jej skrzywdzić. Ona mnie kocha. Ja nie mogę!”

Jego myśli krążyły i spadały, przesywając go bólem, tym bardziej dotkliwym, że nie wywołanym realnymi ranami.

- Siostró? - zawołał cicho Conner. - Dobrze się czujesz?

Case poczuł, jak ciało Sary zmienia się, gdy dotarł do niej głos brata.

Stężała, przebudzając się całkowicie.

- Co się stało?! - zawołała.

- Słońce już wstało, a ty nie - odpowiedział Conner. - Pomyślałem, że może jesteś chora.

- Nigdy nie czułam się lepiej.

Ziewnęła, przeciągnęła się... i wtedy nagle uświadomiła sobie, że jest naga pod kocami.

Widząc wyraz jej twarzy, Case niemalże się uśmiechnął. Niemalże.

Cena śmiechu była dla niego zbyt wysoka.

- Hunter mówił, żeby cię zostawić w spokoju, bo prawdopodobnie miałaś tu ciężką noc - powiedział Conner. - Ale ja się martwiłem.

Case poczuł gorąco jej rumieńca z tą samą intensywnością jak ona sama.

- Ehm, tak, ciężką - mruknęła.

Zarumieniała się jeszcze bardziej, słysząc swe własne słowa.

Kąciki ust Case'a drgnęły w uśmiechu. Zwalczył go, ale nie był w stanie wyprzeć się czułości, jaka go ogarnęła, gdy Sara ukryła swą zarumienioną twarz na jego piersi.

Co się dzieje? - zapytał Conner. - Mówisz jakoś dziwnie.

Sara odchrząknęła przesadnie głośno.

Case otworzył usta, ale zakryła mu je swą małą dłonią.

- Nic mi nie jest - powiedziała dobitnie. - Hunter ma rację. Spanie tutaj nie jest tak spokojne jak wewnątrz chaty, i to wszystko.

- Przyzwyczaisz się do tego - powiedział jej brat wesoło.

Wątpiła w to, czy kiedykolwiek przyzwyczai się do czegoś tak żywiołowego jak Case w jej łóżku, w jej ciele, w jej duszy. Niebiańska rozkosz o północy w środku snu. Piekło o świcie, kiedy sny się kończą.

Oczy jej kochanka mówiły, że nadszedł świt.

- Idź do chaty - powiedziała cicho do brata. - Przyjdę za kilka minut zrobić śniadanie.

- Morgan już je robi. Widziałaś Case'a?

Case uniósł czarną brew w cichym zapytaniu, patrząc na nią z zakrytymi jej dłonią ustami. Jego oczy były przyciemnione przez upiory wspomnień i płonęły od życia, którego nie chciał przyjąć.

- Do licha! - mruknęła Sara, podnosząc dłoń.

- Co? - zapytał Conner.

- Tak, widziałam Case'a - powiedziała.

„Jego całego” - pomyślała. „Każdy fragment. Czulałam też jego smak.

Boże, nie wiedziałam, jak gorzkie i słodkie naraz potrafi być życie. Może być naraz niebem i piekłem i wszystkim innym, co jest pomiędzy nimi”.

- Gdzie on jest? - zapytał Conner. - Mam pewien pomysł, jak można obserwować Culpepperów...

- Case jest tutaj - przerwała mu.

Na chwilę zapadła cisza.

- Och - mruknął Conner. - Eee...

- Tak. Eee... - powtórzyła ironicznie Sara. - Czy pozwoliłbyś nam obudzić się w spokoju?

- No, do licha, skąd miałem wiedzieć?

- Wystarczyłoby, gdybyś używał głowy jako czegoś więcej niż wieszaka na kapelusze - odpaliła.

- Czy ty... ehm... dobrze się czujesz?

Jej irytacja rozplynęła się w śmiechu, kiedy usłyszała w głosie brata mieszaninę miłości, troski i zakłopotania.

- Nigdy nie czulałam się lepiej.

- A nie zapytasz o mnie? - odezwał się Case. - Twoja siostra to okropnie ostra kobieta.

- Case, gdybyś nie był za duży, żeby ci wlać, tobym...

-Ale jestem - przerwał jej. - Więc tego nie zrobisz. Idź do chaty, Conner. Zaraz przyjdziemy.

Śmiech chłopca rozlał się po zaroślach jak drugi świt. Nadal się śmiał, kiedy drzwi chaty w końcu zamknęły się za nim. Jednak w oczach Case'a nie było śmiechu.

- Saro - zaczął.

- Nie – przerwała.

- Co?

- Nie. Po prostu nie. Nie psuj tego, mówiąc mi, jak mnie nie kochasz.

Wiem, że nie kochasz. Nie potrzebuję słyszeć tych słów.

Przymknął powieki, nie mogąc znieść wyrazu bólu w jej oczach. Sam odczuwał podobny ból.

- Nie możemy tego więcej robić - powiedział napiętym głosem.

- Nie możemy? - roześmiała się szorstko. - Jesteś tak twardy i pełen życia jak zawsze. Nie mów mi, że nie możemy.

Nie był w stanie temu zaprzeczyć. Czul taki puls swej męskości przy jej biodrze, jakby nie miał kobiety od lat.

- W porządku - rzeki. - Więc nie wolno nam tego znowu robić.

- Dlaczego?

- Mogłabyś zająć w ciążę!

Zadrzała i przesunęła nieco biodrami, sprawdzając jego gotowość.

- Nie ma co do tego wątpliwości - zgodziła się.

- Wtedy musiałbym cię poślubić i...

- Dlaczego? - przerwała.

Spojrzał na nią takim wzrokiem, jakby oszalała.

- Jestem bogatą wdową, a nie biedną panienką - powiedziała spokojnym głosem. - Poza tym następnym razem użyję czegoś, co dała mi

Lola.

- Nie będzie następnego razu.

- Więc tak naprawdę nie martwisz się ciążą, prawda? Co jest nie tak? Czy nic podobało ci się to, co robiliśmy?

Case zamknął usta, aż zadzwoniły mu zęby. Nawet poprzez jego zarost widziała, jak tężeje mu twarz.

- Wiesz cholernie dobrze, że mi się podobało - wycedził przez zęby. - Do diabła, bardziej, niż się podobało. To było najlepsze w moim życiu.

„I nie będę już miał niczego lepszego” - dodał w duchu.

-Więc nie ma problemu - rzekła, uśmiechając się wesoło. - Chodź, leniuchu. Zobaczmy, czy Morgan jest dobrym kucharzem. Chyba że wolałbyś sprawdzić, czy doświadczenie czyni z nas mistrzów?

Case wyskoczył z posłania, mruknąwszy pod nosem jakieś przekleństwo, i zaczął się pośpiesznie ubierać. Spieszył się tym bardziej, że pełne podziwu szare oczy wpatrywały się w każdy cal jego ciała.

- Ubierz się - powiedział.

- Nie mogę znaleźć majtek ani halki. Co z nimi zrobiłeś?

Rozejrzał się niemal z rozpaczą. Jej halka wystawała spod koca w nogach posłania. Majtki natomiast zwiślały z niskiej gałęzi krzewu, rzucone tam przez rękę, która miała ciekawsze rzeczy do zrobienia niż martwienie się o następny dzień.

Zbierając jej bieliznę, przypomniał sobie, jak zdejmował z niej miękkie i ciepłe bawełniane szatki i odkrywał pod nimi coraz delikatniejsze i gorętsze ciało. Cisnął pośpiesznie bieliznę w kierunku Sary.

Spod koców wyłoniła się naga kobieca ręka i wciągnęła bieliznę do ciepłego posłania.

„Co tam ciepło, do cholery!” -pomyślał Case. „Ona jest jak ogień zimą.

Nawet umierając, będę pamiętał, jak się czułem, zagłębiając w nią.

Słona i słodka, absolutnie kobieca, gorący miód na języku, na całym

ciele. Ogień, który płonie w środku zimy tylko dla mnie".

Przeniknął go dreszcz czystego pożądania. Nie mógł nic na to poradzić, więc tylko upchnął swój niezdyscyplinowany organ w spodniach.

- Potrzebujesz pomocy? - zapytała Sara.

Humor, podziw i świeże wspomnienia promieniowały z jej głosu jak gorąco z ogniska.

- Już od pewnego czasu ubieram się sam - odparł szorstko.

- A może byś pomógł mnie? Jestem zaledwie początkująca.

Erotyczna pieśczoła jej głosu wzburzyła mu krew w żyłach.

- Ewa miała ten sam problem - mruknął - ale szybko się nauczyła.

Podniósł oczy akurat w porę, by zobaczyć, jak jego słowa gaszą śmiech w jej oczach.

- Saro... - zaczął.

Tym razem nie przerwała. Po prostu zniknęła. Koce poruszały się i fałdowały, kiedy ubierała się pod nimi. Po chwili wynurzyła się spod nich całkowicie ubrana.

- Może byś spróbował być przy Connerze uprzejmiejszy dla mnie, żeby się nie zorientował, jak bardzo mnie nie lubisz.

- A kto powiedział, że cię nie lubię?

- Znakomicie - mruknęła, naciągając prawy but. - Więc uprzejmość w stosunku do mnie nie powinna być problemem.

Z tonu jej głosu wynikało, że nie wierzy ani trochę w to, co jej powiedział.

- Mężczyźni nie spędzają nocy takich jak ta z kobietami, których nie lubią - powiedział ze ściśniętym gardłem.

- Oczywiście.

Wcisnęła lewą stopę w drugi but i wyprostowała się szybko.

- Do cholery, słuchaj mnie! - warknął, napotykać spojrzenie jej chłodnych, szarych oczu.

- Nie tylko cię słucham, ale nawet zgadzam się z tobą - odparła.

- Ale nie mówisz tego poważnie.

Cynamonowe brwi uniosły się w dwóch wyrażających powątpiewanie łukach.

- Skoro tak mówisz - mruknęła.

- Co?

- Staram się zgadzać z tobą. Powinieneś sam tego spróbować. Oczywiście tylko jako ćwiczenie. Nie będę oczekiwała tego, kiedy nie będzie w pobliżu Connera.

Case zdołał opanować irytację. Zaczepnął głęboki oddech, uspokajając się jeszcze bardziej. Działała na niego jak pokrzywy na skórę.

Sam nie wiedział, gdzie zniknęło jego zwykłe opanowanie.

Wspomnienie tego, jak posiadał Sarę i był nawzajem przez nią posiadany, przeniknęło przez niego jak gorąca, czarna błyskawica, wyjaśniając mu szybko, co się stało z jego opanowaniem.

„Nigdy nie powinienem był tego robić”.

Ale zrobił. Wiedział, że będzie żałować tego do końca życia. Zima zdała mu się o wiele zimniejsza, kiedy uświadomił sobie, że jest taki płomień, który pali się wyłącznie dla niego.

Płomień, który jest poza jego zasięgiem.

„Musi tak zostać. Poza zasięgiem”.

- Widziałaś Connera? - zapytał Ute.

Sara odwróciła się zdziwiona od kociołka, w którym gotowała się fasola.

Właśnie skończyła wkrajanie do niej jednej ze swych cennych cebul oraz kilku sztuk piekielnie ostrej zielonej papryki Ute.

Miała nadzieję, że wyparzy Case'owi usta.

„Na co ja się uskarżam?” - pomyślała. „Tego ranka poprosiłam go, żeby był dla mnie uprzejmy, i jest taki, na Boga!

Jest tak uprzejmy, że aż bołą mnie od tego zęby. Taki dystans”.

Westchnęła i powróciła do mieszania fasoli. Z zamyślenia wyrwało ją chrząknięcie Ute. Zapomniała, że on tam jest i że czeka na odpowiedź.

- Nie widziałam Connera od śniadania - powiedziała, mając nadzieję, że jej rumieniec jest niewidoczny. - Dlaczego pytasz?

„Przynajmniej Conner nie dokuczał mi z powodu Case'a. Tylko się uśmiechał”.

Ute przyglądał się w milczeniu plamom światła słonecznego wpadającego przez szpary w ścianie. Było to żółte jak masło światło późnego popołudnia.

- Od śniadania, tak? - Ute chciał się upewnić.

- A co się stało? - zapytała ostro.

Wzruszył ramionami, ale nie dała się zmylić. Bardzo dobrze nauczyła się czytać w smagłej, pozornie błogiej twarzy Ute.

- Ute!

Nie musiała mówić nic więcej.

- Miał być na górze dwie godziny temu. Kiedy nie wróciłem z posterunku,

Lola przyszła zobaczyć, co się dzieje. Została tam i trzyma teraz

straż za Connera, żebym mógł odpocząć i zjeść.

Marszcząc brwi, Sara zamieszała jeszcze raz fasolę i podłożyła do ognia nową szczapę drewna.

- Może jest z Case'em - powiedziała. - Ostatnio dużo razem strzelają.

- Już patrzyłem. Nie ma go tam.

Poczuła dreszcz niepokoju.

- To niepodobne do Connera, żeby opuścił swoją wachtę - powiedziała.

- Tak. Też tak myślę.

- Gdzie jest Case?

- Z bratem, planują, jak pogrzebać Culpepperów.

- A Morgan?

- Obserwuje ich obóz.

W milczeniu podłożyła jeszcze jedną szczapę do ognia, patrząc, jak

wgryzają się w nią płomienie. Wytarła dłonie o fartuch z grubego płótna.

- Poszukam go - oznajmiła.

- Tak myślałem, że poszukasz.

- Czy ktoś pilnuje kóz?

- Pies.

- Mam nadzieję, że nie zgubi mu się znowu ta czarno-biała – mruknęła.

Ute zatrzymał się w drodze do drzwi.

- To nie wina psa. Ta koza robi wszystko na odwrót. Jak tylko pies zacznie zaganiać kozy, to łaciata podnosi ogon i ucieka w przeciwnym kierunku.

- Zawsze bronisz psa.

- Sam byłem kiedyś bezdomny. To ciężki los - odparł, zamykając drzwi za sobą.

Wyraz twarzy Sary zmienił się natychmiast. Pojawił się na niej strach.

Przypomniała sobie, co jej brat powiedział tego ranka.

„Mam pewien pomysł, jak można obserwować Culpepperów”.

- Conner - szepnęła. - Chyba nie byłeś tak głupi, żeby iść sam.

Pośpiesznym ruchem zdjęła fartuch i powiesiła go na gwoździu.

-Morgan obserwuje Culpepperów - powiedziała do siebie na głos. -

Nie pozwoli Connerowi zrobić niczego głupiego.

Jej słowa niemal odbiły się echem w pustym pomieszczeniu.

„Conner. Głupi”.

Wybiegła na dwór, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Nawet nie zauważyła ukąszenia wiatru ani ukłuc maleńkich płatków śniegu siekących ją po twarzy.

- Conner?! - zawołała. - Gdzie jesteś?

Na oślep pobiegła w kierunku kępy zarośli, w której brat rozbił swoje obozowisko.

- Conner? Conner!

Wiatr przynosił z powrotem jej własne słowa, przedrzeźniając ją tak jak kiedyś, gdy wśród powodzi nawoływała w ciemności brata.

„Znalazłam go wtedy. Znajdę i teraz .

Obozowisko Connera było puste, ale nadal leżało tam jego siodło, którego używał jako poduszki.

- Conner! Odpowiedz mi!

Jednak nie odpowiedziało jej nic poza wiatrem. Pasma rozwianych przez wiatr włosów smagały ją po twarzy. Chwycała je dłonią i wczepiła się w nie palcami, jakby chwytając linę ratowniczą.

-Nie teraz - powiedziała. - Nie teraz, kiedy w końcu znalazłam dla ciebie srebro. Gdzie jesteś? Conner! Conner!

Nadal nawoływała brata, kiedy Case chwycił ją, obrócił ku sobie i otoczył ramionami. Mocno.

- Spokojnie, kochanie. Spokojnie. Opanuj się i powiedz mi, co się

stało.

Kiedy łagodny głos Case'a przeniknął wreszcie przez jej strach, uświadomiła sobie, że wykrzykuje bez przerwy imię swego brata.

- Czy Conner jest z tobą? - zapytała.
- Jest na górze.
- Jesteś pewien? Widziałeś go tam?
- Nie, ale on wie, kiedy jest jego kolej stanąć na straży.
- On tam nie przyszedł.
- Co?
- Lola jest na straży. Conner wcale nie przyszedł.

Case obrócił się i spojrzał za siebie.

- Hunter?
- Nie widziałem go - odpowiedział jego brat.
- A ty, Morgan?
- Nie. Nie widziałem go ani przez moment.
- Morgan! - zdziwiła się Sara.

Wyrwała się z objęć Case'a i stanęła przed czarnym zwiadowcą.

-Dlaczego nie obserwujesz bandytów?! - zawołała z pretensją. - Miałeś tam być!

Morgan spojrzał niepewnie na Case'a. Ten patrzył na Sarę tak, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu.

- Spokojnie, kochanie - powiedział. - Morgan wypełnia rozkazy Huntera.

Zamknęła oczy, jakby nie chciała widzieć nikogo, szczególnie Case'a.

- Czy on rozmawiał z tobą na temat obserwowania Culpepperów? - zapytała ze ściśniętym gardłem.

- Conner? - zdziwił się Case.

Musiała wyteńczyć całe swe siły, by nie zacząć krzyczeć na niego, że oczywiście mówi o swoim bracie.

-Tak - powiedziała nienaturalnie spokojnym tonem. - To tylko jego brakuje, prawda?

Case spojrzał na nią niepewnie.

- Skoro tak mówisz - odparł - to rzeczywiście go nie ma.

- Tak mówię.

Wyraz jej oczu sprawił, że zapragnął znowu ją objąć.

-Dziś rano - powiedziała załamującym się głosem. - Dziś rano Conner powiedział, że ma pomysł, jak obserwować Culpepperów.

Morgan mruknął coś pod nosem, a Hunter zacisnął ponuro usta.

- Mów dalej - polecił Case.

- Nie ma tu już co mówić - powiedziała. - Conner miał jakiś pomysł, a teraz go nie ma.

- Morgan - odezwał się Hunter.

- Już się ruszam.

- Pójdę z tobą - zaoferował Case.

Ja też - oznajmiła Sara.

Obydwaj chcieli zaprotestować, kiedy nagle rozległy się trzy pośpieszne strzały, których odgłosy nadbiegły z góry urwiska. Nastąpiła chwila ciszy, a potem rozległ się czwarty strzał.

- Mamy towarzystwo.

- Tylko jeden - zauważyła Sara.

- Tylko jednego widać - poprawił ją Hunter. - Case, zostań z nią. Morgan, chodź ze mną.

- Ute będzie pilnował zarośli - powiedziała Sara. - Zawsze tak robi, kiedy nie ma Connera.

Hunter skinął głową i razem z Morganem ruszył biegiem w kierunku zarośli na tyłach domu. Obydwaj trzymali broń w rękach.

- Nie martw się - powiedział Case. - Hunter nie pozwoli, żeby zaszli nas z boku.

- Mam nadzieję, że Lola nie postrzeli ich przez pomyłkę.

- Ona ich nawet nie zobaczy.

Sara nic nie powiedziała.

- Gdzie jest twoja kurtka? - zapytał Case, widząc, że drży.

- W domu.

- Nie mogłaś zostawić jej w lepszym miejscu - mruknął, zdejmując swoją i podając ją Sarze. Jednak ona już biegła w kierunku chaty. Case przypuszczał, że Sara nie biegnie po kurtkę, ale po dubeltówkę. I nie mylił się.

Kiedy pokazała się po chwili, miała w rękach broń. Narzuciła też na siebie kurtkę, ale raczej po to, by mieć ze sobą zapasowe naboje, niż żeby chronić się przed zimnem. Kieszenie kurtki były wypchane amunicją.

- Nie pokazuj się - polecił jej Case.

- Ale...

Przerwał jej gwałtownie, wciągając ją pod osłonę zarośli i głązów.

- Jak cię zabiją, to na nic się nie przydasz Connerowi – powiedział ostro.

Wydobył lunetę i zaczął obserwować ścieżkę prowadzącą z góry kanionu.

Czekali w dramatycznej ciszy.

- To Ab - oznajmił po chwili.

- Sam?

- O ile dobrze widzę.

Sara poczuła ukłucie niepokoju. Było coś w głosie Case'a, co zmroziło ją do głębi. Wpatrzyła się w jego twarz, ale nic z niej nie wyczytała.

Opuścił lunetę i spojrzał na nią. Jego oczy były śmiertelnie puste.

- On ma kapelusz Connera.

Twarz Sary pobladła jak płótno. Zachwiała się, jakby ktoś zadał jej cios.

Wyciągnął ku niej rękę, ale odepchnęła ją gwałtownie.

- Nic mi nie jest - powiedziała.

- Twój brat chyba jeszcze żyje - rzekł Case spokojnym tonem. -

W przeciwnym razie Ab nie paradowałby tu sam z jego kapeluszem.

Jedyną jej odpowiedzią był drżący, urywany oddech.

- Pozwól mi porozmawiać z Abem – powiedział.

Zawahała się, lecz skinęła głową.

- Ty się nie pokazuj - nakazał jej. - Ab potrafi być... nierozsądny, kiedy w pobliżu są kobiety albo dzieci.

Sara wydała jakiś ochryply dźwięk, który mógł być zamierzony jako śmiech.

- Nierozsądny - powiedziała gorzko. - To tak jakby opisywać piekło jako względnie ciepłe miejsce.

- Stań w takim miejscu, byś miała go na muszce i nie bała się, że możesz mnie postrzelić.

- Stań na tyle blisko, żebym słyszała - powiedziała.

Słowa Sary nie były prośbą. Wiedział, że jeżeli nie zatrzyma się blisko niej, to ona pójdzie za nim, nie dbając o swe własne bezpieczeństwo.

Nie winił jej za to. Sam zrobiłby podobnie, gdyby Ab miał w rękach kapelusz Huntera.

Sprawnie przemknął przez zarośla do miejsca, które Ab musiał mijać w drodze do chaty. Załadował obydwie lufy dubeltówki, odbezpieczył ją i zaczął czekać ze śmiertelną cierpliwością.

Ab nie chował się. Jechał śmiało w dół ścieżki, trzymając przed sobą, jak osłonę, kapelusz Connera. To była prawdziwa tarcza. Było oczywiste, że nikt nie tknie Aba nawet jednym palcem, dopóki nie zostanie wyjaśniony los Connera.

„Nic się nie zmieniło” - pomyślał Case ponuro. „Czy to pokój, czy wojna, to nadal za Culpepperami podążają sępy. Conner nie jest ich pierwszym zakładnikiem. Ale, na Boga, będzie ostatnim”.

- Już dość! - zawołał Case. - Mów, o co chodzi.

Ab niezbyt spieszenie zatrzymał muła. Przeszukał wzrokiem cały teren przed sobą, jednak nie wypatrzył ukrytego w zaroślach Case'a.

- To nie jest sąsiedzkie przywitanie - powiedział Ab.

- Więc radzę ci o tym pamiętać.

Powolnym ruchem Ab wyciągnął z kieszeni prymkę tytoniu, odgryzł kawałek i zaczął żuć. Case czekał.

Kiedy Ab przeżuł już połowę tytoniu, stało się jasne, że Case nie zacznie rozmowy ani nie zrobi żadnego nierozsądnego ruchu.

- W porządku - powiedział Ab. - Mam jej brata. Chcę srebra. Wymienimy się.

- Dlaczego myślisz, że pani Kennedy ma jakieś srebro?

- Śledziliśmy was. Przekopywaliśmy każdą dziurę, jaką wygrzebaliście.

Wszystko puste. - Ab splunął na ziemię. - Ostatnim razem wasze

konie odciskały głębokie ślady. Szukaliśmy, ale musieliście wszystko zabrać.

Te dziury są puste jak grób czekający na nieboszczyka.

Case nie był zaskoczony słowami Aba. Domyślił się, czego on chce, w momencie, kiedy dojrzał kapelusz Connera.

- Oddamy wam srebro w zamian za żywego Connera, a potem każdy jeden z was, sukinsynów, wyniesie się do Kalifornii - powiedział Case. - Zgoda?

Wiatr poruszał zaroślami i chrobotał w suchych gałęziach. Przez chwilę nie rozlegał się żaden inny dźwięk.

- Niech ona przywiezie srebro - powiedział w końcu Ab.

- Nie.

Znowu cisza i wiatr, przemieszczający się przez zarośla.

- To już po chłopaku - rzekł Ab obojętnym tonem.

- Jak on zginie, to i ty zginiesz.

- Nie! - zawołała Sara z zarośli. - Przywiozę wam srebro!

Case zaklął ostro pod nosem.

- To ja przywiozę srebro albo nie ma o czym mówić - zwrócił się do Aba.

- A dlaczego ci się zdaje, że wolałbym ciebie niż taką dziewczynę? - zapytał przedrzeźniająco Ab.

- Jestem jednym z tych Tekszańczyków, którymi tak się przejmujesz.

Bandyta zamarł bez ruchu.

- Z której części Teksasu? - zapytał.

- Z Heaven Valley.

Ab chrząknął, a jego smagła twarz stężała jeszcze bardziej.

- Tak myślałem - powiedział. - Możesz mi się pokazać? Skąd znam twój głos.

- Powinieneś znać. W Rubinowych Górach myślałeś, że pracuję dla ciebie.

Muł Aba podskoczył, jakby został ukłuty igłą.

- Zamordowałeś moich krewnych! - zawołał gwałtownie.

- Zabiłem ich - powiedział Case. - To różnica.

- Jak ktoś nie żyje, to nie żyje.

- Twoi krewni byli mężczyznami i byli uzbrojeni. Mieli wybór. To więcej, niż ty dałeś naszym dzieciom i kobietom.

Ab spojrzął na miejsce w zaroślach, skąd wcześniej doszedł go głos Sary.

- On może przywieźć srebro zamiast ciebie - oświadczył. - Przywieź je o świcie do naszego obozu - dodał pod adresem Case'a.

- Ona zostanie tutaj - powiedział Case.

- Jak będzie sobie chciała. - Ab wyszczerzył zęby i znowu splunął. -

Ale myślę, że chce zobaczyć brata żywego.

- Pojadę! - zawołała Sara.

Case był innego zdania, ale już się nie odezwał.

- O świcie - powtórzył Ab i gwałtownym ruchem zawrócił muła.
 - Ab! - odezwał się spokojnym głosem Case.
- Bandyta stanął w bezruchu. Obejrzał się czujnie na zarośla.
- Jeżeli skrzywdzisz Connera, to wszystko, co mu zrobisz, będzie zrobione i tobie. A potem ciebie powiesimy.

23

- Do cholery, kobieto, czy posłuchasz rozsądnych rad? - zapytał głośno Case.
 - Powiedz coś rozsądnego, to posłucham - odparła Sara.
 - Zostań w domu.
 - Żeby zabili Connera? Jeżeli to jest według ciebie rozsądne, to dziwię się, że twój koń w ogóle ciebie słucha.
- Ute, Morgan i Hunter byli na zewnątrz chaty, ale i tak słyszeli każde słowo. Przeszli zmieszani z nogi na nogę, usiłując nie słuchać tych dwojga, którzy stali twarzą w twarz w chacie i wrzeszczeli, jakby byli po przeciwnych stronach obejścia.
- Lola tylko szczyrzyła zęby, nie przestając czesać wełny, którą zebrała z czarno-białej kozy.
- Założę się, że ona pojedzie - powiedziała.
- Ute chrząknął i pokręcił głową na znak, że odmawia przyjęcia zakładu.
- A wy, chłopaki? - zainteresowała się Lola.
- Morgan i Hunter spojrzeli na siebie. Żaden z nich nie przyjął jej oferty postawienia dziesięciu dolarów na wynik kłótni. Lola splunęła tytoniowym sokiem, zachichotała i zaszurała stopami po chłodnej ziemi, czesząc wełnę, którą zamierzała dać Sarze do przędzenia, kiedy tylko ta przestanie się kłócić. Koszyk na jej kolanach szybko się zapełniał.
- Trafiła kosa na kamień - powiedziała po chwili. - Ten chłopak jeszcze tego nie wie. Ale się będzie musiał do tego przyzwyczaić..
 - Nie zakładaj się o to, co będzie w przyszłości - rzekł cicho Hunter.
 - Wojna zmieniła Case'a. Jest zimny tam, gdzie kiedyś był gorący.
- Cisza zamiast śmiechu. Widziałaś kiedykolwiek, żeby się uśmiechnął?
- Lola zmarszczyła brwi i pokręciła głową.
- Niektórzy mężczyźni nie mają poczucia humoru - powiedziała, wzruszając ramionami.
 - Case miał w sobie tyle poczucia humoru, że wystarczyłoby na obdzielenie wielu ludzi. Wojna wypaliła to w nim - odparł Hunter, uśmiechając

się smutno.

- Ona pojedzie do Źródlanego Kanionu - powtórzyła Lola.

- Ute mógłby ją tu zatrzymać - zauważył Morgan.

Uśmiech starego banity był bardziej smutny niż nawet uśmiech Huntera.

Pokręcił głową.

- Jak ktoś ją tutaj zatrzyma, to będzie lepiej, żeby już nigdy nie odwrócił się do niej plecami.

- W porządku. Ja to zrobię - oświadczył Morgan.

Ute zamyslił się na chwilę, a potem pokręcił głową.

- Będę z tobą walczył - powiedział.

- Na miłość boską- mruknął Hunter. - Dlaczego?

- Jak ona coś chce, to ja jej pomagam to dostać.

- No cóż - mruknął Morgan. - To wyjaśnia, skąd się tu wziął ten rasowy byk.

Stary banita wyszczerzył zęby.

- On sam przyszedł za mną do domu. Naprawdę.

- No pewnie - powiedział Hunter. - Tak samo jak te rasowe konie.

- I połowa prowiantu, narzędzi i wszystkich innych rzeczy, za które trzeba płacić - dorzuciła Lola. - Sarze nie podobały się kradzieże bydła i zmusiła Ute, żeby z tym skończył, ale się jeszcze nie domyśla, skąd biorą się inne rzeczy.

Przerwała czesanie wełny i podniosła swe czarne oczy na Huntera.

- Nie trać czasu na przekonywanie Ute, jeżeli chodzi o tę dziewczynę.

On jest całkiem stuknięty na jej punkcie. Lepiej pomyśl o tym, jak go najlepiej wykorzystać, żeby ją uchronić od śmierci.

- Mam pewien pomysł - powiedział Hunter. - Jeżeli Ab będzie przekonany, że Sara przywiozła srebro, to będziemy, mieli połowę zwycięstwa.

Morgan spojrział na Huntera, potem rzucił okiem na Ute i uśmiechnął się szeroko.

Ute potrzebował trochę więcej czasu, by się domyślić, o co chodzi.

W końcu roześmiał się, otwierając szeroko oczy.

Lola strzyknęła brązową śliną.

- Zastanawiałam się, ile czasu wam zajmie, żebyście zobaczyli to, co widać jak na dłoni - powiedziała.

- Zrobisz to? - Hunter zwrócił się do Ute. - Czy może będziesz z nami walczył?

- Zrobię to, jeśli ona mi pozwoli.

Hunter wskazał głową w kierunku chaty, w której nagle zapanowała cisza.

- Myślicie, że mój brat już tak ją wymęczył, iż zaczęła słuchać rozsądnych rad? - zapytał.

- Mężczyźni - parsknęła Lola. - Żaden z was nie ma ani odrobiny zdrowego

rozsądku. Ta dziewczyna jest znacznie twardsza, niż na to wygląda.

Uśmiech ożywił szare oczy Huntera. Spojrzał na Lolę wesoło i przytknął palce do kapelusza w potakującym geście.

- Sam odkryłem, że niektóre kobiety są naprawdę twardsze, niż na to wyglądają - powiedział.

- To jego żona go tego nauczyła - wtrącił Morgan.

- Nie była to łatwa lekcja dla żadnego z nas dwojga - przyznał Hunter.

Lola znowu splunęła tytoniowym sokiem i pozbiierała wełnę.

Co łatwo przychodzi, nie jest warte złamanego centa - powiedziała, prostując się. - Taka rzecz zawodzi, kiedy jest najbardziej potrzebna. W Sarze nie ma niczego łatwego.

- Ani w moim bracie - dodał Hunter.

- Już to powiedziałam. Dobrze się dopasowali.

Z chaty nadal nie dochodził żaden dźwięk.

- Który z was, dzielne chłopaki, chce zanieść jej tę wełnę? - zwróciła się do nich Lola.

- Ja nie - mruknął Morgan.

Ute chrząknął, trzymając kciuki mocno zatknięte za pas. Hunter natomiast wyciągnął ku niej rękę. Chichocząc, podała mu koszyk z wełną.

- Ona nie gryzie - powiedziała. - Przynajmniej nie tak mocno, żeby zostawiać blizny.

Hunter znowu przytknął palce do kapelusza.

- Sprawdź, czy Conner jeszcze żyje - zwrócił się do Morgana. - Ab znany jest z tego, że zabija swoich więźniów.

- Jeżeli żyje, to spróbuję go wydostać.

- Nie rób tego, jeśli nie będziesz pewien, że to się uda i żaden z was nie zginie. Mamy większe szanse razem niż osobno.

Morgan zawahał się, lecz skinął głową.

- Powoli i spokojnie - zgodził się. - Będę cichy jak duch.

- Wróc dwie godziny przed świtem.

- A jeżeli Conner nie żyje?

- To wracaj natychmiast.

- Masz coś przeciwko temu, żebyśmy poderznął parę gardeł po drodze?

- Najważniejsze, żebyś wrócił cały.

- Trzeba ich wytluc - powiedział Ute. - Są tylko dwa wyjścia ze

Źródlanego Kanionu. Należy postawić po dwóch ludzi przy każdym wyjściu i wystrzelamy bandytów jak kaczki.

Morgan skinął głową, akceptując ten pomysł.

- Culpepperowie wymordowali dużo ludzi - powiedział. - Próbowali zrobić to z nami w górach. Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie. Już czas na nich.

- Dwie godziny przed świtem - powtórzył Hunter. - Ruszaj.
Odwrócił się, podszedł do chaty i zapukał do drzwi.
- Tu Hunter - powiedział. - Przyniosłem wełnę dla Sary.
- Otwarte. Wejdz, proszę.
Westchnął. Jej głos był tak ostry, że mógł przeszyć człowieka na wylot.
Otworzył drzwi i pochylił się, przechodząc przez próg.
Sara mieszała fasolę w taki sposób, jakby jej życie zależało od tego, czy
wyskrobie dno kociołka. Case przyglądał się jej.
Wyraz jego oczu zaskoczył Huntera. Już od lat nie widział u swego brata
takiego kipiącego, nieopanowanego uczucia.
- Gdzie położyć wełnę? - zapytał Hunter.
- Z dala od ognia - odparła szorstkim głosem. - Dziękuję - dodała już
łagodniej.
Postawił koszyk w rogu chaty i spojrzał na tych dwoje, których frustracja
i gniew niemalże wisiały w powietrzu.
- Mamy plan - oznajmił, odchrząknąwszy.
- Lepiej, żebym miała w nim swój udział - powiedziała Sara.
- Lepiej, do cholery, żeby nie - warknął Case.
- Oboje będziecie mieli to, co chcecie.
Obrócili się ku niemu jak na komendę. Ostrożna nadzieja i gwałtowna
determinacja w jej oczach przypominały Hunterowi kobietę, którą
kochał.
- Nigdy nie spotkałaś mojej żony - powiedział do Sary. - Mam nadzieję,
że kiedyś do tego dojdzie. Jesteście ulepione z tego samego twardego
materiału.
- Kiedyś tak. O ile wszyscy przeżyjemy jutrzejszy ranek.
- Spotkasz ją - powiedział Case. - Nawet jeśli to ma być ostatnia w życiu
rzecz, jaką uda mi się przeprowadzić.
- Jadę.
- Zostaj...
- Przepraszam - przerwał Hunter. - Tracimy czas, a mamy wiele do
zaplanowania.
- Lepiej zaplanuj, żeby ona tu została - powiedział Case.
- Pomyśl chwilę - podjął Hunter. - Gdy tylko Ab zorientuje się, że jej nie
ma, to Conner umrze.
Case spojrzał na Sarę, żalując, że ona to słyszy. Słyszała jednak, i nie
miała zamiaru odejść.
- Może Conner już nie żyje - rzekł spokojnym tonem.
Oddech Sary zatrzymał się, jakby się dusiła. Nie chciała nawet myśleć
o śmierci Connera. Nie potrafiła jednak myśleć o niczym innym. Dlatego
tak rzucała się na Case'a i wszystkich innych wokół niej.
- Wysłałem Morgana, żeby się zorientował - oznajmił Hunter.
- To ja powinienem być pójsć - powiedział Case.

- Dlaczego? On jest tak samo dobry jak ty.
- Mógłbym przy okazji zmienić proporcje.
- Morgan też to zrobi, jeżeli Conner nie żyje.
- Ab nie zabije Connera, dopóki nie dostanie srebra - wtrąciła Sara.
- Prawdopodobnie masz rację - zgodził się Hunter.
- Ale kiedy już będzie miał srebro - powiedział Case - to zabije wszystko, co się rusza, resztę spali i ucieknie.
- Culpepperowie są w tym najlepsi: w gwałceniu, zabijaniu i uciekaniu - zgodził się Hunter.
- Boję się o brata - powiedziała Sara.
- Masz powody. Ale on jest za duży i za silny, żeby wywołać u Aba to, co w nim najgorsze - rzekł Hunter. - Conner jest bardziej mężczyzną niż dzieckiem.

Sara zamknęła oczy, próbując uspokoić oddech. Kiedy Case objął ją ramionami, nie opierała się. Po prostu przywarła do niego, modląc się o to, by jej brat pozostał przy życiu.

Case gładził ją po włosach i przytulał do siebie, pragnąc z całej duszy zwrócić jej brata.

- Jeżeli Conner nie żyje... - powiedział do Huntera.

Hunter skinął ponuro głową.

- Mamy następujący plan... - zaczął Hunter. Sara uniosła głowę.
 - Dobrze by było, żebym była przewidziana w tym planie – powiedziała.
- Hunter zaczął przedstawiać plan, zanim jeszcze Case zdążył się sprzeciwić. Sara wpatrywała się w płomień paleniska złotymi od blasku ognia oczami. Wróciła na noc z powrotem do chaty, ponieważ nie musiała już ukrywać ani siebie, ani srebra.

Dawno minęła pora, kiedy normalnie kładła się spać, ale wiedziała, że tej nocy nie zaśnie. Szept płomieni i odgłos przędzenia wełny były jedynymi dźwiękami, jakie rozlegały się w chacie. Chybotliwy blask ognia oświetlał poruszające się wrzeciono i nieruchome lufy dubeltówki, która leżała na stole w zasięgu jej ręki. Kurtka zwisała z drugiego krzesła z wypchanymi od nabożów kieszeniami.

Usiłowała nie myśleć o niczym innym, tylko o tym, żeby utrzymać przez całą noc ogień w palenisku.

„Tak mało ciepła. Tak wiele zimna”.

- Sara?

Drgnęła, słysząc ten głos, ale nie sięgnęła po broń.

- Wejdz - powiedziała cicho.

Drzwi otworzyły się i zamknęły szybko. Z ciemności wynurzyła się sylwetka Case'a. Kiedy podchodził do ognia, światło i cienie przesuwwały się po jego ciele jak dłonie kochanki.

- Poczulem dym - powiedział - więc wiedziałem, że nie śpisz.
- Płomień... uspokaja mnie.

- Morgan właśnie wrócił.

Sara poczuła ukłucie w sercu. Popatrzyła na Case'a w taki sposób, jakby sama jej wola mogła wywołać żadaną przez nią odpowiedź.

- Twój brat żyje - oznajmił pośpiesznie Case. - Trochę poturbowany, ale nic poza tym.

Poczuła tak wielką ulgę, że nogi się pod nią ugięły. Upadłaby na palenisko, ale Case chwycił ją błyskawicznie i zaniósł na łóżko. Delikatnie ułożył ją na pościeli i zaczął nacierać jej zimne dłonie.

- Nic mi nie jest - powiedziała.

- Mhm - mruknął bez przekonania.

- Naprawdę.

Westchnęła, drżąc cała. Kolory powoli wróciły na jej twarz.

- Przestań martwić się tym, co będzie rano – powiedział.

Urywany śmiech był jej jedyną odpowiedzią. Wyszeptał jej imię i znowu otoczył ramionami. Przytulał ją, uspokajając dziewczynę i siebie.

- Conner wróci do ciebie żywy - powiedział. - Przysięgam.

- Ale...

- Ćśś - szepnął. - Morgan już wraca do Źródlanego Kanionu. Powiedział, że może prześliznąć się na tyle blisko, by obronić Connera.

„Albo spróbować to zrobić” - pomyślał ponuro, chociaż nie chciał powiedzieć tego na głos. Wiedział z relacji Morgana, że Conner jest pilnowany jak skazaniec czekający na egzekucję.

Sara wciągnęła urywany oddech.

- Nie będą się spodziewali, że będziemy na górze, mając słońce za plecami - powiedział spokojnie. - Lola i Ute pracują nad realami, tak jak prosiłaś, chociaż za cholere nie wiem, dlaczego chcesz, żeby były wyczyszczone. Skinęła głową, ale nie patrzyła Case'owi w oczy.

-Jeżeli nie będziesz spała, to na nic się nam jutro nie przydasz - powiedział.

- Liczymy na ciebie i Lolę, że będziecie osłaniały nasz odwrót.

„Przynajmniej chcemy, żebyście tak myślały” - dodał w duchu. „Tak naprawdę zależy nam na tym, żebyś była poza zasięgiem ognia”.

Sara znowu skinęła głową. I znowu nie spojrzała mu w oczy.

- Powiedz coś - poprosił ją. - Przedtem, na Boga, mówiłaś dość dużo.

- Co tu można powiedzieć? - szepnęła.

Spojrzał na jej blade usta i zrozumiał, że ona ma rację. Mówienie o następnym dniu doprowadziłoby do tego, że oczekiwanie stałoby się jeszcze bardziej nieznośne.

-Jeżeli jesteś w ciąży, to jedź w Rubinowe Góry - powiedział. - Hunter dopilnuje, żebyście, ty i dziecko, mieli prawdziwy dom.

Nie odpowiedziała. Nie była w stanie. Zanim jeszcze uświadomiła sobie, że on nie spodziewa się przeżyć następnego poranka, Case zakrył swymi ustami jej usta, uciszając wszelkie słowa czy argumenty, jakie mogłaby wypowiedzieć.

Poczuwszy jego bliskość, nie usiłowała walczyć z zapomnieniem, które jej oferował. Wyszła mu naprzeciw z taką samą gwałtownością, z jaką on się do niej przytulił. Kiedy ją rozbierał, zdejmowała jego ubrania. Za każdy pocałunek otrzymywała dwa, za każdą pieszczotę coraz większą bliskość. Kiedy wsunął palce pomiędzy jej uda, znalazł ją gorącą, miękką i rozpaloną od pożądania. Wszedł w nią jednym pchnięciem. Krzyknęła, doznając rozkoszy tak wielkiej, że niemal bolesnej.

- Sara?

- Nie przerywaj! - zawołała, wbijając mu paznokcie w biodra. - Nigdy nie przerywaj.

Jęknął i zaczął każdym ruchem ciała badać głębokość ich wzajemnego pożądania. Namietność pokonywała jego opanowanie tysiącem płomiennych języków.

- Następnym razem - wyszeptał, wbijając się w nią – następnym razem... będzie wolniej. Wolniej, do diabła.

Kolejny okrzyk wyrwał się z jej gardła. Drgając pod nim konwulsyjnie, napięła plecy i zacisnęła dłonie na jego biodrach. Przełknął jej okrzyk i swój własny, wlewając się w nią, oddając się jej w jedyny sposób, w jaki potrafił.

To nie wystarczało. Nie wiedział, czy cokolwiek kiedykolwiek wystarczy. Musiał ją mieć. Musiał stać się nią.

- Sara? - szepnął, wsuwając się w nią głęboko.

- Tak? - wyszeptała urywanie.

Przy każdym jego ruchu wykrzykiwała jego imię. Odpowiadał całym swym pożądaniem, aż znowu zaczęła drzeć i płonąć.

Spijał jej ekstazę i poruszał się w niej, przenosząc ją coraz wyżej i wyżej, wznosząc się z nią i odpychając zimowy świt, aż do miejsca, w którym nie było już żadnych słów, żadnych pytań, nic poza żywiołowym połączeniem kobiety i mężczyzny.

Wychodziła mu na spotkanie jak płomień i płonęła, pochłaniając zimę, która ich otaczała.

Smagana zimnym wiatrem, Sara patrzyła za odjeżdżającymi w bezbrzeżną ciemność Ute i Case'em. Hunter odjechał wcześniej, by zająć pozycję, która umożliwiłaby mu ochronę odwrotu brata.

„Jeżeli dojdzie do odwrotu” - pomyślała Sara. „On jeszcze żyje. Nie myśl inaczej. On żyje!”

Cienka skorupa zmrożonego śniegu kruszyła się pod nogami dwóch jucznych koni. Ich kopyta przebijały się przez śnieg, odciskając ślady na suchej glebie.

„Kamienie” - pomyślała, patrząc na wypchane sakwy. - „Same kamienie, z wyjątkiem jednej sakwy”.

Jej sakwy natomiast były pełne srebra. O świcie świeżo oczyszczone reale miały zaświecić niebiańskim blaskiem. Sześć mustangów niosło zapasy

na drogę i sztabki srebra. Kobiety miały jechać na dwóch pozostałych komach. Sara nie chciała myśleć o tym, dlaczego wyruszają w najciemniejszym momencie nocy, wioząc ze sobą wszystko, co było potrzeba, aby przeżyć i zbudować nowe życie, ale ostatnie słowa Case'a nadal dźwięczały w jej pamięci.

„Jeżeli nie wrócimy, to wy obydwie jedźcie w Rubinowe Góry. Trochę tego srebra przyda się Elyssie i dziecku”.

W końcu Sara przystała na to, chociaż nie chciała pogodzić się z najważniejszym znaczeniem tych słów. Nie mogła wyobrazić sobie świata bez

Connera. Bez Case'a. Drżąc, otuliła się kurtką Ute. Otoczył ją zapach starego tytoniu, potu, kóz i lat spędzonych przy ognisku pod gołym niebem.

„Tamtej nocy Case pachniał jabłkami” -pomyślała. „Boże, wydaje się, jakby to było tysiąc lat temu”.

- Nie śpisz, dziewczyno?

- Nie śpię - odparła, obracając się ku Loli.

- Wyglądałaś tak, jakby ci się coś śniło.

- Tylko przypominałam sobie... Case pachniał jabłkami, kiedy po raz pierwszy go spotkałam.

Lola roześmiała się.

-A Ute pachniał prochem, whisky i końskim gównem - powiedziała. -

Siedział w zaroślach pijany jak świnia i strzelał do much. Jezuniu, ale to było dawno temu!

Pomimo swego strachu Sara uśmiechnęła się.

- Dużo lat jestem z tym człowiekiem - powiedziała Lola. - Dużo. Za dużo, żeby pozwolić mu jechać i dać się zabić samemu.

Oczy Loli wyglądały w świetle gwiazd jak błyszczące czarne kamienie.

- Weź te cztery konie i jedź od razu do Nevady - powiedziała do Sary. -

Jak będzie trzeba, to ktoś szybko cię dogoni i przyprowadzi z powrotem.

- Nie.

- Słuchaj, dziewczyno, ty...

- Nie - przerwała Sara spokojnym głosem.

Lola westchnęła i odgryzła kawałek tytoniu.

- Jest jakaś szansa, że zmienisz zdanie?

- Nie.

Przez chwilę Lola żuła tytoń bez słowa. Potem splunęła przez szczelinę między zębami.

- Pewnie masz jakiś plan - zauważyła.

- Znam Źródłany Kanion lepiej niż ktokolwiek inny.

- Mhm.

- Ab Culpepper może być zły jak wąż, ale nie jest ślepy - powiedziała

Sara. - Ute nie będzie mógł długo go oszukiwać.

- Nie musi. Kule są szybkie.

- Ale człowiek nie - odparła. - Chodź. Nie mamy dużo czasu.

Sara sprawnie dosiadła swej klaczy. Klnąc z ustami pełnymi tytoniu, Lola wsiadła na swojego konia. Jej mustang wyglądał tak, jakby był koniem używanym do orki.

- A co z tymi jucznymi? - zapytała Lola.

- Weź je. Mam plan, jeśli chodzi o to srebro.

- Tego się bałam. Plany to głupia rzecz - rzekła Lola, ale bez słowa skargi podążyła za Sarą przez zimną ciemność i jeszcze zimniejsze światło księżyca.

Sara nie miała ochoty na rozmowę. Im bliżej była Źródlanego Kanionu, tym głębszy wydawał się jej ułożony przez nią plan. Jednak była pewna jednego: cel jej podróży był położony bliżej niż wschodnia krawędź kanionu, dokąd podążali mężczyźni.

„Nieważne, jak to jest głupie, ale wszystko jest lepsze niż załamywanie rąk i czekanie na to, czy Conner i Case żyją” - powiedziała sobie twardo w duchu. „Poza tym oni mnie potrzebują. Nikt inny nie jest w stanie dostać się do tej części kanionu. Będę mogła stamtąd strzelać wprost do bandytów.

Mogę wybierać pomiędzy śmiercią a życiem dla Connera. Dla Case'a.

To nie jest głupi plan. Nie. Nie jest, kiedy dokładnie się go przeanalizuje”.

Powtarzała sobie to w duchu, podczas gdy klacz wspinała się pod górę, by wyjść z kanionu na wielki, omiatany wiatrem płaskowyż. Porośnięty trawą oraz wierzbowymi i bawełnianymi zaroślami, Kanion Zagubionej Rzeki był największym z setek kanionów, jakie woda wyłobiła w twardej skale płaskowyżu.

Jednym z mniejszych bocznych kanionów był Źródłany Kanion, ten sam, który przed przybyciem bandytów służył Sarze za osobiste schronienie.

Był tajemniczym miejscem. Miejscem spokoju i marzeń. Chodziła do niego wiele, wiele razy. W pokaźnym zagłębieniu, mieszczącym się na północnej ścianie kanionu około piętnastu stóp poniżej krawędzi urwiska, znajdowały się kamienne ruiny. Starodawne budowle, w milczeniu i ciszy, obracały się w pył. Tylko kilka wzniesionych przez człowieka kamiennych ścian trwało jak rozsypujące się umocnienia, skierowane przeciwko od dawna nieżyjącemu wrogowi.

Dwadzieścia stóp niżej ze skalnej ściany wypływały źródła czystej wody, dzięki której jakiś tajemniczy lud mógł zbudować tu przed wiekami swą fortecę. Bandyci rozłożyli obozowisko dziesięć stóp poniżej miejsca, w którym ze szczeliny w skale wypływała krystalicznie czysta woda.

W drodze do ruin Sara nie zawahała się ani razu. Wiele razy ukrywała się tam z Connerem, kiedy Hal wpadał w pijacki szal i wyżywał się na wszystkim, co miał w zasięgu wzroku.

Nigdy jej nie znalazł, nawet wtedy, gdy bardzo się starał ją dopaść.

Chociaż był szczupły jak na mężczyznę, to i tak był zbyt masywnie zbudowany, by precyzyjnie się przez ledwie widoczny przesmyk, prowadzący z

płaskowyżu do ruin.

„Teraz Conner jest też za duży” - pomyślała. „Tylko ja mogę się przecisnąć przez tę szczelinę”.

Jedynym innym sposobem dotarcia do ruin było spuszczenie się na linie z krawędzi urwiska. Hal zrobił to pewnego razu, kiedy poszukiwał srebra. Nie znalazł nic, tylko pył i okruchy ceramiki.

Zdecydowanym ruchem Sara skierowała mustanga na ścieżkę, której nie używała od śmierci Hala. Ten prowadzący na szczyt płaskowyżu szlak był zbyt stromy i zbyt niebezpieczny, żeby podróżować nim w normalnych okolicznościach. Szczególnie w nocy. Ale noc następowała wtedy, kiedy Hal dostawał ataków szału. Noc była tą porą, kiedy najkrótsza droga, prowadząca do bezpiecznego miejsca, warta była podjęcia każdego ryzyka.

- Dokąd ty, do diabła, jedziesz, dziewczyno? - zapytała Lola.

- Najpierw na górę, a potem w dół do Źródlanego Kanionu.

- Całkiem zwariowałaś.

- Więc zostań tutaj.

- Za diabła nie zostanę.

Mustangi dyszały ciężko, kiedy w końcu wspięły się po ostatniej stromiznie, prowadzącej na szczyt płaskowyżu. Żaden hodowany na ranczu koń nie zdołałby się tam wspiąć. Tylko zwierzę, które dorosło na swobodzie, biegając po stromych zboczach kanionów, mogło mieć to niesamowite wyczucie równowagi i twarde kopyta umożliwiające utrzymanie się na kamienistej ścieżce.

Silny wiatr wił się wokół podróżnych jak żywa istota, wyjąc z całej mocy.

- Lola? Jesteś tam jeszcze?! - zawołała Sara.

- Już nigdy nie będę z tobą gadać.

- Obiecujesz?

- Idź do diabła!

- Widzisz tamten wylóm? - zapytała Sara, wskazując kierunek ręką.

Lola mruknęła potakująco.

- To początek starej ścieżki do źródeł - wyjaśniła Sara. - Jest za wąska dla konia.

Strumień soku tytoniowego wylądował na posiekanej wiatrem skale.

Była to jedyna odpowiedź Loli.

- Nie musisz iść - powiedziała Sara.

Lola tylko coś mruknęła, czekając na dalsze wyjaśnienia.

- Mniej więcej ćwierć mili dalej jest miejsce, skąd można zajrzeć do kanionu. Gdybym była na miejscu Aba czy Moody'ego, to postawiłabym tam straż.

Lola znowu tylko mruknęła.

- Weź pełną kieszeń srebra - powiedziała Sara. - Jeżeli znajdziesz wartownika, to powiedz mu, że ukradłaś jeszcze więcej i potrzebujesz jego

pomocy.

- Ołów jest tańszy.

- I głośniejszy.

- Obchodzi cię, co stanie się z tym sukinsynem, o ile on tam jest, jeżeli załatwię to po cichu? - zapytała Lola.

- Nie. Po prostu nie chcę, żeby ktokolwiek strzelał z tego miejsca do Case'a i Ute.

- Będę cicho jak diabli.

Sara uściśnęła Lolę i szarpnęła wodze konia.

- Dziękuję - powiedziała.

- Do diabła, dziewczyno. Nie masz za co dziękować. Mój chłop jest w tym samym potrzasku co twój.

Odwzajemniła się jednak Sarze mocnym uściskiem, a potem zeszała z konia i ruszyła dalej pieszo.

Dziewczyna spojrzała niespokojnie na wschód i skierowała mustanga w stronę ukrytej ścieżki, prowadzącej do ruin.

Wjechała w skalną nieckę, gdzie czasami gromadziła się woda, która następnie spływała niżej i spadała ze skał jako wodospad. Obecnie w zagłębieniu leżała tylko cienka warstwa śniegu, spod której prześwitywały nagie skały.

Wiatr przeszywał kurtkę Sary, jakby nie była zrobiona z wełny, lecz tylko z cienkiego jedwabiu. Kobieta, nie zważając na zimno, zsiadła z konia i odpięła sakwy. Uderzyły z brzękiem o ziemię.

Wiatr porwał ten dźwięk i poniósł go z powrotem, grzebiąc wszystko w wyjącej ciszy. Wiedziała, że wiatr zdusi wszelkie dźwięki, z wyjątkiem huku wystrzałów.

Znowu spojrzała na niebo, czując ściskanie w żołądku. Horyzont na wschodzie odznaczał się już jaśniejszym odcieniem czerni.

„Szybciej!”

Zaciskając z zimna zęby, zawlokła sakwy w dół, do bocznej rozpadliny.

Transport ciężkiego ładunku w ciemności po nierównym grancie zajmował jej tak wiele czasu, że aż miała chęć krzyczeć ze złości.

Dalej stok zaczął się obniżać gwałtownie. Już nie próbowała przytrzymywać sakw, ale pozwoliła, żeby zsuwały się i staczały za nią.

Szybciej, niż się spodziewała, lecz wolniej, niż miała nadzieję, znalazła się w wąskiej szczelinie, która pogłębiała się gwałtownie, aż wkrótce jej ściany wznosiły się wysoko nad jej głową, prawie zakrywając niebo.

W osłoniętym od wiatru miejscu odgłos jej ciężkiego oddechu wydawał się brzmieć przeraźliwie głośno. Tylko raz spojrzała do góry, zorientowała się, iż bezcenny czas nieubłagalnie umyka. Najśłabsza z gwiazd, wprost nad jej głową, już traciła blask.

„Mężczyźni wkrótce będą na krawędzi kanionu. Szybciej!”

Szarpała, zdyszana, uparte sakwy, usiłując uchronić dubeltówkę i karabin od uderzenia o skałę otaczającą ją z obu stron. Z wysiłkiem posuwała się cal po calu. Nie byłoby to możliwe, gdyby czyjeś ręce przed wiekami nie wykuły w twardej skale przesmyku oraz stopni schodów.

„Jeszcze tylko kilka stóp”.

Natężyła się, wlokąc ciężkie sakwy ze srebrem, a pot ściekał jej pomiędzy piersiami.

Na niebie pokazały się pierwsze zwiastuny świtu w odcieniach jasnej żółci i bladego różu. Noc osuwała się ze zboczy płaskowyżu i gromadziła na dnie kanionu.

Jednak żadne miejsce nie mogło zapewnić jej kryjówki przed słońcem.

Nawet samo dno kanionu miało niedługo odczuć pieczęć światła.

Z dołu kanionu, czterdzieści stóp poniżej wschodniego urwiska, wiatr przyniósł głosy. Gniewne głosy.

- Cholera, już świt, a ja nie widzę żadnego srebra. Ani żadnej kobiety, cholera.

Chór męskich głosów zawtórował protestom Moody'ego.

- Jeszcze nie ma słońca - zauważył Kester.

- Cholera, Ab powiedział o świcie, a nie o wschodzie słońca, cholera!

Mówię: zabić dzieciaka i szukać srebra.

Bezładny gwar głosów ludzi Moody'ego poparł jego żądanie.

- Nie ma ani słońca, ani świtu - powiedział Kester.

- Cholera...

- Nie ma świtu.

Fakt, że Kester trzymał w rękach dubeltówkę, znaczył więcej niż wszelkie logiczne argumenty. Moody i jego ludzie przestali protestować, jedynie klęli coraz głośniej.

Case i Ute czekali wśród drzew rosnących przy wschodniej krawędzi kanionu. Za ich plecami świt wysuwał czerwone i złote języki nad dzikim, smagany przez wiatr płaskowyżem.

- Te chłopaki tracą cierpliwość - mruknął Ute.

Case spojrział na wschód. Słońce nie wychyliło się jeszcze znad krawędzi płaskowyżu.

- Będą musieli poczekać - powiedział.

- Czy Ab nadal jest z Connerem w tych wierzbach przy źródle?

Case skinął głową.

- Widzisz Morgana? - zapytał po chwili Ute.

- Nie. Ale on tam jest.

- A Hunter?

- Jest na południowej krawędzi, w tym miejscu, o którym mu powiedziałeś.

- Pewnie jest tam strażnik - mruknął Ute.

- Raczej był. Teraz jest tam Hunter.

Stary banita zachichotał.

W ciszy płonący łuk światła zaczął bezlitośnie pochłaniać ciemność nad wschodnią krawędzią kanionu. Kiedy świetlisty łuk zmienił się w półkole, Case wynurzył się z cienia na rozświetloną przestrzeń. Ciężkie sakwy zwisające z jego ramion przemieniały jego cień w sylwetkę czarnego anioła przesuwanego się wzdłuż kanionu.

- Patrzcie! - krzyknął jeden z mężczyzn na dole. - U góry, na wschodniej krawędzi!

- Ab! - zawołał Kester.

- Widzę go!

Obok Case'a pojawił się drugi, mniejszy cień. Kapelusz i kurtka należały do Sary. Cała reszta, łącznie z wciśniętymi pod kapelusz byle jak zaplecionymi włosami, należała do Ute.

- Jesteśmy tutaj! - zawołał Case. - Wypuście chłopca.

Lufy broni uniosły się w kierunku dwóch sylwetek na krawędzi urwiska.

- Marny na górze ludzi z karabinami - oznajmił Case. - Jak zaczniecie strzelać, to żaden z was nie zostanie przy życiu, nawet żeby pogrzebać trupy.

Kester cofnął się w zarośla. Jeden z jego wysokich, szczupłych kompanów poszedł za jego przykładem.

- Ci Culpepperowie to prawdziwe kojoty - mruknął Ute.

Ludzie Moody'ego nawet nie zauważyli, że tylko oni zostali wystawieni na strzały z karabinów. Nie widzieli nic poza sakwami zwisającymi z ramion Case'a.

- Opuśćcie broń, chłopcy! - zawołał Ab. - Mamy dość czasu, żeby wszystko załatwić.

Moody również rozkazał ostrym tonem, aby jego ludzie opuścili broń.

Usłuchali, przesuując lufy poniżej wschodniej krawędzi kanionu.

- Chcemy zobaczyć to srebro! - zawołał Ab z zarośli.

- Nie wcześniej, dopóki się nie upewnię, że Conner jest cały i zdrowy!

- odkrzyknął Case. - Wypuść go.

Po kilku chwilach Conner wynurzył się z kępy wierzb. Poruszał rękami i nogami tak, jakby były sztywne. Z jego kostek i przegubów zwisały kawałki przeciętej liny. Twarz miał poznaczoną siniakami. Widać było jednak, że z każdym krokiem odzyskuje siły.

- No i macie go! - zawołał Ab. - Pokażcie mi srebro.

Case zsunął z ramion sakwy, upuszczając je na ziemię.

Brzęk uderzających o siebie srebrnych sztabek poruszył zebranych w kanionie ludzi jak łyk mocnej whisky. Nawet jeżeli któryś z nich zauważył, że wspaniały dźwięk cennego kruszcu rozległ się tylko z jednej sakwy, to i tak nie pokazał tego po sobie.

- Jest tutaj! - zawołał Case. - Zrzucimy wam sakwy, gdy tylko Conner wyjdzie z kanionu.

Odpowiedziała mu cisza.

- Mam nadzieję, że Conner rozgląda się za jakąś dziurą – powiedział spokojnie Ute. - Teraz, cholera, mogą do niego strzelać jak do kaczki.

Conner nadal szedł przed siebie, omijając stojących bandytów. Najbliższe miejsce, gdzie mógłby się ukryć, było o trzydzieści stóp od niego, za stertą kamieni u podstawy wschodniej ściany kanionu.

- To nie ona! - zawołał Kester do Aba.

- Co?

- Nie ona.

- Co się drzesz?

- Ty tępy sukinsynu! - wrzasnął Kester. - To nie ona jest tam na górze! Gałęzie wierzbowych krzaków zakolysały się, kiedy Ab przesunął się na ich skraj.

Conner przyspieszył kroku. Błyszczące lufy broni poruszyły się jak żywe srebro.

- Musi się szybciej ruszać - mruknął Ute.

- Trzeba dać Connerowi tyle czasu, ile tylko się da.

- A co będzie, jak Ab ma lunetę?

- To będzie znakomitym celem dla Morgana.

Najwyraźniej Ab myślał tak samo. Zarośla poruszyły się znowu, ale nie pojawił się w nich błysk szklanej soczewki odbijającej światło słońca.

- Ty tam, na górze! - wrzasnął Ab. - Zdejmij kapelusz i pokaż włosy!

- Na trzy - mruknął Case i powoli podniósł kapelusz.

- Do diabła! - wrzasnął Ab.

- Raz - powiedział cicho Case.

- Nie ty! - krzyknął znowu Ab. - Dwa.

- Ten drugi!

- Tutaj! - zawołała Sara. - Tego szukacie?

Bandyci obrócili się błyskawicznie, przenosząc wzrok do góry na południową ścianę kanionu. Włosy Sary paliły się wśród wiekowych ruin jak drugi wschód słońca.

Jednak jeszcze bardziej poruszył ich dźwięk wypolerowanych reali, wylewających się srebrnym wodospadem z jej sakw do kanionu. Ludzie Moody'ego rzucili się ku monetom.

Case i Ute padli na ziemię, chwytając za karabiny. Conner rzucił się na najbliższego bandytę, wyrwał mu rewolwer i nacisnął na spust. Culpepperowie otworzyli ogień z ukrycia.

W całym kanionie rozległ się huk wystrzałów. Pierwsi padli ludzie Moody'ego, trafieni w plecy przez Culpepperów, zanim dopadli olśniewającego wodospadu srebra, przez który stali się ślepi na niebezpieczeństwo.

Pociski zaczęły się odbijać z szatańskim gwizdem od wschodniego zbocza kanionu, kiedy Culpepperowie przenieśli ogień na Case'a i Ute.

Obsypywani gradem kamiennych odprysków i ziemi, obydwaj mężczyźni pełzli na brzuchach, usiłując znaleźć miejsce dające im osłonę przed kulami i umożliwiające podjęcie walki.

- Cholera - mruknął Ute, wypluwając kamienny pył. - Te chłopaki mają niezłe oko.

Nagle doleciały ich odgłosy wystrzałów z karabinu. Ktoś strzelał niespiesznie, metodycznie i z zimną precyzją.

- To Hunter - powiedział Case. - Pewnie osłania Connera.

Licząc strzały z broni Huntera, Case podpełzł do krawędzi kanionu.

Otworzył ogień, kiedy bratu zostało już tylko kilka nabojów. Podobnie jak wcześniej Hunter teraz Case systematycznie ostrzeliwał kanion, przyciskając bandytów do ziemi i osłaniając odwrót Connera.

Wtem rozległ się wystrzał z dubeltówki, a zaraz potem jeszcze jeden.

Śrut zaszumiał w wierzbach, w których krył się Ab ze swoją bandą. Po chwili dubeltówka znowu odezwała się dwa razy.

Conner nie czekał już na lepszą sposobność. Rzucił się biegiem ku zaroślom i zniknął w nich w mgnieniu oka.

Dubeltówka odezwała się znowu, nie pozwalając bandytom podnieść głów.

Dobra kobieta - powiedział Ute, szczerząc zęby nad lufą karabinu. -

Nauczyłem ją przeładowywać tak szybko, że nawet pchła nie potrafi skakać szybciej.

- To Lola?

- Nie, Sara. Założę się, że oni się teraz modlą o wybawienie.

- No i będą wybawieni, w taki czy inny sposób.

Ute zaśmiał się, kierując lufę w kierunku krzaka, który poruszył się podejrzenie.

- Dzisiaj w piekle będzie duży tłok - powiedział, mierząc do celu.

Case dostrzegł ten sam ruch co Ute. Obydwaj wystrzelili w to samo miejsce. Krzew już się nie poruszył.

Słońce podniosło się nad krawędź płaskowyżu, oblewając dno kanionu złotym światłem. Unoszący się ku krawędzi kanionu dym wystrzałów zmienił barwę na niebieską, a potem na szarą. Odgłosy strzelaniny zamierały stopniowo. Case nałożył kapelusz na lufę karabinu i wysunął go nad skalną krawędzią.

Natychmiast grad kul z zarośli wyrzucił kapelusz w powietrze. Odpowiedział im ognisty deszcz pocisków z dubeltówek i karabinów, który ustał, gdy walczący musieli przeładować broń.

Z kępy wierzb nie padł już ani jeden strzał. Narastająca cisza, wypełniająca kanion, stawała się nieznośna.

Z dołu rozległ się śpiew skowronka. Case odpowiedział podobnym sygnałem. Odezwał się też Morgan.

W wierzbach nic się nie poruszyło.

Ute wydał przeszywający okrzyk jastrzębia. Odpowiedział mu podobny okrzyk z dna kanionu, z miejsca, w którym ukrył się Conner. Kolejny sygnał nadleciał ze starej ścieżki prowadzącej do źródeł, z miejsca gdzie było stanowisko Loli.

W ruinach panowała cisza.

- Sara! - zawołał Case.

- Sara! - zawtórował mu Conner i wybiegł ze swej kryjówki, wołając imię siostry.

Z wierzb padł pojedynczy strzał. Conner potknął się i upadł w zarośla.

Dopiero wtedy z ruin dobiegł jej głos, wołający imię Connera.

„Sara - pomyślał Case. - Dzięki Bogu”.

Był pierwszym, który oddał strzał w kierunku miejsca, skąd strzelono do Connera, ale nie ostatnim. Nienaturalny grzmot przetoczył się przez kanion, aż przenikliwy gwizd Huntera przeszył powietrze.

Zapadła cisza.

Case zabezpieczył broń i zaczął napełniać magazynek nabojami. Ute niechętnie opuścił lufę.

- Jesteś pewien, że po nich? - zapytał stary banita.

- Hunter i Morgan przeczesują teraz zarośla. Jeżeli jeszcze nie jest po wszystkim, to wkrótce będzie.

- Mam nadzieję, że Conner nie jest mocno ranny. Sara naprawdę nie widzi świata za tym chłopakiem.

- Wiem.

Z ponurą miną Case wsunął kolejny pocisk do magazynka. Przygotowywał broń mimo nadziei, że nie będzie już potrzebna. Po chwili, która trwała dla niego wieczność, z doliny znowu dobiegł śpiew skowronka.

W prześwicie pomiędzy zaroślami pojawił się Hunter. Podniósł głowę, patrząc na skraj urwiska, gdzie znajdował się jego brat.

- Po wszystkim! - zawołał.

- Wszyscy? - zapytał Case.

- Co do jednego.

Case podniósł się powoli. Wyciągnął spod kurtki wytarty list gończy, na którym zostało już tylko kilka nazwisk Culpepperów. Podarł plakat na drobne kawałki i cisnął je z urwiska. Strzępy papieru zawirowały w słońcu i spływały powoli jak popioły na dno kanionu.

„Mam nadzieję, że teraz będziecie spoczywali w pokoju” - zwrócił się w myślach do Teda i Emily. „Bóg wie, że teraz będzie łatwiej tym, którzy pozostali przy życiu”.

Sara krzyknęła, chwytając brata za ramiona, kiedy ten podniósł ją do góry.

- Conner, ledwie cię zabandażuję, to ty robisz coś takiego, że znowu cały krwawisz - gniewała się. - Powinnam była zostawić cię Culpepperom!
- Ale nie zostawiłaś - odparł, uśmiechając się. - Uratowałam mnie, ponieważ jestem twoim jedynym bratem i kochasz mnie bardziej niż srebrny skarb.

Śmiejąc się, uniósł ją jeszcze wyżej, i trzymając ją nadal w górze, zatoczył z nią koło po chacie, ledwie omijając oba krzesła i stół. Jeśli nawet odczuwał ból w ranach lewej nogi i ręki, to i tak tego po sobie nie pokazywał. Radość, że żyje, nie opuszczała Connera od chwili, kiedy razem z Sarą zajechał przed chatę, prowadząc obładowane srebrem mustangi. Kipiał energią mimo podkrążonych oczu, siniaków na czole i dwóch ran od kul.

Uśmiechając się, Sara ujęła twarz brata w dłonie, czując pod nimi delikatne stwardnienie jego skóry, świadczące o tym, że staje się mężczyzną. Ogarnęła ją fala żalu i jednocześnie przyjemności. Spojrzała w jego czyste zielone oczy, które tak bardzo jej przypominały oczy ojca, że aż ścisnęła ją w sercu.

- Posłuchaj mnie, Conner. Proszę. Weź swoje pół skarbu i jedź na Wschód. Mając wykształcenie, będziesz mógł wszędzie podróżować, wszystko robić, być wszystkim.

Uśmiech opuścił twarz Connera. Delikatnie postawił siostrę na podłodze i spojrzał na nią przenikliwie.

- Wiem. Za kilka lat może będę mógł. Ale najpierw chcę doprowadzić ranczo do takiego stanu, żeby mogło cię wyżywić i dać ci schronienie bez względu na okoliczności, jakie mogą zaistnieć.

- Wystarczy mi do tego moja połowa srebra.

Spojrzał na nią zdziwiony, jakby spodziewał się innej odpowiedzi. Po chwili już wiedział, czego oczekiwał.

- A Case? - zapytał wprost. - Kochasz go, prawda?

Miała ochotę powiedzieć mu, że to nie jego interes, ale tak przecież nie było. Conner i Case mieli ze sobą więcej wspólnego, niż się mogło wydawać. Każdy z nich miał połowę rancza Zagubionej Rzeki.

Musiała w jakiś sposób doprowadzić do tego, aby jej brat zrozumiał, dlaczego człowiek, którego ona kocha, nie odwzajemnia jej uczucia. Nie chciała, żeby Conner i Case z jej powodu stali się wrogami.

- Tak, kocham go - powiedziała. - Ale sama moja miłość nie wystarczy.
- Do diabła, on musi cię kochać, bo gdyby nie, toby... och, do diabła!

Uśmiech, jakim ją obdarzył, był tak samo przepełniony bólem, jak i jej myśli.

- Dla mężczyzny to nie jest tak samo - powiedziała.

- Jaki mężczyzna mógłby... - zaczął z gniewem Conner.

- Dobry mężczyzna - przerwała. - Delikatny mężczyzna. Mężczyzna, który zaleczył rany, jakich doznałam w przeszłości. Mężczyzna, którego przeszłość sprawiła, że boi się kochać.

- Case nie boi się niczego.

- Więc nie chce. Albo nie jest w stanie. To nie ma znaczenia. Najważniejsze jest to, że Case mnie nie kocha.

- Jak ktoś może cię nie kochać?

Sara roześmiała się bezradnie, chociaż bardziej miała ochotę się rozplakać.

Objęła mocno brata.

- Tak jest w porządku. Naprawdę, Conner. Nie bądź zły na Case'a. Dał mi więcej niż jakikolwiek inny mężczyzna, więcej, niż myślałam, że mężczyzna może dać kobiecie.

Conner objął mocno siostrę. Był to zaskakująco silny i opiekuńczy uścisk.

- Pieniądze nie trwają wiecznie - powiedział w końcu. - A ziemia tak.

Kiedy już zbuduję ranczo, nigdy niczego ci nie zabraknie. Będiesz taka wolna jak te jastrzębie, które tak kochasz.

- Ja chcę tego samego dla ciebie.

- Dla mnie wolność jest tutaj, a nie w jakiejś szkole na Wschodzie.

Gdyby Sara dostrzegła chociaż odrobinę niepewności w oczach brata, to spierałaby się z nim. Jednak on był pewny swojego.

Minął czas sprzeczek i perswazji. Jeżeli jej brat jeszcze niedawno miał w sobie coś z dziecka, to zostało to zabite w noc jego pojmania i walki, która nastąpiła o świcie.

Conner już nie był chłopcem. Był mężczyzną, który podjął decyzję.

Wzdychając z rezygnacją, Sara uniosła się na palcach, by pocałować brata w policzek.

- Dobrze - powiedziała. - To twój wybór, nie mój.

Oddał jej pocałunek tak samo delikatnie.

- Dziękuję.

- Tak cicho? - zapytała. - Nie rzucasz kapeluszem w górę i nie krzyczysz z radości?

- Wczoraj mógłbym to zrobić. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj wystarczy, że żyję.

Po dopadnięciu mnie przez nich nie spodziewałem się, że doczekam jeszcze wschodu słońca.

Jego twarz przybrała ponury wyraz. Do tej chwili ani on, ani jego siostra

nie rozmawiali o tej długiej nocy ani o potyczce, do której potem doszło. Po prostu zabrali srebro z powrotem na ranczo i zakopali je, podczas gdy Case i jego brat grzebali w Źródlanym Kanionie ciała bandytów. Pomimo rannej ręki Morgan uparł się, żeby pozostać i pomóc im w tej ponurej pracy, twierdząc, że jest to zadanie, na którego wykonanie czekał od dawna. Również Lola uparła się, by tam zostać. Powiedziała, że nie uwierzy, iż Ab nie żyje, dopóki nie położy kamyczków na jego powiekach i nie zasypie jego grobu.

- Co cię opętało, żeby tam iść? - zapytała Sara.

- To samo, co opętało Huntera, kiedy tam poszedł, i ciebie, kiedy posłałaś tam Lolę. Poza ruinami to miejsce jest najlepsze, żeby obserwować Źródłany Kanion. Albo żeby strzelać w dół.

- Nie powinieneś być iść sam.

- To jest błąd, którego już nie powtórzę - Conner uśmiechnął się niespodziewanie

- ale żałuję, że nie byłem tam wtedy, kiedy Lola znalazła Huntera.

- Nie znalazła. No, niezupełnie. Znalazła zabitego Culpepera i domyśliła się, że ten, kto tam jest w tej chwili, to albo Morgan, albo Hunter.

- Wcale nie widziałem Morgana, dopóki nie zastrzelił tego jednorękiego bandyty, który się szykował, żeby mi strzelić w plecy - powiedział Conner, kręcąc głową. - Najszybszy strzelec, jakiego kiedykolwiek widziałem.

- Morgan był w kanionie całą noc, żeby ciebie osłaniać.

- Jestem mu za to wdzięczny.

- Powiedziałam mu, żeby wziął wszystkie te monety, które wsypałam do kanionu.

- Dobrze.

Sara znowu westchnęła z drzeniem i dotknęła twarzy brata, jakby nadal nie mogła uwierzyć, że on żyje.

„Warto było” - pomyślała. „Wszystko było tego warte. Nawet to, co ma dopiero nastąpić”.

- Hej, dobrze się czujesz? - zapytał Conner, chwytając siostrę za ramiona.

- Jestem tylko... zmęczona - uśmiechnęła się zbielełymi ustami. - Tak nagle. Zmęczona.

- Powinnaś się przespać. Wyglądasz na wyczerpaną.

„Z tego, co pamiętam o mamie, to ciąża wywołuje coś takiego u kobiety”

- pomyślała gorzko Sara. „W pierwszych kilku miesiącach zasypiała za każdym razem, kiedy tylko stanęła w miejscu”.

Nie zdradziła się z podejrzeniem, iż nosi dziecko Case'a. Powtarzała sobie w duchu, że jest za wcześnie, by być pewnym, ale to była tylko część prawdy. Ostatnią rzeczą, do jakiej chciałaby dopuścić, byłoby popchnięcie brata przeciwko człowiekowi, który teraz był właścicielem rancza.

Conner nie rozumiałby, dlaczego Case jej nie poślubił, nawet gdyby wiedział o tym, jakie blizny przeszłość pozostawiła na jego duszy.

Sara to rozumiała.

Zrozumiała to wczoraj, kiedy zobaczyła jego oczy po kochaniu.

Strach, żal i gniew. Niszczący dystans. Oczy schwytanego w potrzask jastrzębia.

Jej miłość nie przynosiła Case'owi ukojenia, ale tylko jeszcze większe cierpienie. Wyleczył strach, który pozostał jej z przeszłości. Ona natomiast nie zdołała mu pomóc.

„Być może pogrzebanie morderców Emily da Case'owi jakiś rodzaj spokoju”.

Nie była tego pewna. Wiedziała jedynie, że jej życie na ranchu Zagubionej Rzeki dobiega końca. Nawet gdyby posiadała swoją połowę ziemi, to nie mogłaby tam zostać.

„Nie próbuj doprowadzić do tego, żebyś zaszła ze mną w ciążę. Znienawidziłbym za to nas oboje”.

Mogłaby znieść wszystko oprócz tego. Nie byłaby w stanie znieść nienawiści ze strony człowieka, którego kochała.

- Siostrze? - odezwał się Conner z niepokojem. - Może byś się położyła.

Zmuszając się do uśmiechu, spojrzała na brata.

- Później - odparła. - Teraz nastawię garnek z fasolą. A następnie pójdę do Jeleniego Kanionu popatrzeć na jastrzębie.

„I cały czas będę w głębi duszy marzyła o tym, bym mogła znowu latać z nimi. W ramionach Case'a”.

Nie poszła jednak do swych jastrzębi, ale poczekała, aż Conner zaśnie. Potem zaczęła po cichu pakować ubrania. Kiedy już skończyła, stwierdziła, że w obydwu sakwach zostało jeszcze wiele miejsca na sztabki srebra.

Zawiązując sakwy, spojrzała na niezwykle naczynia, które Case znalazł w rumach. Podnosząc maleńkie kubki, przypomniała sobie miniaturową filiżankę i spodek, które Lola znalazła w rzeczach Case'a.

„Och, Case” - pomyślała Sara ze smutkiem. „Czy pokochałbyś mnie, gdybyśmy się spotkali przed śmiercią Emily?”

Nie usłyszała nic poza echem jej własnego nie wypowiedzianego pytania. Odstawiła naczynie na miejsce, przesunęła palcem po jego powierzchni i odwróciła się.

Kiedy mężczyźni wrócili ze Źródlanego Kanionu, było już późne popołudnie.

Umyli się i ruszyli do wielkiego garnka z fasolą i gorących placków z kukurydzianej mąki, które na nich czekały.

Sara powitała każdego uśmiechem i pełnym talerzem jedzenia. Case stanął obok paleniska z talerzem w rękę.

- Naprawdę zrobię jeszcze parę krzesel - powiedział. - Ale najpierw muszę naciąć desek na podłogę. Obiecałem to Sarze.

Talerz z fasolą, który Sara podawała Morganowi, omal nie wysunął się jej z rąk.

- Uważaj! - zawołał Morgan, podtrzymując talerz,
- Przepraszam. Nie zawsze jestem taka niezdarna.
- Masz teraz prawo. Przeszłaś ostatnio ciężkie chwile.

Spojrzała w pełne współczucia ciemne oczy Morgana i uśmiechnęła się.

- Nie przeszłam przez więcej niż ty czy Hunter albo... - Jej głos zamarł.
- Nie wiem, jak ci dziękować.
- Nie trzeba żadnych podziękowań.
- Proszę, weź te pieniądze.

Morgan chciał odmówić, tak jak to robił już wcześniej, kiedykolwiek podejmowano ten temat, ale Case go wyprzedził.

- Zrobiłbym to na twoim miejscu - powiedział. - Ta ślicznotka, którą zostawiłeś w domu, będzie patrzyła bardziej życzliwie na człowieka, który wyruszył ze stadem bydła i nie wrócił przez prawie rok, jeżeli tenże człowiek będzie miał pełne kieszenie srebra.

Morgan błysnął w uśmiechu zębami.

- Ona nie czeka na pieniądze, tylko na coś innego.
- Chcesz powiedzieć, że nie ucieszy jej złoty pierścionek i własne małe ranczo? - zapytał Case.
- Są inne sposoby, żeby sprawić Letty radość.

Ute mruknął coś po nosem i podniósł się ostrożnie, odstawiając swój pusty talerz. Wyprostował powoli prawe kolano, na którym rykoszet pozostawił siniak wielkości pięści, i obrócił się do Morgana.

- Nueces - powiedział. - Nie zmuszaj mnie bym jechał aż do Teksasu tylko dlatego, że jesteś upartym sukinsynem.

Morgan zamrugał i spojrzał na Ute.

- To znaczy?
- To znaczy, że kiedy Sara czegoś chce, to ja robię wszystko, żeby to miała. Albo weźmiesz to cholerne srebro ze sobą, albo będziesz miał mnie na karku aż do Teksasu. Będę wściekły i będę miał przy sobie załadowaną broń i dwie sakwy pełne reali.
- Weź srebro - doradził mu Hunter, podnosząc się.
- A ty byś wziął? - odparł Morgan.
- Jeżeli do wyboru miałbym srebro albo Ute na karku, to wybrałbym srebro.

Morgan uśmiechnął się.

- Pułkowniku, zrobimy interes. Weźmiesz pół i ja wezmę pół.

Czekaj, ja nie...

- A może wolałbyś mieć mnie na swoim karku? - dodał Morgan, nie pozwalając Hunterowi dokończyć zdania.
- No i cię urządził - powiedział Case do brata. Hunter mruknął coś pod

nosem i zwrócił się do Sary.

- Możesz zrobić z tym srebrem lepsze rzeczy niż je rozdawać.

Pokręciła głową.

- Conner? - zapytał Hunter rozpaczliwie.

- Zawsze robię to, co mówi moja siostra - odpowiedział Conner tak niewinnym tonem, że Ute aż zachichotał. - Niech pan tylko ją zapyta.

- Do diabła! - obruszył się Hunter.

Spojrzał na Case'a, ale zapomniał, co miał mu powiedzieć, gdy dojrzał wyraz twarzy brata. Ku niepomniernemu zaskoczeniu Huntera Case ledwie powstrzymywał się od śmiechu.

- Podziel srebro - polecił Morganowi. - Jutro o pierwszym brzasku wyruszę w drogę. Elyssa będzie szczęśliwa, kiedy się dowie, że Case żyje.

- Będzie o wiele bardziej szczęśliwa, kiedy się dowie, że ty też masz całą skórę - odparł jego brat.

Hunter tylko się uśmiechnął.

- Czy byłoby dla ciebie wielkim kłopotem odprowadzić mnie do najbliższej stacji kolejowej? - zapytała Sara.

Cisza, jaka zapadła po jej słowach, była obezwładniająca.

- Conner mógłby to zrobić, ale nie czuje się na tyle dobrze, by jechać konno kilka dni - dodała spokojnym tonem. - Ute tak samo.

- O czym ty mówisz? - zapytał Case.

- O podróży.

- Jeżeli martwisz się, jak zawieźć srebro do banku, to pozwól, że ja się tym zajmę.

- Dziękuję. To oszczędzi mi wiele kłopotów - odparła i znowu odwróciła się do Huntera. - Jeżeli chcecie dostać się do Nevady tak szybko, jak tutaj przyjechaliście, to ja mogę spać w siodle. Nie będziecie przeze mnie jechali wolniej.

Hunter spojrzał na brata. Twarz Case'a wydawała się całkiem obojętna, ale jego oczy zwęziły się, jakby w gniewie czy bólu.

- Lepiej omów to z Case'em - powiedział Hunter. - Jeżeli potem nadal będziesz chciała jechać ze mną, to odprowadzę cię bezpiecznie do każdego miejsca, do jakiego będziesz chciała dotrzeć.

- To nie będzie konieczne - odparła. - Tylko do najbliższej...

- Wszędzie - przerwał Hunter. - To jest najmniejsza rzecz, jaką mogę zrobić dla kobiety, która uratowała życie mojego brata.

- Już zostało mi to hojnie odpłacone.

- Ute, Conner, chodźcie ze mną - powiedział Hunter. - Tylko tu przeszkadzamy. Sara chciała się sprzeciwić, jednak tylko wzruszyła ramionami.

- Siostro? - zapytał Conner.

- Idź z Ute i Hunterem - poleciła. - Niedługo do was dołączę.

- Założę twoje siodło na któregoś muła - oznajmił Hunter. - Ale jeżeli będzie ci naprawdę potrzebne, to mój brat jest durniem.

Patrzyła za wychodzącymi, zostając sam na sam z człowiekiem, którego kochała. Z człowiekiem, który jej nie kochał.

- O czym ty, do diabła, myślisz? - odezwał się Case.

- Zamierzam kupić ziemię i hodować konie. Chyba w Kalifornii. Może w Oregonie.

- Mówisz bez sensu.

- Dla mnie to ma wielki sens. Lubię pracę na ranchu.

Machnął dłonią zniecierpliwionym ruchem.

- Wiesz, o co mi chodzi - powiedział. - Masz tutaj dobry materiał na rancho. Jeżeli chcesz hodować konie, to Świerszcz jest najlepszym ogierem, jakiego znajdziesz na zachód od Missisipi.

Sara wzięła głęboki oddech, postanawiając zrobić to, co miała wcześniej nadzieję uniknąć.

„Do diabła z Hunterem!” - pomyślała. „Jaki to jego interes, czy Case i ja powrzeszczymy na sobie przed rozstaniem?”

- Rancho nie jest moje - powiedziała.

- Przecież połowa rancha...

- Należy do ciebie - przerwała mu. - Druga połowa należy do Connera.

- Co?

W każdych innych okolicznościach mina Case'a, na jego zwykle pozbawionej wyrazu twarzy, rozbawiłaby Sarę. Jednak teraz odczuła tylko jeszcze większy ból.

- Dałam Connerowi pół rancha potem, gdy on... Hal umarł - powiedziała.

- Wiedziałaś, że on zabił twojego męża?

Sara zamrugła oczami.

- Wiedziałam tylko, że jeden z nich wrócił. Dziękuję Bogu codziennie, że to Conner był tym, który przeżył.

- Hal próbował uderzyć go pistoletem. Conner zaczął walczyć. Pistolet wypalił. To był wypadek.

Zachwiała się, chwytając z trudem oddech.

- Dziękuję ci - szepnęła. - Zawsze miałam nadzieję, że mój brat nie zabił dla mnie. Ale Bóg mi świadkiem, byłam tak wdzięczna...

Case dał krok do przodu i ujął Sarę za ramiona. Trzymał ją tak, jakby się bał, że upadnie.

- Porzuć ten głupi pomysł o wyjeżdżaniu - powiedział ostro. - Dogadam się z Connerem, żeby każde z nas miało jedną trzecią rancha.

- Nie.

Zamrugał oczami i spojrzał na nią spod półprzymkniętych powiek.

Oczy, które napotkały jego wzrok, były koloru burzowych chmur. O ile jeszcze przed chwilą wyglądała na słabą, to teraz już tak nie było.

- Dlaczego nie? - zapytał. - Conner będzie pierwszym, który to zaproponuje.

- Jaką przyszłość masz na myśli? - zapytała ostro. - Te wszystkie...

eee, wygodny domu i żadnej odpowiedzialności?

Intensywny rumieniec pokazał się na policzkach Case'a ponad zarostem.

Wypuścił ją i cofnął się, jakby się oparzył.

- Nie chodziło mi o to.

- A o co ci chodziło?

Przejechał palcami włosy, był to gest pełen frustracji, aż ścisnęło ją w sercu z miłości i żalu za straconą szansą. Jednak nic z tego, co czuła, nie uwidoczniło się na jej twarzy.

- Nie chcę, żebyś odjechała - powiedział.

- Włóż to, o czym marzysz, do jednej ręki i napluj do drugiej, zobaczysz, która wcześniej będzie pełna - powiedziała ironicznie.

- Do cholery! Ty mnie nie słuchasz!

- Dlatego, że ty nie myślisz zbyt jasno.

- A ty myślisz? - odciął się.

- Tak. Ty nie chcesz małżeństwa, ponieważ małżeństwo oznacza dzieci.

Case oddychał pośpiesznie.

- Nie chcesz romansu - kontynuowała - ponieważ wcześniej czy później zajdę w ciążę.

Nie odpowiedział. Stał tylko bez ruchu.

- Nie możemy po prostu udawać, że nigdy nie byliśmy kochankami -

powiedziała. - Przynajmniej ja nie umiem. To, co mi dajesz, jest... jak lot jastrzębia. Nie mogłabym znieść bycia blisko tego rodzaju ekstazy, a jednak pozostawać poza jej zasięgiem.

- Saro... - wyszeptał.

Czekała, mając nadzieję, chociaż nie było nadziei. Nie powiedział już nic więcej.

Nie potrzebował nic mówić. Nadal paliły ją słowa, które wypowiedział niegdyś: „Nie zostało już we mnie żadnej miłości. Nie chcę jej. Już nigdy nie będę kochał niczego, co może umrzeć”.

- Teraz rozumiesz, dlaczego nie mogę zostać - powiedziała, odwracając się od niego. - Mogę żyć nie kochana przez ciebie, ale nie mogłabym znieść twojej nienawiści. Powiedz Hunterowi, że jestem gotowa odjechać już teraz.

- Do diabła z Hunterem! - powiedział twardo. - A Conner?

- Miałaś rację, jeżeli chodzi o niego. On nie chce jechać na Wschód do szkoły.

Case zaklął pod nosem.

- Nie o to mi chodziło.

- Mój brat nie będzie zaskoczony. On wie, że mnie nie kochasz.

- Mam na myśli to, że Conner jest jeszcze chłopcem - powiedział. - On cię potrzebuje.

- Nie jest chłopcem. Wiesz o tym lepiej niż ja. Ty sam mi to uświadomiłeś.

Conner powinien coraz mniej trzymać się spódnicy. To ty zwróciłeś mi na to uwagę. Pamiętasz?

- Próbujesz zastawić na mnie pułapkę - odparł z gniewem.

- Nie. Ja pozwalam ci odejść.

Odwróciła się, rozkładając ręce, jakby chciała pokazać Case'owi, że nie ma już nic, czym mogłaby zatrzymać go przy sobie.

Nadal jednak w jego oczach było widać coś dzikiego. Były to oczy uwięzionego jastrzębia.

- Odleć - wyszeptała. - Jesteś wolny.

Znowu mruknął coś gniewnie i przesunął palcami przez swe gęste, czarne włosy. Potem obrócił się gwałtownie i szarpnął drzwi chaty.

- Rób, co chcesz - rzucił. - Wcale mnie to nie obchodzi.

Drzwi trzasnęły za nim.

Hunter, Ute i Conner stali około stu stóp od chaty. Niebo nad zachodnim horyzontem przybrało kolor jasnożółtego masła, natomiast nad ich głowami było ciemnogranatowe, zimne i tak puste jak wnętrze Case'a.

Conner chciał coś powiedzieć, gdy Case przechodził obok nich, ale Hunter go powstrzymał.

- Nie teraz - powiedział Hunter. - W tej chwili mój brat szuka zaczepki.

Niech sam się z tym pomęczy. Zbierało mu się na to od dawna.

Case obrócił się ku Hunterowi.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Powiem ci to samo, co ty mi powiedziałeś kilka miesięcy temu: „Idź i pogadaj z zadem swojego konia. On ma więcej rozsądku niż ty”.

- To ma więcej sensu, niż wy wszyscy razem wzięci - warknął Case.

Hunter uśmiechnął się. Case ruszył gwałtownie ku bratu, ale zatrzymał się.

- Słusznie - powiedział Hunter, kiwając głową. - Bicie się ze mną nic nie zmieni. Do diabła, gdybym myślał, że zmieni cię porządne lanie, tobyśmy już teraz tarzali się po ziemi. Ale to nic nie da.

Jedyną odpowiedzią Case'a był przenikliwy, przesywający ciemność gwizd. Po chwili podbiegł truchtem jego wierzchowiec.

Nie zadawał sobie trudu z siodłem. Po prostu wskoczył na konia i odjechał w ciemność.

Wokół niego krzewy bawełniane unosiły swe nagie gałęzie, obejmując chłód zimy. Ich czysto czarny rysunek na tle ciemniejącego nieba był tak piękny jak lot jastrzębia.

Powietrze było zimne, nasycone czasem, przestrzenią i ciszą. Za rzeką wznosiły się czarne urwiska, wspomagając narastającą noc swą potężną obecnością.

„Połowa z tego jest moja” - pomyślał Case.

Odczekał chwilę, ale nie odczuł żadnej przyjemności z faktu bycia właścicielem tego dzikiego terenu. Koszt posiadania go okazał się wyższy,

niż wcześniej przypuszczał. Sara kochała tę ziemię tak samo bardzo jak on. Słyszał w myślach jej słowa: „To ranczo jest wszystkim, czego chcę od świata. Życie tutaj uszczęśliwia mnie do głębi duszy”.

Jednak odjeżdżała stąd. Przez niego. Jechał na oślep w noc. Czas stracił wszelkie znaczenie. Żył tylko on i noc.

On, noc i cierpienie, którego nie mógł ani znieść, ani zignorować.

Światło księżyca ślizgało się po powierzchni rzeki srebrnymi refleksami, które przypominały mu oczy Sary: połączenie tajemnicy i światła.

Szmer wody brzmiał jak jej cichy śmiech, kiedy leżeli razem w ciepłe, po nasyceniu się sobą.

Wiedział, że do śmierci będzie pamiętał jej ciche wyznanie, które wyszeptwała, mimo swego niedawnego strachu przed mężczyznami.

„Kocham cię, Case”.

Poczuł przeszywający go dreszcz.

„Nie” - pomyślał z gniewem. „Nie mogę znowu przez to przechodzić.

Przez miłość i utratę. Po to jest ból, żeby człowiek uczył się, jak unikać kolejnego bólu w przyszłości”.

Ale nie dla Sary. Zarówno ból, jak przyjemność były dla niej po prostu częścią życia.

Sara, ten ogień, który pojawił się w samym środku jego mroźnego życia.

Bez niej nie byłoby ciepła. Tylko zima.

Przeszywał go tak głęboki ból, że nie mógł oddychać. Czuł się tak, jakby rozrywał się na strzępy.

„Nie! Tak nie może być. Tak po prostu nie może być!”

Ale jednak tak było.

Ból dręczył go jak żywa, pożerająca go istota, zanurzona w jego wnętrzu.

Nie doznawał takiego cierpienia od czasu, kiedy kołysał w ramionach ciała bratanicy, wiedząc, że nie jest w stanie nic zrobić, aby odwrócić to, co się stało.

Wtedy nie płakał. Teraz tak.

Sara nie chciała się obudzić. Przebudzenie oznaczało, że jest rano, a rano oznaczało, że wyruszy w drogę, opuszczając wszystko, co kocha.

Załkała, przewracając się z boku na bok i usiłując uciec od świtu, o którym wiedziała, nawet przez sen, że musi nadejść.

Łagodne pocałunki przerwały tę szamotaninę. Potem ogarnęły ją silne ramiona, zamykając w uspokajającym uścisku. Poczęły przepływać przez nią fale ciepła, jakby leżała obok płonącego ogniska.

Z westchnieniem zagłębiła się w sen, którego potrzebowała bardziej niż bicia serca. Otuliła się tym gorącym, chroniąc się przed nadchodzącym chłodem świtu.

Czubek ciepłego języka przesunął się po jej wargach. Uśmiechnęła się, rozkoszując się snem.

„To tylko sen. Sen o pieszczących mnie promieniach słońca. Słońce i... Case!"

Usiadła gwałtownie. Lampa naftowa nadal paliła się na stole, ale ogień już zgasł. Z przerażeniem zauważyła, że jest naga.

- Zasnęłam na siedząco przy stole - powiedziała oszołomiona.

Długie ramię wysunęło się spod koców i wciągnęło ją z powrotem pod ciepłe okrycie.

- Zaniósłem cię do łóżka - wyszeptał Case.

Przyciągnął ją do siebie. Ich ciała zetknęły się. Płomień rozkoszy rozlał się w jej wnętrzu.

- Byłam ubrana - powiedziała, nadal nic nie rozumiejąc.

- Rozebrałem cię.

Poczuła delikatny dotyk zębów na swym uchu. Wcale nie wiedziała, co o tym myśleć.

- Nadal śnię - wyszeptała.

To było najłatwiejsze wyjaśnienie.

Roześmiał się i pocałował ją w szyję. Przesuwał pieszczotliwie ustami od jej szyi aż do piersi. Tak samo przesuwał się jego cichy śmiech.

- Teraz już wiem, że śnię - powiedziała.

- Dlaczego?

- Bo ty się śmiejesz tylko w moich snach.

- Przyzwyczaisz się do tego.

Pocałował ją w jeden sutek, a potem w drugi. Z uśmiechem patrzył, jak się przemienia za każdym pieszczotliwym dotknięciem jego brody. Nie otwierając oczu, naprężyła się, unosząc ciało ku jego uśmiechowi. Potem westchnęła i całkowicie oddała się swemu cudownemu snowi.

- Sara?

- Nie budź mnie. Wcale się nie chcę obudzić.

Długie, silne palce przesunęły się po jej brzuchu i dotknęły delikatnej powierzchni pomiędzy jej udami.

- Niektóre rzeczy są lepsze, kiedy się człowiek obudzi – powiedział.

Jej jedyną odpowiedzią był ruch, którym otwarła się przed nim. Pieścił jej gorące, gładkie ciało. Jej napięta odpowiedź rozlewała się po nim jak roztopione srebro.

Wstrzymał oddech i osunął się pomiędzy jej nogi, biorąc ją całą i sam się jej oddając w zamian. Poruszał się bez pośpiechu. Wkrótce powolne, senne skurcze zaczęły poruszać jej wnętrzem, by w końcu przejść na niego, pokonując go bez reszty.

Dopiero po dłuższej chwili Case odzyskał głos.

- Jak będziemy tak dalej to robić - wyszeptał - to na pewno zajdziesz w ciążę.

Sara pokręciła głową. Nadal nie otwierała oczu, by nie rozstać się z tym pięknym snem.

- Nie mogę - mruknęła.

- Dlaczego nie?

- Bo już jestem.

- Co?

Otworzyła nagle oczy.

- O Boże! To nie był sen?

Popatrzył na nią uważnie.

- Jesteś pewna?

- Prawie. Jestem ciągle tak piekielnie senna, całkiem jak moja mama, kiedy była w ciąży.

Dreszcz wstrząsnął ciałem Case'a. Powoli opuścił twarz ku jej piersiom.

Serce Sary zadrżało, kiedy poczuła na sobie gorąco jego łez i jednocześnie śmiechu.

- Przywracasz mnie do życia - wyszeptał.

Zamarła bez ruchu. Potem wsunęła palce w jego włosy i uniosła mu twarz, aż zobaczyła jego oczy.

- Co powiedziałaś?

Uśmiechnął się. Nagłe łzy spłynęły po długich rzęsach Sary, aż jej oczy zabłyszczały srebrną tajemnicą.

- Myślałem, że to tylko ziemia mnie wzywa - powiedział - ale to ty. To zawsze byłaś ty. Ogień w środku zimy płonący tylko dla mnie.

- Case - wyszeptała.

Pochylił się i dotknął wargami jej ust.

- Kocham cię, Saro. A jutro nie pojedziesz nigdzie indziej, tylko do najbliższego kaznodziei.

Pocałowała go.

- Żadnych sprzeciwów?

- Dlaczego miałabym sprzeczać się z człowiekiem, którego kocham?

Szczególnie wtedy, gdy wreszcie mówi do rzeczy.

Uśmiechając się, Case przytulił ją do siebie, by poczuć jej miłość w ciepłym dotyku jej ust na swojej piersi.

Wkrótce zasnął z uśmiechem na ustach.

Epilog

Emily Jane Maxwell urodziła się jesienią, kiedy liście krzewów bawełny przybierały na tle ciemniejącego nieba kolor płomienia świecy. Case zrobił dla niej kołyskę z tego samego drewna, które przygotował, żeby

wznieść dom dla swej powiększającej się rodziny. Pierwszą rzeczą, jaką zapamiętała Emily, był śmiech jej ojca, kiedy unosił ją pod sufit i zataczał nią koło w powietrzu.

W późniejszych latach jeszcze więcej dzieci przyszło na świat w domu Sary i Case'a. Dwie dziewczynki o zwinnych dłoniach i ostrych językach oraz trzech wysokich chłopców, którzy bez końca zabawiali się: na przemian drażniąc się z siostrami i opiekując się nimi.

Conner opuścił swoje siostrzenice i siostrzeńców na wystarczająco długo, żeby zdobyć wykształcenie, którego pragnęła dla niego Sara.

Powrócił na ranczo Zagubionej Rzeki z narzeczoną. Wkrótce dolina wypełniła się okrzykami i dźwięcznym śmiechem jeszcze większej gromady dzieci.

Miłość pomiędzy Case'em i Sarą wzmacniała się dzięki przeżywanym wspólnie smutkom i radościom ludzkiego życia. Przez wszystkie pory roku łączył ich płomienny związek: delikatny i gwałtowny, intensywny i łagodny; związek, który był ciepłem ogrzewającym i nadającym życie wszystkiemu, czego dotknął.

KONIEC